

Najlepszy kryminał historyczny 2014  
według magazynu CWA Historical Dagger

# ANTONIA HODGSON

W Top 5 najlepszych  
kryminałów 2014 roku  
według „Publishers Weekly”

# DIABEŁ Z WIEZIENIA DŁUŻNIKÓW



**ANTONIA HODGSON**

**DIABEŁ  
Z WIĘZIENIA  
DŁUŻNIKÓW**

**Przekład  
STANISŁAW REK**





Redaktor serii  
Małgorzata Cebo-Foniok  
Redakcja stylistyczna  
Anna Tłuchowska  
Korekta

Magdalena Stachowicz  
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce  
© AKV/Shutterstock

Tytuł oryginału

The Devil in the Marshalsea

Copyright © Antonia Hodgson 2014

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5378-7

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

[juras@evbox.pl](mailto:juras@evbox.pl)

*Joannie, Justine i Victorii  
z podziękowaniami*

*Sumienie każe duchom chodzić i pojawiać się duszom zmarłych... Działa na  
wyobraźnię z niezachwianą siłą, jak wiara.*

*Daniel Defoe *The Secrets of the Invisible World Disclos'd* 1729*

*Wstałem około czwartej. W Parku zobaczyłem pół tuzina Kruków uczestniczących  
w bardzo chryplivej konwersacji, a nie rozumiejąc ich Języka, nie mogłem domyślić  
się, co zamierzają, uznałem jednak że radzą, jak podzielić się Trupami tych  
nieszczęsnych wyrzutków, co Zmarli nagle w tym Miejscu.*

*John Grano *A Journal of My Life while in the Marshalsea* 1728–1729*

# Nota historyczna

Akcja Diabła z więzienia dłużników rozgrywa się jesienią 1727 roku w Londynie i w Southwark, które w owych czasach uważano za oddzielne miasto. W czerwcu zmarł król Jerzy I. Teraz królem był jego syn, Jerzy II, chociaż koronował się dopiero w październiku. Ludzi ciekawiło, jakim okaże się monarchą. (Kołtun i bufon, jeśli mamy wierzyć lordowi Herveyowi, zjadliwemu kronikarzowi dworskiego życia).

Marshalsea z 1727 roku to nie to samo więzienie, które tak genialnie przedstawił Dickens w Małej Dorrit. Drugie więzienie, otwarte dopiero na przełomie XVIII i XIX wieku, usytuowane było dalej, przy Borough High Street. Pierwotne więzienie istniało co najmniej od XIV wieku i znajdowało się między Mermaid Cort a tym, co teraz jest Newcomen Street.

W 1720 roku Wielka Brytania doświadczyła pierwszej nowoczesnej katastrofy gospodarczej – załamania się Kompanii Mórz Południowych. Zbankrutowały tysiące ludzi, kiedy akcje kompanii poleciały w dół, a druzgocące skutki tego wydarzenia odczuwano jeszcze siedem lat później. „London Gazette” z 17-19 września 1727 roku pełna była ogłoszeń o upadłości i zawiadomień o śmierci z wezwaniem do wierzycieli, żeby poświadczyli swoje wierzytelności. (Nie wszyscy ucierpieli. Była też długa kolumna z instrukcjami dla parów i ich żon na temat szat na koronację, wyszczególniająca, ile gronostajów powinni na siebie włożyć).

Londyńskie więzienia dla dłużników były zatłoczone – co oznaczało nędzę dla tysięcy i doskonałą okazję biznesową dla ludzi takich jak William Acton, główny nadzorca Marshalsea. Więzienia dla dłużników były znane w Anglii od stuleci. Chociaż w ostatecznym rachunku właścicielem ich była Korona, prowadzono je prywatnie dla zysku. Dłużnicy, którzy zaspokoiли swoich wierzycieli, często latami marnieli w więzieniu, bo zaciągnęli kolejne długi u nadzorcy.

Może się wydać dziwne, że tyle pieniędzy dało się zarobić na dłużnikach – póki się nie zobaczy ogłoszeń o pożyczkach w dzień wypłaty i nie zrozumie, że nadal jest mnóstwo sposobów, by zarobić na czymś nieszczęściu. Więźniom pomagały rodziny i przyjaciele, mogli też zastawić swoje mienie, szukając sposobów, żeby spłacić wierzycieli. Niektórzy prowadzili interesy nawet w więzieniu – kawiarnia Sarah Bradshaw i restauracja ze stekami Macka stanowią dwa tego przykłady. „Kobiety z miasta” były tam stałymi gośćmi. I naprawdę istniał fryzjer o nazwisku Trim i – co dość egzotyczne – francuska wróżka o nazwisku Madame Migault, która mieszkała w Marshalsea w 1727 roku. Więzienia dla dłużników miały służyć przetrzymywaniu, a nie poprawie – jeśli było cię stać na zapłatę za jedzenie, picie i towarzystwo, to w porządku, póki nadzorca dostawał swoje.

## Obiad i kolacja

*Mała uwaga, żeby uniknąć zamieszania: we wczesnych latach XVIII stulecia obiad spożywany był zazwyczaj koło drugiej albo trzeciej po południu, a po nim, wieczorem, jeśli była potrzebna, następowała lekka kolacja. Wszystkie posiłki, o których mowa w powieści, opisane są na podstawie dziennika Johna Grano, spisanego w Marshalsea w latach 1727–1728. No cóż – wtedy naprawdę dużo się piło i paliło.*

## Przekleństwa

*I klęło się też dużo. Wszystkie słowa użyte w książce były wtedy używane notorycznie. César de Saussure, szwajcarski gość w Londynie w latach dwudziestych XVIII stulecia, pisał: „Anglicy klną na potęgę” i „nie tylko prostaków dotyczy ten niefortunny obyczaj”. I nie chodziło mu tylko o „cholera” i „do kroćset”.*

*Jeśli przekleństwa wydają się cokolwiek anachroniczne, to pewnie dlatego, że nie pojawiają się w szerzej znanych powieściach i sztukach z epoki. Krótki – albo doprawdy długi – rzut oka na „literaturę libertyńską”, taką jak *Wenus In the Cloister* (1725) potwierdza, że szczególnie niewyparzony język i plastycznie przedstawione sceny seksualne nie są niczym nowym. W kawiarniach Covent Garden, w slumsach St. Giles i w więzieniach dla dłużników w Borough możemy, jak sądzę, spokojnie przyjąć, że nie mówiono „słodyczka” ani „pałeczka”, kiedy do wyboru były barwniejsze określenia.*



# Prolog

**P**rzyszli po niego o północy. Bez ostrzeżenia. Nie było czasu, by sięgnąć po sztylet schowany pod poduszką. Stąpali cicho jak duchy, przeszli przez więzienny dziedziniec i zakradli się po wilgotnych, wąskich schodach, kiedy spał nieświadomy niczego.

Winny nie powinien spać tak smacznie.

Obudził się, gdy przyłożono mu zimne ostrze do szyi. Zakneblowali go i związali nadgarstki, nim zdołał krzyknąć; tak gwałtownie ściągnęli go z łóżka na kolana, że deski podłogi ugięły się od uderzenia.

Ktoś zapalił latarnię, oświetlając napastników. Teraz wreszcie ich rozpoznał i zrozumiał, po co przyszli. Gorączkowo szarpnął za ciężką skórzaną sakwę zawieszoną na szyi dla bezpieczeństwa i rzucił ją im do stóp. Złote i srebrne monety rozsypały się po podłodze.

Mężczyzna, który trzymał latarnię, schylił się, podniósł pół gwinei i powoli obrócił ją między palcami.

– Myślisz, że to cię uratuje? – Uśmiechnął się lekko i rzucił monetę z powrotem na podłogę. Skinął głową na współnika.

Potem posłali go do diabła.

Następnego ranka strażnik znalazł ciało zwisające z belki w karcerze, za wysoko dla szczurów kłębiących się w cieniu na dole. Posługacze więzienni odcięli go i położyli na dziedzińcu, z dala od ciał trzech więźniów z części dla pospólstwa, których w nocy zabrała gorączka. Kapitan, co prawda, wpadł w tarapaty, ale w końcu był dżentelmenem.

Kapelan wskazał na obitą twarz zmarłego, na połamane członki i zażądał, żeby natychmiast wezwano koronera, by przeprowadzić śledztwo. Nadzorca, który od paru godzin pił z kompanami w Koronie, splunął na ziemię i nazwał to samobójstwem – i niech diabli wezmą każdego, kto twierdzi inaczej. Koroner powie to samo, już on się o to postara.

Na górze, w pokoju kapitana, jego towarzysze pospiesznie grali o jego skąpe mienie, zanim zabierze je woźny sądowy. O ubrania, tytoń, funt bekonu. O mały garnek do gotowania, zabrudzony resztkami kolacji z wczorajszego wieczoru. Żadnych pieniędzy. Ale to nie nowina w więzieniu dla dłużników.

Młoda posługaczka zatrzymała się na podeście schodów, obładowana świeżą pościelą. Stała przez jakiś czas w cieniu, przyglądając się grze i graczom. Nauczyła się już dawno trzymać oczy i uszy szeroko otwarte. W Marshalsea dobra tajemnica była więcej warta niż złoto i bardziej śmiercionośna niż klinga, jeśli użyło się jej właściwie. Zerknęła na podłogę. Dziwne, ktoś w nocy zamiótł ją do czysta. Upchnęła

tę myśl z tyłu głowy, jak loczek, który wypadł spod czepka, i wróciła do swoich obowiązków.

Zabójcy zamietli podłogę, ale nie zauważyli pewnej małej rzeczy. Monety, która podczas walki przetoczyła się przez pokój i zatrzymała w ciemnym kącie pod łóżkiem kapitana. I została tam na długie miesiące, schowana pod kurzem – srebrna korona splamiona krwią. Czekała, by opowiedzieć swoją historię.

Czekając na mnie, bym ją znalazł.

# **Część I**

# **ROZBÓJ**

# Rozdział 1

**T**omie Hawkins, masz diabelne szczęście.

Uśmiechnąłem się do mężczyzny po drugiej stronie stołu. Był ciepły wrześnieowy wieczór. Po raz pierwszy od miesiący miałem pełną sakiewkę i dopiero co znaleźliśmy stół w najbardziej podejrzanej kawiarni w Londynie. Życie nie mogło być lepsze.

– To nie było szczęście – odparłem, przekrzykując zgiełk.

Charles Buckley, mój najstarszy przyjaciel, rzucił mi spojrzenie, które po tych wszystkich latach dobrze rozumiałem: irytacja, dezaprobata – i ździebko rozbawienia, żarzącego się w głębi oka. Rozsiadłem się zadowolony i zapaliłem fajkę. Jedną z największych przyjemności mego żywota było rozśmieszanie Charlesa, kiedy wiedział, że nie przystoi mu się śmiać.

Służąca przeszła blisko naszego stołu – śliczna dziewczyna o imieniu Betty, gęstych czarnych lokach i skórze koloru palonych ziaren kawy. Skinąłem na nią i zamówiłem czarkę ponczu.

– Czarke kawy – poprawił Charles. – A potem do domu, dałeś mi słowo, pamiętasz?

Wsunąłem szylinga w dłoń Betty. Miło było znów mieć pieniądze – i wydawać je.

– Kawy. I czarę ponczu. Świętujemy – powiedziałem, pańskim gestem odrzucając protesty Charlesa.

Betty uniosła brwi. Były tylko dwa powody do świętowania w kawiarni Toma Kinga – wygrana przy stoliku albo pełne ozdrowienie z rzeźączki.

– Dziś wieczór wygrałem w karty dziesięć funtów – krzyknąłem pospiesznie, ale ona już przeciskała się w tłoku ku garnkom z kawą, wiszącym nad ogniem. Kiedy się odwróciłem, Charles trzymał głowę w dłoniach.

– Co ja mam z tobą począć? – jęknął.

Popatrzyłem na długą, niską salkę, wdychając oszałamiające opary dymu, alkoholu i potu. Gdybym dziś wieczór powiesił tu płaszcz, do rana moja mała mansarda byłaby pełna tych samych znajomych zapachów.

– Jedna czarka ponczu, Charles. Tylko jedna! Żeby wznieść toast za mój kunszt dziś wieczór przy stoliku.

– Kunszt? – Opuścił ręce. Charles miał sympatyczne oblicze i miłe rysy, jak dobrze urządzony salonik. To nie była twarz stworzona do oburzania się, ale robił, co mógł; troszkę szerzej otworzył ciemnobrązowe oczy. – Kunszt? Zaryzykowałeś wszystko na jedno rozdanie! Co do ostatniej ćwierćpensówki! To nie kunszt, to... – Wzruszył bezradnie ramionami. – To szaleństwo.

Nie spierałem się z nim. Charles nie przyjmował do wiadomości tego, że w

hazardzie jest coś więcej niż ślepy łut szczęścia – trochę dlatego, że sam tak marnie grał. Nie miało sensu wyjaśnianie, że znałem trzy czwarte mężczyzn z tej gorącej, zadymionej szulerni – grywałem przeciwko nim tyle razy, że rozumiałem ich zalety i wady lepiej niż własne. Nawet pijany potrafiłem zapamiętać wszystkie rozegrane karty i w mgnieniu oka obliczyć szanse. Szczerze mówiąc, było trochę prawdy w tym, co powiedział Charles – podjąłem wielkie ryzyko przy końcowym obstawianiu, ale w tej kwestii nie miałem wyboru. Moje życie od tego zależało.

Wczesnym rankiem mój gospodarz i trzech innych wierzycieli wpadli do mojego pokoju i wszczerli przeciwko mnie czynności o dwadzieścia funtów w niezapłaconym czynszu i innych długach. Nakaz dawał mi zaledwie jeden dzień na zapłacenie sumy, która by ich zaspokoiła. Gdybym nie zapłacił, zostałem natychmiast aresztowany i wtrącony do więzienia.

Wtedy trochę mnie to wystraszyło. Miałem dwadzieścia pięć lat, a śmierć zdawała się czymś odległym i mglistym. Ale znałem trzech ludzi, których w tamtym roku wysłano do więzienia dla dłużników. Jeden zmarł na gorączkę, drugiego dźgnięto w bójce i ledwie przeżył. Trzeci przeszedł przez więzienną bramę jako gruby, wesoły facet, a wyłonił się z niej pół roku później jako posiwiały, jękający się szkielet. Nie chciał powiedzieć, co się z nim działo, a w oczach miał coś takiego, kiedy nalegaliśmy... jakby wolałby umrzeć niż o tym mówić.

Ubrałem się więc pospiesznie i wybiegłem na rozjaśniające się już ulice, żeby odebrać każdy dług i przysługę, które sobie przypomniałem. Kiedy tego nie wystarczyło, zastawiłem wszystko, co miało jakąś wartość, póki mój pokój nie zrobił się goły jak panna młoda w weselną noc. Zachowałem tylko dwa przedmioty mające jakąś wartość – sztylet dla obrony i najlepsze ubranie dla ułudy. (Trochę zadzierania nosa i parę złotych guzików otworzą większość drzwi w Londynie). Moi wierzyciele zażądali połowy długu jako dowodu, że w odpowiednim czasie zobaczą resztę. Kiedy słońce zaszło, podliczyłem to, co udało mi się zebrać: dwie gwinee i przygarść pensów. Ledwie ćwierć sumy, której potrzebowałem.

Właśnie wtedy byłem zmuszony zrobić to, czego unikałem przez cały dzień – zwróciłem się do Charlesa po pomoc. Byliśmy sobie bliscy jak bracia i w szkole, i w Oksfordzie, ale przez ostatnie parę lat nasza przyjaźń osłabła. Mój stary kompan w psotach stał się wielebnym Charlesem Buckleyem, układnym, trzeźwym dżentelmenem, który prowadził popołudniowe nauki dla zachwyconych starszych dam w St. George's na Hanover Square. Wszystko było dobrze i pięknie, póki nie zaczął pouczeń na temat mojego zachowania. Nie byłem zachwyconą starszą damą. Nie spotykałem się z nim przez parę miesięcy.

Charles mieszkał u swojego patrona, sir Philipa Meadowsa w wielkim domu w pobliżu St. James' Square. Było to niedaleko mojego mieszkania, ale po Picadilly szedłem powolnym i ciężkim krokiem. Nie mogłem znieść myśli, że obciążę go moimi

kłopotami, a co gorsza – wiedziałem, że przebaczy mi to w jednej chwili. Już zaczynałem się wstydzić za siebie samego – niewygodne uczucie.

Na szczęście, kiedy wyjaśniłem Charlesowi, w jakich opałach finansowych się znalazłem, tak mocno mnie zbeształ, że zupełnie zapomniałem o wstydzie i skląłem go, bo taki był z niego cholerny zarozumialec.

– Wielkie nieba, daj mi nakaz – parsknął i zaczął czytać. Chrząknął ze zdumienia. – To jest na Marshalsea. Musisz wiedzieć, że sir Philip jest marszałkiem dworu.

Muszę? Ściągnąłem brwi. Już miałem puścić mimo uszu słowa Charlesa o jego znakomitym patronie i jego rodzinie, ale wspomniał o dwóch najstarszych córkach sir Philipa. To zawsze mnie pobudza.

– Jest właścicielem więzienia? – zgadywałem.

– Właścicielem jest król – odpowiedział w roztargnieniu Charles, czytając dalej. – Sir Philip zarządza nim w jego imieniu. To znaczy, najmuje nadzorcę... mój Boże, Tom – dwadzieścia funtów? Jesteś winien tym ludziom dwadzieścia funtów? To więcej niż ja zarabiam przez pół roku. – Przyglądał się nakazowi, jakby miał nadzieję, że cyfry zmienią się w mniejszą sumę, jeśli będzie się w nie wystarczająco uporczywie wpatrywał.

– W Londynie drogo się mieszka.

Pokazał na złote guziki przy mojej kamizelce.

– Niekoniecznie.

Kolejne nauki.

– Doskonale. – Wyrwałem mu nakaz z ręki i wepchnąłem do kieszeni. – Obiecuję, że od tej chwili będę się ubierał w brązowe pończochy i bure barchanowe spodniki. Pomożesz mi?

Charles roześmiał się wbrew sobie.

– Oczywiście, że ci pomogę. – Wyciągnął żelazne pudełko z górnej półki, otworzył je kluczem i wysypał mały stosik monet. – Wystarczy?

Szybko policzyłem. Trochę mniej niż cztery funty. Gdybym nawet wziął wszystko, do ostatniego pensa, nie uratowałyby mnie to przed więzieniem.

– Mogę zebrać więcej – powiedział z niepokojem Charles. Rzucił ukradkowe spojrzenie na swoje rzeczy i zmrużył oczy, oceniając ich wartość. – To może zająć trochę czasu.

Ano właśnie – tak to wygląda. Teraz poczułem się zawstydzony.

– Pożyczę tylko to i nic więcej – oświadczyłem tonem męczennika. – Zwrócę wszystko. Masz moje słowo, Charles. Mam nadzieję, że do końca wieczoru.

Aż tak bardzo mi się nie poszczęściło. Przez pięć bitych godzin przy stoliku w szulerni przegrywałem i wygrywałem, wygrywałem i przegrywałem i ani razu nie udało mi się dojść do dziesięciu funtów, których żądali moi wierzyciele. Charles – nalegał, że będzie mi towarzyszył – krążył w pobliżu albo siedział w kącie, obgryzając

paznokcie; to wyszedł z pokoju, to wrócił i znowu wyszedł. Zrobiło się późno, przegrałem sześć razy z rządu i zostało mi trochę ponad pięć funtów – mniej niż miałem, kiedy przyszedłem. Ale teraz grałem w faraona i w ostatniej grze stawiałem na jedną kartę naraz. Jeśli postawię na właściwą ostatnią kartę, podwoję wygraną.

Ale jeśli wybiorę złą kartę... stracę wszystko.

Charles stanął za moimi plecami i szepnął mi do ucha:

– Tom, na litość boską, chodź stąd. – Sięgnął po pięć funtów i zaczął je zgarniać ze stolika. – W więzieniu będzie ci potrzebny każdy pens.

Powstrzymałem jego rękę, przesunąłem monety po stole.

– Ostatnie rozdanie. Pięć funtów na królową. Niech ją Bóg błogosławi.

Rozdający uśmiechnął się. Charles zasłonił twarz.

– Wszystko stracisz – jęknął.

– Albo podwoję – powiedziałem. – Miej wiarę, panie Buckley.

Inni gracze obstawiali stawki. Rozdający dotknął palcem talii i wyrzucił dwie karty. Serce tłukło mi się w piersi. Mój Boże, jak ja to uwielbiałem – wstrząsające uczucie nadziei i strachu, związanych ze sobą w tej jednej, jedynej chwili. Czekałem na objawienie, dobre albo złe. Rozdający odwrócił pierwszą, przegrywającą kartę. Hazardzista siedzący obok mnie zaklął po cichu.

A teraz karta wygrywająca. Wstrzymałem oddech. Rozdający odwrócił kartę na stole.

Królowa karo.

Wypuściłem powietrze, potem roześmiałem się z ulgą. Byłem uratowany.

Betty wróciła z kawą, a za nią szła nasza dobra gospodyni, Moll King, we własnej osobie, niosąc małą czarnekę ponczu. Szyld wyrzeźbiony nad drzwiami głosił, że to kawiarnia Toma Kinga, ale prowadziła ją Moll. Dostarczała dziewczynom, zajmowała się paserstwem, sprzedawała tajemnice, a nawet – raz na jakiś czas – nalewała kawę.

Odprawiła Betty machnięciem ręki, potem usadowiła się blisko mnie na ławie, pocałowała mnie w policzek, a jej złodziejskie palce przejechały w górę mojego biodra. Charles, który siedział po drugiej stronie stołu, patrzył z otwartymi ustami. Z szeroką, kwadratową twarzą, długim nosem i ziemistą cerą Moll nie była piękną, a przy trzydziestce linia jej policzków zaczęła mięknąć i obwisać. Ale była bystra i miała mądre, ciemne oczy, które w ułamku sekundy potrafiły przejrzeć człowieka. Kochałem ją – kiedy mogłem sobie na to pozwolić.

– Słyszałam, że dziś wieczór wygrałeś w karty – szepnęła. – Pozwól, że pomogę ci to wydać...

Kiedy indziej zgodziłbym się, ale nie tego wieczoru. Potrzebowałem pieniędzy z tej kieski. Odsunąłem się z pewną niechęcią. W mgnieniu oka dłoń Moll znów znalazła się na stole.

– A ten, kto to taki? – zapytała, wskazując drugą stronę stołu.



– To – powiedziałem z teatralnym gestem – jest wielebny Charles Buckley.

– Zaszczycona – powiedziała Moll, przyglądając się dobrze skrojonemu czarnemu płaszczowi i świeżemu białemu fularowi pastora. Ale ma puste kieszenie – mogłem jej to powiedzieć. – Tom często o panu mówi.

Charles, zaskoczony, opuścił filiżankę z kawą.

– Doprawdy? – uśmiechnął się do mnie. – A co mówi?

Moll naląła sobie szklankę ponczu.

– Mówi: Bogu dzięki, że tu nie ma Charlesa i nie widzi, co wyprawiam. – Uniosła szklankę i trąciła się ze mną.

Kawiarnia była dziś wieczór pełna i rozkrzyczana. Jak co dzień. „Walenie, rżnięcie, przepyszna kawa” – tak opisywała to Moll, jak dumny kupiec wyliczający swoje towary. To, co w większości kafejek działo się po ciemnych kątach, tutaj odbywało się na widoku: knuto spiski, zwijano kiesy, rozpinano portki. Bóg wie, co działo się w ciemnych kątach u Moll – bo co jeszcze zostało? Wkrótce mężczyźni powloką się do domu albo pójdą na drugą stronę placu do dyskretnych zamtuzów, jeśli zachce im się towarzystwa. Dziewczyny wrócą do pracy – w wynajętym pokoju, jeśli im się poszczęściło, albo na tyłach, w ciemnych, śmierdzących uliczkach Strandu, jeśli nie.

– Tom – powiedział po cichu Charles, kiedy Moll wyciągała fajkę z kieszeni. – Powinniśmy iść.

Miał rację. Siedzieć tutaj z dziesięcioma funtami w kieszeni to nierozwaga.

– Najpierw powinniśmy dokończyć poncz. – Zostało jeszcze pół czary, a był już najwyższy czas, żebyśmy nauczyli się nie szastać pieniędzmi.

Charles wstał i zdjął kapelusz z haka na ścianie.

– Cóż, ja muszę iść. Sir Philip zamyka dom o północy.

Moll uśmiechnęła się do niego, zapalając fajkę.

– Och, tu są ludzie, którzy dadzą sobie radę z pańskimi zamkami, sir...

– Dziękuję, Charles – przerwałem pospiesznie. Wstałem i schwyciłem go za rękę. – Oddam pieniądze, które jestem ci winien. Przysięgam.

Położył mi dłoń na ramieniu i głęboko zajrzał w oczy.

– Tom, Bóg dał ci znak. Dziś uratował cię przed więzieniem. Masz szansę, żeby zacząć życie na nowo. Jutro rano przyjdź do mnie do domu. Porozmawiam z sir Philipem, zobaczymy, czy znajdzie się dla ciebie stanowisko...

– Jutro.

Uśmiechnął się do mnie, potem uklonił się Moll i wyszedł. Patrzyłem, jak lawiruje między krzesłami i stołami i poczułem nagłą ochotę, żeby wyjść, tak jak prosił. Przez całe życie Charles dawał mi dobre rady. Z jakichś powodów, których nie potrafię zgłębić, nigdy z nich nie korzystałem.

– Jutro – powiedziała Molly.



W roztargnieniu ściągnąłem brwi, patrząc na nią.

– Z tobą, Tom, zawsze jest jutro. – Przypatrywała mi się uważnie, podbródek oparła na dłoni. Byłem jednym z jej ulubieńców, wiedziałem o tym. Byłem chyba dość przystojny i hojny, kiedy miałem fundusze. A kiedy nie miałem, i tak mogłem zebrać mnóstwo informacji przy stoliku w szulerni, siedząc między lordami, złodziejami i politykami. Głównie próżne plotki, ale Moll wiedziała, jak je przesiać, żeby znaleźć złoto. – Cieszę się, że uniknąłeś więzienia – powiedziała. – Przede wszystkim Marshalsea. Nadzorca jest potworem...

Rozległ się głośny trzask, potem jeszcze głośniejsze wiwaty przy sąsiedniej ławie. Poleciała wielka czara, roztrzaskując się na sto kawałków i rozlewając po podłodze poncz w czerwoną lepka kałużę. Banda czeladników w poplamionych, zniszczonych pończochach krzyczała na jedną z dziewczyn, że rozbiła czarę.

– Ty głupia dziwko, zapłacisz za to – zaklął któryś z nich, łapiąc ją za włosy.

– Panowie! – Moll wstała. Bójki zdarzały się tu prawie co wieczór, ale nigdy nie trwały długo. Moll miała ludzi, których mogła wezwać, a także niebezpieczną, długą klingę schowaną pod spódnicami. Kiedyś zaciąłem się o nią w dłoń, sięgając po coś miększego. Czelnicy ukłonili się, przeprosili i zamówili kolejną czarę.

– Nie możesz pracować dla łotra takiego jak sir Philip – oświadczyła Moll, siadając. Zaciągnęła się głęboko fajką. – Jutro przyjdź na spotkanie ze mną. Znajdę ci zajęcie.

– Co masz na myśli?

Moll miała mnóstwo propozycji. Większość takich, za które wygnano by mnie z kraju albo powieszono. Ale muszę przyznać, że za długo już się obijałem, żyjąc głównie z uroku osobistego i szczęścia. Może powinienem zacząć pracować dla Moll. Mimo wszystkich kłopotów, tego dnia zabawiłem się, mając cel w życiu. Chociaż ten jeden raz. Życie albo śmierć – zależne od rozdania kart; stawka nie do odparcia dla hazardzisty.

– Pomyślę o tym jutro – powiedziałem. – Przy nowym królu będą nowe okazje, nowi patroni... Myślałem, że może wypróbuję rękę w pisaniu.

Patrzyła na mnie z niepokojem.

– Nie ma powodów do paniki, kochany.

Skończyłem poncz i wstałem, żeby wyjść. Moll poszła za mną, rzucając wypaloną fajkę na stół. Odbiła się od blatu i spadła z klekotem na podłogę.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedziała Moll i oboje się roześmieliśmy. W Covent Garden nie było niczego świeżego, zwłaszcza o tak późnej godzinie.

W drzwiach oparła się plecami o framugę i popatrzyła przez plac, królowa oceniająca swoje myśliwskie tereny. Patrząc na Moll, pomyślałem, że jest w niej jakaś alchemia. Jej kawiarnia to przecież zrujnowana rudera, ale kiedy było się w środku, a

Moll wodziła rej, wydawało się, że to centrum świata.

Spojrzała w niebo.

– Ciemno jak u diabła w dupie. Będzie ci potrzebny chłopiec-przewodnik. – Gwizdnęła ostro i chude, obdarte stworzenie wybiegło z cienia. Ciemne loki wysypywały mu się spod małego, obszarpanego piroga. Zatrzymał się z poślizgiem przed nami, trzymając w dłoni niezapaloną pochodnię.

– Sam jesteś, urwisie? – zapytała Moll. Złapała go za podbródek, żeby mu się lepiej przyjrzeć. – Nie znam cię, co?

Niektórzy chłopcy wyjąkaliby historię swojego życia pod tak onieśmiałającym spojrzeniem. Ten, nieulekły, wytrzymał jej wzrok.

– Czekaają na Drury Lane. Gra prawie skończona. Dokąd?

– Dokąd, pani King – poprawiła go ostro Moll, a potem uśmiechnęła się. Sama biegała po ulicach jako dziewczyna. – Poświeć temu dżentelmenowi do Greek Street.

Kazała odprowadzić mnie do domu. Pod wpływem chwili schwyciłem ją za ramię i przycisnąłem usta do jej ust. Poczulem tytoń, brandy i nutkę słodkich pomarańczy. Zachichotała i odwzajemniła pocałunek, aż krew zagrała mi w żyłach. Dla czegoś takiego zostałem tutaj, nawet ze stu nakazami aresztowania. Pamiętałem, że po raz ostatni całowaliśmy się w wieczór, kiedy się dowiedzieliśmy, że umarł król. Trzy miesiące temu. Myślałem, że świat się zmieni. Oczywiście, nie zmienił się. Ręka Moll zsunęła się niżej.

W okolicy mojej sakiewki.

Złapałem ją za nadgarstek i odciągnąłem dłoń. Uśmiechnęła się leniwie.

– Tylko sprawdzałam. Nie okradłabym kogoś z moich, prawda, wielebny? – Zniknęła w środku, zanim zdołałem odpowiedzieć. Goniec pocierał usta, żeby ukryć uśmiech. Nachmurzyłem się i rzuciłem mu pensa.

– Zapal pochodnię.

Zrobił, co kazałem, przytykając ją do latarni płonącej przy drzwiach. Kiedy smoła zajęła się płomieniem, oświetliła jego twarz miękkim pomarańczowym blaskiem.

– Dlaczego nazwała pana wielebny? – zapytał. Zmarszczył nos. – Pan z tych w czarnych ubraniach, czy co?

Czy co. Wielebny to było przezwisko, którym Moll lubiła mnie drażnić, znając moją historię. Wskazałem na niebieską, jedwabną kamizelkę, cyrkonowy kabat i spodniki.

– Czy wyglądam na kogoś w czarnym ubraniu?

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że uwierzy każdemu i we wszystko. Znużony gest nie pasował do młodych ramion. Tak się dzieje z chłopcami, którzy w środku nocy prowadzą rozpustników i nierządnicę z powrotem do ich łóżek. Wymiała to im niewinność do czysta z głowy. Cóż, w tym mieście były gorsze sposoby na zarobienie pensa. Odwrócił się i ruszył w stronę Soho, wysoko trzymając płonąca

pochodnię. Włożyłem na głowę piróg i pospieszyłem za nim, statek płynący za gwiazdą polarną do domu.

Zamyśliłem się z niepokojem. Czy pod modnymi łaszczkami nadal wyglądam na duchownego? Obracałem tę nieprzyjemną myśl w głowie. Odkąd byłem chłopcem – młodszym od tego małego chochlika, biegnącego przede mną – mówiono mi, że moim przeznaczeniem jest dołączyć do Kościoła, jak mój ojciec, wielebny doktor Thomas Hawkins. (Właśnie. Nadał mi swoje imię, żebym pewnego dnia łatwiej mógł stać się nim). Sprawy nie ułożyły się według planu. W głębi duszy zawsze wiedziałem, że nie nadaję się na duchownego. Ale też nie miałem pojęcia, na kogo się nadaję. Widzieliście kiedy dziecko, które odmawia jedzenia? Odwraca główkę – nie, nie, nie. Tak właśnie myślałem o duchownym stanie. Nie miało znaczenia, jak często ojciec przytykał łyżkę do moich warg, jak często próbował siłą wepchnąć mi do gardła obowiązek, honor i przyzwoitość. Nie, nie, nie.

Byłem tak pogrążony w myślach, że prawie nie zauważyłem, jak przeszliśmy Long Acre. Ulice były ciche – za późno dla jednych, za wcześnie dla innych. Skręciliśmy raz, potem jeszcze parę razy w ciemne, wąskie uliczki. Stare drewniane domy opierały się znużone jeden o drugi, wysunięte górne piętra prawie dotykały się nad ulicą. Jeden zupełnie się zawalił. Większą część drewna wyszabrowano, została tylko gnijąca rama, jak szkielet dżgający nocne niebo.

Ostry wiatr powiał wzdłuż uliczki i szyld rzeźnika zaskrzypiał na zawiasach. Zatrzymałem się wystraszony, potem cicho zakląłem. Nie rozpoznawałem uliczki. W powietrzu czuć było terpentynę – ostry posmak pobliskiej destylatorni dżinu. W oddali rozległ się wybuch pijackiego śmiechu. St Giles. Doszliśmy do St Giles.

Odwróciłem się błyskawicznie, w piersi rozgorzała mi panika. Zamiast pójść na zachód, do Soho, jakoś zabłądziłszy do najbardziej nikczemnego slumsu Londynu. Tylko głupiec chodzi tędy samotnie nocą. Wyciągnąłem sztylet zza pasa; dzięki Bogu, miałem na tyle zdrowego rozsądku, żeby go nie zastawić.

Goniec wybiegł naprzód, ale teraz nagle się zatrzymał i rzucił mi zaciekawione spojrzenie.

– Jak masz na imię, chłopcze? – zawołałem.

Przyłożył zwiniętą dłoń do pochodni, chroniąc ją przed wiatrem.

– Sam.

– Jesteś nocnym bandytą, Sam? – Moll przestrzegła mnie przed nimi, kiedy zawitałem do miasta – gońcy, którzy prowadzą swoje ofiary z dala od bezpiecznych ulic, żeby zaatakować ich w ciemnym zakątku.

Uśmiechnął się.

– Czy wyglądam na takiego? – zrobił straszną minę.

Mały drań. Poszedłem w jego stronę, kroki głośno dźwięczały mi w uszach, czułem tysiacy spojrzeń na plecach.

– Musimy stąd odejść. Natychmiast.

Byłem zaledwie pięć kroków od niego. Stał zupełnie bez ruchu, w milczeniu; kamienny cherub na grobowcu. A potem zerknął za moje ramię – szybkie, ukradkowe spojrzenie.

Lekkie kroki za mną. Za blisko – znacznie za blisko. Ramię wokół mojej szyi. Ktoś wyrwał mi sztylet z ręki i przyłożył do szyi.

– Nie ruszaj się.

Mój umysł hazardzisty wirował i gnał. Mam walczyć? Uciekać?

Ostrze wbiło się głębiej.

– Daj sakiewkę.

Sam wyżej podniósł pochodnię, oświetlając scenę, jakbyśmy byli w teatrze.

Musiałem zrobić, co mi kazał. Dać mu sakiewkę. Palce ześlizgnęły mi się do skórzanej torby przywiązanej poniżej talii.

Nie.

Zanim zorientowałem się, co robię, sięgnąłem wyżej i odepchnąłem jego ramię od mojego gardła. Okręciłem się, żeby stanąć z nim twarzą w twarz, powoli się cofałem. Niech mnie dźgnie, skoro musi. Ale będę mu patrzył w oczy, kiedy będzie to robił.

Ostrożnie zaczęliśmy krążyć wokół siebie. Kapelusz miał nisko opuszczony, nos i usta obwiązał czarną szmatą. Widać było tylko oczy, ciemne i nieruchome.

Zrobiłem jeszcze jeden krok do tyłu, wzrok utkwilem w długim, ostrym sztylecie w jego prawej dłoni. W moim własnym sztylecie, do diabła, naostrzonym moją własną ręką. Jedno szybkie cięcie wystarczyłoby, żeby mnie rozpruć.

– Daj spokój, panie, nie bądź głupcem – powiedział spokojnym, rozsądnym tonem. A potem, cicho: – Nie jestem sam.

Wolną rękę wyciągnął po sakiewkę. Krew dudniła mi w uszach.

Pobiegłem.

Świat zakręcił się, kiedy przebiegałem obok chłopca, który teraz uśmiechał się, zachwycony akcją i swoim w niej udziałem. Uliczka zaczęła się jeszcze bardziej zwężać, z przodu zamajaczył wysoki, ceglany mur. Było zbyt ciemno, żeby stwierdzić, czy jest inna droga ucieczki. Musiałbym się wspinać. Wydłużyłem krok, gotując się do skoku na mur, kiedy ciemna postać wyłoniła się z cienia i przewróciła mnie na ziemię.

Przez chwilę leżałem oszołomiony. Zaczął gmerać w kieszeniach, szukać sakiewki. Z głośnym przekleństwem odepchnąłem go od siebie, kopałem, młóciłem pięściami, żeby się uwolnić i znowu stanąć na nogach, ale teraz przybyli nowi, spadali z dachów i balkonów, miękko lądowali na ziemi, nawoływali się po cichu. Macałem w ciemności, szukając cegły albo kawałka drewna, żeby się bronić, ale wiedziałem, co się zdarzy. Zaryzykowałem i przegrałem.

Czyjaś ręka złapała mnie za ramię; odwróciłem się gorączkowo. Potem jeszcze jedna i jeszcze jedna, szarpały, łapały, ścigały mnie w dół, jak diabły ciągnące duszę

do piekła. Walczyłem z nimi, przerażony, ale było ich zbyt wielu. Znowu ciężko upadłem na ziemię.

– Trzymajcie go tam, chłopcy! – krzyknął ich herszt.

Podciągnęli mnie na kolana i wykręcili mi ramiona za plecy, kiedy do nas podchodził. Przechodząc obok gońca, poczochnął go za włosy i jakoś się domyśliłem – dziwna klarowność myśli, która nadarza się w takiej chwili – że to ojciec tego chłopca. I pomyślałem, że w tym geście jest więcej uczucia i dumy, niż mój ojciec okazał mi przez całe życie.

Podszedł bliżej, ukucnął przede mną. Ciemne oczy przyglądały się mojej twarzy.

– Mówiłem, żebyś nie uciekał – powiedział; głos miał przytłumiony tkaniną szala.

Patrzyłem na niego z wściekłością.

Dał znak jednemu ze swoich ludzi.

– Poczekaj...

Za późno. Z tyłu głowy poczułem mocne uderzenie. Świat rozbłysnął na białą i zniknął.

## Rozdział 2

**P**rzez chwilę myślałem, że jestem w domu, w mojej małej mansardzie na Greek Street. Potem spróbowałem się poruszyć. Ból zahuczał mi w głowie, o mały włos znów nie zemdląłem.

Powoli, Tom. Ostrożnie.

Usiadłem, tym razem pomalutku. Świat zawirował wokół mnie, potem zatrzymał się na tyle, żebym podniósł drżącą dłoń i dotknął potylicy. Wielki, bolesny guz. Ciepły, kleisty dotyk – krew na palcach. Wspomnienia błyskały jak iskry z popielnika: łapanie za ręce; śmiech i krzyki; nacisk mojego własnego sztyletu na gardle.

Sięgnąłem po sakiewkę, chociaż wiedziałem, co znajdę. Odcięta. Zniknęła.

Żołądek mi się skurczył. Przegrałem. Byłem zrujnowany. Położyłem się i zamknąłem oczy. Jaki miałem teraz pożytek z tego, że się broniłem? Niech duch wycieknie z moich kości na zimną ulicę, uleci z brudem i śmieciem i zostawi ciało w spokoju.

...Nie, nie, nie stanę się strawą dla szcurków w St Giles. Miałem szczęście, że przeżyłem. Nie czułem się dobrze. Nie czułem się żywy, prawdę mówiąc. Ale – niech diabli zaciągną tych rzezimieszków, co do jednego, do najgłębszych czeluści piekieł – stanę na nogach.

Albo przynajmniej na kolanach.

Leżałem w wilgotnym, pustym zaułku, śmierdzącym uryną, wymiocinami i innymi płynami, jak wszystkie takie uliczki po wiek wieków będą śmierdzieć. Ziemia zaśmiecona była zbitymi butelkami po dżinie, zakrwawionymi szmatami, wypalonymi fajkami. Musieli mnie tu zaciągnąć przez śmietnisko, żeby lepiej mnie oskubać, a kiedy pracowali, chłopiec wysoko i z dumą trzymał pochodnię. Surdut zniknął, perukę i piróg zerwali mi z głowy podczas szamotaniny. Pantalony miałem podarte; kolana i pięści podrapane do krwi. Odcięli złote guziki z kamizelki, opróżnili wszystkie kieszenie. Podciągnąłem się na kolana, pojękując cicho z wysiłku. Nie mogłem ryzykować, że ktoś mnie usłyszy. W St Giles były bandy, które dżentelmenowi wyrządziłyby coś znacznie gorszego niż tylko pobicie i rabunek, jeśli byłby na tyle głupi, żeby się im napatoczyć. Nadal groziło mi niebezpieczeństwo.

Poczłogałem się w tył, w stronę ulicy, cal po calu wymacując na oślep drogę w ciemności. Palce kurczyły mi się, kiedy dotykały potłuczonego szkła albo ślizgały na wstrętnym śmierdzącym błocie. Kiedy dotarłem do ulicy, upadłem w cieniu najbliższego ganku; plecy przycisnąłem mocno do ściany, dyszałem z wyczerpania. Każdy oddech wywoływał bolesne drgania. Przejechałem palcami pod koszulą, dotykałem wszystkich żeber. Obite, ale nie połamane.

Księżyc wychynał zza chmury i świat w jego promieniach zrobił się srebrzysty. Spojrzałem w górę, na labirynt rozpadających się galeryjek i balkonów nad moją głową, desek przełożonych z dachu na dach, drabin i lin łączących jedną marną rudę z drugą, sąsiednią. Tajne miasto na dachach, zaplanowane przez złodziei. Sami o sobie mówili: kruki, a w St Giles żyło największe ich stado. Czy wrócili do swoich gniazd, śmiejąc się do siebie, kiedy tak wlokłem się po brudnych ulicach, poobijany i zakrwawiony? Niespokojnym wzrokiem przeszukałem każdy dach, każdy cień. Nie – na pewno już dawno zniknęli. Są zajęci opróżnianiem mojej sakiewki w najbliższym burdelu.

Chwiejnie stanąłem, prawie z ulgą przywitałem ból dżgający mnie w potylicę. Ból trzymał mnie na nogach, pozwalał zachować czujność. Przycisnąłem się plecami do najbliższej ściany i powoli zacząłem się przesuwając wzdłuż ulicy.

„Tomie Hawkins, masz diabelne szczęście”. Czy to prawda, Charlesie? Bez pieniędzy nie mogłem wrócić do domu. Benjamin Fletcher, mój gospodarz, w mgnieniu oka kazałby mnie zakuć w kajdany. Nie ma sensu prosić przyjaciół o pomoc – wykorzystałem każdą przysługę, jaka mi została. Charles nie miał już pieniędzy, żeby mi pożyczyć – wziąłem mu ostatniego pensa. A rodzina... nawet nie chciałem o tym myśleć.

Kiedy dotarłem do końca uliczki, usłyszałem przed sobą wyraźny syk gorącego moczu pryskającego w błoto. Skręciłem za róg i zobaczyłem starą nierządnicę kucającą pośrodku ulicy. Oświetlał ją księżyc, a wokół jej stóp rozrastała się mała kałuża. Ulica była cicha i pusta – w tamtej chwili wydało mi się, że jesteśmy jedynymi żyjącymi ludźmi w mieście, Boże wspomóż nas. Kiedy mnie zobaczyła, zadarła wyżej kieckę, cienki strumyczek moczu nadal spływał jej po nogach.

– Ćwierć pensa za ruchanie – powiedziała, chwiejąc się trochę na nogach.

Ćwierć pensa za złapanie francy? Niezły interes – lepszym dziwkom mężczyźni płacili znacznie więcej za ten przywilej. Pokręciłem głową i skrzywiłem się, kiedy poczułem ból w czaszce.

– Którędy do Garden?

Przyjrzała się moim podartym łachom, plamom krwi na koszuli... wyciągnęła rękę.

– Pensa i ci pokażę.

– Napadli na mnie. Zabrali mi sakiewkę. – Szeroko rozłożyłem ręce. – Pani, miej litość.

– Litość? – zachichotała i podtarła się brudną spódnicą. – Nie mogę sobie na to pozwolić.

Odeszła chwiejnym krokiem w stronę ciemnego serca St Giles.

W końcu sam znalazłem drogę do Covent Garden. Trzymałem się w cieniu, kryłem się na gankach, kiedy przechodził jakiś człowiek. Może ktoś by mi pomógł, gdybym ośmielił się o to poprosić. Słyszysz się o dobrych Samarytanach, nawet w Londynie. Ale

nie mogłem ryzykować. Samotnie kulałem ulicami, na pewno połowę czasu strawiłem na chodzeniu w kółko. Czasem czułem wzrok na swoich plecach i przysięgam, że słyszałem za sobą lekkie kroki – ale kiedy odwracałem się i patrzyłem w ciemność, nikogo tam nie było. „Śledźcie mnie, skoro chcecie, myślałem. Nic już nie zostało do zabrania”.

Wreszcie wtoczyłem się na Garden – dodające otuchy brukowce pod stopami; elegancka, solidna sylweta kościoła św. Pawła i blask lamp płonących nawet o tej porze w zamtuzach, ostre krzyki fałszywej namiętności wylewające się z ich okien. Na placu kupcy rozstawiali kramy przy świetle pochodni, krzyczeli, śmiali się do siebie podczas pracy. Stara kobieta w czerwonej pelerynie siedziała skulona na stopniach Shakespeare Tavern, sprzedając gorący ryż z mlekiem i rosół z kaszą perlową. Potykając się przeszedłem obok wszystkich, czułem się jak stary wiarus wracający z wojny, o której nikt nie wiedział. Nocny stróż podniósł latarnię, a ja się schowałem – byłem obszarpany, brudny, mógłbyście mnie zamknąć, podejrzewając, że coś... cokolwiek... a potem dowiedzieć się, że jest na mnie nakaz aresztowania z załączonym tłustym wynagrodzeniem.

Kawiarnia Moll była otwarta – jak zwykle – ale pusta, nie licząc Betty, omiatającej ostrożnie starego adwokata, który spity jak bela leżał pod stołem. Ledwie na mnie spojrzała, pobiegła i sprowadziła Moll. Spała w sąsiedniej przybudówce – może z mężem, a może nie. Zwaliłem się na krzesło przy kominku, z głową w dłoniach, i zacząłem się trząść. Ulga, że jestem bezpieczny. Przerazenie, że nie jestem bezpieczny. Gdy tylko słońce wzejdzie, moi wierzyciele ogłoszą alarm. Ile czasu minie, zanim pedel sądowy znajdzie mnie tutaj, w mojej ulubionej speluncie? Musiałem uciekać – ale byłem tak poobijany i wyczerpany, że ledwie mogłem myśleć, nie mówiąc już o poruszaniu się.

Moll jeszcze zapinała suknię, kiedy przyszła.

– Cóż tam, Tomie? Co to wszystko znaczy? – Kiedy zobaczyła, w jakim jestem stanie, ze zdumienia zakłęła cicho. Pchnęła Betty w stronę drzwi. – Gorąca woda, świeże ubranie. – Usiadła obok mnie, dotknęła palcami zadrapania na moim policzku. – Co się stało?

– Zabrali mi sakiewkę, Moll. Wszystko zabrali.

Moll doszła do wniosku, że można zrobić tylko jedno. Muszę natychmiast wyjechać z miasta.

– Przed świtem uciekaj do Mint.

Gorzko westchnąłem. Kilka godzin wcześniej udało mi się odwrócić zły los. Teraz jedyną moją nadzieją była ucieczka do starego azylu dla dłużników po drugiej stronie rzeki. Ciasny labirynt Mint był tak przepełniony przemocą, nawiedzany tyłu chorobami, że komornicy odmawiali wejścia w jego granice. Jeden próbował, kilka tygodni temu. Zbili go do krwi i wepchnęli mu głowę do gęstej, śmierdzącej rzeki brudów płynącej



ulicami. Umarł parę dni później.

– Lepsze Mint niż Marshalsea – upierała się Moll, ocierając mi krew z karku wilgotną szmatką. – Będiesz mógł stamtąd wyjść w niedzielę. Nie aresztują cię w dzień Pański. – Złożyła dłonie w ironicznym geście pobożności.

– A potem? Co mam zrobić w poniedziałek, Moll?

– W poniedziałek? – Mocniej zaczęła trzeć zaschniętą krew, aż sapnąłem z bólu. – Od kiedy to snujesz tak dalekosiężne plany? – Potem przytknęła mi usta do ucha. – Tom, moja propozycja jest nadal aktualna. Przyjdź do mnie do pracy. Potrafię wykorzystać chłopca z twoimi talentami... – I zaczęła opowieść o nowym przedsięwzięciu, wymagającym podróży do Francji. Nie pamiętam teraz szczegółów, a i wtedy ledwie je rozumiałem. W głowie mi pulsowało i trudno mi było za nią nadążyć. Pamiętam, że wydawało się to niebezpieczne i ryzykanckie. I kuszące.

Rozwazałem, jak postąpić, kiedy Moll wypłukała zakrwawioną szmatkę i mocnym zamachem wylała wodę z miski. Mogłem wstać, przyjąć mój los z honorem, jak dżentelmen, i marnie skończyć w więzieniu. Albo uciec do Mint i na zawsze wypaść z dobrego towarzystwa. Moll łatwo było doradzać to drugie. Urodziła się w rynsztoku i większą część życia spędziła, w ten czy inny sposób pracując dla zysku na ulicach. Wiedziała, kiedy i dokąd uciekać. Uniknęła więzienia i banicji, wyzywano ją od dziwek, od złodziejek i gorzej, ale jakoś zawsze udawało się jej wrócić, zuchwalszej i odważniejszej niż przedtem.

Ze mną było inaczej. Jako najstarszy syn dżentelmena z Suffolk miałem życie od urodzenia ułożone na starej, prostej drodze: zostać duchownym, jak ojciec, a z czasem odziedziczyć jego posiadłość. Przed trzema laty – po nieszczęsnym wypadku w oksfordzkim burdelu – porzuciłem tę drogę. Teraz byłem tutaj; pięć lat minęło mi od dwudziestki, bez rodziny, bez perspektyw, bez pieniędzy. Prawda, znałem grekę i łacinę i potrafiłem znośnie zatańczyć gawota, ale z takich rzeczy nie da się wyżyć, nawet w Londynie.

Przeglądałem egzemplarz „Daily Courant” porzucony na stole, z nadzieją, że znajdę jakąś radę, co powinienem zrobić. Pomędzy ogłoszeniami dotyczącymi koni, domów i „niezawodnej kuracji na skorbut”, zauważyłem, że Kompania Mórz Południowych ogłasza trzymiesięczne przedłużenie kredytowania. Kiedy przed siedmiu laty nastąpił krach na giełdzie, niektórym inwestorom udało się spłacić długi w ratach – z procentem, oczywiście. Może pan Fletcher rozważy podobny plan.

Pojawiła się Betty z czystą zmianą odzieży i czarką gorącego ponczu, niech ją Bóg błogosławi. Kamizelkę można było oczyścić i naprawić, ale spodenki i pończochy były tak porwane, że nie nadawały się do pocerowania. Rozebrałem się w ciepłe kominka, krzywiąc się od bólu posiniaczonych żeber. Naciągnąłem świeże pończochy i stare portki koloru tabaki, potem włożyłem pasującą do nich kamizelkę i zakiet. Czysty i ubrany znów poczułem się bardziej sobą – ale kiedy spojrzałem w zmatowiałe lustro

nad kominkiem, wzdrygnąłem się na widok swojego odbicia. Nie wyglądałem na człowieka honoru – jeśli kiedykolwiek byłem do takiego podobny. Wyglądałem na człowieka, który chce uciec.

Zadrzałem. A więc to była teraz moja droga. Więzienie albo życie kryminalisty. Życie, które najprawdopodobniej skończy się na sznurze owiniętym wokół szyi.

– Panie Hawkins – łagodny, cichy głos zza pleców. Odbicie Betty dołączyło w lustrze do mojego. W rękach niosła moje podarte ubranie. Zerknęła w stronę drzwi frontowych, w których Moll wylewała na plac wodę z krwią. – Jest jeszcze jeden sposób – szepnęła.

Odwróciłem się, nadzieja wezbrała mi w piersi.

– Powiedz.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Może pan pójść do domu, sir. Pójść do domu i poprosić ojca o pomoc.

Ramiona mi opadły. Nalałem sobie szklaneczkę ponczu i wypilem jednym haustem.

– Prędzej poprosiłbym diabła.

– O co chodzi? – zapytała ostro Molly, ale Betty umknęła z moimi rzeczami i zostaliśmy sami.

– Tu jest ten łajdak! Aresztować go!

Benjamin Fletcher, mój gospodarz stał w drzwiach, z rękami na kolanach łapał oddech. Musiał przebiec całą drogę od Greek Street Zza niego wyszedł wielki jak wół mężczyzna z ogromną drewnianą pałą w pięści. Nos miał rozplaszczony od ciosów, a od brwi biegła mu długa biała blizna. Zwój łańcuchów zwisał mu z ramienia jak szarfa. Nasze oczy spotkały się, uśmiechnął się, nawet radośnie, jakby przyszedł zaprowadzić mnie do teatru, a nie do więzienia. Opuścił wzrok na przesiąkniętą krwią szmatkę w dłoni Moll.

– Wpadł pan w jakieś kłopoty, sir? – zapytał powolnym, opanowanym głosem człowieka o bardzo szybkich pięściach.

– Bierz go, panie Jakes! – wyrzucił Fletcher, zdarł kapelusz z głowy i zaczął nim wachlować spoconą twarz.

– Panie Fletcher – powiedziałem, rozkładając szeroko ręce w geście przeprosin. – Przysięgam, że miałem pieniądze...

– Żadnych kłamstw więcej, panie Hawkins – krzyknął. Wyciągnął kartkę z kamizelki i rzucił mi ją roztrzęsionymi rękami. – Zrobił pan ze mnie durnia.

Notka była krótka, spisana eleganckim pismem, przypominającym moje własne. Ręka dżentelmena.

*Sir*

*Jest moim Obowiązkiem dobrego Chrześcijanina, zgłosić że wasz lokator, ten podły Pies Hawkins ma plugawej natury stosunki z pańską Żoną i że cały Świat mówi o ich Niesławie. Za pańską łaskawą Cierpliwość i Tolerancję wobec jego Długów,*

*które ma u pana, odpłaca się w ten potworny Sposób, ku własnemu Wstydowi i Rujnacji pańskiej Żony.*

*Przyjaciół*

Pod spodem był prymitywny rysunek przedstawiający mężczyznę z rogami wyrastającymi z czoła – nieomylny znak rogowca.

Skrzywiłem się patrząc na liścik, zupełnie zbity z tropu. Pani Fletcher była chudą, złośliwą kobietą o wrednym usposobieniu i wyglądzie ogolonej fretki. Samo napomknięcie o „stosunkach” nie było warte nawet pogardy, ale Fletcher w to wierzył. To katastrofalne, już koniec – jako mój główny wierzyciel mógł sam okazać łaskę i dać mi więcej czasu na spłacenie długu. Nie był okrutnikiem; i w gruncie rzeczy miał więcej cierpliwości, niż na to zasługiwałem. Ale nade wszystko miał kręćka na tle swojej paskudnej żony. Jego anonimowy „przyjaciel” sprytnie to rozegrał. Musiałem odpowiedzieć na to z wielką ostrożnością.

– Panie Fletcher, jesteśmy ludźmi rozsądnymi, prawda? – Z lekka pomachałem liścikiem. – Przecież musi pan wiedzieć, że to tylko złośliwa plotka! Nie chcę powiedzieć złego słowa o pańskiej dobrej żonie, ale...

Moll zakaszłała za moimi plecami.

– ...ale wolałbym obracać własną siostrę.

Łańcuchy ciążyły mi na piersi, kiedy Jakes prowadził mnie przez Covent Garden w stronę rzeki. Szedłem ze wzrokiem wbitym w ziemię, kajdany ścisnęły mi nadgarstki, dłonie miałem złożone jak do modlitwy. Teraz na nią za późno. Wątpię, żeby było ze mnie szczególne widowisko. Widziałem mnóstwo ludzi prowadzonych przez Soho do Fleet, Marshalsea albo jakiegoś innego śmierdzącego lochu i nie myślałem o nich dłużej niż przez chwilę. Przynajmniej nie miałem żony i dzieci, które szłyby za mną, oplakując swój nieszczęsny los. I to, zdałem sobie sprawę, było najlepsze, co mogłem powiedzieć o sobie w tej chwili.

Przepychaliśmy się przez zatłoczony rynek, obok kramów obładowanych jaskrawymi bukietami kwiatów i dojrzałymi owocami. Wdychałem słodki zapach ziół, pylisty, bogaty aromat korzeni i żałowałem, że nie mogę zostać dłużej, zniknąć w skłębionym tłumie – handlarzy zachwalających krzykiem swoje towary; młodych dziewcząt sprzedających bukietki, chusteczki, cokolwiek, byle nie trafić do burdelu. Bydło beczało, ryczało, parskano i śmierdziało pod niebiosami; aktorzy i żonglerzy, piewcy i ci w lektykach; plotkujące paniusie i twardziele o kamiennych twarzach – tylko pozwólcie mi do was dołączyć, pozwólcie mi wślizgnąć się w tę masę ciał i zniknąć...

Jakes szedł za mną, rękę trzymał mocno na moim ramieniu i kierował się w stronę Southampton Street, do Tamizy.

– Ładny dzień – zauważył i tak ścisnął mnie po przyjacielsku za ramię, że omal nie upadłem. – Szkoda.

Kiedy dotarliśmy do rzeki, tłum przewoźników, ubranych w czerwone albo zielone

kubraki, zaczął wrzeszczeć do nas na schodach Worcester. Krzyczeli „wiosła! wiosła” i „łódki!”. Ich łodzie uderzały twardo jedna o drugą, kiedy walczyli ze sobą, żeby nas zabrać. Jakes wskazał na jednego, ubranego na zielono z herbem lorda burmistrza Londynu, wyszywanym srebrem. Podpłynął w naszą stronę, a reszta buczała i przeklinała jego szczęście. Kiedy dotarł do schodów, zerknął na moje łańcuchy.

– Borough?

– Tak. – Jakes kiwnął głową. – Schody Tulley. Tylko trzy pensy, ani pensa więcej.

– To podwójna jazda pod mostem, panie Jakes – zawołał wiosłarz, ale uśmiechnął się. Schody Tooley były tylko kilka stóp za mostem.

– Biorę was za trzy, sir! – krzyknął ktoś inny ze swojej łodzi.

Nasz wiosłarz odwrócił się do niego.

– Ned, tanio się sprzedajesz... nauczyłeś się tego od swojej matki? – Znowu odwrócił się do nas.

– Cztery pensy.

– Trzy – odpowiedział z uporem Jakes. Wskazał gestem jakieś piętnaście innych łodzi, które mogliśmy wybrać. Nasz człowiek westchnął i machnięciem wezwał nas na pokład. Nieprzekonująco mruzczał o biednej, głodującej żonie i dzieciach.

Jakes popchnął mnie kuksańcem i usadowił swój imponujący kadłub po drugiej stronie łódki, twarzą w stronę południowego brzegu. Grube kolana mocno przycisnął do burt łodzi, ale wyglądał na zadowolonego, przekrzywił głowę, żeby złapać słońce. Przewoźnik siedzący między nami z wzniesionymi wiosłami patrzył z niepokojem, jak łódź chwieje się pod naszą wagą – ale moje łańcuchy zrównoważyły ciężar Jakesa i wkrótce łódź się uspokoiła. Kiedy wypłynęliśmy na rzekę, patrzyłem, jak miasto odsuwa się powoli ode mnie, jak niestała kochanka, która już o mnie zapomniała i zwracała uwagę na jakąś nową, słodką atrakcję.

Jakes pochylił się do przodu i łódź znów zaczęła się chwiać w przód i w tył, woda chlapała wysoko, wlewała się przez burzę.

– Ma pan dużo monet? – zawołał nad ramieniem wiosłarza.

Podniosłem skute dłonie zamiast odpowiedzi.

Przejechał po bliźnie przecinającej mu lewą brew, zastanawiając się nad tym niefortunnym położeniem.

– Hm, lepiej, żeby pan jakieś znalazł, i to szybko, panie Hawkins. Nie ma pan przyjaciół? Rodziny?

Pokręciłem głową. Jakes i wiosłarz wymienili spojrzenia. Żadnych przyjaciół. Żadnych pieniędzy. Mógłbym, na dobrą sprawę, rzucić się przez burzę i zaoszczędzić wszystkim kłopotów. Hm, niech ich obu licha porwie – może nie mam wiele, ale rozum mnie nie opuścił i nie jestem takim niewiniątkiem, na jakie wyglądam.

Przeplłynęliśmy obok Somerset House; był prawie w ruinie, złote dni maskarad i dworskich intryg dawno minęły. Poczulem mocny, ostry zapach końskiego nawozu.

Gwardia Konna zajęła przed paru laty stare stajnie. Tam mieszkaliśmy, póki nie pękła bańka Kompanii Mórz Południowych: domy do połowy zbudowane albo do połowy zrujnowane; pieniądze płynące od ludzi i do ludzi, trudniejsze do powstrzymania niż rtęć.

Przewoźnik wiosłował dalej; pogwizdywał cicho, wiosła gładko wchodziły w wodę. Jakes sięgnął obok niego i poklepał mnie po kolanie, aż podskoczyłem.

– Mogę poszukać innego sposobu, kiedy dotrzemy do Southwark – powiedział, pocierając kciukiem o palec wskazujący niedwuznacznym gestem. – Z zasady tego nie robię.

Zamajaczył nad nami most, okna stojących na nim domów lśniły w porannym słońcu. Kolejka łodzi czekała, żeby ujeździć zmaczone wody pod spodem.

– Panie Jakes, dlaczego chce mi pan pomóc?

Smutek pojawił się w jego osłoniętych ciężkimi powiekami oczach koloru morskiej wody.

– Jesteś podobny do mojego dawnego kapitana.

Rzeka płynęła teraz szybciej, zbliżyliśmy się do wąskich łuków mostu. Musiałem krzyczeć, żeby przebić się przez ryk wody.

– Służył pan w wojsku? – Powinienem to wywnioskować z jego zniszczonej wiatrem i słotą twarzy.

– Dziewięć lat – odkrzyknął i zamilkł, zatopiony we wspomnieniach, potem pokręcił głową. – Kapitan Roberts był dokładnie taki jak pan. Nicpoń i hazardzista. I pijak.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale znów je zamknąłem.

– I wygląda pan też dokładnie jak on. Dziwne. Moglibyście być braćmi.

– Naprawdę? – Edmund, syn mojej macochy, był dla mnie prawie bratem – i obaj byliśmy zadowoleni, że w niczym siebie nie przypominamy.

– Johna trudno było nazwać godnym szacunku – powiedział Jakes, ścigając brwi na to wspomnienie. – Nie zawsze był uczciwy. Ale dla mnie był dobrym przyjacielem. Raz uratował mi życie.

Ze sposobu, w jaki to mówił, poznałem, że Roberts nie żyje.

– Co się z nim stało?

Jakes odwrócił wzrok, spojrzał w dół, na skłębione wody.

– Zabiło go Marshalsea.

Przewoźnik skierował łódź w stronę łuku najbliższego wybrzeża, mocno trzymając wiosła. Przy brzegu ruch był ożywiony, łodzie uderzały o siebie, w powietrzu krążyły krzyki i przekleństwa. A nad tym wszystkim słychać było Tamizę, rwącą pod mostem. Rzeka mogła tu być niebezpieczna, ściśnięta między wąskimi łukami; przewoźnik musiał użyć całej siły, żeby utrzymać łódkę w równowadze. Jedno poślizgnięcie i rozbije się na kawałki. Nie myślałem nawet o tym, jakie miałbym szanse w wodzie – z

dwudziestoma funtami żelaznego łańcucha owiniętego wokół ciała.

– Koroner nazwał to samobójstwem – mówił dalej Jakes, nieświadom dramatu, który rozgrywał się za jego plecami. – Ale to było morderstwo, nie ma co do tego wątpliwości. Na polu walki widziałem lepiej zachowane trupy. W Borough krąży plotka, że jego duch nawiedza więzienie, błaga o sprawiedliwość. – Łódź uniosła się i zawróciła na zbełtanych wodach, kiedy dotarliśmy do przęsła. – Cholernie marne szanse – parsknął, potem nachylił się bliżej. – Wiesz, panie, są tacy, którzy mówią, że w Marshalsea mieszka diabeł. I wybacz mi, sir, nie jestem pewien, czy jesteś gotów na spotkanie z nim.

Chciałem zapytać, o co mu chodzi, ale właśnie wtedy wioślarz skierował nas w prąd wody i z całą mocą runęliśmy pod przęsło, gnając jak kula wystrzelona z pistoletu. Jakes złapał się za burty, a ja mocno przywarłem do ławki. Ryk rzeki odbijał się echem od kamieni, biała woda pieniała się wokół nas, pryskała nam na twarze. A potem było po wszystkim; wpłynęliśmy w spokojniejszy nurt.

Odchyliłem się, serce łomotało mi w piersi, uśmiechałem się z ulgą. Teraz, kiedy przepłynęliśmy w bezpieczne miejsce, jak zawsze ogarnęła mnie ochota, żeby zrobić to jeszcze raz, ale przewoźnik zatrzymał się już przy schodach Tooley. Kiedy wysiadłem z łodzi i wspiałem po zielonych, śliskich stopniach, uderzyło mnie, że być może Jakes opowiadał tę historię o swoim starym kapitanie wszystkim konwojowanym z nadzieją, że mu zapłacą. Duchy i diabły, myślałby kto.

Zostawiliśmy rzekę za sobą i poszliśmy High Street w Borough. Gdy znów znalazłem się w cizbie, łańcuchy zaczęły mi ciążyć, brzęczały przy każdym mozolnym kroku. Zaledwie przed tygodniem przybyłem na targi w Southwark z grupą przyjaciół i szedłem główną ulicą jako wolny człowiek. Teraz ani targów, ani przyjaciół nie było. Przeszliśmy obok kościoła św. Zbawiciela i długiej linii tawern, prowadzącej za miasto; śmiech i krzyki dobiegały zza każdego okna, zza każdych drzwi. Zapach gotowanego mięsa i piwa przebijał się przez hałaśliwy zgiełk ulicy. Kiedy przeszliśmy obok White Hart, jakiś mężczyzna wytoczył się z bocznej uliczki i bluznął na chodnik gęstym potokiem wymiocin, a potem w nie upadł. Młody chłopak przebiegł przez ulicę, gwizdnął pijakowi sakiewkę i umknął w cień.

– Oto jesteśmy. – Jakes złapał mnie za ramię i wprowadził między dwa zabite deskami frontony sklepów.

Skęciliśmy w wąską, pozbawioną słońca uliczkę. Zgiełk i życie High Street rozplynęły się w chłodnej ciszy. Przed nami, na końcu uliczki, stała wysoka kamienna wartownia – wejście do więzienia. Wyglądała jak baszta starego zamku, oflankowana bliźniaczymi wieżyczkami, sterczącymi na czterdzieści stóp w niebo. Niemal spodziewałem się, że na górze pojawi się człowiek w zbroi i wyleje nam na głowy płonący olej.

Brama wartowni składała się z podwójnych, nabijanych żelazem drzwi, tak

szerokich, żeby po ich otwarciu zmieścił się w nie wóz. Ręcznie pisany szyld przybito do drewna, papier zwijał się na brzegach:

Więzienie Marshalsea

I Pałac Sądu

Southwark

Pod Nadzorem Marszałka Rycerza Dworu Najjaśniejszego Pana: Sir Philipa  
Meadowsa

Główny Nadzorca: William Acton

Pod nazwiskiem nadzorcy ktoś nabazgrał świeżym atramentem: RZEŹNIK.

Jakes zadudnił w drzwi pałką, dźwięk rozszedł się echem w uliczce. Po dłuższej chwili rozległo się przykre skrzypienie i w drzwiach otworzyła się żelazna krata. Para nikczemnych, podbiegniętych krwią oczu wściekle i z pogardą popatrzyła na mnie przez pręty.

– Kim jest ten syn nierządniczy? – dobiegł zza bramy szorstki głos.

Jakes nachylił się i pospiesznie wyszeptał mi do ucha:

– Panie Hawkins, jesteś pewien, że nic nie masz? Nic, co mógłbyś zastawić?

I nagle przypomniałem sobie, że coś istotnie mam: złoty krzyżyk od matki, wysadzany diamentami. Nosilem go na szyi od tak dawna, że prawie o nim zapomniałem. Była to jedyna rzecz, jaka mi po niej została, przysięgłem, że zawsze będę go nosił. Ale wtedy byłem chłopcem, a chłopcy robią rozmaite głupie plany, zanim nie dowiedzą się, jak jest w istocie. Wierząc się pod łańcuchami dotknąłem palcami gardła. Jakimś cudem nadal tam był, nie zrabowano go. Rozluźniłem kołnierzyk.

– Czy to wystarczy?

Jakes rozpiął cienki złoty łańcuszek i podniósł krzyżyk pod światło.

– Powinien być coś wart. Wystarczy, żeby przynajmniej na parę nocy uchronić cię od spóśtwa.

Strażnik odsunął zasuwę i otworzył na oścież drzwi. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, przyjrzał się podłym, pożyczonym łachom i zgarbionym ramionom. Parsknął i pokręcił głową pod adresem Jakesa.

– Wytrzyma tydzień, jeśli będzie miał szczęście – powiedział, a potem roześmiał się obrzydliwie i wepchnął mnie przez drzwi. – Witamy w Marshalsea, sir.

# **Część II**

## **MORDERSTWO**



# Dzień pierwszy

## CZWARTEK

### Rozdział 3

**J**akes zostawił mnie przy bramie wartowni z obietnicą, że wróci po południu. Patrzyłem, jak kroczy w stronę wolności na High Street z łańcuszkiem mojej matki, wetkniętym do kieszeni. Miałem mu zaufać? Po prawdzie, to nie miałem wyboru.

Strażnik zatrzasnął drzwi, dźwięk rozszedł się echem po korytarzu. Serce mi zamarło. Teraz nie było już szans na ucieczkę. Ściany korytarza jakby zbliżały się do siebie, a łańcuchy zaciskały się na mojej piersi, ledwie mogłem oddychać. Z trudem łapałem powietrze, w głowie mi się kręciło.

Twarz strażnika zamajaczyła przede mną.

– Trochę nam niedobrze, sir? – zapytał radośnie.

Zwalczyłem strach i wyprostowałem się.

– Czuję się doskonale – zełgałem. Nie byłoby dobrze okazywać słabość. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się kolejne podwójne drzwi, podobne do bramy wartowni. Jedna ich część była uchylona i podparta beczułką piwa – zobaczyłem wejście na więzienny dziedziniec. Nie myśląc, zacząłem wlec się w stronę światła i powietrza, ale strażnik schwycił mnie brutalnie za ramię i pchnął do tyłu, w stronę małego, przegrzanego pokoiku obok bramy wartowni. Tam siadywał strażnik pełniący służbę przy bramie, czekając na przybycie kolejnego nieszczęśnika. Teraz zrozumiałem, dlaczego był w takim podłym nastroju – przerwałem mu wczesny obiad; butelka sherry i miska tłustego baraniego bulionu balansująca niebezpiecznie na stosie papierów. Wlał resztkę wina do gardła i z kwaśną miną przyjrzał się nakazowi aresztowania. Potem z hukiem otworzył wielką księgę wypełnioną nazwiskami i długami i nabazgrał nową linijkę na stronie:

„Thomas Hawkins, Greek St. Czw. 21 września 1727, 20 funtów, 10 szyl. 6 pensów. Dzent”.

– Soho – mruknął, mrużąc oczy przy pisaniu adresu.

– Dobrze je znasz? – zapytałem.

– Joseph Cross, Wardour Street, wtorek 6 lutego 1725, dziesięć funtów siedem szylingów, murarz.

Wszystko wypowiedziane jednym tchem, jakby to było jego pełne nazwisko.

– Miło poznać, panie Cross.

– Doprawdy, miło ci? – parsknął. – Cóż, gwizdzę na to.

Joseph Cross. Jeszcze nie spotkałem człowieka, do którego lepiej pasowałoby nazwisko; był jak kocioł wiszący nad kominkiem u Moll, bełkotał i wrzał w nieustającej furii. Miał czerwoną, opuchniętą twarz wytrawnego pijanicy, a gęste brwi łączyły się nad mostkiem nosa, jakby zaplotły je lata gniewnego marszczenia czoła.

– Więc też jesteś dłużnikiem?

– Zaufanym więźniem – poprawił. – Pracuję dla nadzorcy.

– Rozumiem. Ale i tak jesteś dłużnikiem, prawda? Wiesz, że ktoś napisał „rzeźnik” pod nazwiskiem nadzorcy na bramie?

Cross wzruszył ramionami.

– Wczoraj napisali „cipa”. Cóż, Thomasie Hawkins, dżentelmenie. Co mamy z tobą zrobić, he?

Spojrzałem tęsknie na niskie krzesło przy kominku. Tak mi teraz ciążyły łańcuchy, że ledwie stałem.

– Może poczekałbym tutaj, póki nie wróci pan Jakes?

– Oczywiście! – zapał Cross, klaszcząc w ręce. – I może jaśnie panicz chce ciastka z cukrem i filiżankę kawy, kiedy będzie czekał...? – Wywłókł mnie z pokoju. – Bez pieniędzy i bez powiadomienia – zrzedził, prowadząc mnie korytarzem. – Panu Actonowi to się nie spodoba. Ty mu się nie spodobasz – dodał z wyraźną radością.

Poszliśmy w stronę drzwi na dziedziniec, nad nami błyszczało światło słoneczne. Głębokie koleiny biegły w stronę dziedzińca, tam gdzie z turkotem wjeżdżały wozy z żywnością i napojami. I wyjeżdżały ze zwłokami. Starą kamienną posadzkę przez stulecia wygładzili dłużnicy, z trudem wlokący się przez bramę. I oto teraz ja miałem do nich dołączyć – jednostka w nieskończonym szeregu potępieńców, kroczących jeden za drugim po kres czasu, naciskanych, popychanych, poganianych przez ludzi takich jak Cross.

Zanim dotarliśmy do dziedzińca, otworzył drzwi po prawej stronie i pokazał przesiąknięte wilgocią schody, cuchnące mocno uryną i piwnymi wymiocinami. Usłyszałem śmiech dochodzący z piętra i muzykę.

– Pub – powiedział Cross. Nachylił się i otworzył coś, co wyglądało na drzwi do piwnicy, pokazując wąską jak trumna przestrzeń pod spodem. Wydostał się z niej obrzydliwy, zgniły odór, jeszcze gorszy niż ten na schodach. Cross skrzywił się i zakrył nos ręką. – Dziura. Karcer. Widziałem człowieka, który był tam trzy dni. Zapomniał, jak się nazywa, kiedy go wyciągnęliśmy. – Z satysfakcją przyglądał się, jak rzednie mi

mina.

Na końcu korytarza otworzył drzwi na lewo i wepchnął mnie do małej celi.

– Przechowalnia. Będziesz tu czekał, aż wróci gubernator.

W przechowalni nie było tak źle jak w Dziurze – przyjąłem to z wdzięcznością. Powietrze aż chwytało za gardło, takie było duszne i wilgotne, ściany i podłoga były brudne, w ścianie tylko jedno maleńkie, zakratowane okienko. Z sufitu zwisały łańcuchy i kajdany różnych rozmiarów, pobrzękiwały cicho w przeciągu idącym od drzwi.

Cross wskazał na upiorny zbiór narzędzi tortur, przymocowanych do przeciwległej ściany: śruby do kciuków, żelazne kołnierze i pejcze.

– Podoba się panu nasza wystawa, panie Hawkins? Gubernator sam ją zorganizował. – Odwrócił się do mnie z poważną twarzą. – Pan Acton bardzo się interesuje historią więzienia.

Patrzyłem na to z przerażeniem.

– Ale nie stosuje się tego wobec więźniów?

– Oczywiście, że nie. – Cross zdjął żelazną czapkę i z uczuciem ją poklepał, jakby to była głowa dziecka. – To byłoby wbrew prawu, prawda? – Powoli podrapał paznokciem kciuka gruby skrzep krwi zaschnięty wzdłuż brzegu. – No cóż. Czy mam zdjąć ci kajdany, zanim pójdę?

Nareszcie. Jakes obiecał, że mi je zdejmą, gdy tylko znajdę się w środku.

– Gdyby pan zechciał – powiedziałem, wyciągając rękę.

Cross zdjął klucz z kółka przy pasie i włożył go w zamek na mojej piersi. Potem przysunął twarz do mojej twarzy, jego oddech cuchnął gnijącymi działkami i podłym alkoholem.

– To będzie sześć pensów, sir.

I roześmiał się.

Pobito mnie. Obrabowano. Straciłem wszystko, a teraz zamknięto mnie w najgorszym w Londynie więzieniu dla dłużników. W takiej chwili mogło mnie sprowokować cokolwiek, a jego śmiech wystarczył aż nadto. Nie myśląc wiele, uniosłem pięści i uderzyłem go mocno w szczękę. Żelazne kajdany na nadgarstkach dodały wagi ciosowi. Zachwiał się do tyłu, krew trysnęła mu z ust, potem skoczył na mnie z wściekłością, rękami sięgnął mi do gardła.

– Panie Cross! – rozległ się czyjś głos. – Niech pan natychmiast przestanie!

Niska, smukła kobieta stała w drzwiach – wdowa, ubrana w głęboką żałobę. Mąż musiał zostawić jej majątek, sądząc po jedwabnej sukni i kapturze. Opuściłem pięści.

– Pani Roberts. – Cross skłonił się ze złością. – Nie zauważyłem pani, madame – dodał, wymuszając na sobie to ostatnie słowo.

– Najwyraźniej – szepnęła. Stała odwrócona do mnie, kaptur zasłaniał jej twarz, ale głos i postawa świadczyły o tym, że jest kobietą z wyższych warstw. Nie mogłem

sobie wyobrazić, co robiła właśnie tu, w Marshalsea.

– Proszę wybaczyć, madame – powiedziałem i złożyłem ukłon, najlepszy, na jaki mogłem sobie pozwolić owinięty łańcuchami. – Obawiam się, że wystraszyliśmy panią.

– Niełatwo mnie wystraszyć, sir – odparła, odwracając głowę w moją stronę.

Serce mi skoczyło. Była młoda – mniej więcej w moim wieku, dwudziestopięciolatka – i wyjątkowo piękna, o jasnej cerze i delikatnych rysach. Szczególne wrażenie robiły jej oczy – przejrzysta szarość otoczona ciemnymi rzęsami – ale pod nimi były głębokie cienie, z żalu i braku snu, jak sądziłem. Mąż musiał umrzeć niedawno; wciąż nosiła matowe, czarne zamszowe rękawiczki. Spod kaptura i czepka widać było ciemnobrązowe włosy, przeplatane kolorem kasztanowym, płonącym brązem w świetle z okna. Złapałem się na myśli, jak by to było znaleźć się w jej ramionach.

Nie wyglądała na równie zadowoloną z mojego wyglądu. Jej wzrok przemknął po oberwanym kaftanie, który pożyczyła mi Moll, obryzganym błotem pończochach i łatanych portkach. Ściągnęła wargi, nozdrza rozděły się jej z dezaprobatą. „Byłaby z ciebie niezła matka przełożona, pomyślałem, chłodna i surowa”. Szkoda, zasadniczo lubiłem wdowy. Szczególnie te bogate.

– Panie Cross, dlaczego ten człowiek nadal jest w łańcuchach? – zapytała.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Źle ją oceniłem – patrzyła z dezaprobatą na łańcuchy, nie na zszargane ubranie.

– Nie zapłacił – zahuczał Cross, niecierpliwie zaciskając pięści przy bokach. Potem spojrział na mnie z ukosa. – Nie może sobie na to pozwolić.

Poczułem gorąco na twarzy. To upokarzające, zostać zdemaskowanym jako człowiek bez sześciu pensów przy duszy. Nagle zapragnąłem opowiedzieć swoją historię – żeby zrozumiała, że pochodzę z dobrej rodziny, że jestem najstarszym synem szanowanego dżentelmena. (Co prawda wydziedziczonym najstarszym synem i w niełasce, ale po co zawracać jej głowę takimi błahostkami). – Zapewniam panią, madame, że oczekuję pieniędzy w każdej chwili... – zacząłem i umilkłem zaskoczony. W jej oczach błyszczały łzy.

– Już kiedyś słyszałam te słowa – powiedziała głosem przepelnionym smutkiem. Wyjęła z sakiewki trzy pensy i wręczyła je Crossowi, który natychmiast schował je do kieszeni. Ten podstępny drań próbował mnie obrabować, żądając podwójnej stawki.

Wylewnie podziękowałem pani Roberts, obiecując, że oddam pieniądze, gdy tylko je dostanę.

Machnęła ręką w czarnej rękawiczce.

– To też słyszałam wiele razy – powiedziała zmęczonym głosem. Skinęła dłonią w stronę Crossa, żeby mnie rozkuł. Mruknął coś pod nosem, ale zrobił, co kazała. Włożył klucz w zamek i silnie pociągnął za łańcuchy oplatające mi pierś. Kimkolwiek była

pani Roberts, przyzwyczaiła się do tego, że dawano jej posłuch. Skinęła głową z satysfakcją, kiedy żelazne ogniwa ześlizgnęły się na podłogę.

– Jak się pan nazywa?

Zgrabnie wyszedłem ze stosu łańcuchów i znów się ukloniłem.

– Thomas Hawkins, madame. Do pani usług.

Iskierka rozbawienia rozjaśniła jej szare oczy.

– Ciekawe, jakież to mogą być usługi? Chce pan powiedzieć, że obłoży pan dla mnie pięściami kolejnego strażnika?

– Jeśli jeszcze raz mnie uderzy, powieszę go tutaj, aż się udławi – warknął Cross, zarzucając łańcuchy na hak w suficie. Pokazał rozciętą wargę. – Gubernator dowie się o tym.

– Doprawdy? – Pani Roberts uniosła brwi. – Ciekawe, co pan mu powie? Że jego główny strażnik został pokonany przez skutego, nieuzbrojonego więźnia? No, no. Jestem pewna, że pana Actona to... rozbawi.

Cross nachmurzył się i zdjął mi kajdany. Zerwał je tak szybko, że podrapał mi nadgarstki. Wychodząc, spojrzął na mnie gniewnie, jakby chciał powiedzieć: jeszcze nie skończyliśmy. Odpowiedziałem mu wzrokiem tak obojętnym, na jaki tylko mogłem sobie pozwolić; przeklinałem swój gorący temperament. Jeszcze nie zdążyłem wejść na dziedziniec, a już zrobiłem sobie wroga z głównego strażnika – i bez wątpienia z wszystkich strażników, którzy pod nim służyli.

Ale przynajmniej byłem wolny od łańcuchów. Potarłem nadgarstki, wyprostowałem grzbiet; ciało miałem mocno obolałe od kopniaków i cięgów, które dostałem w nocy.

Pani Roberts lekko westchnęła i zakryła usta.

– Madame, czy dobrze się pani czuje? – Zrobiłem krok w jej stronę.

Wzdrygnęła się, opuściła wzrok, wygładziła suknię.

– Nie najgorzej, dziękuję. To tylko... – Odchrząknęła. – Przypomina mi pan mojego zmarłego męża. Pan ma... sposób, w jaki pan... – zająknęła się i umilkła, zarumieniona z zakłopotania.

Przypomniałem sobie historię, którą Jakes opowiedział mi na rzece, o swoim starym przyjacielu, kapitanie Robertsie, który zmarł w więzieniu. „Wygląda pan dokładnie jak on”. Ale Roberts był dłużnikiem bez jednego pensa. Gdzie wdowa po nim znalazła pieniądze na piękne suknie, skrojone według najnowszej mody – i po jakiego diabła obija się po Marshalsea, skoro jej mąż nie żyje?

– Proszę wybaczyć... czy pani odwiedza przyjaciół w więzieniu? – zapytałem. – Widzę, że pani sama nie jest uwięziona.

– Ależ jestem – odparła i roześmiała się gorzko. – Nie widzi pan na mnie łańcuchów, ale jestem nimi spowita nawet w tej chwili. – Podeszła bliżej, rąbek jej sukni cicho zaszeleścił po kamiennej posadzce. – Mój mąż został tu zamordowany zaledwie kilka miesięcy temu. Ten, kto go zabił, nadal ukrywa się w tych murach.

Przysięgam sobie, że nie opuszczę tego miejsca, póki nie zostanie zdemaskowany. – Usta ułożyły się jej w cienką, pełną determinacji linię. – Chcę zobaczyć, jak ten diabeł zawisnie za to – jeśli będę musiała, zrobię to sama.

Patrzyłem na nią z niepokojem. Już samo wtrącenie do więzienia było ciężką sprawą – ale jeszcze cięższą dowiedzieć się, że jest się zamkniętym z mordercą.

– Więc jak, panie Hawkins? – powiedziała z uśmiechem. – Nadal chce pan być do usług?

Jęknąłem w duszy. Na tym polega kłopot z podarunkami, nawet trzypensowymi. Zawsze stawiają człowieka w pozycji dłużnika.

– Oczywiście.

Roześmiała się – i na chwilę jej twarz się zmieniła, strapienia i smutki życia zniknęły.

– Nie wierzę panu. Ale może się mylę. Może jest pan kimś więcej, niż pan na to wygląda.

Ściągnąłem brwi na tę zniewagę.

– Madame, nie zna mnie pani.

Uniosła oczy i przez chwilę dokładnie mi się przyglądała.

– Myślę, że znam. Myślę, że znam pana bardzo dobrze, sir. – Nisko naciągnęła kaptur na twarz i wyprostowana odsunęła się o krok. To było tak, jakby trzasnęła mi drzwiami przed twarzą. – Niech Bóg pana chroni w tym okropnym miejscu – powiedziała i znów stała mi się obca. Potem odwróciła się i wyszła.

Zostałem sam, zdumiony tą rozmową. Jakie ona ma prawo, żeby mnie oceniać, skoro dopiero co się spotkaliśmy? Owszem, nie byłem człowiekiem najbardziej godnym zaufania, ale ona o tym nie wiedziała. To prawda – lubiłem picie, hazard i marnowanie czasu (i pieniędzy) z uczynnymi kobietami z miasta. I co w tym złego? Jeśli wierzyć temu, co powiedział Jakes, nie byłem gorszy od jej męża.

Aha. Więc o to chodziło. Przypominałem pani Roberts jej męża – i to nie tylko z wyglądu. Jak go opisał Jakes? Rozpustnik, hazardzista i pijak. A jednak, mimo wszystko, poślubiła go. Potarłem szczękę. W końcu, może nie było tak źle, że brano mnie za kapitana Roberta... tyle, że ktoś tutaj, na miejscu, zamordował go. Zarówno Jakes, jak i pani Roberts byli skłonni mi pomagać, bo przypominałem im zmarłego – człowieka, którego zabito na terenie więzienia. Rozejrzałem się po przechowalni, po śrubach do palców u nóg, żelaznych czapkach i kołnierzach zwisających ze ściany. A potem odwróciłem się i jak najszybciej wyszedłem.

Ulżyło mi, że nikt nie widział, jak po raz pierwszy wszedłem na więzienny dziedziniec. Kiedy opuściłem wartownię, nieproszone przyszły mi do głowy ostatnie słowa mojego ojca; ostatnie kazanie wielbnego Thomasa Hawkinsa dla jego marnotrawnego syna. Przed trzema laty wezwał mnie do swojego gabinetu i zmusił, żebym tam stał, czekając jak dziecko, a on gapił się w kominek.

– Ścieżka, którą wybrałeś, wiedzie tylko w jedną stronę – powiedział w końcu.

– Przynajmniej sam ją wybrałem, sir – odparłem, marszcząc brwi na tę rodzicielską naukę. Od lat spieraliśmy się o to samo, odkąd po raz pierwszy ośmieliłem się rzucić mu wyzwanie.

Oparł głowę na rękę, pocierał sobie czoło.

– Głupi chłopak – mruzczał, jakby sam do siebie. – To nie jest twój wybór. To diabeł cię prowadzi; wpuściłeś go do swojej duszy piciem, hazardem, rozpustą. Kłamstwami. Myślałem... myślałem, że się zmieniłeś. Okpiłeś nas wszystkich, Thomasie. – W końcu odwrócił się od kominka. Wyglądał na zmęczonego, twarz miał wymizerowaną i szarą. Przez chwilę było mi go żal – i wstyd mi było za to, co zrobiłem. Gdybym tylko mógł się wytłumaczyć. Gdyby tylko mnie wysłuchał.

– Ojciec...

– Dziękuję Bogu, że twoja matka nie dożyła tego dnia.

Moja matka. Powinien wiedzieć, że nie należy jej wspominać. Nie wiem, jak się powstrzymałem, żeby go nie uderzyć. Zamiast bójk, rozpoczęliśmy walkę na słowa; oskarżenia, które nie pozostawiały miejsca na wybaczenie ani nie dawały możliwości powrotu. Byłem samolubnym, upartym dzieckiem, które wkroczyło na ścieżkę bez powrotu, prowadzącą do potępienia. On był zimnym hipokrytą, który miał czelność pouczać mnie, mimo że poślubił własną kochankę. I jeszcze gorzej. Obaj wypowiedzieliśmy jeszcze gorsze słowa. Oskarżenia, które zawsze czały się w cieniu każdej z rozmów, w końcu wyłoniły się w pełnym świetle. Który z nas był odpowiedzialny. Który z nas złamał serce mojej matki.

– Idź, żyj swoim bezbożnym życiem – krzyknął za mną, kiedy po raz ostatni wybiegałem z plebanii. Moja siostra Jane przyglądała się w milczeniu, z błądą jak popiół twarzą. – A kiedy samotny, bez pensa przy duszy będziesz gnął w więzieniu za długi, nie przychodź, żeby mnie błagać.

A teraz jego przepowiednia się spełniała. Przekląłem wspomnienie, wyplułem gorycz i wyszedłem na więzienny dziedziniec.

Marshalsea to stare więzienie – ma setki lat, jego zabudowania to szczególna mieszanina: niektóre z cegły, inne drewniane, ustawione w kwadrat wokół brukowanego dziedzińca mierzącego około akra. Na dworze było ponad dwudziestu więźniów, niektórzy spacerowali tam i z powrotem w roztargnieniu, inni rozmawiali, palili i śmiali się, jakby przypadkiem spotkali się na ulicy. Patrzyłem na nich w milczeniu, ukryty w cieniu wartowni; uspokajałem nerwy, czekałem na najlepszą chwilę, żeby wkroczyć na scenę.

Brama wartowni była jedyną drogą prowadzącą z więzienia i do więzienia, chyba że miało się na tyle samobójcze skłonności, żeby spróbować wspiać się na mury. Po mojej lewej stronie stał piętrowy drewniany dom z jasnożółtymi zasłonami i niskim drewnianym płotem przed drzwiami – dom nadzorcy, jak dowiedziałem się później.

Jedynie w więzieniu drzewo, pokiereszowane i chorowite, ocieniało okna. Za mieszkaniem nadzorcy rozciągała się zachodnia strona więzienia, otoczona wysokim murem zwieńczonym żelaznymi szpikulcami. Ludzie grali tam w piłkę odbijaną od ściany.

Północny mur był znacznie dłuższy i zaczynał się od trzech zrujnowanych domów stojących w szeregu. Były to, jak się dowiedziałem, oddziały więzienne, z dwudziestoma wielkimi salami w każdym. Większość cel zajęta była przez co najmniej trzech – a często dwa razy czy nawet trzy razy tylu mężczyzn. Najlepsze pokoje były od frontu, na pierwszym piętrze; były większe i wychodziły na dziedziniec. W oknach zobaczyłem kilka pobladłych twarzy; ludzie palili i pili albo gapili się z przygnębieniem w dal.

Za tymi trzema stojącymi obok siebie budynkami znajdował się wysoki, wąski dom, utrzymany w znacznie lepszym stanie niż jego sąsiedzi. Mieszkania strażników zajmowały wszystkie pokoje parteru, piętro wyżej mieściła się więzienna kaplica z wielkim oknem wychodzącym na dziedziniec. Co Bóg myślał o widoku na dole, nie mam pojęcia.

Na końcu zabudowań od północnej strony stał elegancki, ceglany, czteropiętrowy budynek, szerszy od wszystkich sąsiednich domów razem wziętych. Wydawało się, że patrzy z góry na pozostałą część więzienia, jak książę zmuszony do zamieszkania w towarzystwie swoich chłopów. Mały tłumek schronił się na jego długim ganku z kolumnadą, przyglądając się grze w tryktraka.

Po przeciwnej stronie, przy murze wschodnim, stał ostatni blok mieszkalny dla więźniów, podlejszy niż te przy mieszkaniu nadzorcy, z zapadającym się dachem i potrzaskanymi oknami.

Krótko mówiąc, nie był to St James Palace ani nawet Soho. Ale rosło tu drzewo, grano w tryktraka i nikogo nie mordowano, o ile wiedziałem. Przypominało mi to mój stary koledż, nie licząc żelaznych szpikulców oraz unoszącego się w powietrzu gorącego smrodu potu i gówna. (W Oksfordzie też nie pachniało – z tymi wszystkimi dziekanami i leniwymi studentami na kupie, a bez kobiet, które przypominałyby im o myciu). Obciągnąłem kurtkę, trochę się wyprostowałem i wkroczyłem na dziedziniec z taką pewnością siebie, na jaką tylko było mnie stać.

Potem skręciłem w stronę południowego muru.

Wznosił się dwadzieścia kroków na prawo ode mnie, górował wysoko nad moją głową, rozciągając się wzdłuż południowej strony dziedzińca jak opancerzone plecy jakiejś straszliwej bestii. Uznałem, że to skraj więzienia, ale kiedy dokładniej się przyjrzałem, nie byłem już taki pewien. Były tam małe, mocno okratowane drzwiczki i nagle uznałem, że mam szczęście, skoro jestem po tej stronie muru.

Kiedy podszedłem bliżej i znalazłem się w chłodnym cieniu muru, poczułem, jak włoski na karku stają mi dęba. W przeciwieństwie do reszty więzienia, ten mur był



doskonale utrzymany, solidny i stromy. Niemożliwe byłoby wspiąć się na niego bez liny. Położyłem dłoń na kamieniach; pod palcami były gładkie i zimne jak trup. Zadrzałem. Czy to moja wyobraźnia, czy był tu inny zapach pod ogólnym smrodem więzienia? Gęsty, zgniły zaduch, prawie jak...

Zatoczyłem się do tyłu, zasłoniłem dłonią usta.

– Więc już poczułeś zapach śmierci?

Odwróciłem się błyskawicznie i zobaczyłem mężczyznę w średnim wieku, siedzącego na ławce przy wartowni. Palił fajkę. Obok miał butelkę i wystrzępiony skórzany notatnik, wypchany luźnymi papierami i zawiązany czarną wstążką. Miał przyjemne rysy twarzy – nawet przystojne – ale wyglądał na dziwaka, ubrany w szlafrok i pasującą do niego czerwoną welwetową czapkę. Szlafrok kładł się na bruku, jakby skrojony był na kogoś wyższego, siedzący musiał też podwinąć rękawy. Na pierwszy rzut oka efekt był niemal komiczny: roztargniony dżentelmen-uczony, nieogolony, zaniedbany, zatopiony we własnych rozmyślaniach. Sporo takich spotkałem w Oksfordzie; ten ubierał się i nosił jak oni, ale miał zbyt bystry wyraz twarzy – czujne i żywe ciemne oczy pod gęstymi brązowymi brwiami. Musiał tutaj siedzieć od jakiegoś czasu i przyglądać mi się. No i, właśnie o tym pomyślałem, mógł z powodzeniem słyszeć moją kłótnię z Crossem i rozmowę z panią Roberts.

Ukloniłem się ostrożnie i przedstawiłem.

Zerwał czapeczkę i w odpowiedzi głęboko, z ironią się pokłonił.

– Cóż to za przyjemność spotkać pana, panie Hawkins – powiedział, jakby wilk oświadczał, że przyjemnie mu spotkać małe, drżące źrebię. – Samuel Fleet.

Zamrugalem. Jego nazwisko wydawało mi się znajome.

– Czy ja pana znam, sir?

Tajemniczy uśmiezek powoli pojawił się na jego twarzy. Upchnął notatnik i butelkę w zakamarkach szlafroka i stuknął cybuchem fajki w moją pierś.

– Musisz się napić – powiedział. Potem objął mnie ramieniem i odciągnął od muru i rzucanego przezeń długiego, zimnego cienia.

Bar znajdował się na prawo od wartowni, jakby wiedział, że człowiek będzie musiał się napić, ledwie wejdzie do więzienia i czatował na niego w tym miejscu. Sprzedawano tu wszystkie napoje, które można znaleźć w normalnej tawernie, za podwójną cenę i w połowie tak smaczne. Zyski na pewno nie szły na umeblowanie. Oparcia trzcinowych krzeseł domagały się naprawy, a w stołach roiło się od korników. Jedno mocne kichnięcie i cały pokój rozsypałby się na kawałki. Podłoga była lepka od rozlanego piwa, powietrze skażone smrodem tanich świec – ze świńskiego łoju, sądząc po zapachu. Dzięki Bogu za gęsty dym z fajek, bo nie dałoby się wytrzymać.

Minęła zaledwie pierwsza, a pokój był wypełniony po brzegi pijanymi dłużnikami i ich gośćmi. Większość zgromadziła się przy kontuarze, gdzie młoda dziewczyna z tłustymi jasnymi włosami nalewała napoje i zabawiała gości rozmową. Wstążki jej

bawetu rozluźniły się, ciało prawie się wylewało znad krawędzi stołu. Jakież to sprytne, pomyślałem. Może zbyt przyzwoite jak na lokal Moll, ale odgrywało tę samą rolę – trochę miękkiego, kremowego ciała na wierzchu, żeby klienci byli szczęśliwi i zamawiali. Wszyscy zdawali się być w doskonałych nastrojach; mnóstwo śmiechu, śpiewów i krzyków, żeby dać więcej ponczu, więcej wina, więcej wszystkiego. Jak za to płacono, nie wiedziałem.

Samuel Fleet lawirował w tłumie, zwinny jak złodziej. Podążałem za nim wbrew rozsądkowi – nie podobały mi się pełne wstrętu, wrogie spojrzenia, którymi darzyli go inni więźniowie, ani podejrzliwe zerknięcia, jakimi obrzucali mnie, jego kompana. Kiedy zbliżył się do dwóch mężczyzn – najwyraźniej braci – spojrzeli na niego nienawistnie, jakby chcieli wyrwać mu głowę z ramion. Starszy – wielki, solidny jak więzienny mur – mruknął jakieś przekleństwo i splunął mu pod nogi.

Fleet zatrzymał się gwałtownie. Odwrócił się w stronę mężczyzny, który go przeklął, przyglądał mu się w milczeniu. W jego oczach nie było gniewu, tylko chłodne, śmiertelne skupienie, jak u węża gotującego się do uderzenia. Groźba zawisła ciężko między nimi. Za chwilę wyciągnął noże – czułem to.

– Harry – syknął młodszy z mężczyzn, zdejmując urok. Położył dłoń na ramieniu brata. – Odejdźmy, na litość boską. – Odeszli razem, przepychając się przez tłum. Harry raz tylko spojrzął za siebie. Był o głowę wyższy od Fleeta i prawie dwa razy od niego szerszy – ale w jego oczach widać było strach.

Fleet patrzył, jak odchodzą. Potem zwrócił wzrok na mnie.

– Chcesz pan do nich dołączyć, panie Hawkins? – Wykrzywił wargi w uśmiechu, obnażając zęby.

Mój umysł wrzeszczał: „Uciekaj! Uciekaj, póki możesz!”, ale stopy uparcie tkwiły w miejscu. Stanowił niebezpieczne towarzystwo; to oczywiste. Ale coś mi mówiło, że ucieczka od niego byłaby błędem. Odwrócisz się plecami do człowieka takiego jak Fleet i znajdziesz w nich nóż. Z trudem przełknąłem ślinę.

– Obiecał mi pan kolejkę, sir.

Fleet roześmiał się, zadowolony. Trzepnął mnie w ramię.

– Obiecałem.

Inni ludzie cofnęli się z ulgą, że mogą wrócić do swoich szklanek i że obyło się bez kłopotów. Kiedy przechodziłem obok jednego z nich, wyszeptał:

– Harry to dureń. Diabeł zabił człowieka za mniejszą sprawę.

Zajęte były wszystkie stoły poza jednym, ustawionym przy wąskim balkonie wychodzącym na dziedziniec. Wydawało się dziwne, że nikt tam nie siedział, chociaż pub był przepelniony. Fleet usiadł na krześle z miną właściciela.

– Nazywają to parkiem – powiedział, wskazując podbródkiem na okno. – Dziedziniec i te pokoje przy wartowni. Na więzienie mówią zamek. – Zatoczył fajkę kółko, jakby obejmował nią całe więzienie. – Słabi ludzie często nadają głupie nazwy

rzeczom, których się boją. Chyba dzięki temu czują się bezpieczni. – Uśmiechnął się do mnie, jakby chciał powiedzieć: „Ale ty i ja jesteśmy ponad takie nonsensy, prawda?” Zapalił fajkę i głęboko się zaciągnął. – Mnie też nadali imię – mruknął, puszczając z ust dym. Mówił dziwnie, konspiracyjnie, jak czarny charakter stojący na przedzie sceny, żeby wtajemniczyć widownię w swoje plany.

Ledwie go słyszałem. Powinienem słuchać uważniej; tego pierwszego dnia powinienem poświęcić Samuelowi Fleetowi więcej uwagi. Ale byłem zbyt zajęty wyglądem za okno.

– Stąd widzę, co jest po drugiej stronie muru – powiedziałem. Otworzyłem okno i wyszedłem na balkon, żeby mieć lepszy widok.

– Dlatego – mruknął Fleet – nikt tutaj nie siada.

Po drugiej stronie muru był inny dziedziniec i kolejne budynki. A także więcej żelaznych kolców i krat w oknach. Więzienie w więzieniu. Dziedziniec był długi i wąski – zaledwie ćwierć szerokości parku – i gęsto zapchany więźniami, chudymi, obszarpanymi nędznikami, wlokącymi się bez końca w kółko, jakby wpadli w stupor. Jeszcze więcej z nich wyglądało z okien albo leżało wyciągniętych na ziemi.

Powiał wiatr i znowu poczułem słodki, obrzydliwy odór śmierci. Wtedy zrozumiałem dlaczego. Niektóre postacie, leżące w odległym kącie, owinięte były w prześcieradła. Trupy wystawione na jesienne słońce. Naliczyłem ich razem cztery. Jeden był o połowę mniejszy od pozostałych. Dziecko.

Za mną, przy barze, śpiewali pijacką piosenkę. Ktoś wyciągnął skrzypce. Wszyscy siedzieli plecami do okna.

– Strona dla pospólstwa – zawołał Fleet. Wystraszył mnie, więc odszedłem od okna. – Piekło w zarysie. Interesuje cię to, panie Hawkins?

Zamknąłem okno z mocnym trzaśnięciem. Wydawało mi się, że na ubraniu nadal czuję odór trupów – ale to była tylko moja wyobraźnia.

– Jak oni mogą żyć w takiej ohydzie?

– Nie mogą. Nie za długo.

– Panu to obojętne, sir?

– Nie byłoby, gdybym mógł pomóc. – Ziewnął, zdjął czapeczkę i przejechał palcami po krótko ostrzyżonej szczecinie na głowie. Z zaskoczeniem zobaczyłem, że na lewej dłoni nosi coś, co wygląda na złotą obrączkę z grawerunkiem. Czy ten człowiek ma żonę? Rodzinę? Jakoś wydawało mi się to niemożliwe

– Powiem ci o tym, co interesuje mnie – powiedział. – Zamknięto mnie w tym... – zabębnił palcami, szukając właściwego słowa – ...szambie osiem miesięcy temu. Widziałem człowieka zachłostanego na śmierć dla sportu. Widziałem ciała zostawione na całe dni w upalne lato, żeby zgniły. Siaduję na tej ławie przy wartowni i widzę każdego nowego więźnia, przybywającego do oddziału dla dżentelmenów. Żaden z nich pierwszego dnia nie podszedł do tego muru. Żaden. Większość nawet się do niego nie

zbliża. Więc zastanawia mnie... – Pochylił się do przodu z oczami utkwionymi w moich oczach. – Jesteś odważny? Głupi? Czy po prostu ciekawski? Bo każdy stamtąd może cię zabić...

– Proszę, panowie. – Barmanka postawiła wielką czarę ponczu na stole i uśmiechnęła się do mnie. – Mam nadzieję, że przypadnie panu do gustu, sir.

– No, no. – Fleet odchylił się. – Obsługiwani przez panią zamku we własnej osobie. Cóż za zaszczyt.

Wymienili spojrzenia. Nie były przyjazne.

Szybko się przedstawiłem, z nadzieją, że nie będzie mnie sądzić po moim towarzystwie. Nasza gospodyni nie była ani tak młoda, ani tak piękna jak pani Roberts, ale była przystojną kobietą, a wstążki jej sukni chyba poluzowały się jeszcze bardziej, odkąd ostatnio sprawdzałem.

– Miło mi pana poznać, sir. – Miała wysoki, dziewczęcy głos i akcent, który wydawał się sprzeczny sam ze sobą; trochę damy, trochę handlarki ryb. Nalała sobie szklankę i obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów. W policzkach zrobiły się jej dołki, kiedy się uśmiechała. – Niech pan powie, panie Hawkins, lubi pan tańczyć?

– Lubię, madame. Kiedy mam nastrój.

– No, cóż. – Popatrzyła na mnie figlarnie znad brzegu szklanki. – Musi pan przyjść i mnie odszukać. Kiedy będzie pan miał nastrój.

Fleet chrząknął.

– Pan Hawkins pytał o oddział dla pospólstwa. – Wskazał puste krzesło. – Może pani do nas dołączy? Opowie nam pani o życiu po drugiej stronie muru? Musiała pani co nieco słyszeć. – Przerwał, rozkoszując się smakiem kolejnych słów, zanim je wypowiedział: – Od swojego ojca.

Mina zmieniła się jej tak szybko, że trudno mi było uwierzyć. Jakbyśmy brali udział w maskaradzie, a ona zerwała maskę, żeby odsłonić twarz Meduzy, o zimnych oczach, niebezpieczną. Fleet – zupełnie niewzruszony – uśmiechnął się do niej z triumfem i nalał sobie kolejną szklankę ponczu. Patrzyła na niego z taką wściekłością, że powinien zamienić się w kamień na moich oczach, pomyślałem. Kiedy uparcie nie chciał tego zrobić, zaatakowała mnie.

– Powinien pan mądrzej dobierać sobie przyjaciół – syknęła. Potem zebrała suknię i ruszyła w stronę pubu z uśmiechem; maska sprawnie wróciła na miejsce. – Nalegam na taniec z panem, panie Hawkins – zawołała radośnie przez ramię, tak głośno, żeby usłyszał cały pokój. Paru pijaków trąciło się łokciami z uciechy.

Fleet wzniosł szklankę.

– Cóż, pańskie zdrowie, sir. Póki je masz.

Zachmurzyłem się.

– Co u diabła ma pan na myśli?

– Właśnie obiecał pan zatańczyć z Mary Acton. Żoną gubernatora.

Pożegnałem się krótkim, pełnym irytacji ukłonem. Fleet chyba nie był zaskoczony moim nagłym odejściem; przyciągnął poncz bliżej siebie z czułością matki, przystawiającej niemowlę do piersi. Zostawiłem go, kiedy krótkim ołówkiem zapisywał coś w swoim dzienniku, trzymając fajkę w zaciśniętych zębach. Ludzie kręcili nieprzychylnie głowami, kiedy przechodziłem. Trudno mi było ich winić.

Kiedy wyszedłem na dziedziniec, ulżyło mi, bo zobaczyłem Jakesa, który na mnie czekał. Minęły tylko dwie godziny, odkąd mnie opuścił, a jednak wydawało się, że minęło całe życie. Wróciliśmy do wartowni, gdzie wręczył mi rachunek za krzyżyk matki i mały stosik srebrnych i miedzianych monet. Nie zdołały pokryć mojej dłoni.

Jakes robił, co mógł, żeby dodać mi ducha.

– Tu są ponad dwie gwinee. Wystarczy, żeby przeżyć dłuższy czas.

– Nie po stronie dla dżentelmenów, o nie – powiedział Cross, wyłaniając się ze swojego pokoju przy bramie. Musiał usłyszeć brzęk monet. Wargę miał opuchniętą po tym, jak uderzyłem go kajdanami. Nie mogę powiedzieć, żeby mi było z tego powodu bardzo przykro.

– Ile kosztuje najtańszy pokój u was?

Wzruszył ramionami.

– To zależy od gubernatora. Od uczciwego dłużnika bierze czynsz za tydzień z góry – uśmiechnął się, oczy złośliwie mu błysnęły. – Rzekłbym, że od ciebie będzie chciał więcej.

Jakes podszedł bliżej; górował nad nim wzrostem.

– Ile, Joseph? – Mówił opanowanym tonem, ale w głosie słyhać było stal.

Cross skrzyżował ramiona i zakołysał się do tyłu na piętach.

– Dwa szylingi i sześć pensów tygodniowo. Oczywiście, jeśli dzieli się łóżko. Z dwoma albo trzema kolegami.

Dwa i sześć tygodniowo? Za mniej mogłem dostać najlepszy pokój w dobrej tawernie. Albo w burdelu, jeśli o tym mowa. Spojrzałem nerwowo na Jakesa.

– Przynajmniej na to mi wystarczy.

– Jest jeszcze jedzenie – dodał Cross, wyliczając na tłustych czerwonych paluchach. – Pościel. Tytoń. Kawa. Węgiel na palenisko. Będziesz chciał, żeby ktoś prał twoją bieliznę. I to, zanim zaczną się opłaty sądowe. Cztery pensy tu, trzy pensy tam; wiesz, jacy są adwokaci. Potem, oczywiście, twoi koledzy będą wymagali, żebyś się wkupił. To kolejne sześć szylingów. Ojej! – Podniósł dłonie. – Chyba zabrakło mi palców.

Jakes szturchnął go mocno w pierś.

– To nie po chrześcijańsku radować się z nieszczęścia bliźniego, Joseph.

Cross parsknął.

– To nie po chrześcijańsku rąbnąć bliźniego w twarz, prawda, panie Hawkins? Zignorowałem go.

– Co jest z tym wkupieniem się?

– W pierwszy wieczór musisz postawić kolegom z celi – wyjaśnił Jakes. – Płacisz w pubie.

I prosto do kieszeni nadzorcy. Nic dziwnego, że Mary Acton chętnie bawiła się w panią pubu. Brzęknąłem garstką monet i poczułem, że podłoga chwieje mi się pod nogami. Jak długo przeżyję za tak niewiele? Ile czasu minie, zanim przerzucą mnie przez mur na stronę dla pospólstwa, żebym zgnął? Pomyślałem o trupach leżących na dziedzińcu. „Muszę zostać po tej stronie muru, pomyślałem rozpaczliwie. Za wszelką cenę”.

Jakes znów założył kapelusz na głowę.

– Życzę szczęścia, panie Hawkins – powiedział, podając mi dłoń. – Będę się za pana modlił.

Cross zachichotał. W mgnieniu oka Jakes odwrócił się na pięcie, rzucił nim o najbliższą ścianę i przygniół mu gardło ramieniem twardym jak żelazny kołnierz.

– Straciłem tutaj dobrego przyjaciela – warknął, jego niebieskozielone oczy błyszczały wściekle. – Nie pozwolę, żeby to przekłete miejsce zniszczyło kolejnego człowieka tak, jak zniszczyło Johna Robertsa. Nigdy więcej. – Mocniej przycisnął ramieniem gardło strażnika, aż ten zaczął się krztusić. – Czy to jasne?

Cross pokiwał głową; żyły mu nabrzmiały, kiedy próbował złapać oddech. Jakes puścił, strażnik osunął się na podłogę, ciężko dysząc.

Jakes nachylił się, żeby wyszeptać mi do ucha:

– Gdyby coś się działo, poproś któregoś strażnika, żeby przesłał wiadomość. Przybędę, jeśli zdołam. – Poklepał mnie po ramieniu i odszedł korytarzem, zatraskując za sobą bramę.

Cross wstał z trudem. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie z wściekłością, jak para kocurów walcząca o... właściwie o co?

– Odchrzań się – powiedział w końcu Cross i pokuśtykał z powrotem do swojego pokoju.

Przycisnąłem rękę do piersi, ukloniłem się głęboko i zrobiłem, co mi powiedziano.

# Rozdział 4

## **P**otrzebowałem pieniędzy.

Trudno to nazwać zaskakującym odkryciem w więzieniu dla dłużników, ale mimo wszystko to była sprawa nie cierpiąca zwłoki. Dość się napatrzyłem na oddział dla plebsu – wystarczył rzut oka z balkonu pubu – żeby wiedzieć, że tam nie przeżyję. Ta pewność była jak ostrze przy gardle.

Usiadłem na ławce Fleeta pod wartownią i zapatrzyłem się na brukowany dziedziniec. Rozwahałem, co zrobić. Nie, nie na dziedziniec, poprawiłem się; na park. Tu było tak samo jak w szkole albo w koledżu; im prędzej nauczę się języka Marshalsea, tym lepiej. Teraz zrozumiałem, dlaczego Fleet lubił tę ławkę. Stąd mogłem obserwować wszystko, co się działo po stronie dla dżentelmenów, jak stary król Henryk oglądający turniej. To było doskonałe miejsce dla zbierania informacji, a informacja to ceniona w więzieniu waluta.

Pomyślałem o tym, czy nie za szybko odrzuciłem towarzystwo Fleeta. Nawet tutaj, po stronie dla dżentelmenów, będę potrzebował przyjaciela, który by mnie bronił, a on śmiertelnie wystraszył człowieka, nie kiwnąwszy palcem. Z jakiegoś powodu zainteresował się mną. Niepokojące to zainteresowanie – ale może obrócę je na swoją korzyść.

Pośrodku parku, pod słupem latarni, dłużnik w wyświechtanym płaszczu zatopiony był w rozmowie ze starszym mężczyzną, zbliżającym się do sześćdziesiątki. Portier, pomyślałem, albo kolejny strażnik, skoro u pasa ma kółko z kluczami. Ubrany był w brudne brązy, od peruki po pończochy, z wyjątkiem jaskrawoczerwonej apaszki na szyi, która nadawała mu wygląd wielkiego drozda. Brwi i zarost na policzkach były mieszaniną barw miękkiego popiołu i miodu, jakby starzał się włosy po włosku. Podał więźniowi list i czekał z rękami złączonymi za plecami, sękaty palce podrygiwały z niecierpliwości.

Tam robiło się pieniądze, mogłem to niemal wywąchać. Wstałem z ławki i po cichu podszedłem.

Więzień otworzył list drżącymi palcami i szybko go przeczytał. Wyraz jego twarzy po kilku wersach przeszedł z pełnego nadziei do zrozpaczonego. Jęknął i zmiął list w dłoni.

Drozd odchrząknął teatralnie.

– Złe wiadomości? Bardzo mi przykro to słyszeć. Nadeszły ciężkie czasy, sir. Ciężkie, okrutne czasy... – Znowu chrząknął.

– Istotnie. – Jego klient westchnął i wyciągnął pół pensa z sakiewki. – Cóż, panie Hand, panu chyba trzeba płacić tyle samo, czy to dobra, czy zła wiadomość.

Pan Hand pochylił głowę.

– Niestety, sir. Niestety. – Oczy koloru starej pensówki otworzył szeroko na znak współczucia. – Ciężkie czasy... Wszyscy razem cierpimy.

Mężczyzna kwaśno spojrzał na Handa, podając mu monetę i ciężkim krokiem odszedł ze zwieszoną głową, nadal trzymając zmięty list w garści. Ledwie zniknął z pola widzenia, Hand radośnie podrzucił monetę, złapał ją i wsunął do jakiejś głębokiej szczeliny w żakiecie.

– Biznes idzie dobrze?

Wzdrygnął się, a potem uśmiechnął szeroko, ukazując mały zbiór zniszczonych zębów. Przedstawiłem się i ukloniłem tak głęboko, że graniczyło to z sarkazmem.

– Gilbert Hand. Dozorca w parku. – Powiedział to, czego już się domyśliłem: że chodzi na posyłki dla innych więźniów. – Wśród innych obowiązków – dodał. Błysk w oku powiedział mi dokładnie, czym – albo kim – były te obowiązki. Pan Hand był sprzedawcą wieści i seksu. Nic dziwnego, że wydawał się taki szczęśliwy; miał z tego takie dobre zyski, że postanowił zostać nawet teraz, kiedy już spłacił swoich wierzycieli. – Kilkunastu chłopców pracuje dla mnie – powiedział, wskazując podbródkiem mur oddziału dla pospólstwa. – To pomaga uchronić ich rodziny przed głodem.

– Jakież to szlachetne z pańskiej strony. – Miałem nadzieję, że chłopcy biegali tylko na posyłki. Układ z człowiekiem takim jak Hand nie był bezpieczny.

Uśmiechnął się.

– A panu czym mógłbym służyć?

– Muszę wysłać list. Do wielbnego Charlesa Buckleya.

Hand ze świstem wciągnął powietrze.

– Do kapelana sir Philipa? – Chciwość pojawiła się na jego chudej pomarszczonej twarzy. – To pański przyjaciel?

– Najstarszy z moich przyjaciół.

– Więc tak. – Widziałem, jak umysł mu pracował; kalkulował metody wyciągnięcia korzyści z takich koneksji. Ostro gwizdnął i trzech chłopcy, wzniesając po drodze kurz, pędem przybiegli z drugiej strony dziedzińca. Dwóch odesłał, zostawił jednego, wyglądającego na dziesięć lat, który stał z boku. Nosił połataną ubranie, skórę miał pokrytą smugami szarego brudu, ale emanowała z niego ta sama niezmożona energia co z Handa, jakby miał do obsłużenia sto miejsc na raz.

– Benjaminie... – Hand nachylił się. – Sklep ze świecami. Papier, inkaust, gęsie pióro. – Pogroził mu palcem przed nosem. – Żadnych pieniędzy, słyszałeś? Careysowie są moimi dłużnikami. Przeprowadź ich do pana Hawkinsa.

Benjamin kiwnął głową, zerknął nad ramieniem Handa na miejsce, gdzie stałem. Był młody, ale życie już dało mu w kość – widać było, że gorzej niż tamtemu nicponiowi, złodziejowi. Głowę miał ogoloną przeciwko wszom, jeden przedni ząb



wyłamany. Uśmiechnąłem się do niego; ściągnął brwi i nachmurzył się podejrzliwie.

– Który pokój? – zapytał.

Spojrzałem na Handa.

– O tym zadecyduje pan Acton.

Hand parsknął.

– Gubernator jest w Koronie. Wróci za wiele godzin. Może porozmawiałbym w pańskim imieniu z panem Grace'em, urzędnikiem pana Actona – wyjaśnił i skrzywił się. – Zazwyczaj dobrze się płaci za tę przyjemność.

Wzruszyłem ramionami z uśmiechem. Jeśli myśli, że zapłacę mu szylinga za rozmowę z jakimś podłym urzędasem, niech się jeszcze raz zastanowi. Benjamin pobiegł w stronę wartowni, do sklepiku ze świecami pod pubem. Kiedy odwróciłem się, żeby na niego popatrzeć, zobaczyłem Samuela Fleeta, jak stoi na balkonie i pali fajkę. Obserwuje. Hand zaklął, złapał mnie za łokieć i odciągnął na północną część dziedzińca.

– Nie usłysz nas stąd – zaprotestowałem.

Hand zrobił ponurą minę.

– Lepiej, żeby ten plotkarz niczego się nie dowiedział. Słyszałem, że zainteresował się panem. – Obrzucił mnie wzrokiem i parsknął. – Dam ci, chłopcze, radę za darmo. Niech się dzieje, co chce, trzymaj się z daleka od Samuela Fleeta. – Wykrzywił usta z niesmakiem, wypowiadając to nazwisko, ale w jego oczach nie było niesmaku, tylko strach.

Hand poszedł porozmawiać z urzędnikiem Actona w sprawie pokoju, a ja wyruszyłem na zwiedzanie oddziału dla dżentelmenów. Poszedłem w stronę wspaniałego budynku z cegły przy drugim końcu północnego muru, za oddziałami dla mężczyzn – i daleko od balkonu przy pubie. Na ganku nadal było tłoczno, ludzie przyglądali się kolejnej rozgrywce w tryktraka. Oparłem się o kolumnę i przez jakiś czas patrzyłem uważnie na graczy, zapamiętując ich wady, żeby później je wykorzystać, potem klepnąłem sąsiada w ramię.

– Wybacz, panie. Jaką funkcję pełni ten budynek?

Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie.

– To pałac sądu. – Wskazał na dwa długie rzędy okien nad portykiem, ułożone w dwóch kondygnacjach. – Wysłuchują naszych spraw w sali sądowej tam na górze. Pan jest gościem?

Pokręciłem głową.

– Przybyłem rano... – powiedziałem i stwierdziłem, że nie jestem w stanie dalej mówić, stojąc twarzą w twarz z faktem uwięzienia. Spędzę noc w tym miejscu. I następną noc. I następną... mój Boże! Jak to wytrzymam? Jak przeżyję?

– Przykro mi ze względu na pańskie nieszczęście – powiedział po cichu, jakby słyszał moje myśli, i odwrócił się, żeby obserwować grę.

Wyszedłem z tłumu; czułem się rozbity, użalałem się nad sobą. Za portykiem była dalsza część pałacu sądu, wychodząca na dziedziniec; dalej kwatery mieszkalne, sądząc z szarego dymu idącego z komina. Na końcu budynku stała budka wartownika. Nie widziałem, żeby jej kiedykolwiek używano, chyba po to, żeby się za nią wysikać. W tym kącie więzienia było spokojniej, z dala od pubu i wartowni. Słyszałem głosy zza muru: odgłos kucia, mężczyzn gwizdzących i śmiejących się przy pracy. Poczułem, że w piersi nagle coś mi się łamie na myśl o wszystkich tych wolnych ludziach, stojących zaledwie parę kroków stąd. Życie wokół więzienia płynęło szybko, jak rzeka opływająca głaz. Pragnąłem przeskoczyć mur i odpłynąć, ale to na nic – zamknięto mnie w potrzasku. Jeśli nie wydobędę skądś pieniędzy, wkrótce tu zginę.

– Panie Hawkins!

Odwróciłem się i zobaczyłem tłąstą siwowłosą kobietę, wychylającą się z okna na parterze pałacu sądu. Zerwała czepek i machała nim do mnie.

– Tu pan jest!

Lekko się ukloniłem, zastanawiając się, skąd zna moje nazwisko.

– Madame...

– Ach, niech pana – roześmiała się i w odpowiedzi wykonała ironiczny dworski ukłon, podciągając i machając szorstką wełnianą suknią.

– Moll powiedziała, że jest pan dżentelmenem.

Podszedłem bliżej. Miała szeroką, przyjemną twarz, ale marną cerę, a jej policzki szpeciły stare blizny po ospie. Taką twarz można odczytać w jednej chwili – szczerą i otwartą, ale niegłupią, z mądrymi szaroniebieskimi oczami, które niczego nie przeoczą.

– Pani jest przyjaciółką Moll?

Znów założyła czepek.

– Czy Moll ma przyjaciół...? Wejdz do mnie, mój drogi. Postawię ci garnuszek kawy na koszt firmy.

Kawiarnia Sarah Bradshaw była maleńka, ze zdezelowanymi, niepasującymi do siebie starymi krzesłami i stołami, ale podłoga była świeżo zamieciona, ogień buzował na kominku, a doniczki ze świeżymi kwiatami stały na każdym stole. Więźniowie siedzieli, próżnowali i pili, pisali listy albo czytali gazetę. Nieszczęsny klient Gilberta Handa siedział w kącie i cicho szlochał. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Przy kominku młoda służąca, w jasnoniebieskiej, błyszczącej sukni, zajmowała się kotłem. Rękawy miała zawinięte do łokci, twarz zaczerwienioną od ognia, a rude strąki wilgotnych włosów przylepiły się jej do policzków. Przerwała, upchnęła je pod czepek i nachmurzyła się ze zdenerwowania. Pызaty chłopczyk w wieku około trzech lat siedział u jej stóp; patrzył na nią z uwielbieniem, trzymając się brudną piąstką brzegu jej fartucha. Uśmiechnąłem się, przyglądając się przez chwilę dziewczynie. Była w złym nastroju, trzaskała garnkami i klęła po cichu. Ale pracowała szybko i zwinnie. Bardzo mi się to podobało; przypominała młode służące pracujące na

plebanii, kiedy byłem chłopcem. Wiele szczęśliwych godzin spędziłem w ich towarzystwie. Wspomnienie, które ukryłem głęboko, nagle do mnie wróciło. Lizzie Smith. Wróciłem do domu ze szkoły, usiłując nie wchodzić w drogę macosze. Lizzie poszła za mną pewnego dnia do lasu. Przycisnęła mnie do najbliższego drzewa i pocałowała, potem wzięła mnie za rękę i włożyła ją pod spódnicę...

Dziewczyna musiała poczuć na sobie mój wzrok.

– Nie jestem na sprzedaż – ostrzegła mnie, patrząc złym wzrokiem.

– Nie mam zamiaru cię najmować, dziwko! – warknąłem, zdenerwowany jej bezczelnością.

Uniosła brwi, opuściła wzrok na moje portki.

– Więc powinieneś to powiedzieć swojemu kutasowi – mruknęła i odwróciła się do ognia. Paru mężczyzn przy najbliższym stole zachichotało do filiżanek z kawą.

– Kitty Sparks... – powiedziała niecierpliwie pani Bradshaw, odpędzając mnie od dziewczyny w stronę stolika pod oknem. – Najmocniej przepraszam, panie Hawkins.

Roześmiałem się i pokręciłem głową; uczciwie mnie oceniła.

– Moll natychmiast dałaby jej pracę.

– Tak, może. Ale najpierw musiałyby poderżnąć mi gardło. – W jej głosie pojawił się twardy ton. Czy Moll naprawdę powiedziała jej, że jestem dżentelmenem i na tym poprzestała? Grzech niedopowiedzenia, najbardziej oczywisty, jaki słyszałem.

Kiedy już usiadłem, pani Bradshaw zajęła krzesło przy drzwiach i postawiła stopy na niskim podnóżku. Mądrze obrane miejsce, z którego mogła obserwować klientów i mieć na oku wchodzących i wychodzących z klatki schodowej. Wzięła prawie gotowy watowany czepek i zaczęła go zszywać eleganckimi, wypraktykowanymi ruchami, zerkając w korytarz za sobą, kiedy ktoś przechodził. Kiedy Benjamin – chłopak Gilberta Handa – przyszedł z papierem i inkaustem do mojego listu, przyjrzała nam się bystro spod opuszczonych powiek, nie przegapiając ani jednego szwu.

Właśnie zacząłem pisać list do Charlesa, kiedy pojawiła się Kitty z kawą dla mnie, rozlewając połowę po stole. Wytarła ją fartuchem, przeklinając pod nosem. Była młodsza, niż mi się z początku wydawało, miała najwyżej osiemnaście lat, bladą cerę i piegi na twarzy i ramionach, jakby Bóg ze złości je na nią rzucił. Uśmiechnąłem się do niej; odpowiedziała dwuznacznym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć – z czego ty się, do diabła, śmiejesz?

Rozparłem się w krzesło. Jej narowisty humor zaintrygował mnie, jak wyrazisty posmak cytryny w gorącym mleku z rumem i korzeniami

– Czy pokoje na górze są dla więźniów?

– To oddział Dąb. – Przerzuciła ciężar ciała na jedną nogę; znana mi postawa dziewczyny, zabawiającej mężczyznę wbrew swoim chęciom. – Piętro i dwa piętra nad nami. Kwatery kobiet są w klatce schodowej obok.

– Doprawdy... – Kilka słodkich, niedyskretnych pytań przyszło mi do głowy: „Ile

kobiet tutaj mieszka? W jakim są wieku? Co z nimi? Z iloma można pójść do łóżka?” Poprawiłem się w krześle. – A dlaczego to się nazywa Dąb?

Nie odwróciła wzroku, jej zielone oczy były opanowane i przenikliwe.

– W każdym korytarzu są grube dębowe drzwi. – Pokazała dłońmi kształt drzwi, dotykając ich w środku opuszkami palców. – Panie zamykają je, kiedy nie życzą sobie gości. Ale najczęściej są otwarte na oścież – dodała, rozkładając ręce. – A dzentelmen może wejść, kiedy ma ochotę. Jeśli jest oczekiwany.

Mężczyźni za mną znów zaczęli pokasływać do filiżanek.

– Rozumiem. Hm, dziękuję, panno Sparks, czuję się zobowiązany.

Lekko się do mnie uśmiechnęła, zadowolona, że tak spokojnie przyjąłem jej żarciki.

– Za co pan siedzi?

Pytanie zaskoczyło mnie. Marshalsea było więzieniem za długi i tylko garść więźniów odbywała tu karę za inne przestępstwa.

– A jak sądzisz, za co?

Wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Bunt? Piractwo? Sodomia...

– Długi. Siedzę za długi.

– Skoro pan tak mówi. – Mrugnęła i wróciła do paleniska.

Skończyłem list do Charlesa, w którym wyjaśniałem, w jakiej znalazłem się sytuacji. Nie wiedziałem, czy będzie mógł mi pomóc. Pieniądze, które mi pożyczył, były teraz wydawane gdzieś w St Giles – i jestem pewien, że nie w taki sposób, który by zaaprobował. Zapytałem, czy mógłby porozmawiać ze swoim patronem, chociaż wątpiłem, żeby sir Philip był skłonny mi pomóc. Kiedy skończyłem, zawołałem przez okno Benjamina i zapłaciłem mu pensa, żeby zaniósł list do St James.

Potem nie miałem już nic do roboty. Czekałem tylko, aż wróci Gilbert Hand z informacją o moim zakwaterowaniu. Kiedy tak siedziałem, w drzwiach pojawił się kapelan więzienny; mimochodem przywitał się z panią Bradshaw i bez tchu pokuśtykał do krzesła przy kominku. Był to wielki mężczyzna o capiej twarzy, co utrudniało oszacowanie jego wieku, tym bardziej, że nosił długą perukę w staromodnym stylu. Pięćdziesiątka, pomyślałem. Gruby wałek tłuszczu trząsał mu się nad skrajem apaszki, poźółkły od wieku i potu. Jego czarna kamizelka i żakiet fatalnie wyblakły i prosiły się o krawca – domyślałem się, że bardziej z roztargnienia niż z biedy, bo kapelusze i laska były nowe i dobrej roboty. Przypominał mi mojego starego nauczyciela teologii ze szkoły; wyglądał na równie roztargnionego i – kiedy się mu przyjrzeć – równie nabożnie oddanego portwajnowi.

Już miałem się przedstawić, kiedy niespodziewanie wyciągnął Biblię, włożył na nos okulary i zaczął spisywać swoje przemyślenia w małym notatniku. Biblia w kawiarni? Tak się nie robi. Nachmurzyłem się na tę zniewagę i wróciłem do swojej kawy. Po chwili pani Bradshaw odłożyła robótkę i podeszła do mnie ze świeżą

filizanką, przeciskając się między stołami. Może i miała długi, ale na pewno nie głodowała. W ogóle nie wyglądała na więźniarkę. Roześmiała się, kiedy jej to powiedziałem.

– Jestem tutaj od sześciu lat – powiedziała, obracając z zadumą wazonik z kwiatami. – Zadłużyłam się na pięćdziesiąt funtów i wyjadę stąd w skrzyni, nadal będąc dłużna. Nie mam co do tego wątpliwości. – Wzruszyła ramionami. – Teraz to mój dom. Mogę wychodzić i wracać kiedy zechcę, póki nie spóźnię się na porę zamykania. Tak samo jest z Careysami i McDonnellsami. Prowadzą na piętrze Cycatą Pannę, restaurację ze stekami. Powiedz Mackowi, że znasz Moll, a da ci lepsze kawałki. Och! Zapomniałam! – Wyczarowała kopertę z obszernej spódnicy i włożyła mi do ręki pół gwinei. – Musi cię lubić, panie Hawkins. Nie wiedziałam, że Moll daje pieniądze za nic.

Schowałem monetę. Wątpię, żeby dano ją za darmo – Moll wcześniej czy później upomni się o swój dług – ale i tak byłem za to wdzięczny. Skinąłem głową w stronę koperty.

– Co napisała?

Pani Bradshaw położyła list przed sobą, rozparła się i zmrużyła oczy.

– „Proszę, zaopiekuj się moim przyjacielem, uczciwym dżentelmenem w tarapatach” – przeczytała, małpując niski, rozkazujący ton Moll. – „Jest wysokim, przystojnym chłopcem, ma brązowe brwi, niebieskie oczy i zgrabne łydki”.

Przez chwilę oboje przyglądaliśmy się moim nogom, potem razem się roześmialiśmy.

– Co pani o tym sądzi, madame? – zawołała pani Bradshaw do skromnej starej kobiety, mamroczącej coś do siebie w ciemnym kącie. Ubrana była na czarno i biało, jak żywa szachownica: białe włosy przebite czarnymi grzebieniami i związane ciągiem czarnych wstążek; twarz upudrowana, biała jak kość, czarne welwetowe muszki niedokładnie pokrywające stare dzioby po ospie. Kropelki śliny przywarły do kącików jej wąskich szarych warg.

Nachyliła głowę i przyjrzała mi się zimnymi czarnymi oczami, jak kruk, który ma zamiar wyciągnąć robaka z ziemi. Potem zadrżała i ściślej owinęła czarnym koronkowym szalem kościste ciało.

– *Pas beau* – powiedziała drwiąco. – *Il est trop pale. Comme un fantome.*

Co tam gadasz, stara wywłoko, pomyślałem.

Pani Bradshaw odchyliła się w krzesło i uniosła brwi pod adresem Kitty, która siedziała przy kominku i mocno podrzucała na kolanach chłopczyka, piszczącego z zadowolenia i ze strachu. Ku memu zdumieniu Kitty natychmiast przetłumaczyła:

– Zbyt blady. Jak duch.

– Duch? Cóż... ona chyba wie, o czym mówi. – Pani Bradshaw rozejrzała się z niepokojem, jakby w powietrzu roіło się od duchów, które nie miały nic lepszego do

roboty, jak przysłuchiwać się pogwarce. – Madame Migault jest wróżką, panie Hawkins. Może przepowiedzieć ci przyszłość, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję, madame – powiedziałem; wolałem samemu budować swoją przyszłość i nie dać kościstej starej wiedźmie bredzić o niej w zagadkach. – Nie jestem zwolennikiem wróżb.

– Dobrze powiedziane, sir. – Kapelan, który nadal siedział przy kominku, z trzaskiem zamknął Biblię. – Tylko Bóg we własnej Osobie zna naszą ścieżkę na tym świecie. Reszta to robota diabła. – Zdjął okulary i popatrzył przez pokój; krzyknął ze strachu, kiedy mnie zobaczył. – Wielki Boże! – zawołał, podnosząc się z krzesła. Krew odpłynęła mu z twarzy, która przybrała niezdrowy kolor łoju. – Czy to... czy pan...?

– Kapitan Roberts wrócił zza grobu? Nie, sir – uśmiechnąłem się, ale tylko zwiększyłem jego przerażenie. Pospiesznie się przedstawiłem, zanim biedaczyna zemdlał ze strachu, i wyjaśniłem, że przybyłem dopiero dziś rano.

Kapelan wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z twarzy. Ręka mu się trzęsła.

– Oczywiście. Proszę o wybaczenie. – Słabo się roześmiał, skóra na szyi lekko mu się zatrzęsła. – Teraz, kiedy lepiej się przyjrzałem... to tylko przelotne podobieństwo.

Madame Migault zarechotała do siebie.

– *Pauvre monsieur Woodburn*. Myśli, że zobaczył ducha.

Pani Bradshaw rzuciła jej ostre spojrzenie i odsunęła krzesło.

– Proszę, niech pan siada, sir – powiedziała, szeroko otwierając okno z próżnym zamiarem wpuszczenia świeżego powietrza do pokoju. – Nieźle go pan nastraszył, panie Hawkins. – Zacząłem przeproszać, ale pani Bradshaw poklepała mnie po ramieniu. – Nie twoja wina, że wyglądasz jak nieboszczyk – powiedziała łaskawie. – A więc już słyszałeś tę historię, prawda?

– Spotkałem wdowę po nim.

– Hm. – Skupiona pani Bradshaw miała wyraz twarzy kobiety, której nie udało się – celowo – ukryć niechęci. – Biedna Catherine – powiedziała.

– Powiedziała mi, że jej męża zamordowano.

Pani Bradshaw pokiwała głową.

– Koszmarna sprawa. To ci było zamieszanie, prawda, panie Woodburn? Człowiek wyciągnięty z łóżka i zabity – i nikogo nie złapano. Kto może powiedzieć, że to się znowu nie zdarzy? – Skorzystała z okazji, żeby położyć dłoń na moim kolanie. – Tutaj musi pan spać z bronią w ręku, panie Hawkins.

Dobra rada, na pewno, ale ostrze odebrano mi poprzedniej nocy. Przez chwilę znowu czułem jego chłodny, twardy nacisk na gardle i wagę sakiewki, gładką skórę przyciśniętą do ciała. Byłem tak blisko wolności... Cóż – przynajmniej żyję, czego nie można powiedzieć o kapitanie Robertsie.

– Koroner powiedział, zdaje się, że to samobójstwo?

– Został zamordowany – wymamrotał Woodburn prawie do siebie.

– Hm, jaka szkoda, że sąd nie zgodził się z panem – odezwała się pani Bradshaw. – A wie pan, co zrobili z jego ciałem, panie Hawkins?

– Tak, wiem. – Wszyscy wiedzieli, co się dzieje z trupami tych, którzy popełnili samobójstwo. To nie było przyjemne. – Po prawdzie, to naprawdę wolałbym nie...

– Pochowali go na skrzyżowaniu z kołkiem wbitym w serce – powiedziała pani Bradshaw z pewnym upodobaniem, waląc się pięścią w obfitą pierś. – Nawet bez trumny dla ochrony jego biednego ciała przed robakami. A teraz jego duch nawiedza więzienie, nie ma spoczynku. Pan Jenings, nocny strażnik, widział, jak stał przy domu nadzorcy w środku nocy, cały blady i brudny, z pętlą nadal owiniętą wokół szyi. A pani Carey przysięga, że słyszała kroki i straszne jęki pod oknem sklepu ze świecami, ale kiedy wyjrzała, nikogo tam nie było. Boję się chodzić nocą po dziedzińcu, bo mógłby nagle wyłonić się z ciemności...

– Wystarczy! – ryknął Woodburn, aż pani Bradshaw podskoczyła i zamilkła. Jęknął cicho. – Proszę o wybaczenie – wymruczał. – Nie jestem w stanie o tym myśleć...

Pani Bradshaw poklepała go po ramieniu, najwyraźniej zachwycona dramatem.

– Pan Woodburn widział ciało – powiedziała scenicznym szeptem nad ramieniem kapelana. – Znaleźli je wiszące w karczerze po stronie dla pospólstwa, całe obite i zakrwawione. Ledwie go rozpoznali, prawda, sir?

Woodburn cicho zaszlochał i przycisnął chusteczkę do ust.

– Boże, daj wytchnienie jego duszy – wyszeptał.

Pani Bradshaw znowu poklepała go po ramieniu.

– Człowiek nie obija się na czarno i sino, zanim się powiesi, prawda, panie Hawkins?

Zmarszczyłem brwi.

– Mam nadzieję, że pani Roberts odkryje prawdę dla jej własnego dobra. – Jako wdowa po samobójcy będzie odrzucona przez przyzwoite towarzystwo. Poczuję przypływ litości dla dumnej młodej kobiety, która uratowała mnie dziś rano przed Josephem Crossem. Jej reputacja została zrujnowana bez jej winy. – Czy podejrzewa kogoś szczególnie?

Pani Bradshaw roześmiała się.

– Och, my wszyscy kogoś szczególnie podejrzewamy. – Śmiech zamarł jej na ustach, rozejrzała się z niepokojem. Na chwilę utkwiała wzrok w Kitty, służącej, która nadal bawiła się z chłopczykiem przy kominku. Zniżyła głos. – Kapitan Roberts miał w pokoju towarzysza. Był tam w noc morderstwa, leżał tuż obok na łóżku, zaledwie kilka kroków dalej. Mówi, że niczego nie słyszał... utrzymuje, że przez cały czas spał. Ale diabeł nigdy nie śpi, prawda? Jak to idzie...

Słowa świętego Piotra pojawiły się, nieproszone, w mojej głowie.

– „Bądźcie trzeźwi, czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, chodzi wokoło jak lew ryczący, szukając, kogo by pochłonać”<sup>[1]</sup>.

Kiedy się odwróciłem, kapelan gapił się na mnie, a usta ze zdumienia złożone miał w „o”.

– Lew ryczący? – pani Bradshaw pociągnęła nosem. – Raczej jak syczący wąż, pełzający wokół, przyglądający się tymi swoimi paskudnymi czarnymi oczami.

Musiało chodzić o Samuela Fleeta; niespokojnie poruszyłem się na krześle.

– Pani Bradshaw – powiedział z wyrzutem Woodburn. – Nie może pani oskarżać człowieka o morderstwo tylko dlatego...

– To nie człowiek – krzyknęła. – To demon!

– O co chodzi? – zawołała Kitty z drugiej strony pokoju. – Mówicie o panu Fleecie?

– Panie Woodburn – zagadnąłem cicho. – Wierzy pan w to?

Westchnął i pokręcił głową.

– Nie wiem. Ale obawiam się, że on jest zdolny do najgorszych przestępstw. – Wytrzymał mój wzrok. – Najgorszych.

Już miałem odpowiedzieć, kiedy z dziedzińca dobiegł straszny krzyk. Sekundę później jeden z chłopców Gilberta Handa wpadł do pokoju.

– Co się dzieje, Jim? – ostro zapytała Kitty.

– Wzięli Jacka Cartera! – odpowiedział chłopiec, przeskakując z nogi na nogę pod wpływem strachu i podniecenia. – Spadł z muru podczas próby ucieczki!

Kitty przepchnęła się obok nas do okna. Dołączyłem do niej, bardziej z ciekawości niż z niepokoju i zobaczyłem, jak Joseph Cross ciągnie małą kupkę gałganów na środek dziedzińca. Wysoki mężczyzna o szerokich barach, w czarnych spodniach i jasnoczerwonej kamizelce kroczył za nimi, trzymając żakiet w mięsistej dłoni. Więźniowie i strażnicy schodzili mu z drogi, rozbiegali się po odległych zakamarkach dziedzińca. W kilka chwil park opustoszał.

Tylko jedna osoba mogła mieć taką władzę w więzieniu. Spojrzałem na Kitty.

– Pan Acton – mruknęła. Na jej twarzy malowała się nienawiść.

Woodburn uniósł się trochę z krzesła i założył okulary, zanim wyjrzał przez okno.

– Pijany – westchnął i znów usiadł, chowając okulary do kieszeni. – To się źle skończy dla Jacka.

Kitty odwróciła się i spojrzała na niego ze złością.

– Więc zrób pan coś!

Kapelan potarł się po karku.

– Nie posłucha mnie – wymamrotał. Wyglądał na zawstydzonego.

Na zewnątrz, w parku, Cross cisnął więźnia na ziemię. Chłopiec głośno krzyknął z bólu i złapał się za kostkę. Wyglądała na złamaną.

– Och, proszę! O Boże! – szlochał chrapliwym głosem, czołgał się po ziemi i rozpaczliwie rozglądał się po oknach. – Proszę! Niech mi ktoś pomoże!

Acton powiedział coś do Crossa i obaj się roześmieli.



– To tylko chłopiec – powiedziałem wstrząśnięty.

– Ma trzynaście lat – wyszeptał Woodborn w stronę podłogi. – Trzynaście.

Acton rzucił żakiet Crossowi i zaczął podwijać rękawy. Wiedziałem, co nastąpi dalej.

– Dobry Boże – powiedziałem roztrzęsionym głosem. – Nie będzie... nie może...

Acton wyjął krótki, twardy bicz zza pasa, okrutne narzędzie do zapędzania bydła. Wystarczyło, żeby oderwać ciało od kości małego chłopca.

Kitty tak mocno złapała mnie za ramię, że mało nie krzyknąłem, ale nie odwróciła wzroku.

Acton schwycił chłopca za ramię i postawił go na kolanach.

Uniósł bicz.

Chwila ciszy.

Bicz opadł. I znowu. I znowu.

Chłopiec krzyknął, podniósł ręce, żeby się obronić.

Fala współczucia rozeszła się po pokoju, ale nikt się nie ruszył. Chłosta przedłużała się bezlitośnie. Słyszałem, jak Acton cicho pojękiwał z wysiłku. Od czasu do czasu przerywał, żeby otrzeć rękawem pot z czoła. Stopy postawił trochę bliżej. I znowu zaczął.

Woodburn zakrył twarz rękami.

Krzyki chłopca zamieniły się w kwilenie, potem ucichły, a ciosy padały nadal.

Ludzie powoli, bez słowa, odeszli od okna. Została tylko Kitty, ściskając mnie za ramię. Wbijając palce za każdym uderzeniem, jakby rozrywało jej własną skórę. Łza spłynęła jej po policzku.

„Musisz działać, powiedział jakiś głos w mojej głowie. Musisz coś zrobić. To tylko dziecko, a on zachłoscze je na śmierć na twoich oczach”.

Teraz chłopiec na czworakach czołgał się po ziemi, Acton podniósł bucior i silnie nadepnął mu na plecy.

– Henry! O Boże, nie! – krzyknęła Kitty, przywracając mi świadomość. Jej maleńki podopieczny – pozostawiony sobie w zamieszaniu – wyszedł z kawiarni i teraz dreptał przez dziedziniec w stronę Actona i bicza, z rozpostartymi ramionami i chichotem.

Zanim zdążyłem pomyśleć, żeby ją zatrzymać, Kitty puściła moje ramię i pobiegła za nim. Pani Bradshaw rzuciła się przed drzwi.

– Kochanie, nie powstrzymasz go! Tylko narobisz sobie kłopotów.

– To tylko małe dziecko, Sarah – syknęła Kitty. – Myśli, że to zabawa, nie widzisz? Myśli, że się bawią!

Przepchnęła się obok pani Bradshaw i pognęła na zewnątrz.

Chwilę później, nie myśląc, puściłem się w pogoń za nią.

Co mnie napadło? Zastanawiam się do dzisiaj. Stałem w kawiarni, a chwilę potem byłem poza nią, budynki więzienia kręciły się wokół mnie jak karuzela, krew szumiała

mi w uszach. Kitty wybiegła, ja za nią, jakby łączył nas jakiś łańcuch.

Niektórzy mężczyźni są mądrzy. Niektórzy mężczyźni są tchórzami. W niebezpiecznych czasach i ci, i tamci trzymają się z tyłu i mocno się zastanowią, zanim zaczną działać. Tchórz pozwoliłby Kitty skonfrontować się z Actonem i przełknąłby wstyd, że nic nie zrobił. Mądry człowiek zrozumiałby, że Kitty nie potrzebuje pomocy – próbowała tylko złapać Henry'ego, zanim zobaczy krwawy, okrutny akt, którego żadne dziecko nie powinno oglądać.

Więzienie nauczyło mnie wielu rzeczy o mnie samym, a to była moja pierwsza lekcja, której się nie spodziewałem: nie mogłem trzymać się z dala i patrzeć, co się dzieje. Musiałem coś zrobić, bez względu na konsekwencje. Te kilka kroków z kawiarni na dziedziniec zmieniły moje życie na zawsze. Wyszedłem z tłumu widzów i zająłem miejsce na scenie. Albo na podeście szubienicy. Może tak lepiej to zabrzmie.

Wszystkie oczy w więzieniu skierowane były na nas.

Mały Henry był tylko o kilka kroczków od Actona, który nadal smagał uciekiniera biczem, a Cross patrzył. Kitty krzyknęła, żeby Henry się zatrzymał, wrócił do środka i bawił się z nią, ale on nadal dreptał w ich stronę, gaworząc do siebie i tupiąc nóżkami o bruk.

Kitty nie dobiegłaby do niego w porę. Rzuciłem się naprzód, objąłem ją ramionami w talii i odciągnąłem. Wrzasnęła, skopała mi golenie, biła mnie pięściami po rękach.

– Puść mnie! Puść mnie, niech cię diabli!

– Zamknij oczy – wyszeptałem jej stanowczo do ucha. – Nie patrz.

Osunęła się na mnie, pokonana, ale nie odwróciła się.

Byłem już tak blisko, że dobrze widziałem Actona. To nie był człowiek, z którym można by dyskutować. Bił dziecko na śmierć, a mimo to jego twarz była bez wyrazu, bez złości, bez przyjemności, po prostu zawzięty człowiek wykonujący swój zawód.

Henry podreptał bliżej, rozłożył ramiona. Wstrzymałem oddech.

– Tata!

Acton odwrócił się z biczem wzniesionym wysoko. Przez chwilę myślałem, że smagnie nim chłopczyka. Ale nie, twarz mu się zmieniła, rozjaśniła z zadowolenia.

– Henry! – krzyknął. – Na mą duszę! Skąd się tu wzięłeś? – Rzucił bicz na ziemię i podniósł chłopczyka do góry, żeby posadzić go mocno na barana. Henry pisnął i roześmiał się, schwycił perukę ojca tłustymi paluszkami

– To jego syn? – szepnąłem.

Kitty pochyliła głowę.

– Nie chcę, żeby to widział – wyszeptała.

– Jest za mały, żeby zrozumieć. Nie zapamięta.

– Modłę się do Boga, żeby miał pan rację.

Wziąłem ją za rękę i powoli wycofałem się w stronę kawiarni.

– Niech pan zostanie, gdzie pan jest, sir – warknął Acton, zdejmując syna z barków.

Spojrzał na swojego zastępcę. – Kto to taki?

Cross nachmurzył się.

– Hawkins. – Dotknął ręką opuchniętej szczęki. – Ten, o którym panu mówiłem.

Acton wyjął chusteczkę z kieszeni i wytarł krew i pot z dłoni. Miał mięsistą, ospowatą twarz i mocną szczękę burdelowego wykidajły, ale jego przenikliwe niebieskie oczy były inteligentne i mądre. Obejrzał mnie od stóp do głów. Podeszedł bliżej dumnym krokiem, aż poczułem jego oddech na twarzy, gorący, cuchnący alkoholem. Na koszuli miał plamki krwi.

– Hawkins. – Wypluł moje nazwisko, jakby nie odpowiadał mu jego smak. – Dlaczego uderzyłeś mojego strażnika?

Za nami jego ostatnia ofiara, zwinięta na ziemi, dygotała z lekka. Mocno przełknąłem ślinę.

– Bo jest dupkiem, sir.

Acton zamrugał z zaskoczenia. A potem – dzięki Bogu – ryknął śmiechem

– Tak, to prawda! – zgodził się i znowu się roześmiał.

Z ulgi omal nie ugięły się pode mną kolana.

– Dlaczego pobiegłeś za moim chłopcem?

Henry rzucał kamyki na ziemię, nieświadomy dramatu, który rozgrywał się nad jego głową. Teraz widziałem w nim jego ojca. Ta sama kwadratowa twarz, te same szerokie, pełne usta.

– Obawiałem się, że zrobi sobie krzywdę, panie Acton.

Acton chrząknął z zadowoleniem.

– W Marshalsea Henry wszędzie jest bezpieczny – powiedział, odwijając rękawy i podnosząc bicz. – Ale jestem wobec pana zobowiązany. Zawsze chętnie witam prawdziwego dżentelmena w moim zamku. – Chwycił mnie za rękę i energicznie nią potrząsnął.

Popatrzyłem na moją dłoń w jego dłoni i żołądek mi się skurczył.

– Dziękuję, sir.

Acton wskazał na budynek przy wartowni.

– Jutro wieczorem musi pan przyjść do mnie i gubernatorowej na kolację.

Cross zaczął protestować, w gniewie ściągnął gęste brwi, ale Acton uciszył go jednym gestem. Wskazał na ciało leżące na ziemi.

– Zamknij małego Cartera w karczerze. Łańcuchy i kołnierz. Dokręć śruby, panie Cross. Niech to będzie przestroga dla naszych gołąbków, co się stanie, kiedy spróbują odfrunąć. – Popatrzył na więzienne kwatery, na wszystkie pobladłe twarze, patrzące z góry na spektakl, i cicho się roześmiał. Potem wziął Henry'ego za rączkę i poszedł w stronę pubu.

Ledwie Acton odszedł, Kitty podbiegła do Jacka Cartera i objęła go ramionami. Miał obrzmiałą twarz, koszulę w strzępach, przesiąkniętą krwią. Byłem pewien, że ma

połamane żebra – ciała było na nim tak małe, że nie mogło osłabić ciosów Actona. Wyglądało to źle, bardzo źle. Słabo uniósł głowę, zatrzepotał rzęsami.

Cross odepchnął mnie na bok i stanął nad Kitty. Jego cień padał na jej twarz.

– Rusz się, latawico. Słyszałaś pana Actona, on ma iść do karceru.

Kitty mocno schwyła chłopca.

– Tylko spróbuj, Josephie Cross – warknęła. – Wyrwę ci oczy z głowy i wsadzę je w dupę.

Cross zamrugał, rzucił jej ponure spojrzenie pełne szacunku.

Z kawiarni wyszedł Woodburn, gotów do pomocy teraz, kiedy Acton odszedł.

– Daj spokój, Josephie – powiedział łagodnie. – Najpierw opatrzmy chłopaka, co? Może sprowadzić pielęgniarkę...?

– To miłe z pańskiej strony – zakpił Cross. – Zapłaci jej pan za pracę?

– Ja się nim zajmę – powiedziała stanowczo Kitty. Już badała swojego pacjenta, naciskała palcami i sprawdzała zapadniętą klatkę piersiową.

Cross spojrział za siebie, w stronę wartowni.

– Gubernatorowi się to nie spodoba.

– Gubernatorowi się to nie spodoba – przedrzeźniała go Kitty. – Nie potarłbyś własnego kutasa, zanim nie poprosiłbyś go o pozwolenie, prawda?

Strażnik roześmiał się wbrew sobie.

– Daj spokój, zabierz go, jeśli musisz – powiedział, wzruszając ramionami. – Wrzuci się go do karceru, jak tylko go opatrzysz.

Podniosłem chłopca, położyłem jego rękę na moim ramieniu, żeby miał się o co oprzeć. Wstając, krzyknął z bólu.

– Ma złamaną kostkę – powiedziała Kitty. – Co ty sobie myślałeś, Jack?

Opadł mocniej na moje ramię.

– Acton zobaczył, jak wspinałem się na mur. Kazał im przeciąć linę.

– Możemy się nim zająć w kaplicy – powiedział Woodburn, wskazując dom obok pałacu sądu. – Kitty, pobiegnij po wodę.

– To teraz jestem pańską służącą, sir? – mruknęła, ale zrobiła, co jej powiedziano.

Woodburn wziął Jacka pod drugie ramię i razem go podnieśliśmy. Chłopiec był taki chudy, że z łatwością mógłbym ponieść go sam, ale teraz, kiedy Actona nie było, kapelan rozpaczliwie chciał pomóc.

– To było odważne z pańskiej strony, panie Hawkins – powiedział, kiedy szliśmy do kaplicy.

Nachmurzyłem się, wspominając uwagę Samuela Fleeta w pubie. Czy byłem odważny? Czy po prostu głupi? Czy w takim miejscu jak to jest między tymi sprawami różnica?

Myśląc o Fleecie instynktownie odwróciłem się i spojrzałem w okno baru. Był tam, przyglądał nam się z góry, wychylony z balkonu. Kiedy spojrzeliśmy sobie w oczy,

uśmiechnął się i zaklaskał w dłonie, jakby to wszystko było urządzonym dla niego przedstawieniem. Oklaski rozeszły się echem po pustym dziedzińcu.

– Patrz pan na niego. – Woodburn zacisnął szczęki. – Nikczemny wróg. Boże, przebacz mi, ale skreśliłbym mu kark, gdybym miał okazję.

# Rozdział 5

**K**aplica była cicha i czysta, miała gładkie, otynkowane białe ściany i wielkie okno wychodzące na dziedziniec. Woodburn rzucił czysty koc na podłogę przy ołtarzu, a ja ostrożnie położyłem na nim Jacka. Kiedy go kładłem, czułem, jak drży.

– Biedny chłopiec – westchnął Woodburn. Usiadł na najbliższej ławce i pochylił głowę do modlitwy.

Jack lekko się zatrząsł i zakaszłał. Cienka strużka krwi wypłynęła mu z ust. Miałem nadzieję, że Woodburn modli się za duszę Jacka – na resztę było za późno. Łzy napłynęły mi do oczu. Trzydzieści lat. Otarłem łzy i uklęknąłem obok Jacka, zastanawiając się, jak, u licha, wplątałem się w to wszystko. Innego dnia i w innym nastroju Acton kazałby mnie zakuć w łańcuchy albo zbił tak samo, jak zbił Jacka – i kto przybiegłby mi z pomocą?

Jack sięgnął po moją rękę.

– Ben. Gdzie jest Ben...?

Przyszła Kitty z miską gorącej wody i z kordialem. Odsunęła mnie, zdjęła brudne łachy Jacka i zbadała jego rany tak szybko i sprawnie, aż się zdziwiłem. Był tak brudny, że nie widać było sińców, ale kiedy obmyła go do czysta gorącą wodą, ukazały się wyraźne ślady brutalności Actona. Grube czerwone pręgi krzyżowały się na jego ciele, głębokie rany sięgały prawie do kości.

Kitty umyła go, jak tylko się dało i przytknęła mu do ust butelkę z kordialem.

– Tylko kilka łyków, Jack. – Łagodnie dotknęła jego włosów.

– To twój przyjaciel, Kitty?

Skinęła głową, odstawiając kordialem na bok.

– Prał prześcieradła po stronie dla dżentelmenów, póki nie dostał gorączki. Potem wrócił za mur. – Przejechała dłonią po zmaltretowanym ciele chłopca i spojrzała na Woodburna, nadal modlącego się z opuszczoną głową.

– Popatrz – szepnęła, dotykając zielonych i żółtych sińców, malujących się na piersi Jacka jak państwa na mapie. – To od wcześniejszych pobić.

Przyjrzałem się chłopcu dokładniej. Kitty miała rację; jasnoczerwone rany od bicia Actona były punktem kulminacyjnym historii, która rozgrywała się od wielu tygodni. Jack został tak mocno sponiewierany i pobity, że został mu może cal czystej skóry. Nic dziwnego, że próbował uciec.

– Dlaczego mu to zrobili?

– Narobił sobie kłopotów u Johna Grace'a, urzędnika Actona – powiedział Woodburn. Siedział zgarbiony w ławce, prawie tak samo blady jak chłopiec.

– Kłopotów? – rzuciła się na niego Kitty. – Jego matka umierała z głodu w

lazarecie! Zostawili ją leżącą we własnych odchodach, bez koców, bez łóżka. Bez niczego. Jack tylko poprosił o to, co mu się należało. Po prostu odrobinę miłosierdzia.

Woodburn zachnął się, a potem mocno poczerwieniał.

– Uważaj na to, co mówisz, dziewczyno – krzyknął, wstając z ławki. – Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby pomóc Jackowi i jego rodzinie. Rozmawiałem z panem Grace'em i panem Actonem niezliczoną ilość razy.

– Niewiele to pomogło – warknęła Kitty.

Woodburn spojrział na nią ze wściekłością.

– To wpływ Samuela Fleeta – powiedział, mrużąc oczy. – Pani Roberts powiedziała mi, że spędzasz za dużo czasu w jego towarzystwie...

Kitty przycisnęła rękę do piersi.

– Żałuję, sir – powiedziała, a jej ton wyrażał skrucę. – To tylko... wstrząs... na widok biednego Jacka...

Omal się nie roześmiałem, tak słabo było to zagrane. Ale Woodburn dał się nabrać. Pogłaskał ją po głowie, zapomniał o Fleecie.

– Masz dobre serce, Kitty. Musimy tylko utemperować twój charakterek, co? Sir, dziękuję panu – powiedział, lekko mi się kłaniając. – Jeśli pan tu zostanie, rzucę słówko Actonowi na temat karceru. Może zmienię jego zdanie.

Poszedł chwiejnym krokiem przejściem między ławkami i cicho zamknął drzwi za sobą. W kaplicy przez chwilę panowała cisza.

– Świątobliwy kutas – powiedziała Kitty, wycierając rękę.

Nawet Jack rozpromienił się, słysząc te słowa.

Skinąłem głową w stronę zabandażowanej kostki chłopca.

– Nieźle z tym sobie poradziłaś.

– Mój ojciec był lekarzem – powiedziała Kitty bez zastanowienia, potem drgnęła, jakby zaskoczyło ją to wyznanie. Odwróciła się i zaczęła ścierać krew z podłogi kaplicy.

Jack był już umyty i zabandażowany, niewiele więcej mogliśmy dla niego zrobić, ale z niechęcią myśleliśmy o wezwaniu pomocy. Gdy tylko opuści kaplicę, zostanie zakuty w łańcuchy i zamknięty w karcerze dla pospólstwa. Kitty niewiele mówiła o tym miejscu, poza tym, że pan Acton to drań, bo go tam posłał.

Siedzieliśmy obok siebie na ławce; niewiele mówiliśmy. Czuję się otępiąły, to, co widziałem, dopiero teraz odezwało się we mnie z całą siłą. Kitty drżała, walcząc ze łzami. Jack znów stracił przytomność.

– Może przeżyje – powiedziałem.

– Nie. Nie przeżyje. – Zdjęła czepek i rozpuściła włosy, rude loki opadły jej na ramiona.

– Pytał o kogoś, kto ma na imię Ben.

– To jego brat. Jest ich dwóch. Ich matka umarła na więzienną gorączkę kilka

miesiący temu. – Zakryła twarz rękami.

Po schodach zszedłem na dziedziniec. Było późne popołudnie i słońce wisiało nisko nad bramą wartowni, rzucając długie cienie. Woodburn siedział na ławce przy drzwiach kaplicy; dźgał końcem laski chwasty wyrastające spomiędzy brukowców. Był rozkojarzony, najwyraźniej rozmowa z Actonem nie poszła mu dobrze. Co do reszty parku, było tak, jakby nic się nie stało. Pod portykiem sądu wrócono do gry w kręgle, a Gilbert Hand znów był na swoim stanowisku przy słupie latarni pośrodku dziedzińca.

– Ależ parafia, co? – powiedział Woodburn, pocierając skronie. – Jak myślisz, jeśli będę się bardzo gorąco modlił, Pan zlituje się i przeniesie mnie do Mayfair? – Przełożył palec przez dziurę w żakiecie. – Prawda jest taka, że nie zamieniłbym się za nic w świecie. Tu jest tyle dobrej pracy do zrobienia. Tyle dusz do uratowania. – Wstydliwie uniósł wzrok. – Panie Hawkins, czy to brzmi głupio? Obawiam się, że wśród kleru obecnie nie jest modne mówienie o duszach.

Uśmiechnąłem się, rozumiałem to lepiej, niż myślał. W Oksfordzie spędziłem trzy lata na studiach, żeby wejść w szeregi duchowieństwa. Trzy lata wstawania o świcie na modlitwę, codzienne seminaria z klasyków, teologii i logiki. Długie godziny spędzone w ławce, na tłumaczeniu greki na łacinę i łaciny na angielski, a potem pędem do kościoła na wieczorną modlitwę... i wreszcie do łóżka. Niestety, właśnie w przerwie pomiędzy „wieczorną modlitwą” a „wreszcie do łóżka” byłem wodzony na pokuszenie i absolutnie zawiodłem. Gdyby tylko Bóg sprawił, że dzień składałby się z mniejszej liczby godzin. I gdyby nie wymyślił bliźniaczek.

– No cóż. Muszę wezwać lektykę, żeby mnie zanieśli do domu – powiedział Woodburn, z pomocą laski dźwigając się z ławki.

Wstałem i ukloniłem się. Szczęściarz. Wchodzi i wychodzi, kiedy zechce.

Odchrząknął.

– A zobaczę pana w niedzielę w kaplicy, sir?

– Oczywiście – powiedziałem i zobaczyłem, jak twarz pojaśniała mu z zadowolenia. Od miesiący nie chodziłem do kościoła, ale nic mi się nie stanie, jeśli będę miał kapelana po swojej stronie.

– Prawdę mówiąc, studiowałem w Oksfordzie teologię...

– Naprawdę? – Woodburnowi zalśniły oczy. Przypuszczałem, że tak się zachowa. – Zawsze o tym marzyłem. Niestety, czesne... Ale nie wstąpił pan do stanu duchownego?

Zwiesiłem głowę.

– Obawiam się, że sprowadzono mnie na manowce. – Sam się sprowadziłem.

– Ach... – Woodburn pokiwał głową ze zrozumieniem. – Cóż... zawsze jest dla ciebie nadzieja. Dobry Bóg kocha synów marnotrawnych.

Tak... podobnie jak dobroduszni starzy kapelani. Złowiłem go na to; mogłem to zobaczyć w jego oczach. Żaden uczciwy duchowny nie oprze się skruszonemu grzesznikowi. Tym bardziej skruszonemu studentowi teologii. Na pewno już marzył o



długich wieczorach przy kominku, o dyskusjach na temat subtelnych zagadnień teologicznych i powolnym, ale nieustannym wyciąganiu mojej duszy znad skraju potępienia. Nieomal czułem się winny, że go tak zwodzę. Nieomal.

Woodburn założył kapelusz.

– Wiesz, myślę, że był powód, że się tu znalazłeś – powiedział cichym, poważnym głosem. – Bóg ma wobec ciebie plany, panie Hawkins. Jestem tego pewien.

Kapłan poszedł, a ja zostałem, patrząc z gniewną podejrzliwością na ciemniejące niebo, na powoli przepływające szare chmury.

– Cóż, Pan może wybrać kogoś innego – wymamrotałem.

Po moim spotkaniu z panem Actonem tęskniłem do jakiegoś spokojnego miejsca, żeby się schować i dojść do siebie, ale w Marshalsea nie było samotnych miejsc; nie było ucieczki przed zaciekawionymi spojrzeniami. Wróciłem na ławkę Fleeta przy wartowni i zamknąłem oczy, sięgając myślą za więzienne mury, jak ptak uwolniony z klatki. Przez chwilę nie siedziałem zamknięty w więzieniu – znalazłem się w Suffolk, biegłem brzegiem w stronę Oksfordu i morza, na skórze czułem świeży i chłodny wiatr, powietrze miało smak soli.

– Panie Hawkins. – Otworzyłem oczy. Zawisła nade mną chuda, blada twarz, zimne niebieskie oczy przyglądały mi się spoza okularów. – Dwadzieścia funtów, dziesięć szylingów i sześć pensów?

Zamrugąłem, nie wiedząc, jakiej odpowiedzi spodziewa się po mnie.

– Cóż... tak. Dziękuję, że mi pan przypomniał, panie...?

– John Grace.

– Ach! – Aż skoczyłem. – Oczywiście, urzędnik pana Actona. Ma pan dla mnie pokój?

– Główny urzędnik głównego nadzorcy. I główny rządca – odparł Grace i odwrócił się na pięcie.

Poszedłem za nim przez park, minęliśmy kwatery więzienne obok wartowni. Prowadził mnie w stronę wschodniego muru – i najbiedniejszych kwater.

Przeszliśmy obok kawiarni, gdzie zaledwie przez godzinę Acton zbił Jacka Cartera. Świeże plamy krwi błyszczały na bruku. Grace przeszedł między nimi.

– Przeszedł pan z pomocą temu chłopcu – powiedział przez ramię. Miał pozbawiony wyrazu, pusty sposób mówienia, równie ciepły i ludzki jak skrzywienie drzwi. – Strata czasu i pieniędzy.

Z wściekłością popatrzyłem na jego plecy.

– Wątpię, żeby przeżył noc.

– Istotnie – odparł Grace bez śladu zainteresowania. – Jego matka była winna pięć funtów, trzy szylingi i cztery pensy. Nie żyje.

Grace znalazł – na pewno nie bez trudu – łóżko w najskromniejszym pokoju, w najpodlejszym oddziale, w najgorszym budynku po stronie dla dżentelmenów. Podesty

pełne były gratów, nieopróżnionych nocników zasmradzających powietrze, które nadal czekały, aż je ktoś zabierze spod drzwi. Kiedy przechodziliśmy obok jednego z pokojów, usłyszałem znajomy odgłos łóżka walącego o ścianę, a potem długie, gardłowe stęknienie ulgi. Usta Grace'a zeszywniały w cienką linię.

– O'Rourke. Dziewięć funtów, dwanaście szylingów. – Ostatnie stękniecie. – I dwa pensy.

– Zabawiamy się, jak możemy, panie Grace – powiedziałem, omijając kałużę zaschniętych wymiocin na najwyższym podeście.

– Póki za to płacimy, panie Hawkins – odparł, wyciągnął jedwabną chusteczkę i przytknął ją do nosa i ust. Gestem wskazał drzwi na końcu korytarza.

– Pański pokój – rzucił głosem stłumionym przez materiał, potem odszedł bez słowa.

Pomyślałem, że to trochę dziwne, ale już przygotowałem się na to, co jest za drzwiami. Wspólne zamieszkanie z czterema czy pięcioma mężczyznami w małym, ciasnym pokoju nie może być przyjemnym doświadczeniem, ale w szkole mieszkalem w internacie i wiedziałem, czego się spodziewać. Potrzebne mi było łóżko i miejsce, w którym zamykano by mnie na noc, bo resztę czasu mógłbym zawsze spędzać w parku albo w kawiarni pani Bradshaw.

Nikt nie odpowiedział na moje pukanie, więc powoli otworzyłem drzwi. Obrzydliwy kwaśno-słodki odór wylał się na korytarz. Nieuprana bielizna, łajno, pot... a pod tym wszystkim coś znacznie gorszego. Mięso. Rozkład – taki sam jak po stronie dla pospólstwa. Smród schwycił mnie za gardło.

Kiedy oddychałem przez usta, z trudem można było to znieść. Tylko znajdę swoje łóżko i wyjdę; gdy tu wrócę, postaram się tak upić, żeby nie martwić się smrodem.

Coś poruszyło się w najdalszym łóżku. Niewiele widziałem w półmroku: okno było zakryte poszarpanym, brudnym prześcieradłem, świec nie zapalono. Piecyk stał zimny. Przeszedłem przez pokój, przeciskając się obok trzech innych łóżek pokrytych brudnymi szmatami. Na pewno aż roiło się w nich od wszy. Zadrzałem i podrapałem się.

Kiedy dotarłem do ostatniego łóżka, zobaczyłem zwiniętego w kłębek mężczyznę, leżącego na boku pod cienkim kocem, twarzą do ściany. Przysunąłem się bliżej; zakaszlał i zatrząsł się, flegma zagrzechotała mu głęboko w piersi.

Przez chwilę stałem nad nim, nie wiedząc, co robić. Coś tu było nie tak – czułem to podskórnie. Chrząknąłem, żeby przyciągnąć jego uwagę.

Powoli, z bólem, jak postać z jakiegoś wywołanego gorączką koszmaru, odwrócił się do mnie. Jego twarz pokrywała gęsta, krwawa masa sączących się krost, sięgała na szyję i dalej na ciało. Wargi, powieki – wszystko było zainfekowane.

Ospa. Drgnąłem ze strachu i cofnąłem się; podniosłem szybko ramię, żeby zakryć nos i usta.

– Proszę... – Wyciągnął rękę, majaczył z bólu i gorączki. – Kto tu jest? Och, Boże, miej litość, panie. Nie zostawiaj mnie. Nie zostawiaj, błagam...

Uciekłem z pokoju, potykając się, wróciłem korytarzem, zbiegłem ze schodów, wypadłem na dziedziniec. Biegłem tak szybko, że mało nie wpadłem na Grace'a, który równym krokiem, wyprostowany wracał do wartowni. Chwyciłem go za żakiet i zakręciłem nim, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Ospa! Tam jest człowiek... umiera.

Grace wzdrygnął się i odepchnął moją rękę.

– Dotykałeś go pan?

– Nie. – Pomyślałem o jego ręce, którą wyciągał do mojej. O, Boże. – Nie, oczywiście, że nie.

Grace poprawił żakiet.

– To o co chodzi, sir?

– O co chodzi? – Gapiłem się na niego z pełnym przerażenia niedowierzaniem. Grace obojętnie wzruszył ramionami i zaczął się odwracać. Znow złapałem go za żakiet, tym razem oburącz, i przyciągnąłem bliżej. Był znacznie niższy ode mnie i bardzo lekki. Jak pusty.

– Co z tego? Musi mi pan znaleźć inny pokój!

Grace zacisnął cienkie wargi.

– Ten pokój panu przydzielono. Na ten pokój może pan sobie pozwolić.

Puściłem jego żakiet. Nie było w nim ani krzty współczucia dla bliźniego. Pozwoliłby mi umrzeć i nawet by o tym nie pomyślał. Sumienie by mu nie drgnęło.

– Panie Grace. – Samuel Fleet wychylił się z balkonu przy pubie, w rękę trzymał szklankę z ponczem. – O co chodzi?

Grace zmarszczył czoło, patrząc na niego.

– Panu Hawkinsowi nie podoba się jego kwatery. – Jakbym narzekał na widok z okna.

– Mój współlokator umiera na ospę – zawołałem, chociaż jestem pewien, że słyszał każde słowo. – Płacę dwa i sześć, żeby samemu się wykończyć.

– Jakież to niefortunne. – Oparł podbródek o dłoń, czarne jak węgiel oczy wpatrywały się we mnie. Uśmiechnął się leniwie. – W moim pokoju jest wolne łóżko. Zapraszam do niego, sir. – Przebiegł przeze mnie dreszcz przerażenia. Dawać się zamknąć na każdą noc w pokoju z człowiekiem, który zabił swojego ostatniego współwzięnia? Z równym powodzeniem mógłbym dzielić klatkę z tygrysem.

– Ja... dziękuję, ale ja...

– Nalegam.

Nigdy jeszcze nie słyszałem takiej groźby w jednym krótkim słowie. Przez chwilę Fleet nie odwracał ode mnie wzroku. Nawet nie mrugnął. Z trudem przełknąłem ślinę, potem ukloniłem się na znak, że się zgadzam. Co innego miałem zrobić?

Hm, panie Woodburn, miał pan całkowitą rację, pomyślałem ponuro. Bóg ma plany wobec mnie. Mam zostać zamordowany w łóżku w moją pierwszą noc.

– Nie, nie, tak nie może być – powiedział z dezaprobatą Grace.

– Musi być jakiś inny pokój – zawołałem, chwytając się okazji. – Gdybym tylko mógł porozmawiać z panem Actonem...

– Są procedury. Są zasady.

Fleet uniósł brwi.

– Tutaj jedyną zasadą są pieniądze, panie Grace. – Wystawił rękę przez balkon i sygnął strumień monet na ziemię, pod nogi urzędnika.

– To powinno pokryć niedobór.

Grace chwilę mrugał, patrząc na monety, zanim zaczął je zbierać, wycierać do czysta chusteczką i wkładać do kieszeni. Dłuższy czas przyglądał mi się z zagadkową miną, jakbym był sumą, którą nieprawidłowo dodał i nie może rozwiązać zadania.

– Hm, zdaje się, że zadłużyłeś się u pana Fleeta, sir – powiedział w końcu i odszedł sztywnym krokiem.

Podniosłem wzrok na mojego niespodziewanego dobroczyńcę. Trudno mi było czuć wobec niego wdzięczność przy takiej reputacji.

– Panie Fleet – powiedziałem, lekko się kłaniając. – Jak mam panu za to odpłacić?

Fleet uśmiechnął się.

– Pozostając przy życiu, panie Hawkins. I zabawiając mnie. – Potem cofnął się z balkonu w cień.

Kilka chwil później ktoś pociągnął mnie za połą zakietu. To był Benjamin, chłopak od Gilberta Handa. Wrócił z wielką paczką opakowaną w stary koc i pospiesznie napisanym liścikiem od Charlesa.

*Mój drogi Tomie – pisał. – Nie rozpaczaj. Znajdę sposób, żeby ci pomóc. Na razie dałem chłopcu parę zapasowych ubrań, garnek do gotowania i kilka pomniejszych drobiazgów. Na litość boską, uważaj. Będę się za ciebie modlił. Twój kochający przyjaciel, Charles.*

Wsadziłem list do kieszeni. Benjamin już szedł przez dziedziniec do mojej nowej kwatery. Pokój Fleeta znajdował się w pierwszym budynku dla więźniów, w północno-zachodnim narożniku więzienia. Idąc za nim, uświadomiłem sobie, że musi być bratem Jacka Cartera. Jack pytał o Bena, teraz zauważyłem podobieństwo. Zatrzymałem go przy głównym wejściu i próbowałem zabrać mu paczkę.

– Powinieneś iść do brata – powiedziałem. – Pytał o ciebie.

Wyrwał mi paczkę i kopniakiem otworzył drzwi.

– Pracuję.

A także jestem z tego dumny. Dumny, że zarabiam na swoje utrzymanie. Benjamin nie musiał wspinać się na mur, żeby uciec z więzienia jak jego brat Jack – znalazł sobie zajęcie. Ale nie mógł sobie pozwolić na przerwę w pracy, chociaż wiedział, że

wieczorem Jack umrze.

Wyjąłem pół szylinga, przysięgając sobie, że to będzie mój ostatni dobry uczynek w tym parszywym miejscu. Chłopiec szeroko otworzył oczy, nie poruszał się, wstrzymał oddech.

– Proszę – powiedziałem, kładąc mu monetę na dłoni. – Dziś wieczór pracujesz dla mnie. Idź do brata. Załatwię to z panem Handem. Ruszaj, biegnij, do cholery! Zanim zmienię zdanie!

Kwaterna Fleeta znajdowała się na pierwszym piętrze. Pokój był większy od tego, z którego dopiero co uciekłem, z dwoma łózkami i wielkim oknem, wychodzącym na mur do gry w piłkę i dom Actona. Ale był tak zagracony, że ledwie mogłem się ruszać, nie nadeptując na coś. Wyglądał raczej na lombard niż na pokój mieszkalny – lombard splądrowany przez wariatów. Stosy książek chwiały się niebezpiecznie pod ścianami, a podłoga zarzucona była nieużywanymi ubraniami, zmieszanymi ze starymi perukami, pogiętymi metalowymi kuflami, zużytymi fajkami. Leżało tam także coś, co wyglądało na kiel słońca, wynurzający się spod skórzanych portek.

Przeszedłem przez pokój do łóżka, które, jak się domyśliłem, było moje i usunąłem z niego małą biblioteczkę broszur sprzedawanych przez ulicznych przekupniów: ostrych satyr, powieści, a nawet – ku mojemu zaskoczeniu – oprawionych i wydrukowanych kazań. Nie uważałem Fleeta za człowieka oddanego wierze. Na wewnętrznej stronie okładki kazań była ręcznie napisana informacja

*Użyteczny Dyskurs dany  
do poważnej lektury i pożyczania  
innym osobom  
gratis, ale nie wolno  
go sprzedawać, zastawiać albo trzymać  
za długo, a także źle używać  
przez wszelkich Czytelników  
Wiel. Andrew Woodburn, 1725*

Kolejne kilka stron zostało wydartych.

Wyjąłem kilka monet, w które zaopatrzył mnie Jakes wraz z półgwineą od Moll i położyłem je na łóżku. Wyszedłem do parku z mocnym zamiarem pomnożenia swoich funduszy i dwie godziny później miałem mniej prawie o szylinga. Żadnej dobrej passy więcej, poważnie się napomniałem. Nie mogę sobie na nią pozwolić.

Zdjąłem żakiet, położyłem się i zamknąłem oczy. Kiedy się obudziłem, słońce zachodziło, a gdzieś w Borough dzwonił dzwon. Przełknąłem z bólem. Usta miałem suche i spieczone. W głowie mi huczało, a ciało miałem obolałe od bicia z poprzedniej nocy.

Ostrożnie przejechałem palcami po żebrach. Miałem szczęście – nie było poważniejszych uszkodzeń. Z czasem nocna napaść zaczęła się wydawać snem

wywołanym gorączką, tyle się wydarzyło, odkąd szedłem tą przeklętą uliczką. Ale teraz znów miałem to przed oczami; wspomnienia nieustannie wracały, zadrapania i siniaki swędziały i pulsowały, jakbym dopiero co je zebrał. Gdybym nie poszedł z tym posłańcem. Gdybym bardziej uważał, dokąd idziemy...

Nabiłem sobie fajeczkę i pokuśtykałem do krzesła przy oknie. Na dworze nocny strażnik zapalał latarnię stojącą pośrodku dziedzińca, a przechodzący więźniowie rzucali długie cienie. Po raz pierwszy od mojego przybycia spokój zapanował w Marshalsea.

Ledwie znowu zacząłem drzemkę, kiedy rozległo się ostre pukanie do drzwi. Usiadłem zaskoczony i ujrzałem szczupłego, eleganckiego mężczyznę około trzydziestki, opierającego się o ramę drzwi. Przyglądał mi się przyjaźnie. Był porządnie ubrany w nieskazitelną koszulę wiążaną na tasienki i dobre wełniane spodnie. Przeszedł jak tancerz między stosami rzeczy Fleeta i podał mi rękę; jego małe, łagodne brązowe oczy lśniły z zadowolenia. Jeden z tych, których można od razu polubić. Polubiłem więc Trima od razu.

– Witam.

– Witam, panie...?

– Trim. Po prostu Trim – uśmiechnął się. – Fryzjer. – Wystawił kciuk w stronę sufitu. – Jesteśmy sąsiadami.

Cela Trima znajdowała się na wyższym piętrze, dokładnie nad moją. Wynajął wielki pokój o ładnych proporcjach z dwoma porządnie zasłanymi łózkami, przysuniętymi do ściany. Drugie łóżko było puste. Ostatnie promienie słońca lśniły na nieskazitelnej podłodze i ogromnych pękach ziół zwisających z sufitu. Czysty, świeży zapach majeranku i polnych ziół maskował lekki zapach tytoniu i stęchły zaduch wilgotnego drewna, który przesiąkał wszystkie więzienne kwatery.

Trim postawił krzesło pośrodku pokoju i gestem nakazał, żebym usiadł. Podeszedłem, a deski podłogi skrzypiały i ugiwały mi się pod nogami. Było jasne, że czerpie dumę ze swojego biznesu – pokój był ładny i czysty jak u fryzjera na Mayfair, ale Trim nie mógł nic poradzić na ogólną zgniliznę panującą w oddziałach. Przyniósł miedzianą miskę z parującą gorącą wodą, pachnącą lawendą, postawił ją ostrożnie na stoliku, obok kawałka mydła i lustra z rączką z kości słoniowej. Zawiązał sobie w pasie fartuch i ze skrzynki wyjął srebrną brzytwę.

Przypomniałem sobie przysięgę, że nie wydam więcej pieniędzy i nachyliłem się do przodu.

– To miłe z pańskiej strony... ale nie jestem pewien, czy mogę sobie pozwolić...

Przerwał mi machnięciem ręki.

– Na koszt firmy. Dziś wieczór będziemy pili na pański koszt, panie Hawkins – powiedział, zarzucając na mnie płachtę, którą upchnął mi pod kołnierzem. – Musi pan wyglądać na tę okazję jak najlepiej.

Umył mi twarz pachnącą wodą i zaczął namydlać mnie sprawnymi palcami specjalisty. Zamknąłem oczy i oparłem się, odprężony po raz pierwszy, odkąd rano przekroczyłem bramę wartowni.

A potem przystawił mi ostrze do szyi.

– Panie Hawkins...?

Otworzyłem oczy. Ręką ścisnąłem mocno nadgarstek Trima, ostrze błyskawicznie odsunęło się od mojej szyi. Przez sekundę zwalczałem chętkę, żeby rzucić brzytwą o ziemię i mocno go uderzyć.

– Proszę pana – powtórzył cicho. Ostrożnie. – Czy wszystko w porządku?

Zamrugąłem. Nabrałem głęboko tchu. Opuściłem rękę.

– Przepraszam – powiedziałem. Zaczerwieniłem się ze wstydu.

– Nie ma o czym mówić. – Trim uśmiechnął się, w oczach migotała mu mieszanka zaciekawienia i niepokoju. – Myślę, że przeżył pan jakiś wstrząs?

Sięgnąłem palcami do guza na głowie.

– Ostatniej nocy zastawiono na mnie zasadzkę. Rzeźmieszek przystawił mi nóż do gardła.

– Ach. – Odłożył brzytwę z lekkim stuknięciem. – Przykro mi to słyszeć.

Moja historia wypłynęła ze mnie – wszystko, co mi się przytrafiło, odkąd poprzedniej nocy wyszedłem od Moll, żeby wrócić do domu. Opowiedziałem prawie wszystko.

Trim pokręcił głową ze współczuciem.

– Trzyma się pan zadziwiająco dobrze, jak na takie przejścia. Godne podziwu. Ale przecież mam coś, co może pomóc. – Nalał trochę wina do małego rondelka i postawił go na piecyku, potem podszedł do regału wypełnionego szklanymi butelkami i garnkami z kamionki. Przejechał palcami po dzbankach, po czym zaczął wysypywać składniki do moździerza.

– Ależ miał pan pecha – rzucił współczująco przez ramię.

– To moja wina. Powinienem bardziej uważać.

Dodał utarty proszek do rondelka. Ciepły korzenny aromat wypełnił pokój.

– Nie się pan nie oskarża. Nie mógł pan wiedzieć, że chłopak pana oszuka.

– Może Bóg mnie karze – wyszeptalem, zaskakując sam siebie. To były słowa ojca wychodzące z moich ust.

– Karze pana...? – Trim przelał wino łyżką do drewnianej czarki i podał mi ją, zmarszczywszy brwi. – Za co, na niebiosy?

Wdychając parę, wyczułem łagodzący zapach goździków i cynamonu. Uśmiechnąłem się.

– Za to, że zbyt przyjemnie żyłem.

– Ha! – Obrzucił mnie taksującym wzrokiem. – Wyobrażam sobie.

To, co Trim domieszał do wina, pomogło mi, tak jak obiecywał i wkrótce

poczułem się swobodny na tyle, by znieść dotyk ostrza na skórze bez wzdrygnięcia się. Po goleniu przyciął mi włosy blisko skóry, żeby ochronić mnie przed wszami, a potem obmył i opatrzył najgorsze zadrapania i sińce, nakładając balsam łagodzący własnego pomysłu. Za to wszystko nie chciał ani ćwierci pensa. Nic dziwnego, że znalazł się w więzieniu dla dłużników.

Trim właśnie zamiatał podłogę, kiedy przyszedł posługacz z jego kolacją, którą przyniósł z Cycatej Lali, restauracji ze stekami nad Dębem. Trim poprosił, żebym do niego dołączył, a ja z wdzięcznością przyjąłem zaproszenie, bo leciała mi ślinka, kiedy posługacz postawił z trzaskiem talerze z makrelą garniowaną agrestem, gotowaną wołowiną, karczochami i zimną szynką z sałatką. Mięso nie wyglądało na najświeższe, ale nie jadłem cały dzień – a to był bardzo długi dzień.

Podczas jedzenia zapytałem Trima o niektórych ludzi, których spotkałem w więzieniu. W końcu, kto lepiej zna charakter człowieka niż fryzjer? Kto widzi człowieka najbardziej bezbronny, a jednak odprężonego? W ten sposób rozchodzą się plotki – sennie, w pachnącym pomieszczeniu.

Może dlatego, że to byli jego klienci, uwagi Trima były łaskawsze, niż mogłyby być. Wielebny Andrew Woodburn to dobry człowiek, który robi co może dla pospólstwa. Trochę słaby? Och... (nachylenie głowy, lekkie nakłuwanie makreli), może, ale serce ma na właściwym miejscu. Wdowa Roberts – uważa ją pan za dumną, panie Hawkins? Wyniosła? Ale przecież poniosła ogromną stratę. A plotki po samobójstwie biednego kapitana... należy ją podziwiać, że nosi głowę wysoko. Joseph Cross jest kapryśny i grubiański, owszem – ale to przez picie. Gdyby wytrzeźwiał, może byłby zupełnie innym człowiekiem; kto wie? I Oczywiście Gilbert Hand jest śliski jak węgorz, ale cóż to za energia! Cóż za przemyślność! Co do Actona, hm, nie ma co przeczyć, ten człowiek jest brutalem i może być okrutny, tak – naprawdę okrutny. Krótka przerwa. Długi łyk piwa. Ale... kolejna przerwa. Hm, mówią, że Cambridge w więzieniu Fleet jest jeszcze gorszy.

– Trim, jest pan wielkoduszny – powiedziałem, częstując się ciasteczkami. – A co z Mary Acton? Czy to... pogodna towarzyszka?

– Ona jest... – Trim myślał przez chwilę. – Uduchowiona.

Zlizałem cukier z palców.

– Doprawdy?

– Jej ojciec parę lat temu był więźniem. W oddziale dla pospólstwa.

– Tak, pan Fleet mi o tym mówił.

Ramiona Trima zeszywniały. Odsunął swój talerz.

– Pan Fleet... Tak.

Czekałem, cisza wisiała w powietrzu. Trim nie rozwijał tematu, pochyliłem się więc do przodu.

– Wiele słyszałem o moim kompanie z celi. – Nic dobrego. – Trim, jaki to



człowiek? Mogę mu ufać?

Trim podniósł nóż i chrząknął.

– Pan Fleet jest wspnianym dżentelmenem – powiedział, wskazując ostentacyjnie nożem na podłogę. – Niezwykle sympatycznym. – A potem, szeptem: – Ma doskonały słuch.

Oczywiście. Zapomniałem, że pokój Trima leżał dokładnie nad moim pokojem. A deski podłogi były przegniłe.

Po kolacji odsunęliśmy z chrobotem krzesła od stołu. Trim z zadowoleniem poklepał się po żołądku.

– Niezgorsze, jak na pana Macka – przyznał i beknął, przykrywając ręką usta. – Dobre przygotowanie do wieczornego picia.

– Czy moje sześć szylingów starczy dla wszystkich? – W budynku było co najmniej dwudziestu mężczyzn, a wkupne znaczyło, że trzeba kupić alkohol dla wszystkich.

– Zbierze się ładna pula – uśmiechnął się.

– A jeśli odmówię płacenia?

Trim wstał i przeciągnął się.

– Wtedy, obawiam się, wypuścimy na spacer czarnego psa.

– Czarnego psa...?

– Stara więzienna tradycja. Twoi koledzy z oddziału łapią cię, przyciskają do ziemi, zdzierają z ciebie całe ubranie i, cóż... – uśmiechnął się. – Wtedy płacisz wkupne.

– Ach.

– Najśmieszniejsze wkupne widziałem przy twoim nowym kumplu, panu Fleecie – dodał.

– Nie chciał płacić?

Trim pokręcił głową.

– Nie chciał tego nazywać wkupnym. Stał na środku pubu, rozebrał się do naga, potem podszedł do lady i zamówił drinki za dwie gwinee dla całej sali. – przerwał. – Muszę powiedzieć, że jak na mężczyznę w jego wieku trzyma się dobrze.

Obiecałem Trimowi, że wkrótce dołączę do niego w pubie i wróciłem do pokoju, żeby zmienić koszulę. Fleet leżał wyciągnięty na łóżku, na szczęście nadal ubrany w szlafrok, chociaż jego pończochy i spodnie leżały zmięte na podłodze. Palił fajkę i czytał pamflet z pozaginanymi oślimi uszami pod tytułem:

Traktat na temat Użycia  
Chłostania  
W Sprawach miłosnych  
Przetłumaczony na angielski  
Przez Lekarza.  
Do czego Dodano

## Traktat o Hermafrodytach.

Nas marginesach robił notatki z wykrzyknikami. Czułem jego wzrok na plecach, kiedy zdejmowałem koszulę i wyjmowałem rzeczy przysłane przez Charlesa.

– Paskudnie pana pobili, panie Hawkins.

– Napadnięto mnie zeszłej nocy. – Odwróciłem się do niego, zapinając prostą białą koszulę. – Zabrali mi sakiewkę. Dlatego tutaj jestem.

– Taka sprawa... – Wypuścił długi strumień dymu. W jego głosie nie było zaskoczenia ani pytania. – Los potrafi być okrutny.

– Nie wierzę w los – powiedziałem ze złością.

Moja odpowiedź – a może mój zły humor – musiały go niezmiernie rozbawić, ale nic nie powiedział, tylko gapił się na mnie po swojemu, uważnie. Poczułem nagłą chęć, żeby go uderzyć albo uciec z pokoju. Nigdy jeszcze nie spotkałem człowieka, który potrafiłby prowokować po prostu spojrzeniem albo wszytkowiedzącym uśmiechem. Ale nawarzyłem dosyć piwa, jak na jeden dzień. Podniosłem frak, który przysłał mi Charles. Żakiet był nieco znoszony, ale spodnie i kamizelka nowe, a wszystko lepszej jakości niż ubranie, które pożyczyła mi Moll. Były też czarne – bez widocznych złotych guzików albo srebrnych haftów. Włożyłem to na siebie i stanąłem oko w oko ze straszliwą prawdą.

– Mój Boże, wyglądam jak wiejski pastor. – założyłem perukę i kapelusz i odwróciłem się od lustra, zanim zobaczyłem w nim swojego ojca. – Dołączy pan do nas w pubie, panie Fleet?

– I zmarnuję wieczór? Nie, zostanę tutaj i popracuję. – Uśmiechnął się do mnie chytrze i wrócił do swojej broszury.

# Rozdział 6

**Było ciemno**, kiedy szedłem przez park do pubu. Nie zauważyłem Kitty, póki do mnie nie zawołała. Stała ukryta pod drzewem przed domem Actona.

– Co z Jackiem?

Mocniej otuliła ramiona szalem i lekko skinęła głową.

– Idziesz do domu? Kiedy strażnicy zamykają bramy?

– Wkrótce – powiedziała, spoglądając w stronę wartowni. – Ale ja śpię tutaj, w więzieniu. Pani Bradshaw pozwala mi nocować w kawiarni.

– Och! Jesteś więźniarką? Zamknęli cię razem z rodziną? – Zakładałem, że Kitty ma rodzinę w Borough, a w więzieniu tylko pracuje za dnia.

– Nie mam rodziny. Dba o mnie pan Fleet. – Spozrzegła moją minę. – Nie w ten sposób. Faj! Jest moim opiekunem. Ma pięć lat nad czterdzieści – dodała, wystawiając z odrazą język. – Daje mi nauki. Przestań tak na mnie patrzeć – powiedziała i trzepnęła mnie w ramię. – Właściwe nauki. Historię, filozofię naturalną, języki. Handel. Obiecał, że kiedy stąd wyjdziemy, żaden mężczyzna w Anglii nie będzie chciał się ze mną ożenić.

Chwilę mi zajęło, zanim zrozumiałem, o co jej chodzi.

– Nie masz ochoty wychodzić za mąż?

– Oczywiście, że nie. Będę miała kochanków i...

Otworzyły się drzwi mieszkania pana Actona i wyszła pani Roberts, kaptur osłaniał jej twarz. Drgnęła, kiedy zobaczyła nas razem, potem zmarszczyła brwi z dezaprobatą i wyprostowała się.

– Kitty, ile razy mam ci za to dawać burę? Nie powinnaś sama wychodzić i rozmawiać z obcymi. Nie przystoi.

Ukloniłem się.

– Dobry wieczór, madame. Thomas Hawkins. Spotkaliśmy się dzisiaj rano.

Patrzyła na mnie, jakbym był źle skrojoną suknią, którą chce oddać krawcowi.

– Wiem, kim jesteś. I czym jesteś, dokładniej rzecz ujmując. Kitty, uciekaj, jest coś, co chciałabym powiedzieć panu Hawkinsowi. Idź stąd, dziecko.

Kitty pobiegła w stronę oddziału Dąb; uniosła spódnicę nad ziemią, pokazując parę smukłych kostek.

– Żwawa dziewczyna – powiedziałem.

Pani Roberts zmrużyła oczy.

– Nie jest taka światowa, jaką udaje. I nadal jest dziewicą – dodała ostrym tonem.

– Mam nadzieję, że wyprowadzę ją na ludzi, jeśli uda mi się nie dopuścić, żeby ją zepsuli. – Odsunęła się o krok, jakby chciała mnie lepiej zobaczyć. – Jest pan

dżentelmenem, sir? Słyszałam bardzo różne opinie. Pan Woodburn jest panem zachwycony, a jednak widziano pana z tym... – Podniosła wzrok w stronę okna mojej celi. – Pan Fleet to marny wybór na towarzysza. Nie najlepiej to się na panu odbije.

Westchnąłem z irytacją.

– W tej kwestii nie miałem wielkiego wyboru, madame. Nie wszyscy jesteśmy bogatymi wdowami. Mam nadzieję, że ma pani dość rozsądku, żeby ignorować czcze plotki.

– Mam też na tyle rozumu, żeby widzieć, co się kryje pod czarującą powierzchownością, sir – odparła. – Pewnego dnia, kiedy uwolnię się od tego miejsca, mam nadzieję, że zabiorę z sobą Kitty. Byłaby doskonałą pokojówką dla damy. – Zacisnęła zęby. – Ale tak nie będzie, jeśli zepsuje ją jakiś rozpustnik bez skrupów, który rzuci ją jak wypaloną fajkę, kiedy tylko z nią skończy.

Zaśmiałem się z zaskoczenia.

– Pani Roberts, zapewniam panią...

– Niech pan ze mnie nie robi idiotki – parsknęła.

– A pani nie powinna mnie osądzać na podstawie marnych wzorców swojego męża, madame.

Uderzyła mnie mocno w policzek.

Staliśmy przez chwilę, wpatrując się w siebie. Potem przykryła twarz dłońmi.

– Och! Dlaczego to zrobiłam? To tylko... pan jest taki... – Cofnęła się, odwróciła i pobiegła przez dziedziniec, jej czarna jedwabna suknia ciągnęła się za nią.

Jeszcze pocierałem sobie policzek, kiedy w ciemności usłyszałem niski, szyderczy śmiech. Spojrzałem w mrok. Coś cicho zaszeleściło – szept albo ruch – potem ucichło. Włosy zjeżyły mi się na głowie.

– Czy tam ktoś jest? Fleet? Pan Hand?

Cisza. Zimny wiatr powiał na dziedzińcu, unosząc chmury drobnego żwiru i pyłu. Pewnie to sobie wyobraziłem. Odwróciłem się na pięcie i szybko poszedłem do pubu. Jeśli tam ktoś jest, niech się sam bawi w mroku.

Kiedy wszedłem do pubu, powitały mnie głośne wiwaty, Trim poklepał mnie po plecach i wprowadził z ostentacją, jakby mówił: „Oto on! Człowiek, do którego należy ta chwila”. Ktoś mógłby sądzić, że zdałem egzamin albo objąłem jakieś nowe, zyskowne stanowisko, a mnie po prostu wtrącono do jednego z najplugawszych londyńskich więzień. „Tak, doprawdy. Dobra robota, panie Hawkins, pomyślałem ironicznie. Przeszedł pan samego siebie”.

Podszedłem prosto do lady, gdzie czekał na mnie Henry Chapman, barman. Daleko mu było do urody Mary Acton – gburowaty, o świńskiej twarzy. I był człowiekiem Actona; mogłem to poznać choćby po jego dumnym kroku. „Zaufany”, jak Cross – jeden z więźniów pracujących dla nadzorcy. Trzasnąłem o ladę sześcioma szylingami wkupnego, a on szybko złapał je w dłoń, jakby mogły zniknąć mu z oczu.

Kiedy usiadłem na krześle obok kominka, Trim przedstawił mnie dwóm pozostałym mężczyznom przy stole. Richard McDonnell był bystrym, gadatliwym Irlandczykiem, którego wszyscy nazywali Mack. Był malarzem, zanim popadł w długi. Teraz razem z żoną prowadził Cycatą Lale, więzienną restaurację ze stekami. Kiedy przyszedłem, był już wesolutki, a policzki mu się czerwieniły; piękny, melodyjny głos słyhać było w całym pubie. Większą część wieczoru przesiedział, trzymając niepewną dłoń na moim ramieniu, próbując mnie przekonać, że wszystkie posiłki powinienem kupować u niego.

– Najlepsze mięso w Borough – twierdził, tymczasem Trim za jego plecami robił gesty, jakby się dusił, zezował, dłońmi trzymał się za gardło.

Drugim mężczyzną był pan Jenings, nocny strażnik. Chudy, nerwowy, milkliwy mężczyzna o długich rękach i nogach.

– Czy to pana minąłem właśnie na dziedzińcu? – zapytałem. – Wydawało mi się, że zaczął pan obchód.

Jenings przygryzł wargę.

– Jestem tutaj od pół godziny, sir. Widział pan coś? – Niespokojnie zerknął w stronę okna.

– Och, dajcie spokój z tymi bzdurami, błagam was. – Mack ziewnął i wyciągnął ramiona nad głową. – On myśli, że więzienie jest nawiedzane przez ducha, panie Hawkins. Napcha panu do głowy duchów i diabłów, jeśli mu pan pozwoli.

Jenings nachmurzył się.

– Wiem, co widziałem. To był kapitan, wrócił z grobu.

Mack parsknął.

– Hm, jak go będziesz widział następnym razem, przypomnij temu staremu draniowi, że nadal jest mi winien trzy gwinee. Pytałem o to parę razy wdowę Roberts, ale bez powodzenia. – Zrobił kwaśną minę. – Skąpa wiedźma.

– Pani Carey zaklina się, że parę nocy temu coś słyszała – powiedział Trim, drapiąc się po brodzie.

Mack jęknął.

– Na litość boską, czy wy obaj nie możecie zostawić tego w spokoju! John Roberts nie nawiedza Marshalsea. Nienawidził tego przekłętego miejsca – nie wróciłby, nawet gdyby anieli osobiści go błagali... Ach! Idzie poncz.

I rozmowa o duchach poszła w niepamięć. Trim wyjął kości i zagraliśmy parę rund za pieniądze. Podczas gry przypominałem sobie przygody i nieszczęścia mojego życia, które doprowadziły mnie do celi w Marshalsea. Poncz lał się strumieniem, pozostali więźniowie z oddziału dołączyli do nas, opowiadano coraz bardziej niewiarygodne historie. Byłem w trakcie dość intymnego objaśniania, jak rozróżnić dwie jednakowe bliźniaczki, kiedy Jenings wstał, szurając krzesłem po podłodze.

– Pan Jenings trochę się zdenerwował – zauważył Trim, powoli odstawiając poncz chwiejną dłonią. Dobrze, że zaproponował mi golenie wcześniej.

Mack prychnął.

– Zapytałby pan naszego kapelana, czy popiera takie sprawy, co?

– Wybacz, panie – powiedziałem. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest asystentem Woodburna. – Ufam, że nie uraziłem pana.

Jenings nachylił się nade mną.

– Panie Hawkins, Boga pan powinien prosić o wybaczenie. Ale mniemam, że w głębi serca wie pan o tym. Muszę zacząć obchód. – Wziął kapelusze i pałkę i ukłonił się wszystkim. – Panowie.

Opowiedziałem swoje, rozsiadłem się i pozwoliłem towarzystwu przejąć pałeczkę. Wszyscy byli skorzy do udzielania rad, a ja chętnie je przyjmowałem – im więcej wiem o sprawach więzienia, tym lepiej. Wszystkim było wesoło, dopóki nie wspomniałem o moim nowym współlokatorze. Rozmowy nagle ucichły.

– Powiedzcie – rzekłem przyglądając się im. – Jakim człowiekiem jest pan Fleet?

Mężczyźni popatrzyli po sobie, każdy z nadzieją, że odpowie ktoś inny.

– Nie jest taki zły... jak go malują – odezwał się wreszcie Trim. Pozostali zamruczeli, że się nie zgadzają. – Może trochę psotny.

– Psotny? – Mack uniósł brwi. – Panie Hawkins, nazwałby pan diabła psotnym?

Cały stół roześmiał się razem z Mackiem, chociaż zauważyłem, że niektórzy najpierw obejrzeni się za siebie. Przeklinałem się, że w ogóle wspomniałem o Fleecie. Wieczór przebiegał dość przyjemnie. Prawie zapomniałem, że jak się skończy, zostanę odprowadzony do celi i zamknięty z człowiekiem, którego boi się i w równej mierze nienawidzi prawie całe więzienie.

– Powiem ci coś – odezwał się Mack. – Nie chciałbym dzielić z nim pokoju. nawet przez jedną noc. Nawet gdybyś spłacił moje długi z dwudziestokrotną nadwyżką.

– Daj spokój, Mack – powiedział Trim, kuksając go w żebra. – Nie trzeba go straszyć...

– Trim, niech to cholera, ma prawo wiedzieć! – krzyknął Mack, waląc pięścią w stół. Był bardzo pijany. Nachylił się, objął mnie ramieniem za szyję, aż poczułem gorący alkoholowy oddech. – Twój nowy kumpel zabił kapitana Roberta. Wszyscy o tym wiedzą.

Całe towarzystwo pokiwało głowami, poza Trimem.

– Nie wierzę w ani jedno słowo na ten temat – oświadczył. – Fleet nie jest zdolny do czegoś takiego.

Pokrzepiłem się łykiem ponczu.

– Miło mi to słyszeć, sir.

– Jest za niski – mówił dalej, jakby nie słyszał. – Pomyśl o tym, Mack. Jak, u diabła, Samuel Fleet mógł znieść po schodach człowieka tak wysokiego i ciężkiego jak kapitan, przenieść przez dziedziniec, na oddział dla pospólstwa, i samemu powiesić go na belce w karczerze? I nie zapominaj, że Roberts był wtedy tylko martwym ciężarem. –

Wyciągnął ręce, jakby niósł na nich ciało, i pokręcił głową. – Nie, jestem całkowicie pewien, że nie mógł tego zrobić. Hm... – przerwał. – Nie sam.

Wyjąłem tytoń i zapaliłem fajkę. Wokół nas było wesoło, radosne okrzyki, śpiewy i krzyki zagłuszające inne hałasy, dziwki ściągnięte z miejscowych burdeli wołały o więcej drinków. Ale tu, przy stole, miało się wrażenie, jakby zapanował chłód.

– Chyba nie wierzysz, że Fleet zamordował kapitana Robertsa, prawda, Mack?

– Oczywiście, że nie zamordował – odparł pospiesznie Trim. A potem do Macka: – Oni będą spali tej nocy w jednym pokoju. Na litość boską...

Mack zignorował go.

– Musisz coś wiedzieć o panu Fleecie: on nigdy nie śpi. Jest z tego znany. Ale w noc śmierci kapitana Robertsa przespał całą noc, aż do rana. Tak mówi. Martwy dla świata. Wygodne, co? Widzę to tak: albo Fleet kłamie, a wiadomo, że czyni tak za każdym razem, kiedy otwiera usta... Albo spał, a ktoś inny wpadł do pokoju, zbił Robertsa na krwawą miazgę i wyciągnął go, żeby powiesić jak psa. – Oparł się. – To zdaje się być dla pana bardziej prawdopodobne, panie Hawkins? – uśmiechnął się ponuro. – I tam właśnie będzie pan spał tej nocy. Fleet nazywa to Belle Isle. To chyba dowcipne, w jego pojęciu. Powiem ci coś za darmo. Powinieneś wziąć ten pierwszy pokój, który dał ci Grace. Lepiej umrzeć na ospę niż żeby diabeł miał cię zamordować we własnym łóżku.

Niełatwo było poprawić humor po takiej rozmowie, ale Trim robił, co mógł i wszyscy wkrótce doszli do siebie. Rozmowa przeszła na pieniądze, wierzycieli i spadki – ten sam refren latał nad stołem, że będą wkrótce wolni..., że przyjaciel obiecał sumiennie... że ich adwokaci są zupełnie pewni...

Siedziałem cicho, ich nadzieje i plany spływały po mnie. W przeciwieństwie do nich nie miałem nadziei ani obietnicy spadku. Trzy lata wcześniej wróciłem do domu w Suffolk, żeby objąć stanowisko wikarego w kościele ojca. Zawsze marzył o tym, żeby syn dołączył do niego – a z czasem został proboszczem w jego parafii.

Usiłowałem przekonać siebie, że to także moje marzenie. Innymi razy miałem ochotę wykrzyzczyć prawdę – nie jestem swoim ojcem. Nie chcę strawić życia na służbie w cichej parafii w Suffolk, obowiązkowy, solidny i dobry. Sama myśl o takim życiu wywołuje ból w piersi, jakby ktoś położył mi na sercu wielką skałę. Ukrywałem tę prawdę najgłębiej jak mogłem; próbowałem przekonać siebie samego, że mogę się zmienić; zaklinałem się, że gdy tylko przyjmę święcenia, wszystko się zmieni. Zdarzy się cud nad cudami, stanę się takim człowiekiem, jakiego chciałby widzieć we mnie ojciec.

Na miesiąc przed wyświęceniem siedziałem wśród wiernych, a mój ojciec ostrzegał, że jeśli ktokolwiek wie, dlaczego nie powinienem przyjąć święceń „z powodu jakiegokolwiek uzależnienia od złych obyczajów, albo jakiegokolwiek skandalu, w którym uczestniczył”, musi to powiedzieć. Kiedy rozglądał się po kościele,

zapanowała cisza. Sąsiedzi i przyjaciele uśmiechali się do mnie. Na chwilę spotkaliśmy się z ojcem spojrzeniami i zobaczyłem leciutki błysk dumy. „Zadowolilem go, pomyślałem. Chociaż raz w życiu zrobiłem coś, co znalazło uznanie w jego oczach”.

Wtedy Edmund, mój brat przyrodni, przesunął się trochę na ławce obok mnie. I zanim mogłem go powstrzymać, wstał i wysokim, drżącym głosem powiedział im wszystko o moim skandalicznym życiu w koledżu, odmalowując mnie jako najbardziej rozwiązłego rozpustnika, jaki kiedykolwiek postawił stopę w Oksfordzie. W kilku krótkich zdaniach porwał moją reputację na strzępy w obliczu całej parafii. Potem usiadł z rękami pobożnie złożonymi na podołku.

– Wybacz mi, bracie – wyszeptał z cieniem uśmiechu na ustach. – To był obowiązek wobec ojca. I wobec Boga.

Mój ojciec nie miał wyboru, musiał przekazać sprawę biskupowi. Przeprowadzono śledztwo. Okazało się, że stwierdzenia Edmunda są przesadzone... ale nie bezpodstawne. W dniu, w którym list biskupa dotarł do probostwa, ojciec wezwał mnie do gabinetu. Od tamtego czasu nie odezwał się do mnie ani słowem – cały niezbędny kontakt utrzymywał za pośrednictwem mojej biednej siostry Jane, która jak zwykle wpadła między nas dwóch. Stałem z wysoko podniesioną głową, zaciśniętymi zębami, kiedy mówił mi, że sprowadziłem wstyd na rodzinę.

– Bez spoczynku, całe życie, pracowałem dla parafii – powiedział drżącym głosem. – Teraz śmieją się ze mnie za plecami.

– Ojcze, to nieprawda...

Oczy rozbłysły mu gniewem.

– A co ty niby wiesz o prawdzie? – krzyknął. – Całe twoje życie zbudowane jest na hańbie i oszustwie.

Kiedy odchodziłem z domu ojca, Jane wybiegła za mną i rzuciła mi się w ramiona, łzy spływały jej po twarzy. Wycierpiała więcej niż ktokolwiek pod subtelną tyranią macochy, a teraz opuszczałem ją na zawsze.

– Tom, obiecuj, że będziesz pisał. Prześlij wiadomość, że jesteś bezpieczny i dobrze ci się wiedzie.

Uśmiechnąłem się i pocałowałem ją delikatnie w czoło.

– Obiecuję.

Ale nigdy nie pisałem. Boże, przebac, złamałem obietnicę. Kiedy przybyłem do Londynu, przysiągłem, że nigdy już nie skontaktuję się z rodziną. Ojciec mnie wydziedziczył; no i dobrze, ja go też wydziedziczę. Znajdę własną drogę w życiu. A to – postanowiłem – oznacza, że Jane również porzucę. Zmusiłem się, żeby nie myśleć o ukochanej siostrze, ani o tym, jakim byłbym człowiekiem, gdyby mój przyrodni brat nie wypowiedział się przeciwko mnie. Poznałem nowych przyjaciół, zakochałem się w Londynie i powiedziałem sobie, że wszystko zmierza ku lepszemu.



Teraz, kiedy znalazłem się tutaj, zamknięty w Marshalsea, trudniej było mi się do tego przekonać. Myśl o ojcu, który odkrywa moją nędzną sytuację, napełniała mnie czymś w rodzaju posępnego przerażenia. Zdałem sobie sprawę, że wolałbym umrzeć, zostać zamordowanym w łóżku przez Samuela Fleeta, niż ujawnić przed ojcem nieszczęsną porażkę. Ale Jane... myśląc o niej, teraz wstydzilem się siebie. Ona nie mogła uciec tak jak ja – nie miała wyboru, musiała zostać i cierpieć. Była więźniem na długo przed tym, nim przekroczyłem bramę więziennej wartowni.

Poczułem lekkie klepięcie w ramię. Trim patrzył na mnie z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Dobrze się pan czuje, panie Hawkins?

– Tak, dziękuję – odparłem, otrząsając się z myśli. – Może jestem trochę zmęczony. Uśmiechnął się łagodnie.

– Pierwsza noc zawsze jest trudna. Rano wszystko będzie lepiej wyglądać, jestem pewien.

Podziękowałem mu i pokłoniłem się towarzystwu, które życzyło mi dobrej nocy i wróciło do swoich szklanic i marzeń o wolności.

Gdybym nie czuł się tak niewyraźnie, mógłbym z powodzeniem zostać w pubie przez całą noc i nie wracać do kwatery, żeby stanąć oko w oko z Samuelem Fleetem. Obszedłem dziedziniec w świetle księżyca, próbując ułożyć sobie myśli i odwlec chwilę powrotu do celi. Belle Isle, rzeczywiście. Jak, u diabła, mam zasnąć tej nocy?

Dziś rano, w świetle dnia, więzienie przypominało mi mój stary koledz. Ale teraz wiedziałem, że mury są nasiąknięte krwią. Zaledwie kilka godzin temu widziałem, jak na tym dziedzińcu nadzorca pobił chłopca niemal na śmieć. Teraz siedział za żółtymi zasłonami swojego mieszkania i jadł kolację z rodziną. Pozorny porządek oddziału dla dzentelmenów wydawał się teraz złowrogi i niepokojący, szczególnie w ciemności. Cienka, lśniąca powłoka ukrywała przemoc i korupcję. Pierwszej nocy w więzieniu mogłem się tego tylko domyślać, ale wkrótce miałem doświadczyć tego osobiście.

Kiedy doszedłem do latarni w centrum parku, niska, krępa postać wkroczyła w ciepły blask. Wzdrygnąłem się.

– Pan Hand. Myślałem, że to duch.

Zachichotał.

– Nabili panu w pubie do głowy opowiastek? Nie o duchy musi się pan tutaj martwić, panie Hawkins.

Porozmawialiśmy jakiś czas i zaproponował, że poświęci mi w drodze do mojego pokoju.

Kiedy szliśmy w stronę więziennego budynku, nagły krzyk rozdarł powietrze.

– Boże, miej litość!

Zamarłem bez ruchu, zmrożony do szpiku kości. Krzyk dochodził z drugiej strony muru. W życiu nie słyszałem tak zdesperowanego wrzasku. Mężczyzna znowu krzyknął,

dołączył do niego inny głos i jeszcze inny – stu, lub więcej, wypłakiwało swój smutek w nocne niebo. Zrozumiałem kilka wyraźniejszych głosów: „Oszczędź mnie, Panie!”, „Boże pomóż biednym więźniom!”, „Zbaw nas! O, Boże – zbaw nas!”. Ale reszta była to tylko krwawiąca serce wrzawa, która wstrząsała nawet więziennymi murami – lament dusz zamkniętych w piekle na ziemi.

– Mój Boże – powiedziałem. – Co im dolega?

Gilbert Hand splunął na ziemię.

– Zamykają biedaków. Acton kazał ich upakować tak ciasno, że ledwie mogą oddychać. To gorsze niż letni upał; widziałem, jak co rano wyciągają po tuzinie.

– Tuzin chorych?

– Tuzin martwych.

Poprowadził mnie do pokoju, szedłem za nim oszołomiony. Dwunastu więźniów umiera co noc? Przecież to niemożliwe. Ale dlaczego Hand miałby kłamać? Zrobiło mi się niedobrze, musiałem przytrzymać się ściany, żeby nie spaść, kiedy wchodziliśmy po schodach. Sprawiała to myśl o tych wszystkich mężczyznach i kobietach umierających bez dobrego powodu. I myśl, że tak łatwo mogłem się znaleźć między nimi. W pijackiej radości pubu na chwilę zapomniałem, jak łatwo może się zdarzyć, że przerzucą mnie na tamtą stronę muru. Nie wolno mi o tym zapominać.

Kiedy doszliśmy do pokoju Fleeta, rzuciłem się na łóżko i zakryłem głowę ramionami.

– Jak tam sprawy, panie Fleet? – zapytał wesoło Hand.

Głos Fleeta dobiegł z drugiej strony pokoju:

– Co chłopcu dolega? Picie?

– Nie. Po prostu słyszał wieczorny chór.

– Rozumiem.

Usłyszałem brzęk monet i lekkie kroki Gilberta Handa wychodzącego z pokoju. Podniosłem wzrok; byłem oszołomiony, wstrząśniety. Fleet nalewał kordiału do pięknego kryształowego kieliszka. Podszedł do mojego łóżka, wcisnął mi kieliszek w dłoń, nic nie mówiąc. Patrzył bacznie, jak piję.

– Dziękuję – powiedziałem, kiedy skończyłem. Potarłem powoli czoło, ręce nadal mi się trzęsły. – Po tym robi się lżej?

– To zależy od pana, panie Hawkins. – Nalał drugi kieliszek, wlał go sobie w gardło jednym haustem, jak lekarstwo. – Serce panu tutaj pęknie albo zamieni się w kamień. Pański wybór.

– A co się stało z pańskim?

– Och... – Postukał się palcami w pierś. – Nie mam serca. Nie mówili panu w pubie?

Potem obaj umilkliśmy. Nadal słyszałem krzyki ze strony dla pospólstwa – najpierw niósł je wiatr, potem były tylko w mojej głowie, krążyły w niej bez końca.

„To mógł być mój głos, pomyślałem. Kilka szylingów mniej i mogli mnie zamknąć z nimi”. Nie zasypiałem, póki mogłem; bałem się spać tak blisko Fleeta. Bałem się spać w łóżku po zmarłym. A kiedy w końcu zasnąłem, moje sny były okrutne i pełne przerażenia. Ciemna uliczka. Mężczyzna w czerni wychodzący z mroku. Ostrze błyszczące niebiesko w świetle księżyca.

Obudził mnie ostry zapach dobrego tytoniu. W pokoju było ciemno, panowała cisza, która zdarza się tylko w samym środku nocy. Fleet kuczał jak chochlik na krześle pod oknem, przyciskał swój dziennik do piersi i wpatrywał się intensywnie w dziedziniec. Cicho przesunąłem się pod prześcieradłem, serce waliło mi w piersi. Spojrzał na mnie, twarz rozjaśniała mu świeca płonąca obok niego. Wyjął fajkę z ust.

– Niech pan śpi dalej, panie Hawkins. Jest pan zupełnie bezpieczny – powiedział, a dym otoczył mu wieńcem twarz. – Tej nocy.

# Dzień drugi

## PIĄTEK

### Rozdział 7

**N**astępny ranek zawitał jasny i chłodny; tak chłodny, że oddech parował mi w powietrzu. Leżałem na twardym, cienkim materacu, ledwie mogłem się poruszyć. Jakby w nocy stratował mnie tuzin koni: bicie z St Giles dawało o sobie znać.

„Wstać. Muszę wstać”. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby tutaj leżeć. Nie chcę trafić na stronę dla plebsu; nie chcę dołączyć do tych głosów krzyczących w ciemności. Ściągnąłem koc, powoli usiadłem i przejechałem dłonią po twarzy. Światło słońca malowało jasne linie na łóżku.

„Zbudź się, o śpiący, i powstań z martwych...”

Fleet już wstał; zajął pozycję przy oknie, otulony w szlafrok. Przy otwartym oknie. To dlatego w pokoju było tak zimno.

Zadrzałem i jęknąłem, kiedy zaprotestowały moje posiniaczone zębra.

– Zamknij to przekłete okno i rozpal na kominku, na litość boską.

Fleet cicho zachichotał.

– Nie pamiętam tego fragmentu z listu do Efezjan, ale to ty jesteś studentem teologii, panie Hawkins. Lepiej, żeby było zimno. Trzeba się ruszać. Trzeba myśleć. Zachować czujność. – Klasnął w dłonie i zatarł je. – Dziś mamy wiele do zrobienia.

„My?”

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

– Wejdz, Kitty, wejdz! Otwarte! – zawołał Fleet i zanim zdołałem się przyzwoicie ubrać, weszła z wiadrem i szczotką w rękach i paroma książkami pod pachą. Cicho krzyknęła na mój widok – półnagi i na wpół obudzony – i zakryła twarz słownikiem złodziejskiego żargonu.

Zakląłem i schowałem nogi pod koc.

Fleet roześmiał się sam do siebie, kiedy wciągałem portki pod prześcieradłem.

– A zatem kontynuujmy twoją edukację, Kitty – oświadczył, robiąc zamaszysty gest

w moją stronę. – Uważaj: Szlachetny Panicz w stanie naturalnym. – Przechylił na bok głowę. – Raczej dzik niż człowiek, he? Chrapie też jak świnia, zaręczam. Ile widziałas? Może dałaby coś lekcja rysunku...

Kitty rzuciła wiadro i szczotkę na podłogę i pobiegła jak furia w stronę zimnego piecyka, odwracając wzrok od mojej części pokoju. Wyjęła krzesiwko z kieszeni fartucha i zaczęła bardzo mocno uderzać krzemieniem o stal.

Fleet uśmiechnął się szelmowsko.

– Doskonała robota, panie Hawkins. Idę o zakład, że odstraszył pan pannę Sparks od mężczyzn i małżeństwa co najmniej na dwa lata. Ty też się dobrze spisałaś, Kitty. Miałem wobec ciebie większe plany niż życie pełne harówki w otoczeniu piszczących berbeci.

– Harówki? – Kitty stała na czworakach i rozpalala ogień. Podniosła dłonie pokryte tłustym, czarnym kopciem. – Może mam własne plany.

Ześlizgnąłem się z łóżka, wszystkie mięśnie wrzasnęły w proteście. Stałem przy oknie i przeciągnąłem się tak mocno, jak tylko się dało. Dziedziniec był pusty, nie licząc Jeningsa, nocnego strażnika, kończącego wachtę. Przygarbił wąskie ramiona, chroniąc się przed chłodem. Wiatr musiał mu przewiać tej nocy stare cienkie kości. W bramie wartowni pojawił się Joseph Cross; popijał z metalowego kufła. Z tej odległości był tak mały, że mógłbym go zgnieść między kciukiem a palcem wskazującym – przyjemna myśl. Krzyknął coś chrypliwie do Jeningsa, łapiąc się za kutasa. Jego szczekliwy śmiech odbijał się echem od więziennych murów.

Przyglądałem się chwilę dłużej, ale już nikt nie wyszedł na dziedziniec, chociaż po słońcu widziałem, że musiało być po ósmej. Odwróciłem się od okna.

– Chyba możemy wyjść?

Fleet opierał się o ścianę przy piecyku, przyglądając się pracującej Kitty. W jej towarzystwie zachowywał się zupełnie inaczej, stawał się miły, nawet pobłażliwy. Kitty nazwała go swoim mentorem, a on istotnie wydawał się dbać o nią, na swój sposób. Ale jeśli naprawdę była w jego oddziale, dlaczego trzymał ją w Marshalsea? Fleet najwyraźniej nie był w więzieniu za długi – mógł ją wysłać w jakieś bezpieczne miejsce.

– Jakie wiadomości z nocy? – zapytał ją.

Przerwała pracę, zakołysała się na piętach.

– Z lazaretu wyciągnięto trzech martwych, a Jack... – Odwróciła się do ognia.

Jack Carter. Woodburn powiedział, że chłopiec nie przetrzyma nocy, ale i tak poczułem ból. Zamordowano go na moich oczach. Całe więzienie stało i patrzyło... i nikt niczego nie zrobił.

– Co u jego brata, Kitty? – zapytałem.

Lekko dmuchnęła na rozpałkę, płomienie tańczyły i lizały drewno.

– Przez całą noc był u brata w karczerze. Był wstrząśnięty. Bardzo. – Pierwszy raz

na mnie spojrziała. – Ale jest panu wdzięczny.

Fleet wyglądał na zdumionego.

– Benjamin Carter... wdzięczny panu? Za co, u diabła?

– To nie tajemnica – odparłem. – Dałem chłopcu pół szylinga, żeby zaopiekował się bratem tej nocy, w karczerze.

– Ale... – Patrzył na mnie przez zagracony pokój, brwi miał ściągnięte. – Co, u licha, spodziewał się pan na tym zyskać?

– To z dobrego serca, sir. Żeby obu trochę ulżyło, zanim nastąpi koniec.

Fleet skrzywił się, jakby dopiero co ugryzł niedojrzałą cytrynę.

– Pół szylinga? Z dobrego serca? – krzyknął. – O czym, do diabła, pan myślał, pozbywając się monet w tak głupi sposób? Chrzanić gwiazdy i całe niebo... Gdybym chciał mieć za towarzysza idiotę, poprosiłbym pana Jeningsa.

– Cóż. Wybacz, jeśli cię uraziłem – wyszeptałem.

Fleet chrząknął, jakby się nad tym zastanawiał.

Kitty otrzepała dłonie z węglowego miazgu i podniosła się od piecyka.

– Ben widział tej nocy ducha.

– Co takiego? – Fleet natychmiast się na nią rzucił. – Kiedy? Gdzie?

– Kiedy wybiła północ.

– Kiedy wybiła północ? Doskonała rachuba czasu.

– Ben powiedział, że przeszedł obok karczeru. Stukał w ściany, wołał o pomstę. – Zastukała kostkami o ścianę: puk... puk... puk. – Niech się pan nie śmieje – powiedziała, patrząc gniewnie na Fleeta. – Biedny Ben był na wpół umarły ze strachu.

– Doprawdy? W której połowie?

Kitty zignorowała go.

– Wybiegł na dziedziniec dla pospólstwa, a on tam stał, cały blady, straszny w świetle księżyca, z pętlą na szyi. Krzyczał: „Morderstwo! Och, straszne morderstwo! Pomścijcie mnie!” (Dobrze odegrała swoją rolę, z wyciągniętymi rękami). – A potem zniknął na jego oczach.

– Na jego oczach, Kitty?

– Ben wszczął alarm i pan Jenings przeszukał cały dziedziniec dla pospólstwa. Przy murze znalazł porzuconą chusteczkę z wyhaftowanymi inicjałami J. R. Była mokra od krwi.

Fleet parsknął, a potem zaczął chodzić bez końca po pokoju, skopując z drogi książki i ubrania.

– Kapitan John Roberts wstał z grobu. – Wsadził ręce do kieszeni szlafroka. – Chciałbym z nim zamienić parę słów.

Zmarszczyłem brwi.

– Na pewno wierzy pan w te nonsensy?

– To nie są nonsensy – powiedziała urażona Kitty.

– Wiara nie jest dowodem – odparł Fleet. – Fakty... musimy poznać fakty... – Ostro klasnął w dłonie, jakby wzywał fakty do siebie. – Kitty, gdzie jest teraz Benjamin?

– Obok, w kaplicy. Pan Woodburn modli się za duszę Jacka.

Fleet skrzywił usta.

– Cholerny, natrętny dureń. Musimy natychmiast sprowadzić chłopca tutaj, zanim wspomnienia zblakną.

Pomyślałem o Actonie, o jego zakrwawionej dłoni zaciśniętej na całym więzieniu.

– Zanim go uciszą...

– Tak, zgadza się – chrząknął Fleet. – Kitty, biegnij i sprowadź go do mnie. Powiedz, że mu zapłacę, jeśli przyjdzie natychmiast. Wydaje mi się, że pół szylinga to teraz wygórowana cena.

Kiedy Kitty wyszła, zebrałem się na odwagę, żeby przeciwstawić się Fleetowi i zamknąć okno, kończąc wreszcie z lodowatym zimnem. Szybko zrozumiałem swój błąd. Łagodne, wyrozumiałe oblicze Fleeta opuściło pokój razem z Kitty. Przysięgam, czułem, jak jego gniew pali moją skórę, zanim odwróciłem się do niego.

– Otwórz – powiedział cichym, ponurym tonem.

Przez chwilę głupio myślałem, żeby mu się przeciwstawić – tylko po to, żeby zobaczyć, co zrobi. Byłem dwadzieścia lat młodszy i prawie o głowę wyższy. Potem zobaczyłem jego minę i pomyślałem: Zabije cię, Tomie. Zrobi to.

Otworzyłem okno.

Fleet uśmiechnął się.

Wziąłem czarny płaszcz, który przysłał mi Charles i podszedłem do drzwi z całą godnością, na jaką było mnie stać.

– Cóż, nie będę tu siedział i zamarzał na śmierć. Przejdę się po parku.

– Prawie zamarzęś, więc pochodzisz sobie na dworze? Niezbyt to mądre, sir. – Pokręcił głową jak rozczarowany nauczyciel. – Nie możesz wyjść, jest piątek. Usiądź przy ogniu, zapal fajkę, a ja zamówię śniadanie. I przestań się dąsać. Nie mogę tego znieść.

– Piątek? – Usiadłem przy piecyku, ostentacyjnie zatarłem dłonie i przysunąłem je do ognia.

– Dzień sądowy. Więźniowie nie mają prawa wychodzić na dziedziniec. Denerwują wszystkich tych delikatnych dżentelmenów-prawników. Biedne, wrażliwe duszyczki. – Wystawił głowę przez okno i zawołał posługacza, żeby przyniósł nam trochę bułek, owsiankę z mlekiem i kawę, potem znów zaczął krążyć po pokoju. Co jakiś czas zatrzymywał się, podnosił jakąś porzuconą koszulę, metalowy kufel albo list, przyglądał się temu przez chwilę i rzucał w inne miejsce. To jego pomysł na prowadzenie gospodarstwa domowego, pomyślałem.

Podczas jednej z rund po pokoju odwrócił do góry nogami długi but i stary pistolet

wypadł z łomotem na podłogę. Podniósł go za łufę.

– Tu jesteś. – Ucałował go z zadowoleniem, wrzucił z powrotem do buta i wrócił do okna. – Rozbudziłem się – oświadczył, wyciągnął ramiona i ziewnął ostentacyjnie. – Przespałem ostatnie tygodnie. Zimowałem jak wielki, dziki niedźwiedź.

– Albo jeź.

– Właśnie. Jak wielki, dziki jeź.

Nadszedł posługacz z naszym śniadaniem i Fleet dołączył do mnie przy piecyku. Trzymałem w dłoniach kubek z kawą i lekko na nią dmuchałem, czując mocny, gorzki aromat; była z kawiarni Sarah Bradshaw. Zapach przeniósł mnie do poprzedniego dnia: stałem przy oknie, kiedy Acton po raz pierwszy wzniósł bicz. Jego buciór zatrzeszczał na plecach chłopca.

Fleet trącił mój talerz.

– Powinieneś jeść.

Zabrałem się do owsianki i zacząłem powoli jeść, a mój towarzysz z pokoju zapalił fajkę i rozsiadł się na krześle. Powiedział, że dzisiaj mamy dużo do zrobienia, ale wolałem go nie pytać, co miał na myśli. Nie pracowałem dla pana Fleeta, a on nie kupił mojego czasu, bez względu na to, co myślał. Ale z zaciekawieniem czekałem na historię Bena o duchu i razem byliśmy zamknięci w pokoju. Pomyślałem, że potem mogę pójść piętro wyżej i spędzić dzień z Trimem – nie wolno mi było wyjść z oddziału, ale przynajmniej nasze pokoje nie były zamknięte.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Fleet uważnie mi się przygląda na swój dziwny sposób. Było to, naprawdę, nieprzyjemne doświadczenie. W ciemności w brunatnych jak torf oczach było coś prawie nadprzyrodzonego. Jeśli podeszło się bliżej, żeby się mu przyjrzeć, oczy były ciemnobrązowe. Ale jaki zdrowy na umyśle mężczyzna robiłby coś takiego? W tych oczach kryły się tajemnice, dowcipy, których nie należy opowiadać i inteligentne spostrzeżenia. To nie były oczy prostaczka.

Więc oczy zabójcy...? Może – ale nie bezwzględny zabójcy. Nie śmiałego i śmiercionośnego chama, takiego jak Acton. Fleet nie był porywczym mordercą. Gdyby chciał kogoś zabić, spiskowałby, planował i czekał cierpliwie na chwilę nadającą się do ataku. Tak myślałem o towarzyszu z celi po jednej nocy spędzonej w więzieniu. I co do tego – a może tylko co do tego – miałem rację.

– Dlaczego pana tu zamknięto, panie Fleet? – zapytałem, chyba tylko po to, żeby odczynić urok jego spojrzenia. – Najwyraźniej nie za długi.

– Najwyraźniej – przyznał, puszczając smugę dymu. Podrapał się po brodzie, palce zaszeleściły na wielodniowym czarnoszarym zaroście, potem wziął książkę z podłogi. Otworzył ją na frontispisie.

Prawdziwa i niekłamana

Relacja

O Matthew Dance



## Rozbójniku i złodzieju

Po krótkim passusie, traktującym o niesławnym żywocie Dance'a i równie niesławnej śmierci, następowały takie słowa:

Londyn:

Druk i sprzedaż S. Fleet, Russell Street, Covent Garden. MDCCXXV.

– Pan jest drukarzem, księgarzem i tłumaczem.

– Gryzipiórkiem. – Fleet rzucił książkę z powrotem na podłogę. – Przede wszystkim zaś dostawcą sprośności, morderstw i zbrodni.

Przypomniałem sobie wtedy sklepik z zielonymi drzwiami na końcu Russell Street, o krok od kawiarni Moll. Książki i broszury w wysokich stosach stały w oknie i rozłożone były na podłodze, tak samo jak tutaj.

– „Odbezpieczony pistolet”! – krzyknąłem, przypominając sobie szyld nad drzwiami. „Właściciel S. Fleet”. Ma pan świetny sklep, sir.

Fleet pochylił głowę w królewskim geście wdzięczności za komplement.

– I to pana doprowadziło w to miejsce?

Milczał; wspominał coś, co sprawiało mu ból – albo układał świeże kłamstwo.

– Ostatniej zimy wydrukowałem dla przyjaciela broszurę. Została uznana za poniekąd...podżegającą. Kiedy odmówiłem podania jego nazwiska, zostałem oskarżony o wywrotowe oszczerstwo i wrzucony tutaj, żebym zgnił.

Śliczna opowiadka, pomyślałem. I pewnie nic więcej. Nie byłem pewien, czy mam wierzyć w lojalność Fleeta. Był lojalny chyba tylko wobec siebie samego.

– Oszczerstwo? Wobec kogo?

Fleet wzruszył ramionami.

– Wobec parlamentu. Kościoła. Króla. – W zamyśleniu pociągnął fajkę. – To była moja wina. Dałem im pretekst, na który czekali. Wiem za dużo, panie Hawkins. Zbyt wiele lat spędziłem na wysłuchiwanie wyznań morderców, złodziei, nierządnic... i informacji o pięknych damach i dżentelmenach, którzy zeszli się z nimi, czasem w łóżkach. To nierozsądne, znać tyle tajemnic – uśmiechnął się. – Ale dzięki temu życie jest interesujące.

O dziewiątej rozwarło bramę wartowni. Strumień powozów i koni zaczął się wlewać do więzienia, stukocząc po bruku dziedzińca. Strażnicy i posługacze biegali na wszystkie strony, adwokaci niedbale gawędzili, ich czarne togi wydymały się na mocnym wrześniowym wietrze. Acton spacerował między nimi w jaskrawoczerwonej kamizelce, poklepywał ich po ramionach, podawał rękę, śmiał się, jak doskonały wizerunek miłego gospodarza – chociaż widziałem, jak paru ludzi odwróciło się, żeby uniknąć jego powitań. John Grace, naczelny urzędnik Actona, chodził sztywno za swoim panem i ściskając czarną księgę z wartowni, wywarkiwał polecenia służącym. Było w nim coś bezkrwistego, aż wywracał się we mnie żołądek; a może to tylko wspomnienie z poprzedniego dnia, kiedy wysłał mnie do zarażonego ospą pokoju –

zimna obojętność na los innego człowieka.

Kilka minut później dżentelmen około trzydziestki wjechał przez bramę na pięknym czarnym ogierze, uśmiechając się i radośnie machając ręką. Całe więzienie stanęło na baczność, kiedy zsiadł z konia. Ubranie miał dobrze skrojone według najnowszej mody, ładne koronkowe mankiety i piękne hafty na kieszeniach. Nosił zwieńczoną złotem laskę, której użył, żeby zwrócić uwagę najbliższego stojącego adwokata. Szturchnął go nią żartobliwie. Przez chwilę rozmawiali, prawnik szeptał mu coś do ucha. Roześmiali się i podali sobie ręce.

Fleet stanął obok mnie przy oknie.

– Edward Gilbourne. Zastępca protonotariusza.

– Cóż to, u diabła, znaczy?

– Urzędnik z aureolą.

Zmarszczyłem brwi.

– Myślałem, że John Grace zajmuje to stanowisko.

– Grace jest głównym urzędnikiem w więzieniu. Gilbourne pracuje dla sądu. Proces musi się toczyć, panie Hawkins. Nie można po prostu wrzucić człowieka do więzienia i kazać mu tam gnić. To byłoby okrutne. Muszą dostać swoje pięć minut w sądzie. Ich sprawa musi zostać wysłuchana, ich wierzyciele muszą zostać wezwani dla złożenia zeznań... – Uśmiechnął się ponuro. – Potem mogą dalej gnić.

Ludzie tłoczyli się teraz wokół Gilbourne'a, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Uprzejmie kiwał wszystkim głową, ale chyba chciał już opuścić dziedziniec.

– Popularny wśród prawników.

– Potężny – poprawił mnie Fleet. – Władza wokandą. Może ją zmienić, jeśli zechce. Za opłatą.

– Młody jak na takie stanowisko.

– Cudowne dziecko. – Fleet z sarkazmem wzruszył ramionami i usiadł przy piecyku. Wyglądało na to, że dosyć się napatrzył. Chwilę potem pani Roberts przeszła przez dziedziniec, wymijając grupki urzędników i adwokatów, kierowała się prosto w stronę Edwarda Gilbourne'a. Krótko, gorączkowo porozmawiali, Gilbourne zrobił zatroskaną minę.

Przez chwilę dotykał ramienia pani Roberts, a ona położyła dłoń w czarnej rękawiczce na jego dłoni. Podeszedł do nich Acton i mocno klepnął Gilbourne'a w plecy. Gilbourne natychmiast opuścił rękę, ale zauważyłem, że wymienili z panią Roberts znaczące spojrzenia, zanim ukłoniła się i odeszła. Zastanawiałem się, czy byli kochankami? Dotknąłem twarzy, bo przypomniałem sobie mocny policzek, który mi dała poprzedniego dnia.

Adwokaci i urzędnicy przemieszczali się w stronę pałacu sądu, kiedy wielki złożony powóz wpadł na dziedziniec, a zaraz za nim dżentelmen w czarnym fraku i kapeluszu na kasztanowym źrebaku. Powóz zatrzymał się, zeskoczyli słudzy w

liberiach, otworzyli drzwi, wyciągnęli schodki i zrobili drogę do sądu. Acton stanął z boku, kłaniając się głęboko dżentelmenowi w wielkiej peruce, mocno upudrowanemu, który wyłonił się ze środka. Powóz zachybotał pod jego ciężarem, kiedy schodził na dziedziniec. Wokół niego kręciły się lizusy, gotowe się podłożyć, gdyby upadł.

– Sir Philip Meadows – obwieścił Fleet ze swojego miejsca przy piecyku. – Marszałek, rycerz dworu. – Nie wiem, skąd wiedział, nie widząc. Może rozpoznał stukot karety.

Byłem tak zaabsorbowany najjaśniejszym przybyciem sir Philipa, że ledwie zwróciłem uwagę na dżentelmena w czarnym fraku, który zeskoczył z konia. Dopiero kiedy zdjął kapelusz i spojrzał w górę, na więzienne okna, zdałem sobie sprawę, kto to jest.

– Charles! – krzyknąłem, wychylając się z okna.

Uśmiechnął się na mój widok i pomachał kapeluszem, osłaniając oczy od słońca. Przerwał; widziałem, jak niknie jego uśmiech, kiedy przypomniał sobie, gdzie jesteśmy.

– Chwileczkę – powiedział, unosząc palec. – Porozmawiam z nadzorcą.

Skinąłem głową, bo nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa. Charles był moim przyjacielem, moim bratem. Dobra opinia w jego oczach znaczyła dla mnie więcej niż opinia kogokolwiek. To, że widział mnie w takim stanie, pospolitego dłużnika zamkniętego w więzieniu jego patrona, tak mnie zawstydzalo, jakby mnie ktoś złapał za gardło i ścisnął.

Życie Charlesa i moje życie potoczyły się różnymi ścieżkami, ale aż do dzisiaj uważałem, że jesteśmy równi. Myślałem, że jestem szczęśliwszy – żyjąc wedle własnych upodobań, wolny od ogłupiającego żywota księdza, nigdy nie stałbym się człowiekiem takim jak on, bo brakowało mi jego cierpliwości, zrównowazenia – ale zawsze chciałem pewnego dnia się zmienić. Hm, chciałem, to chyba zbyt mocne słowo. Marzyłem o tym, że się zmienię. Mówiłem o tym. Przysięgałem, że to zrobię. Ale czy chciałem? To wymagałoby czasu, skupienia i pracy, Boże dopomóż. To by znaczyło, że dziś podejmuję decyzję i trwam przy niej jutro. Jak można by to osiągnąć? Nie potrafiłem tego zgłębić.

I oto byłem tutaj, w więzieniu dla dłużników – zależny od łaskawości starego przyjaciela, który już oddał mi wszystkie swoje oszczędności. Oszczędności, które straciłem i niewielką miałem nadzieję, że je zwrócę. Stojąc przy oknie celi, patrząc, jak Charles prosi Actona, żeby wypuścił mnie na dziedziniec, zrozumiałem wreszcie, jak nisko się stoczyłem. Jak bardzo zawiodłem.

– Kapelan sir Philipa – powiedział Fleet, aż drgnąłem. Stanął za mną bezszelestnie. – Znasz go?

Charles pokazywał na okno, a nadzorca kręcił głową i przepaszająco wzruszał ramionami. Nawet sir Philip we własnej osobie zatrzymał się na chwilę i zmarszczył

brwi, patrząc w moją stronę. Potem odtoczył się z niezadowoleniem na twarzy.

Srebro przeszło z ręki Charlesa do ręki Actona i nagle nadzorca zaczął się uśmiechać i kiwać głową.

– Panie Hawkins – zahuczał i skinął, żebym zszedł.

Nie trzeba było mnie zachęcać. Odskoczyłem od okna i schwyciłem żakiet.

Fleet kiwnął głową, że jest po mojej stronie.

– Doskonale, biegnij. Sam przesłucham chłopaka.

Prawie zapomniałem o Benjaminie Carterze i jego opowieści o duchu, która na pewno była zabawna, ale nie miała szans wobec spotkania z Charlesem i możliwości wyjścia z celi. Chwyciłem rękę Fleeta, niespodziewanie zadowolony, że mogę uwolnić się od jego towarzystwa.

– Nie bądź tam za długo – przestrzegł mnie. W jego głosie była znacząca nutka, przypomnienie, że jestem jego dłużnikiem. – Ta gadanina o Robertsie wracającym z zaświatów to głupie ploty. Ale ktoś to wykorzystuje, gra z nami – i gra mądrze. W końcu coś się ruszyło, panie Hawkins, czuję to. Możemy razem namieszać w tym gnieździe szerszeni, pan i ja!

Roześmiałem się i pogałem schodami w dół, do Charlesa i wolności. Dopiero później stwierdziłem, jak głupie jest mieszanie w gnieździe szerszeni. Co do mądrych gier, powinienem się domyślić, że Fleet jest w nich mistrzem. Ale zanim to do mnie dotarło, było już za późno.

# Rozdział 8

**N**a dziedzińcu Charles objął mnie ramionami.

– Tom! Mój Boże, cóż za pech. Trudno mi w to uwierzyć. Coś ci jest?

– Świetnie się czuję – powiedziałem, chociaż w istocie byłem posiniaczony od stóp do głów, a guz u podstawy czaszki nadal pulsował, kiedy kręciłem głową.

– Dzięki ci za to – dodałem, przesuwając ręką po czarnej materii fraku, który miałem na sobie. – Wyglądam prawie na człowieka godnego szacunku.

– Prawie? – Charles uśmiechnął się, ale oczy miał smutne. – Panie Acton. – Odwrócił się do nadzorca i uprzejmie pochylił głowę. – Pozwoliłby pan, żebym zabrał pana Hawkinsa do Borough... może do George'a?

Radość, która zaiskrzyła się w chytrych niebieskich oczach Actona, szybko zgasła. Och, być proszonym o przysługę przez człowieka na wysokim stanowisku i o dobrej reputacji! Mieć nad nim władzę, mówić tak albo nie!

– Żałuję, panie Buckley. – Rozłożył ręce, jakby decyzja nie była zależna od niego.

– Pana Hawkinsa przyprowadzono zaledwie wczoraj i nic o nim nie wiem. Jestem pewien, że to uczciwy dżentelmen...

Charles wyglądał na obrażonego.

– Nie ma co do tego wątpliwości – wypalił. Ładnie z jego strony w takich okolicznościach, chociaż niezupełnie trafnie.

– ...ale nie mogę pozwolić, żeby wychodził i wchodził do mojego zamku według uznania, szczególnie w dzień sądowy. Inni więźniowie... – Acton wskazał na mężczyzn i kobiety, wyglądających z okien nad nami. Wielu z nich istotnie kipiło z zawiści, że wypuszczono mnie na dziedzińiec. Ale nie to było prawdziwą przyczyną odmowy Actona. Tu chodziło o władzę nad człowiekiem sir Philipa. O przypomnienie wszystkim, kto jest naprawdę władcą Marshalsea.

Charles zachował się jednak tak, jakby o tym nie wiedział.

– Czy donacja na więzienie upewniłaby pana? – zapytał, wyciągając pół korony z sakiewki. Palce zaczęły mnie swędzić. – Zaręczę za niego.

– A zaręczysz pan za dwadzieścia funtów jego długu? Jeśli ucieknie? – Acton przechylił głowę, naprawdę zainteresowany.

Charles westchnął – wyglądało to, jakby całe jego ciało westchnęło samo z siebie. Skurczył się przy tym na moich oczach o dobrych parę cali.

Acton, rozbawiony, obnażył zęby.

– Może w końcu nie jesteście takimi wielkimi przyjaciółmi...?

Myślę, że nie było co marzyć, że wyjdę przez bramę wartowni do Borough pierwszego dnia spędzonego w więzieniu. Trim powiedział mi poprzedniego wieczora,

że Acton pozwala niektórym bardziej zaufanym więźniom wychodzić do miasta pod strażą, żeby załatwiali swoje sprawy i podtrzymywali napływ do kieszeni gotówki, którą wpłacali mu za utrzymanie. Z innych względów to też miało sens – dawało mu reputację dżentelmena, przeczyło plotkom w pubach w Southwark o okrucieństwie, chorobach i jeszcze czymś gorszym. I sprawiało, że więźniowie, przynajmniej po stronie dla dżentelmenów, zachowywali się bardzo przykładowie. Nikt nie chciał stracić przywilejów.

Z drugiej strony, jeśli więzień uciekłby z Marshalsea, to nadzorca Acton odpowiadałby za jego długi. Żeby być uczciwym: miał rację, nie ufając mi. Teraz, po spędzeniu nocy w jego zamku, uciekłbym do Mint albo z powrotem do Moll... dokądkolwiek, gdybym tylko miał szansę. Byłem tylko o krok od strony dla pospółstwa. Jeśli Acton się na mnie zawezmie. Jeśli Fleet znudzi się mną. Nie zapomniałem o żalosnych krzykach, wznoszących się pod niebo ostatniego wieczora – jęków potępionych. Zatem tak, uciekłbym, gdyby Acton wypuścił mnie z więzienia tego ranka. Mój Boże, uciekłbym i nawet za siebie nie spojrział.

Wszystkie oddziały były pod kluczem, a pub był zamknięty; nie mieliśmy wyboru, poszliśmy do pałacu sądu. Kiedy przechodziliśmy pod sądowym portykiem, stwierdziliśmy, że kawiarnia Sarah Bradshaw też jest zamknięta, poszliśmy więc dalej, na górę, do Cycatej Lali, restauracji Macka. Przeciskaliśmy się między adwokatami i urzędnikami, czekającymi, aż zostaną wezwani przez sąd, kłócącymi się na półpiętrach. Papiery mieli przyciśnięte do piersi albo machali sobie nimi przed nosami jak bronią. Ich głosy odbijały się echem od ścian i wszystkie mówiły to samo. Pieniądze. Kto je ma, kto jest je winien, jak można zarobić trochę więcej? „Twój klient jest mi winien trzy funty i dziesięć szylingów. W ostatnim miesiącu obiecano nam trzy gwinee. Podpisać ten dokument? Trzy pensy, sir. Spodziewa się, że jego ciotka zostawi mu dwadzieścia funtów, a wiem z dobrego źródła, że jest chora, naprawdę bardzo chora”. Można by pomyśleć, że na świecie nie ma innego tematu rozmowy, innej myśli w ludzkich głowach. I nie było – w każdym razie nie tutaj.

– Panie Hawkins! – zawołał Woodburn, patrząc w dół z najwyższego półpiętra. Zamachał szerokoskrzydłym kapeluszem nad balustradą. – Czy to wielebny Charles Buckley, którego widzę z tobą? Na mą duszę! Panowie, wy się znacie?

Charles zaklął po cichu, a na głos zawołał z sympatią:

– Ależ to pan Woodburn! Dobry dzień panu.

Przepchnęliśmy się do niego po schodach, obok Dębu – oddziału dla kobiet. Rzuciłem tęskne spojrzenie w stronę grubych podwójnych drzwi. Miałem jeszcze spotkać więcej szlachetnych kobiet-dłużniczek – pub był zbyt podłą spelunką, nadawał się raczej dla damulek z miasta. Nie spodziewałem się też, że przyjdą do Fleeta na herbatkę. Niestety, wejście do Dębu było zamknięte na głucho, kiedy sąd miał sesję.

Pomyślałem, że w pewnym momencie rozpatrywana będzie moja sprawa. Że rzuca

mnie na łaskę i niełaskę pana Fletchera, mojego gospodarza, wściekłego, że uwiodłem jego żonę... albo że jej nie uwiodłem. W każdym razie nie sądziłem, żeby był w łaskawym nastroju. Znow zacząłem się zastanawiać, kto mógł mu wysłać ten obrzydliwy liścik... ale zaraz wypadło mi to z głowy i już o tym nie myślałem. Szkoda, że o tym zapomniałem.

– Kochani panowie – westchnął Woodburn, kiedy dotarliśmy na ostatnie piętro. Mocno objął ramieniem młodego Bena Cartera, jakby się bał, że się przewróci na podłogę. Z początku nie poznałem chłopaka, tak był przygarbiony. Niezła była z nich para: stary, gruby kleryk w rozmyślnie wyświechtanym ubraniu i chłopak, za chudy, za poważny, zbyt nieufny jak na swój wiek.

Woodburn chwycił w obie dłonie rękę Charlesa i puścił Bena, który aż się zachwiał z wyczerpania.

– Przykro mi w związku z Jackiem – powiedziałem cicho. – To był odważny chłopak.

Popatrzył na mnie oczami w czerwonych obwódkach. Odniosłem wrażenie, że nie podziela mojego zdania na temat brata.

– Mam dla pana wiadomość.

– Od pana Handa?

– Nie, sir. – W jego głosie był jakiś dziwnie roztargniony ton, jakby wstrząs i smutek zabrały z niego całe życie. – Nie, od ducha. Od kapitana Robertsa.

– Naprawdę? – Spojrzałem na niego zdumiony i uśmiechnąłem się.

Błysk gniewu.

– Przysięgam! Na mą duszę! – Uderzył się pięściami w pierś.

– Doskonale, Ben – rzekłem łagodnie. Biedny chłopak dość wycierpiał; poprawienie mu humoru nic nie kosztowało. – I czego ode mnie chciał?

Ben lekko rozluźnił pięści.

– Powiedział, że dziś w nocy musi z panem porozmawiać. O północy, pod portykiem sądu. Sam na sam. Nie wolno nikomu mówić.

– O co chodzi? – Woodburn spojrzał na nas z ciekawością.

– Rozmawialiśmy tylko o biednym Jacku – powiedziałem, wspomniawszy na słowa Fleeta o kapelanie. Wścibski. – Jestem pewien, że był zadowolony, kiedy brat znalazł się u jego boku na sam koniec.

Mina Woodburna złagodniała.

– Tak, i to dzięki panu, sir. – Zwrócił się do Charlesa. – Pański przyjaciel rozumie prawdziwe znaczenie słowa dobroczynność; rzadki to dar w tym zepsutym świecie.

– Doprawdy? – Charles zakaszłał, żeby stłumić śmiech, który już miał mu się pojawić na ustach. – Tom to prawdziwy Lot w Sodomie.

Woodburn pokiwał w milczeniu głową.

– Cóż, obawiam się, że musimy panów opuścić – powiedział, popychając chłopca

ku schodom. Ściszył głos. – Idziemy odwiedzić pana Fleeta. Upiera się, żeby wysłuchać informacji o duchu, a nie chcę, żeby Ben odwiedzał go sam. Ten człowiek jest zły. Zepsuty do szpiku kości.

– Mój towarzysz z celi – wyjaśniłem Charlesowi.

Poparzył na mnie z niepokojem.

– Mieszkasz w jednym pokoju z Samuelem Fleetem?

– Znasz go, Charles?

Prawie niewidocznie pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć „nie tutaj”.

Woodburn, skrępowany, majstrował przy kołnierzyku.

– Panowie, co sądzicie o tej opowieści o duchu? Trudno mi w nią uwierzyć, ale chłopiec nie jest skłonny do kłamstwa. – Nerwowo zmarszczył brwi. – Może istotnie coś widział. Pismo nas poucza...

– Właśnie spędził noc, czuwając przy umierającym bracie, sam, w ciemnościach – przerwał mu łagodnie Charles. Poklepał kapelana po ramieniu. – Wszyscy widzielibyśmy duchy, prawda?

Woodburn nie wyglądał na przekonanego, ale mimo to pokiwał głową.

– Tak, jestem pewien, że ma pan rację. Cóż, lepiej nie kazać diabłu czekać, prawda? – Ukłonił się i przeprosił. Ben w milczeniu poszedł za nim.

Cycata Lala była wielkim, zapuszczonym, zakopconym pomieszczeniem na tyłach pałacu sądu, na ostatnim piętrze. Kawiarnia Sarah Bernard miała własny teatr, uczyniony z dziedzińca, pub oferował widoki – chciane czy niechciane – na oddział dla pospółstwa. Ale okna w Cycatej Lali znajdowały się wysoko pod sufitem, pozwalając patrzeć tylko na kawałek nieba i od czasu do czasu na ptaka szybującego w oddali. Z wszystkich miejsc, gdzie serwowano jedzenie w Marshalsea, to było najbardziej strzeżone, nie pozwalało zapomnieć, gdzie się jest. Choćby z tego jednego powodu ceny były tu wyższe. Szczęśliwie dla mnie płacił Charles.

Większość więźniów była zamknięta w swoich pokojach, w restauracji panowała więc cisza, słyhać było tylko ciche mamrotanie o sądowych interesach i plotki szeptane między nielicznymi gośćmi. Tłusty, spocony adwokat ślinił się nad późnym śniadaniem złożonym z lśniącej potrawy z flaków i cielejących nówek, a błydy urzędnik zamówił u pani Mackowej zimne mleko i chleb.

– Ciężka noc – wyjaśnił, pocierając czoło powalanymi atramentem palcami. – Płacę za to, pani Mack.

– Nie współczuję – odparła radośnie. – Pan i władca jęczy rano w poduszkę z tego samego powodu. Co rano. – Poprawiła się i uśmiechnęła do nas. – Rozgośćcie się, panowie. Przyjdę za chwilę.

Idąc do stołu przy kominku, minęliśmy trio młodych nierządnic, dochodzących do siebie po nocy ze strażnikami. Nalewały sobie ponczu do szklanek i żartobliwie odgrywały przed sobą to, co robiły. Kuksały się nawzajem i z cicha chichotały, kiedy



przechodził Charles w czarnym fraku i białej apaszce, ale on tylko się uśmiechnął i uchylił kapelusza.

– Szanowne panie.

Słyszac to, roześmiały się jeszcze radośniej i przedstawiły menu usług. Ceny z rabatem dla pocziwych duchownych, takich jak on. Pokręcił uprzejmie głową. Ledwie się odwrócił, ukloniłem się przed nimi teatralnie.

Wróciła pani Mackowa, żeby przyjąć od nas zamówienie. Była w istocie Anty-Mackiem – malutka, krągłutka, cicha, trzeźwa. Małomówna. Zamówiliśmy butelkę wina i Charles zapadł w milczenie.

Zapaliłem fajkę i czekałem. Zmężniał przez ostatnich parę lat. Zawsze widziałem Charlesa takim, jakim był w szkole: pyzaty, nieśmiały, brwi ściągnięte nerwowo, jakby się bał rzeczy, których nie znał. Ale teraz był już mężczyzną, pewnym siebie i swojego miejsca w świecie, wszystkie troski dzieciństwa go opuściły. A może zostały, ale zagrzebane.

Podano wino. Charles nalał sobie kieliszek i zapatrzył się w jego czerwoną aksamitną głębię.

– Rozmawiałem z sir Philipem.

Ach. Pociągnąłem długi łyk wina i czekałem.

– Przykro mi, Tom. Odmówił pomocy. – Charles odepchnął wino. Wyglądał na przygnębionego. – Błagałem go...

– Daj spokój, Charles. – Dotknąłem jego ramienia. – Rozumiem.

– Obawiam się, że cię pamięta. Trochę za dobrze.

Nachmurzył się z zażenowania. Byłem pewien, że w życiu nie rozmawiałem z sir Philipem... Potem sobie przypomniałem – ciepły wiosenny ranek, kilka miesięcy temu. Szedłem do domu przez Mayfair i z daleka zobaczyłem Charlesa; stał przed domem sir Philipa z chłopcem około szesnastoletnim. Zbierali się, żeby wsiąść do pięknego powozu. Noc strawiłem na picciu nad rzeką i wydawało mi się doskonałym pomysłem zawołać go na głos, po imieniu, na ulicy.

– Wielebny Charlesie Matthew Buckleyu! – wrzasnąłem od serca, w chwili, kiedy sir Philip sapiąc, wychodził z domu.

Charles odwrócił się zaskoczony. Na powitanie podniosłem rękę z butelką.

– O Boże – powiedziałem teraz z jękiem, wspominając tę chwilę. – Co u diabła mu powiedziałem?

– Nic – westchnął Charles. – To ja, jak głupiec, przedstawiłem cię jego synowi. Powiedział ci, że wkrótce idzie do Oksfordu. Zapytałeś, czy wyposażyłem go w listę najczystszych burdeli.

– Praktyczne pytanie.

Charles nie uśmiechnął się.

– Wepchnąłem go do powozu, zanim zdołałeś poczynić więcej szkód, ale sir Philip

usłyszał cię. Długo musiałem go przekonywać, że nigdy w życiu nie byłem w burdelu.

– Ale ty...

– Nie o to chodzi – syknął. – Wtedy byłem studentem. Głupim chłopakiem. – I zachichotał wbrew sobie. – A ty sprowadziłeś mnie na manowce.

– O ile sobie przypominam, nic przeciw temu nie miałeś.

– Tom, mogłeś pozbawić mnie stanowiska – powiedział łagodnie. – Wiesz, potem przysiągłem sobie, że nie chcę z tobą mieć więcej do czynienia. – Podniósł rękę, udając rozpacz. – Ale oto jestem.

– Jesteś dobrym przyjacielem.

– A ty marnym – odparł, zaśmiał się i napił wina. – Ale, Boże odpuść, brakuje mi twojego towarzystwa. – Przysunął się bliżej. – No, więc co należy zrobić? Jak chcesz spłacić długi?

– Mam plany... – odparłem. Brzmiało to nijako nawet dla mnie. – Tu, pod portykiem, grają w tryktraka...

– Nie. – Charles westchnął. Trwało to tak długo, że westchnienie przekształciło się w rozpaczliwy jęk. – Nie, nie. To nic nie da, Tom. Nie możesz żyć w tak rozpaczliwy, przypadkowy sposób – spójrz, do czego cię to doprowadziło!

Rozejrzałem się i napotkałem wzrok jednej z dziwek od strażników. Mrugnęła i podniosła kieliszek.

– Nie da się inaczej – powiedział Charles, nie zwracając na to uwagi. – Musisz napisać do swojego ojca.

Znów spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Nie zrobię tego.

– Przebaczy ci w mgnieniu oka...

– Doprawdy? – mruknąłem, patrząc z wściekłością na Charlesa. – Jakież to wielkoduszne. Domyślałem się, że byłeś z nim w kontakcie? Ciebie zawsze najbardziej kochał.

– Na litość boską! – krzyknął doprowadzony do ostateczności Charles. – Chociaż raz posłuchaj mojej rady, proszę cię! Nie rozumiesz? Twoje życie jest zagrożone! Wisi na włosku. – Złożył kciuk i palec wskazujący. – Jeśli nie wyciągniemy cię stąd teraz, spadniesz szybko i głęboko i będziesz stracony na zawsze. – Przełknął z trudem, dalej mówił spokojniej. – Napisz do ojca. Przepróż za błędy, a obiecuję, że przyjmie cię z otwartymi ramionami.

– Moje błędy? – przycisnąłem rękę do piersi. – Moje? A co z jego błędami? Moja matka jeszcze nie ostygła w grobie, kiedy sprowadził tę kobietę do domu i tego jej nikczemnego syna, tego jadowitego węża...

– Tak, tak – jęknął Charles. – Pamiętam. Ale to ty siedzisz w więzieniu, nie twój ojciec. Wybacz, Tom, ale nie możesz sobie pozwolić na dumę.

Nachmurzyłem się, ale nic nie powiedziałem. Charles powinien wiedzieć, że nie

należy wspominać mojego ojca. Wściekły gmerałem przy fajce, nabijałem tytoń, a on dawał mi te swoje dobre rady. Musiała minąć chwila, żeby dotarło do mnie, że przestał mówić. Podniosłem wzrok. Patrzył na mnie, miał łzy w oczach.

– Nie powinienem cię opuszczać. Opiekowałeś się mną w szkole. – Odwrócił wzrok. – Teraz ja powinienem się tobą zaopiekować.

– Bzdura – wzruszyłem ramionami, zapalając fajkę. – Nie jesteś moim opiekunem. Wybraliśmy różne drogi, tylko tyle; nie wolno ci się za to winić.

– Ale boję się o ciebie, Tom. Ludzie tak szybko tu umierają, a ty masz talent do wpadania w kłopoty. Musisz uważać na siebie w obecności Actona, może cię załatwić, o tak. – Strzelił palcami. – Wiesz, kim był, zanim nastał w Marshalsea? Rzeźnikiem! Dobre przygotowanie dla nadzorcy. Nie masz pojęcia, ile krwi jest na rękach tego człowieka.

Nalałem sobie kolejny kieliszek wina i szybko wypięm.

– To dlaczego twój drogi patron zatrudnia takiego potwora?

Ledwie widoczny cień wstydu pojawił się na twarzy Charlesa.

– Utrzymuje spokój.

Uniosłem brwi.

– I daję zysk – przyznał niechętnie. – Więcej niż możesz sobie wyobrazić. – Już chciał powiedzieć więcej, kiedy podeszła pani Mackowa z nową butelką klaretu. Odczekał, aż znalazła się poza zasięgiem słuchu i dopiero wtedy wrócił do rozmowy. – Sir Philip coś o tym napomykał. – Przygryzł wargę. – Tom, jesteś pewien, że nie napiszesz do ojca?

Chmurnie spojrzałem na niego przez obłok fajczanego dymu.

– Doskonale – westchnął. Rozejrzał się i ściszył głos. – Słyszałeś o kapitanie Robertsie?

– Śpię w jego łóżku.

Wzdrygnął się.

– Tak, oczywiście. Cóż, wdowa po nim wywiera ogromną presję na sir Philipa, żeby wejrzał w tę sprawę.

– W sprawę morderstwa, tak?

Charles uciszył mnie wzrokiem.

– Nie jest mądrze mówić o tym tutaj – szepnął. – Ale owszem, chciałby, żeby sprawa została rozwiązana. Całe to gadanie o duchu i morderstwie...

– Zmniejsza dochód? – zasugerowałem kwaśnym tonem. – Biedny sir Philip.

Charles poczerwieniał.

– Masz rację. Nie powinienem o tym wspominać...

– Nie, nie – wtrąciłem szybko. – Jeśli jest interes do ubicia, posłucham. Powiedz, czego ode mnie chce?

– On... on chce, żebyś zdemaskował zabójcę.

Zamrugalem zaskoczony.

– Zdemaskować zabójcę? Jak miałbym to, na Boga, zrobić?

– Nie mam pojęcia – wyznał Charles. – Ale zacząłbym od twojego współlokatora.

– Zmarszczył z obrzydzeniem usta. – Że też z nim dzielisz celę...

– A jak mi się powiedzie?

Pani Mackowa znów podeszła do stołu, tym razem z naszym obiadem: talerzem ostryg i cielęcą łopatką z kalafiorem. Musiała zauważyć, że przerywamy rozmowę za każdym razem, kiedy się pojawia, ale nie zwracała na nas uwagi.

– Tutaj lepiej nie rozmawiać – powiedział Charles, kiedy poszła. – Dziś wieczór prześlę ci list za pośrednictwem Gilberta Handa. Upewnij się, czy pieczęć nie jest złamana. – Bez zadowolenia zaczął przeżuwać kawałek chrząstki. Popił go łykiem klaretu. – Nadal uważam, że powinieneś napisać do ojca.

– Charles, klnę się na Boga... jeśli jeszcze raz wspomnisz mojego ojca, wepchnę ci twarz w ostrygi.

Zostaliśmy w Cycatej Lali przez kolejne dwie godziny, wypiliśmy wspólnie pół kwarty sherry, wspominając szczęśliwsze czasy, a chmury płynęły za wysoko położonymi oknami restauracji. Potem Charles sięgnął po kapelusz i oświadczył, że czas wezwać lektykę. Nagle poczułem chęć, żeby złapać go za nadgarstek i poprosić o pozostanie. Prawda była taka, że bałem się spędzić kolejną noc w zamknięciu, na łasce Fleeta, Actona i Crossa. Niektórzy ludzie potrafią wymijać takie niebezpieczeństwa – ludzie tacy jak Trim i Mack. Ale Charles miał rację; zawsze miałem talent do wpadania w kłopoty. Mimo wszystko, nie będę mógł przez cały czas kulić się ze strachu w Cycatej Lali.

Kiedy wyszliśmy, sąd nadal sprawował sesję i dziedziniec był pusty, nie licząc Jeningsa, nocnego strażnika, zapalającego latarnię w półmroku. Ciemniejące niebo przypomniało mi o słowach Bena Cartera – że duch kapitana Robertsa spotka się ze mną dziś o północy pod pałacem sądu. Bardzo punktualny duch, jak zauważył Fleet.

– Mam nadzieję, że powie mi, kto go zamordował – odezwałem się do Charlesa. – To byłoby niezwykle pomocne.

Charles wyglądał na zdumionego.

– Czego, u diabła, chce od ciebie duch Robertsa?

– Może chce przeprosić za wdowę po sobie. Ostatniego wieczora dała mi w twarz bez powodu.

Doszliśmy do wartowni. Charles zatrzymał się, przyglądał mi się przez chwilę.

– Tom, od dawna jesteś zamknięty w Marshalsea?

– Dzień. I pół.

– Dzień i pół... – wyszeptał z zastanowieniem. – Myślę, że powinieneś pójść do swojego pokoju. Schować się pod łóżkiem na resztę nocy.

– Nie mogę. Acton zaprosił mnie na kolację. I jego żona, Mary. – Uśmiechnąłem

się, spoglądając na mieszkanie nadzorcy. Żółte zasłony były zaciągnięte, ale dochodził zza nich blask światła. – Widziałeś ją?

– Na litość boską, nie mówi mi, że masz wobec niej plany! Żona nadzorcy? – Charles parsknął. – Cóż, to przyspieszy twoje wyjście z więzienia, gwarantuję. Prosto przez bramę, w trumnie...

– Cóż, więc... może przesznułowałbyś mnie dziś wieczór w twojej lektyce? Na pewno nikt cię za to nie będzie winił.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Tom – powiedział, chwytając mnie za ramię, jakbym miał skoczyć i uciec przez bramę wartowni właśnie w tej chwili. – Jeśli uciekniesz, Acton powie, że odpowiadam za twój dług. Stracę wszystko. Sam mogę trafić do więzienia.

– Ach. – Gdyby tu była Moll, wiem, co by powiedziała: „I co z tego? Znalazłby sposób, żeby stąd wyjść. Nic mu nie jesteś winien; nic a nic. Może sir Philip zlituje się nad nim. Może Bóg go zbawi; prędzej zbawi Charlesa niż ciebie, Tomie Hawkinsie”.

– Lepiej wróć do domu – powiedział ostro Charles.

Zatrzymaliśmy się przy bramie wartowni, Cross marudząc, wyszedł ze swojego pokoju; dzwonił kluczami i pluł na podłogę. Ile by nie zapłacił dziwkom, było im za mało. Kiedy otwierał kluczem drzwi, Charles odciągnął mnie kawałek dalej i wyszeptał mi do ucha:

– Czekaj dziś wieczór na mój list. – Ścisnął mnie za ramię i wyszedł na wolność.

Cross odwrócił się do mnie. Na szyi miał sińce, w miejscu, za które złapał go Jakes i prawie udusił w moim imieniu, wargę miał przeciętą, tam, gdzie go uderzyłem. Przez chwilę prawie zrobiło mi się go żal.

– Myślisz, Hawkins, że twój przyjaciel cię uratuje? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami, nie chciałem, żeby mi zawracał głowę.

– Może.

Uśmiechnął się.

– Cóż, nie licz na to. Tu nie ma przyjaciół.

# Rozdział 9

**G**dy wróciłem na dziedziniec, Gilbert Hand stał na warcie pod swoją latarnią, przebierając nogami, żeby się rozgrzać. Czeka, żeby wycisnąć ze mnie informacje, pomyślałem, widząc jego znaczący uśmiech.

– Słyszałem, że masz się pan dziś w nocy spotkać z duchem – powiedział.

– Ben panu powiedział?

– Ben mówi mi wszystko. To mój chłopak.

– Musiał sobie to wymyślić.

Hand powoli pokręcił głową.

– On nie jest marzycielem. – Chwycił mnie za ramię i przyciągnął bliżej, przysunął mi usta do ucha. Poczułem, jak drapie mnie siwozłotym zarostem. – Jak się spotkasz z Robertsem, zapytaj go, co się stało z pieniędzmi.

– Z pieniędzmi? Z jakimi pieniędzmi?

Ale Hand już odszedł, żeby zapalić fajkę z jednym z urzędników sądowych.

Czułem się trochę niewyraźnie po całym tym picciu z Charlesem, poszedłem więc do kawiarni na filiżankę kawy. Sama pani Bradshaw spała w fotelu. Na straży przy kominku zostawiła Kitty. Dziewczyna stała plecami do pokoju. Paru podstarzałych adwokatów siedziało przy oknie, dziobiąc spóźniony obiad. Podnosili na widelcach chrząstki, jakby spodziewali się, że znajdą pod nimi skromnie schowany kawałek wybornego steku. Poza tym kawiarnia była pusta, więźniowie nadal siedzieli zamknięci w oddziałach, nawet pod koniec dnia. Zastanawiałem się, czy tak samo było po stronie dla pospólstwa – w końcu nie ma po co trzymać ich pod kluczem, skoro całe to sądowe zamieszanie odbywało się po tej stronie muru. Ale było po co: ze złośliwości – a tej Acton miał w nadmiarze.

Poczułem, że coś przyciska mi się do stopy, i zobaczyłem małego Henry'ego, syna Actona, jak pełza po podłodze, klapiąc grubymi paluszkami o deski. Zostawił mi na stopie ślad cieknącej mu z ust śliny i gaworząc do siebie, zajął się buszowaniem w lesie nóg od krzeseł.

Kitty uśmiechnęła się radośnie, kiedy mnie zobaczyła, i zakryła usta, udając, że kaszle.

– Kitty, poproszę filiżankę kawy.

To wstrzymało jej kaszel. Spojrzała na mnie gniewnie.

– A więc jestem pańską niewolnicą?

Rozejrzałem się.

– To jest kawiarnia, prawda? A ty przecież tu pracujesz?

– Chyba tak – zgodziła się niechętnie i zaczęła parzyć świeżą kawę. Kiedy ją

przygotowała, naląła też sobie i dosiadła się do mnie.

– No więc... Jesteś gotów na dzisiejszą noc?

– Na dzisiejszą noc? – Popatrzyłem nad nią nad kawą. Ona też słyszała o duchu?

– Zapomniałeś? – Postukała się w czoło. – Kolacja z gubernatorem? Tańce z żoną gubernatora? – przeciągnęła palcem po gardle. – Wpadłeś potąd.

– Hm, dziękuję ci, Kitty. Jesteś wspaniałą pocieszycielką.

– Ależ, sir, panu potrzeba pociechy...? – Zatrzepotała zalotnie rękami. – Jestem pewna, że pan Acton poczuje się zobowiązany.

– Czy Henry powinien być tak blisko ognia?

Natychmiast podskoczyła z miejsca i brutalnie odciągnęła go od piecyka. Henry rozkrzyczał się na znak protestu, usta miał szeroko otwarte, łzy spływały mu po twarzy. Pani Bradshaw obudziła się z głośnym chrapnięciem i rozejrzała się, mrugając oczami.

– O Boże, Henry – jęknęła i wstała z trudem z krzesła. Wyjęła chłopca z ramion Kitty i pieściła go, aż prawie się uspokoił. Obfite łono stłumiło jego krzyk.

W samym środku tego chaosu do pokoju weszła pani Roberts. Domyśliłem się, że może wchodzić i wychodzić wedle woli, nawet w dzień sądowy, bo nie jest uwięziona. Skinęła głową pod adresem pani Bradshaw, która odpowiedziała chłodnym uśmiechem. Pani Roberts ściągnęła czarne zamszowe rękawiczki.

– Filizankę kawy, Kitty.

Kitty nachmurzyła się i odwróciła do ognia, trzaskając nową filizanką z delikatnością kowala wykuwającego podkowę.

Spodziewałem się, że pani Roberts potraktuje mnie lekceważąco, tymczasem podeszła prosto do mojego stolika.

– Panie Hawkins.

Wstałem i ukloniłem się.

– Madame.

– Mogę... mogę się do pana przysiąc?

Odsunąłem się, udając strach.

– Obiecuję pani, że mnie nie uderzy?

Lekki uśmieszek.

– No wie pan... Obiecuję pan, że nie będzie mnie prowokował?

– No wie pani – odwzajemniłem uśmiech, gestem zaprosiłem, żeby usiadła.

Uczyniła to, wygładziła suknię i siedziała z wyprostowanymi plecami, jakby była damą na dworze, a nie w skromnej kawiarni w więzieniu dla dłużników.

– Muszę pana przeprosić za moje zachowanie ostatniego wieczora.

– Na pewno na to zasłużyłem.

– Na pewno pan nie zasłużył – powiedziała i roześmiała się, a oczy pojaśniały jej na chwilę. – Znowu się kłócimy.

– Owszem – odparłem z uśmiechem. – Ale uspokoję panią, nie mam planów wobec

Kitty Sparks i nie będę miał. Nie mam zwyczaju uganiać się za pokojóweczkami.

– Nie, ależ nie. – Zawstydzona przyłożyła dłoń do policzka. – Za szybko pana oceniłam. To mój błąd. A pan miał rację; obawiam się, że myślałam o moim zmarłym mężu. Rozumie pan, to podobieństwo... – Wyjęła złoty medalion z kieszeni spódnicy, otworzyła zatrask i wsunęła mi go w dłoń. Po jednej stronie była miniatura małego chłopczyka, nie więcej niż czteroletniego. Po drugiej portret mężczyzny w czarnym płaszczu, krótkiej peruce i musztardowej kamizelce.

– Zamówiłam to po jego śmierci, kiedy doszłam do majątku i mogłam sobie na to pozwolić. To bardzo wierna podobizna.

Kapitan Roberts. Zawsze wyobrażałem go sobie w mundurze. Zmrużyłem oczy, patrząc na portret, który podniosłem do światła. To prawda, było podobieństwo. Mieliśmy takie same niebieskie oczy i ciemne brwi, taką samą bladą, szkocką cerę, którą odziedziczyłem po matce. Ale jego linia szczęki była znacznie łagodniejsza niż moja. Uczciwie mówiąc, z nas dwóch ja byłem pobłogosławiony lepszym wyglądem. Nie powiedziałem tego wdowie.

Dotknąłem drugiej strony medalionu.

– Kim jest ten chłopczyk?

Wzięła łańcuszek z mojej dłoni i przez dłuższy czas czule patrzyła na obrazek.

– To Matthew – powiedziała cicho. – Mój syn.

– Czy on... – Głos mi się załamał. W jej oczach widać było ból tak głęboki, że musiała chyba opłakiwać dwóch zmarłych, nie tylko jednego.

– Tak, odebrano mi go. – Zatrzasnęła medalion. – Ale nie tak, jak pan sądzi, panie Hawkins.

Przyszła Kitty z dzbankiem kawy. Pani Roberts przyjęła go lekkim skinieniem głowy i odesłała dziewczynę machnięciem dłoni.

– Byłam bardzo młoda, kiedy wyszłam za Johna – zaczęła znowu po krótkim milczeniu. – Mój ojciec wściekł się. Obiecał mnie przyjacielowi; wszystko było ustalone. Była ziemia, posiadłość. Nawet tytuł. Miałam siedemnaście lat. Jego przyjaciel zbliżał się do sześćdziesiątki. – Zniesmaczona mina. – Uciekłam. Oczywiście, rodzina mnie wydziedziczyła. Nie miało to dla mnie znaczenia. Byłam zakochana.

Zamknęła oczy i ironicznie się roześmiała.

– To nie zbrodnia zakochać się – powiedziałem.

– Nie, nie zbrodnia. – Zmarszczyła brwi, patrząc na mnie, jakbym był dzieckiem, ale zaraz mina jej złagodniała. – Po tym wszystkim, co się stało, łatwo zapomnieć, że przez jakiś czas byliśmy szczęśliwi.

– Czy on... – chrząknąłem. – Zdradził panią?

– Och, jasne! – roześmiała się gorzko, odrzucając głowę do tyłu. – Czyż nie tak postępują mężczyźni? – Zacząłem protestować, ale powstrzymała mnie, lekko



dotykając palcami mojego nadgarstka. – Proszę, panie Hawkins, wiem, co chciał pan powiedzieć, ale niech mi pan wybaczy. Nauczyłam się osądzać mężczyzn po tym, co robią, nie po tym, co mówią.

Dotyk jej ręki sprawił, że poczułem iskrzenie; zapragnąłem wziąć jej dłoń, przycisnąć delikatnie do warg. Ciekawe, co by się stało, gdybym tak zrobił? Kolejny policzek i nie mógłbym się dziwić. Odsunęła rękę i nastrój minął.

– A więc rozeszła się pani z mężem, bo zabrakło miłości?

– Nie! – Nachmurzyła się, nagle zrobiła wyzywającą minę. – Zabrakło nam pieniędzy. Niektórzy mężczyźni mają talent, żeby je robić; John miał talent, żeby je tracić. Wtedy już byłam przy nadziei. Potajemnie napisałam do matki. Przysłała mi, co mogła; czego by nie zauważono. Mój ojciec mógłby ją okrutnie potraktować, gdyby się dowiedział. Myślałam, że wszystko się poprawi, kiedy dziecko się urodzi, że John zechce zająć się ojcowskimi obowiązkami. Matthew był taki słodki, takie dobre dziecko. John miał na jego punkcie bzika, ale... był taki lekkomyślny. Prawdę mówiąc, było w nim wszystko, przed czym mnie ostrzegano, zanim wyszłam za niego za męża. A jednak go kochałam. Zawsze. Nawet na sam koniec, kiedy miałam wszelkie powody, żeby go nienawidzić. Trwało to parę lat, John nadal służył w wojsku. Potem rozwiązano jego batalion i bardzo szybko straciliśmy wszystko. – Spojrzała w górę, jej jasne, szare oczy pociemniały na to wspomnienie. – Pan wie, jak to jest, panie Hawkins.

– Kiedy zjawiliście się w Marshalsea?

– W styczniu. Napisałam do matki, błagając o pomoc, ale całymi tygodniami nie otrzymywałam odpowiedzi. A potem nareszcie dostałam list, parę dni po naszym tutaj przybyciu. Był od ojca. – Przerwała, tym razem na znacznie dłużej, zapatrzyła się w dal. Znów zaczęła mówić, bezbarwnym głosem, wypranym z uczuć, jakby opowiadała cudzą historię, nie własną. – Matka umarła na gorączkę. Kiedy zachorowała, jej pokojówka przyniosła moje listy ojcu i wyznała, że od paru lat byliśmy w kontakcie. Chyba bała się o pracę, a może liczyła na jakieś pojednanie, zanim będzie za późno. Jeśli tak, to znaczy, że w ogóle nie znała ojca. – Uśmiechnęła się gorzko. – Odczekał, aż matka umrze i napisał do mnie list z propozycją. Nigdy nie zapomnę jego słów, panie Hawkins, chociaż spaliłam ten list. „Sama sprowadziłaś na siebie nieszczęście. Nie mam litości dla ciebie ani dla tego przekłętą łajdaka, którego nazywasz mężem. Ale nie pozwolę, żebyś zbrukała nazwisko rodziny, umierając w więzieniu jak pospolita dziwka”. – Przerwała, przykryła usta dłonią. Te ostatnie słowa przywróciły ją do życia, znów była w kawiarni.

– Nikczemne słowa.

– Tak... – Opanowała się. – Zaproponował nam niewielki zasiłek. W sam raz tyle, żeby trzymać nas tutaj bezpiecznie, po stronie dla dzentelmenów. Propozycja zaopatrzona była w jeden warunek. Rozumie pan, byłam jego jedynym dzieckiem. Nie

miął dziedzica. Przyśle nam pieniądze, ale w zamian musimy dać mu Matthew.

– Zabrał pani syna? – zmarszczyłem brwi, zaskoczony okrucieństwem tego czynu... żeby zerwać więź między matką a synem ze złości i chęci zemsty. A może myślał, że jest wielkoduszny. Mogę sobie wyobrazić własnego ojca, który proponuje coś podobnego i wmawia wszystkim, że zrobił to z dobrego serca.

Pokiwała głową, krew odpłynęła jej z twarzy.

– Z początku odmówiliśmy. Ale jaki mieliśmy wybór? Umarlibyśmy z głodu, cała nasza trójka. Nie mogłam na to pozwolić. Całymi dniami kłóciliśmy się o to z Johnem. Powiedziałam mu, żeby odwiedził oddział dla pospólstwa i zobaczył, jak tam ludzie żyją. Jak umierają. – Zadrżała. – I wtedy się zgodził. Ale to go złamało, panie Hawkins. Obwiniął mnie za to, że zmienił zdanie. Między nami nie było już zgody. Wszystko się rozpadło. Odeszło. – Zakryła dłońmi twarz, ale tylko na chwilę. – Ojciec przysłał rządcę, żeby zabrał Matthew. Jakby był cielakiem, a nie trzyletnim chłopcem. Od tamtego czasu już go nie zobaczyłam. Mojego chłopca. Mojego syna. – Dotknęła zamkniętego medalionu leżącego na stole między nami.

– Ale... zechce pani wybaczyć, czyż nie jest pani teraz bogata? Nie może pani do niego pojechać?

– Mój ojciec odmawia wszelkich kontaktów. – Łza spłynęła po jej policzku. – Teraz jest prawnym opiekunem Matthew; nie wolno mi nawet do niego pisać. To było tak sprytnie rozegrane. Nie zastanawia się pan, jak doszłam do majątku? To był spadek zapisany mi przez ciotkę ze strony matki Umarła w grudniu zeszłego roku; zaledwie kilka tygodni przed naszym uwięzieniem w Marshalsea. Gdybyśmy wiedzieli o tych pieniądzech, wszystko to zostałoby nam oszczędzone. John by żył. Nigdy nie oddałabym syna. – Zacisnęła zęby. – Ojciec przekupił wykonawcę testamentu ciotki. Przedstawił ostatnią wolę dopiero po śmierci Johna. A teraz mój syn jest wychowywany przez tego... och! – zadrżała.

– Niczego nie można zrobić? Gdyby przedstawiła pani sprawę przed sądem, na pewno zyskałaby pani ogromną sympatię dla siebie.

Ciężko westchnęła.

– Mój adwokat uważa, że wygrałabym sprawę. Ale ja znam ojca. Jest potężny i bezwzględny, i zawsze postawi na swoim. Zrobi wszystko, żeby trzymać mnie z dala od syna. On nadal mnie karze, rozumie pan, za ucieczkę. Po tych wszystkich latach... Wykorzystałby hańbę śmierci Johna. – Skrzywiła się z bólu i smutku. – Jego adwokaci powiedzieliby, że doprowadziłam męża do samobójstwa. Że nie nadaję się do opieki nad Matthew. Pohańbiona wdowa po człowieku, który odebrał sobie życie.

– To dlatego pani tu została – powiedziałem, kiedy wreszcie to do mnie dotarło. – Nie dla męża. Dla syna.

– Tak. – Patrzyła przez okno. Sąd zamknął na dziś obrady, ostatnie powozy z łoskotem wyjeżdżały przez wartownię, strażnicy wreszcie otwierali oddziały. – Bóg

wie, jak nienawidzę każdej cegły tego parszywego miejsca, ale gdzieś tutaj ukryta jest prawda. John nie był doskonały, ale nie powiesił się. Zamordował go ktoś z tego więzienia. – Zmrużyła oczy, patrząc na dłużników wylewających się na dziedziniec. – I dowiodę tego.

Na zewnątrz wszyscy starali się wykorzystać jak tylko można późną przechadzkę, wyciągali nogi, dowiadywali się, co nowego słychać. Trim i Mack podjęli grę w piłkę pod ścianą obok mieszkania Actona; Mack z długimi nogami i rękami przeklinał, kiedy wygrywał Trim. Uwaga, zawsze stawiać na Trima, gdy tylko pojawi się okazja. Skinąłem obu głową, włożyłem ręce za kamizelkę i poszedłem do pubu, myśląc o pani Roberts. Catherine. Cieszyłem się, że znów nawiązaliśmy dobre stosunki.

Gdybym tylko odkrył prawdę o śmierci Roberts! Nie tylko wypełniłbym zadanie od sir Philipa, ale na pewno zyskałbym szacunek i wdzięczność Catherine. A miłość...? Ta myśl nieustannie przychodziła mi do głowy. Miłość i wolność – kusząca perspektywa. Pan Woodburn uważał, że wtrącono mnie do więzienia dla jakiejś przyczyny. („Tak, odezwał mi się w głowie szyderczy głos. Za dług w wysokości dwudziestu funtów”). A jeśli miał rację? Jeśli to był mój los – znaleźć mordercę i zacząć życie od nowa, z Catherine u boku?

Zamówiłem szklanek piwa u jak zwykle opryskliwego Chapmana i zapaliłem fajkę na balkonie, patrząc na dwa dziedzińce oddzielone wysokim ceglany murem. Z góry wyglądało to jeszcze gorzej – długa linia oddzielająca nadzieję od rozpacz, życie od śmierci. Jenings znalazł Roberts w wiszącego w karczerze po stronie dla pospólstwa. Belle Isle – pokój, który dzieliłem z Fleetem – znajdowała się daleko, w północno-zachodnim narożniku, blisko miejsca, w którym Trim i Mack grali w piłkę. Popatrzyłem na dziedziniec. Te dwa punkty były w ogromnej odległości od siebie. Teraz zrozumiałem, co Trim próbował mi wytłumaczyć poprzedniego wieczora w pubie; Fleet nie mógł sam nieść, a nawet ciągnąć Roberts przez całe więzienie.

– Ciekawa zagadka, prawda?

To był Fleet; pojawił się przy mnie jakby za sprawą czarów, aż podskoczyłem z przerażenia. Nadal był w szlafroku i czapeczce; właściwie zacząłem podejrzewać, że tak ubiera się na co dzień. Czuć było, że nie myje się regularnie. Wskazał gestem na dziedziniec, fajkę trzymał w zaciśniętych zębach.

– Musiało ich być dwóch, nie sądzi pan?

Zmarszczyłem brwi i przemyślałem to.

– Mógł to zrobić jeden człowiek, jeśli był dość silny.

– Myślisz o naszym drogim gubernatorze...? – Spojrzał na mnie z ukosa. – Acton chyba dałby sobie radę. Ale woli, żeby brudną robotę wykonywali za niego jego kumple. Tyrani to tylko ludzie, którzy nie wiedzą, że są tchórzami. To jasne. – Wskazał cybuchem fajki drzwi w murze. – Ktokolwiek to był, potrzebował klucza, żeby dostać się do karceru.

Po stronie dla pospólstwa na dziedzińcu wybuchła bójka, dwóch mężczyzn upadło na ziemię i zaczęło się tarzać. Jakaś kobieta krzyczała, żeby przestali, na jej biodrze płakało dziecko. Mizerny tłumek zebrał się, żeby popatrzeć, wysmiewali się, wykrzykiwali słowa zachęty.

– Może wyważyli zamek.

– Tak – powiedział Fleet i zachichotał. – Postanowiłeś nie zgadzać się ze mną, prawda? – Wyciągnął ręce, oceniając wysokość muru. – Może było ich dziesięciu, wspięli się jeden na drugiego jak cyrkowcy.

Czterech ludzi Actona wdarło się na dziedzińiec pospólstwa z wysoko wzniesionymi pałkami. Rozdzielili walczących i zbili pałkami po plecach i ramionach, a potem gdzieś powlekli. Jakaś kobieta pobiegła za nimi, wyrzaskując przekleństwa. Jeden ze strażników skuł ją, kiedy go dogoniła, i mocno uderzył w usta. Upadła ciężko na kolana, dziecko wypadło jej z ramion na ziemię.

– Jest jeszcze inna możliwość – powiedziałem. – Może Roberts naprawdę sam się powiesił.

– Bzdura – parsknął Fleet. – Była z niego krwawa miazga, kiedy Jenings go odciął. Biedaczyna.

– Ale przecież mógł odebrać sobie życie po pobiciu.

Fleet myślał o tym przez chwilę, brwi miał ściągnięte.

– O tym nie pomyślałem – mruknął. – Mało prawdopodobne, ale możliwe. Więc powiedz... dlaczego miałyby sam się zabić?

Na dziedzińcu, w dole, płakało dziecko. Kobieta podniosła je i wstała, płacząc w fartuch.

– Wina? Wstyd? Rozpacz? Mógłbym wymyślić tuzin powodów.

– Wina...? – Płonące czarne oczy Fleeta wpiły się we mnie. – Z jakiego powodu?

– Za oddanie syna. Catherine mówiła, że nie był już taki jak przedtem.

– Ach. – Machnął ręką, odrzucając całe tłumaczenie. – Nie, nie. Roberts za bardzo kochał siebie, żeby odebrać sobie życie. Nie widziałem jeszcze mężczyzny, który tyle czasu spędzałby, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Owszem, miał powód, to był dość przystojny facet. – Przyglądał mi się długo, nieprzyjemnie długo, potem się uśmiechnął.

– Catherine...?

– To piękna kobieta.

– To bogata kobieta.

– To piękna, bogata kobieta.

Fleet roześmiał się.

– Przynajmniej co do tego się zgadzamy. Ale dziwi mnie, że jeszcze nie zapytałeś o Bena Cartera. Nie chcesz się dowiedzieć, co widział?

Trzymałem uczucia na wodzy; taką samą minę miałem, kiedy trzymałem w ręku parę asów.

– Że niby ducha...? To wszystko bzdura, prawda?

Fleet rzucił wypaloną fajkę na podłogę.

– Obawiam się, panie Hawkins, że to nie bzdura. To śmiertelnie poważna sprawa. Byłoby mądrze z pańskiej strony, gdyby pan o tym pamiętał. Jeśli chce pan przeżyć. –  
Podszedł bliżej. – Po tym więzieniu chodzi dwóch zabójców. I sądzę, że z jednym z nich będzie pan jadł kolację dziś wieczór.

# Rozdział 10

**S**łowa Fleeta wytrąciły mnie z równowagi, ale także potwierdziły to, czego się domyślałem: że Acton z dużym prawdopodobieństwem mógł być zamieszany w śmierć Roberta. Kiedy odrzuciło się myśl, że zabił Fleet (choć nie byłem pewien, czy całkowicie ją odrzuciłem), wtedy Acton stawał się naturalnym podejrzanym. W więzieniu był wolny – miał siłę i usposobienie akurat takie, żeby popełnić morderstwo. Jeśli to Acton, to przypuszczałem, że chodziło o pieniądze. Może ojciec Catherine zapłacił mu, żeby zabił kłopotliwego zięcia? Bez względu na powód, zdążyłem już poznać jego możliwości, żeby wiedzieć, że jest zdolny do wszystkiego, jeśli na tym zarobi. Kolacja robiła się coraz mniej pociągająca.

W Belle Isle Fleet był w dziwnym nastroju, nawet jak na niego. Wyglądało na to, że chce mnie za wszelką cenę pocieszyć. Grzebał w śmietniku swoich rzeczy, żeby znaleźć mi odpowiednie ubranie. Kiedy zobaczyłem jakość stroju, który mi zaproponował, z chęcią skorzystałem: świetnie skrojony czarny żakiet z parą pasujących do niego spodenek, znacznie bardziej elegancki niż stary frak Charlesa; świeża para białych jedwabnych pończoch; dobre buty ze sprzączkami lśniącymi jak zwierciadło i niebieski jedwabny pas, wyszywany srebrną nicią. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze i prawie się roześmiałem. Nigdy w życiu nie byłem taki biedny, a jednak oto tu jestem, doskonały wizerunek młodego dżentelmena do wzięcia. Ożeniłbym się, gdybym mógł.

– Jaka szkoda, że dziś wieczór nie będzie tam pani Roberts – powiedziałem, manipulując przy krawacie.

– Hm... – Fleet patrzył na mnie w bardzo dziwny, nawet jak na niego, sposób. – Wiesz – powiedział, zmieniając temat z szybkością, która dopiero później wydała mi się podejrzana – Ben Carter powiedział, że ostatniej nocy duch Roberta ubrany był w musztardową kamizelkę i dobre, długie skórzane buty. Niósł latarnię, która rzucała na jego twarz dziwną poświatę... – Uniósł wymaginowane światło i przybrał odpowiednią do tego makabryczną minę. – Nie wydaje ci się to dziwne?

– Co mianowicie?

Fleet rzucił niecierpliwie wymagowaną latarnię.

– Kamizelka, oczywiście...

Już miałem go zapytać, dlaczego właśnie ten szczegół zaniepokoił go bardziej niż fakt, że zmarły wstał z grobu i miotał się po więzieniu, strasząc małych chłopców, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Był to jeden z posługaczy, niósł kolację dla Fleeta i list od Charlesa. Zostawiłem towarzysza niedoli jego dziwnym fantazjom i wyszedłem na dziedziniec. W parku było ciszej – prawie zupełnie spokojnie – kiedy

słońce zaszło i ciepłe światło wylewało się z pokoiów po stronie dla dżentelmenów. To więźniowie rozpalili piecyki i zabierali się do kolacji. Nie miałem pieniędzy, nadzorca okazał się brutalem i spałem w łóżku nieboszczyka – ale przynajmniej przetrwałem pierwszy dzień w więzieniu. Mały triumf, który należy uczcić. Piętro wyżej, nad Belle Isle, Trim w swoim oknie palił fajkę. Pozdrowiłem go i usiadłem na ławce pod latarnią, żeby przeczytać list od Charlesa.

Kiedy wyjąłem kartkę, zobaczyłem, że na dnie koperty coś błyszczy. Wyjąłem to i przyjrzałem się zdumiony. Krzyżyk mojej matki. Charles musiał go zobaczyć w oknie lombardu na High Street, poznał go po kształcie i diamencie pośrodku. Dotknąłem inicjałów wygrawerowanych z tyłu: M. H. Wzruszyła mnie wspaniałomyślność Charlesa – ale moja wdzięczność podszyta była wstydem. Wiedział więcej niż ktokolwiek, co ten krzyżyk dla mnie znaczył. W szkole sypiał w łóżku obok mojego i słyszał, jak cicho płakałem w poduszkę całe miesiące po śmierci matki. Nikomu o tym nie powiedział – chłopców karano bez litości za mniejsze sprawy – ale pewnej nocy sięgnął ręką i dotknął mojego nadgarstka. Tylko tyle – jedna krótka chwila – ale to wystarczyło.

Co teraz musi o mnie myśleć, o tym, jak zniszczyłem sobie życie i musiałem zastawić jedyną rzecz, która mi po niej została? Trzymałem krzyżyk w ręku i wydawało mi się to nieprawdopodobnym szczęściem, że wrócił do mnie tak szybko – jakby patrzyła na mnie z góry. Mój Boże, cóż za myśl. Założyłem go sobie na szyję i przysiągłem, że nigdy się z nim nie rozstanę. Ale kiedy to robiłem, przez głowę przeleciała mi mroząca myśl: „Już to sobie obiecywałeś”.

List zaczynał się od kilku uprzejmych słów, odnawiających naszą przyjaźń.

*Tom, jesteś dla mnie bratem, bardziej, niż gdybyś nim naprawdę był, i zawsze tak będzie.* Było tam także sporo o boskiej opatrności i kolejna prośba, żebym napisał do ojca. Zignorowałem ją. Druga strona dawała mi bardziej konkretną nadzieję, wyluszczała na niej bowiem propozycję sir Philipa.

*Sir Philip bardzo się martwi Plotkami o Duchu nawiedzającym Więzienie. Ostatniego lata rozchodziły się plotki o Duchu w więzieniu Fleet. Wywołały taki Strach, że gubernator Cambridge obawiał się Buntu. Acton, w swej Arogancji, uważa, że trzyma więźniów na krótkiej Smyczy, ale Woodburn i inni mówią Sir Philipowi co innego. W istocie, niewiele trzeba, żeby po Stronie dla Pospółstwa wybuchł Bunt i Rozruch. Jeśli to się stanie – Boże pomóż nam wszystkim.*

*Tom, będę z tobą szczery – Sir Philip osiąga duże Zyski z Marshalsea, głównie dzięki Actonowi. Nie chce, żeby te zyski spadły choćby o ćwierć pensa. Wstrętna prawda, ale tak to jest. Zmęczyła go też pani Roberts i jej przyjaciele, dzień i noc proszący go o Śledztwo w sprawie śmierci Roberts. Zajęty jest sprawami Stanu i nie podoba mu się, że zawraca mu się głowę czymś, co uważa za drobnostkę.*

*Jak wiesz, rozmawiałem z nim o Tobie; jeśli okażesz się zdolny do rozwiązania*

*sprawy śmierci Roberta i uśmierzysz Niebezpieczne Pogłoski, twoje zwolnienie jest Gwarantowane. Ale musisz się pospieszyć, Tom; Sir Philip nie jest cierpliwy.*

*Ostrzeżenie: Sir Philip z największą niechęcią uwierzy w udział w tym Actona. Bez ogródek – potwierdzenie Samobójstwa albo dowód winy Samuela Fleeta byłyby wynikiem preferowanym. Musisz, oczywiście, iść za Prawdą tam, gdzie cię ona doprowadzi, a jeśli doprowadzi do Gubernatora, niech i tak będzie.*

*Nie będę udawał, że to zadanie nie jest związane z ryzykiem – ale skoro nie mogę sobie pozwolić na spłacenie twoich Długów, uważam, że to najlepszy sposób, w jaki mogę doprowadzić do twojego Uwolnienia. Pozwoliłem też sobie nająć Jakesa, policjanta sądowego, żeby ci pomagał. Bardzo mu zależy na wykryciu zabójcy przyjaciela i będzie ci pomagał ze wszystkich sił. Jutro odwiedza Więzienie i wtedy się z tobą spotka.*

*Mój Drogi Przyjacielu! Modlę się, żeby ta okazja dała ci Nadzieję w Czarnej godzinie. Żałuję, że nie mogę zrobić więcej – kraje mi się Serce, kiedy widzę cię uwięzionego w takim nieszczęściu. Gdy zostaniesz uwolniony – a na pewno będziesz uwolniony, Tomie – musimy znaleźć ci dobre Stanowisko. Nie jest w porządku, żeby człowiek o twoich Talentach i Wykształceniu znajdował się w tak Żałosnych Opalach. Zrobię wszystko, co w mojej Mocy, by to naprawić.*

*Do nadejścia tego Radosnego dnia będę się za ciebie modlić i pomagać ze wszystkich sił, którymi Dysponuję, żebyś wyszedł na Wolność.*

*Twój oddany, itd.*

*Charles Buckley*

*Post scriptum: Dołączyłem krzyżyk twojej Matki. Jeśli znów go zastawisz, nigdy ci nie przebaczę.*

– Dobre wiadomości, mam nadzieję, panie Hawkins? – Z mroku wyłoniła się wysoka, szczupła postać pana Jeningsa. Latarnię już miał zapaloną na nocną zmianę.

Pomyślałem o Fleecie odgrywającym ducha i stłumiłem uśmiech.

– Panie Jenings, czy zaprowadzi mnie pan do pokojów gubernatora?

Szedł przede mną, latarnia się kołysała. Kiedy dotarliśmy do kwatery Actona przy wartowni, przypomniał mi się dziwny, szyderczy śmiech, który słyszałem zeszłej nocy.

– Panie Jenings, powiedz pan, czy to tutaj widział pan ducha?

Jenings wystawił w mrok długi, kościsty palec.

– Właśnie tutaj – wyszeptał drżącym głosem. – Coś strasznego; cały blady i szary, jak trup. Jęczał i zawodził, jakby ścigały go piekielne psy... Potem zniknął.

– Zniknął? – spojrzałem w ciemność. – Jak to?

– Rozpłynął się w mrokach. Szukałem go przez godzinę albo i dłużej po całym parku i wszędzie, ale go nie było. Jasne, potrafią przenikać przez ściany. – Spojrzał na mnie ostro. – Pan coś widział zeszłej nocy, prawda? Właśnie w tym miejscu.

– Chyba coś słyszałem... To był długi dzień. – Dotknąłem potylicy, był tam nadal



duży guz, nabity przez bandziora w St Giles, aż straciłem świadomość. – Umysł potrafi zwodzić w ciemności.

– Nie – powiedział stanowczo Jenings. – Tu coś jest; przygląda się nam. Przygląda się wszystkiemu, co robimy. Dobru i złu.

Lekko mi się uklonił i wrócił na obchód, zostawiając mnie przed drzwiami Actona. Nawyk sprawił, że sięgnąłem do krzyżyka matki, znajomy kształt pod palcami uspokajał mnie. Zastanawiałem się, co matka powiedziała by o historii Jeningsa. Wychowana została jako katoliczka i chociaż nawróciła się, kiedy spotkała mojego ojca, trzymała się niektórych starych zwyczajów religijnych. Cuda i dziwy, tajemnice i duchy; o tym szeptała mi w nocy, kiedy nie mogłem zasnąć. Papistowskie bzdury, nazwałby to ojciec, gdyby o tym wiedział, ale jako chłopiec uwielbiałem jej opowieści o duchach. A teraz...? Wprostowałem się i zapukałem do drzwi Actona. Teraz powinienem o tamtym zapomnieć. Rzeczywisty świat był wystarczająco niebezpieczny.

– Pan Hawkins! Witamy, witamy! – Potężny, ochryply głos Actona rozległ się w całym parku, odbijając się od więziennych murów. Osobiście otworzył drzwi, w dobrym nastroju, z kuflem piwa w dłoni. Słyszałem muzykę i gwar dochodzące zza najbliższych drzwi, przebijał się przez to wszystko dziewczęcy śmiech Mary. Acton objął mnie ramieniem i wciągnął do środka. Już głośno mówił i chwiał się na nogach – „na swojej parszywej wysokości”, wymruczałaby Moll, gdyby tu była – i poprowadził mnie chwiejnie korytarzem, niecierpliwie jak byk kopiąc krzesło, które ośmieliło się stanąć mu na drodze.

– Do diabła, dobrze, że tu jesteś – ryknął, łapiąc mnie mocno, jakbym mógł wyskoczyć z jego objęć jak przerażony zając. Szczerze mówiąc, taka myśl pojawiła mi się w głowie.

– Oto on! – powiedział, wpychając mnie do pokoju. – Świeże mięso!

W salonie Actona było ciepło – nawet duszno; roiło się od ludzi i stało za dużo mebli. Atmosfera była ciężka od dymu tytoniowego, dymu z kominka i potu. Dwóch na wpół pijanych grajków – dłużników oddziału dla dżentelmenów sprowadzonych na ten wieczór i bezsprzecznie „zaszczyconych i zachwyconych” tym, że grają za darmo – nerwowo grało na skrzypcach i flecie, zmieniając melodię, kiedy tylko Acton krzyknął, żeby to zrobili. W jednym rogu starsza para kończyła kolację; kobieta była tłusta i szczęśliwa, przypięła się do nogi kurczaka i klaskała w rytm muzyki, mężczyzna wyglądał na chorego i skrepowanego; od czasu do czasu spoglądał na drzwi, jakby chciał się upewnić, że nadal tam są i nadal się otwierają.

W samym środku tego wszystkiego Mary Acton tańczyła wesoło z małym Henrym u stóp i szklanką ponczu wzniesioną nad głową. Ucieszyłem się, widząc Macka stojącego przy kominku. Rozmawiał z Edwardem Gilbourne’em, młodym urzędnikiem sądowym, którego widziałem rano na dziedzińcu z Catherine Roberts. Gilbourne wyglądał na dobrego kompana – zachowywał się miło i niewymuszenie. Dostrzegł mój wzrok i

uprzejmie skinął głową. Podeszedłem do nich tak szybko, że uderzyłem łydka o niski stolik.

– Uważaj na siebie, panie Hawkins – krzyknął Acton, odsuwając stolik stopą. – Nie mogę pozwolić, żebyś pan okulał. Przecież obiecał pan, że zatańczy z Mary. – Zauważył mój przestach i ryknął śmiechem. – Tańcz z nią, sir, ile chcesz – parsknął, kiwając na Mary ręką. – Sam już nie daję rady z tym cholernym interesem.

Obok mnie przepchnął się służący ze świeżą misą pełną ponczu po brzegi, alkohol wylewał się na podłogę. Acton chwycił dwie szklanki i zanurzył je w misie, zanim jeszcze stanęła na stole. Jedną wręczył mnie. Mary tanecznym krokiem zbliżyła się do nas, szeleszcząc spódnicą.

– No dobrze, latawico – Acton uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie. – Co sądzisz o panu Hawkinsie w tym pięknym stroju dżentelmena?

Mary uśmiechnęła się do męża i objęła go mocno. Wzrokiem oceniła moje ubranie, od wstążki w peruce po sprzączki butów.

– Znam tę kamizelkę... – nachmurzyła się i zmrużyła oczy.

– Pożyczona od pana Fleeta – wyjaśniłem.

– Faj – zadrwiła, udając że drży w objęciach Actona. – Okropna mała ropucha, włazi w sprawy innych. Williamie... – pogłaskała pierś męża i przybrała wysoki, dziecięcy głos. – Na pewno możemy znaleźć lepsze towarzystwo do pokoju dla naszego gościa.

Acton pocałował ją w czubek głowy.

– To zależy od jego sakiewki, kochana, prawda? – Oczy nagle jej rozblęły. – No właśnie. Jesteś przyjacielem Buckleya, co? Idę o zakład, że sir Philip dobrze mu płaci... – Oblizła wargi, już poplamione ponczem. – Obiecał, że pomoże ci w opłatach?

Właśnie w tej chwili muzycy odłożyli instrumenty, żeby odpocząć i wypić po szklaneczce. Pytanie Actona zabrzmiało głośno w ciszy. W tej samej chwili wypatrzyłem także urzędnika Actona, Johna Grace'a, który siedział samotnie w najciemniejszym kącie pokoju, z dala od kominka. Nie jadł, nie pił, tylko siedział w milczeniu, kurczowo trzymając czarną księgę główną, którą głaskał kościstymi dłońmi, jakby to był mruczący kot. Nachylił się do przodu, żeby usłyszeć moją odpowiedź, lodowate niebieskie oczy za okularami nawet nie zamrugały.

Ku mej wielkiej uldze przez pokój podeszedł do nas Edward Gilbourne.

– Panie Acton, zechciałby pan przedstawić mnie naszemu nowemu gościowi? – zapytał, rzucając w moją stronę przyjazne spojrzenie. Acton, widząc że rozmowa oddala się od spraw pieniężnych, odszedł, żeby poszukać ponczu. John Grace wyprostował się, sztywny jak stare zawiasy, patrząc na Gilbourne'a z nieskrywaną nienawiścią. A zatem ci dwaj urzędnicy nie są w dobrych stosunkach. Kolejny powód, żeby polubić Gilbourne'a.

– To jest pan Gilbourne, nasz zastępca protonotariusza – zaćwierkała Mary, przedstawiając go, jakby był jakimś zagranicznym dyplomatą świeżo przybyłym na dwór.

Gilbourne uniósł oczy.

– Urzędnik sądowy – wyszeptał mi do ucha. – Nie musi pan klękać.

– To jest pan Hawkins – mówiła dalej Mary, która nie usłyszała tych słów. – On jest... – przerwała, wydeła w zamyśleniu wargi. – Co pan robi, panie Hawkins?

– Jestem dżentelmenem, madame. Robię najmniej, jak się da.

Gilbourne roześmiał się.

– Doskonała ambicja – powiedział z ironiczną powagą. – Ale nie wierzę w ani jedno pańskie słowo. Wygląda mi pan na bardzo zajętego człowieka, Hawkins. Z całym szacunkiem, oczywiście – szybko dodał. – Pan Woodburn pieje pod niebo pochwały na pański temat.

Mary wydeła policzki ze złości i poszła wściekła do biednych muzyków, żeby nagadać im za to, że przestali grać. Odstawili szklanki i z niechęcią znów wzięli się do instrumentów.

Gilbourne mrugnął szelmowsko.

– Nasza droga gubernatorowa uważa kapelana za nudne towarzystwo – uśmiechnął się. – Za dużo kazań, a za mało tańców. Wystarczy wspomnieć jego nazwisko, żeby ją rozkłócić. Może to było złośliwe z mojej strony... – zastanawiał się, popijając poncz. – Ale przynajmniej jesteście sami i możemy przez chwilę porozmawiać.

Gdy muzyka znów zagrała, Mary zakręciła się po pokoju, szukając partnera. Acton i Grace pochylili się nad księgą główną i o czymś szeptali, a Mack nagle uznał, że musi posłać po więcej jedzenia, jej wybór padł więc na chudego starszego dżentelmena, siedzącego przy stole. Wyciągnęła go zza stołu i zmusiła do powolnego starodawnego menueta.

– Pan Wilson, ojciec Mary – wyjaśnił Gilbourne. – Córka obtańcowuje go na okrągło od lat.

– Słyszałem, że był więźniem w oddziale dla pospólstwa.

– Zdumiewające! – Gilbourne trochę się odsunął, przyglądając mi się ze zdziwieniem. – Ledwie pan przybył, a już wszystko wie o każdym. – Pogroził mi palcem. – Zdolny z pana człowiek, panie Hawkins. Spostrzegawczy.

Ojciec Mary trzymał się za bok i ocierał pot z czoła jedwabną chusteczką.

– To musi być trudne dla pana Wilsona – powiedziałem. – Ciągłe wracać do miejsca, w którym wycierpiał tyle biedy i zniewag.

– Nie pomyślałem o tym. – Gilbourne nachmurzył się. – Teraz, kiedy pan to mówi, widzę, że ma pan rację. Ale przecież... może zapomniał o czasach, które spędził tu jako dłużnik? To było wiele lat temu.

Odchrząknąłem.

– Pobyt na oddziale dla pospólstwa, jak słyszałem, to nie jest doświadczenie, o którym łatwo przyszłoby zapomnieć, panie Gilbourne.

– To prawda. A pod władzą naszego gospodarza jest tam jeszcze gorzej. – Pokręcił głową. – Żałuję tylko, że nie mogę bardziej pomóc tym nieszczęśnikom.

– Sir, jestem pewien, że robi pan, co w pańskiej mocy – powiedziałem, karcąc się w duchu, że naprowadziłem rozmowę na tak ponury wątek. – Może usiądźmy i spróbujmy uczyty Macka?

Usiedliśmy przy stole i szybko zatopiliśmy się w rozmowie. Gilbourne powiedział mi, że jego rodzina to farmerzy z Kentu, ale on przybył jako chłopak do Londynu, by zamieszkać z wujem, adwokatem, który nie miał własnych dzieci.

– Nie mogę sobie wyobrazić, że uprawia pan ziemię – powiedziałem, wskazując głową jego ubranie. Frak miał prosty, ale po mistrzowsku uszyty, żeby pasował do jego szczupłej sylwetki. Nosił nowiutką brązową perukę, lekko przypudrowaną. Ciepły czekoladowy kolor materiału, z którego uszyto żakiet i kamizelkę, pasował doskonale do koloru jego oczu, a w całym wyglądzie była jakaś świeżość, którą może dać tylko dobry krawiecki sznyt.

– A ja nie mogę sobie wyobrazić, jak pan prowadzi swoją parafialną trzódkę w Suffolk – odpowiedział z uśmiechem. – Wygląda na to, że żaden z nas nie wdał się w swojego ojca. – Podniósł szklankę i stuknął się ze mną. – Chwalmy Pana.

Gilbourne był dobrym kompanem, dowcipnym i bystrym, mimo całej swojej uporczywości. To była chyba cecha jego charakteru, że podziwiał talenty innych, odmawiając ich sobie. A jednak awansował do stanowiska zastępcy protonotariusza zaledwie w kilka lat – do pozycji, wkrótce sobie to uświadomiłem, pobłogosławionej niemałą władzą i dochodami. Każda sprawa sądowa, każde aresztowanie lub zwolnienie dłużników przechodziły przez jego biuro, tam były nakazywane i zatwierdzane. Każda opłata więzienna, każda zmiana w przepisach albo wynajęcie nowego strażnika musiały być podpisane przez Edwarda Gilbourne'a i z nim uzgodnione. Podchodził do swojej funkcji lekko i ze skromnym wzruszeniem ramion, ale teraz wiem, że go nie doceniłem. Był nie tylko doskonałym kompanem; mógł się stać potężnym sojusznikiem. Charles mógł mieć dostęp do ucha sir Philipa, ale Gilbourne znał się na wewnętrznych mechanizmach Marshalsea lepiej niż ktokolwiek; nie licząc, być może, nadzorcy.

Przy matce Mary, która objadała się kolacyjnymi daniami, nie rozmawialiśmy o poważnych sprawach, chociaż wyglądało na to, że bardziej interesuje ją duży kawał ciasta niż nasza konwersacja. Mary złapała do tańca biednego Macka, a Acton śpiewał i kołysał się w takt muzyki, obejmując teścia, którego wyciskał jak wilgotną szmatę w dzień prania. Henry'emu jakoś udało się w tym chaosie nie wpaść do kominka i teraz dotarł do bardziej niebezpiecznego miejsca – stopy pana Grace'a. Urzędnik niecierpliwie patrzył na Actona, krzywiąc usta ze złości, a księga była teraz otwarta i

czekała na stole obok niego. Patrzyłem zaniepokojony, jak chłopczyk złapał Grace'a za cienką jak patyk łydkę, może myląc ją z nogą krzesła. Grace zatrzęsł się z obrzydzenia, jakby nie zobaczył chłopca, tylko chorego szczura, który schwycił go za pończochę. Zerknął na swojego pana. Kiedy się upewnił, że Acton nie patrzy, niespodziewanie i gwałtownie szurnął nogą, wykopując chłopczyka na środek pokoju.

Henry przez chwilę milczał, jak to małe dzieci, wstrząśnięte i skrzywdzone, które chcą, żeby cały świat o tym wiedział. Wziął głęboki oddech, a potem zaczął krzyczeć. Krzyczał tak przeraźliwie, że muzycy przestali grać. Mack zatkał sobie uszy rękami.

– Henry! – jęknęła Mary, marszcząc brwi. – Przestań miauczeć! Mamo! Zrób coś, żeby przestał. Och! – Tupnęła nogą, potem jeszcze raz, głośniej. – Psuje przyjęcie.

Pani Wilson wstała zza stołu i wzięła wnuka w ramiona. Krzyczał i wyciągał rączki do mamy. Mary odpędziła ich oboje.

– Zabierz go na spacer po parku. Pospiesz się! – warknęła. Wtedy zobaczyła, że na nią patrzy i przycisnęła rękę do piersi. – Nie mogę znieść jego płaczu, panie Hawkins – pociągnęła nosem. – Łamie mi serce.

Ojciec Mary wyglądał na zaniepokojonego.

– Najdroższa, noc jest zimna... – zaoponował nieśmiało.

– Zabierz go do pubu i daj trochę whisky – nakazał teściowej Acton. – I powiedz Chapmanowi, żeby przysłał jeszcze dwie wazy ponczu, do cholery; prawie nie ma co pić.

Pani Wilson zrobiła, co jej kazano, i zabrała rozwrzeszczane dziecko. Jego krzyki robiły się cichsze, kiedy szli po dziedzińcu. Przyjęcie znów zaczęło się rozkręcać, chociaż Mack był już tak pijany, że opuściła go władza w płaczących się nogach, a Mary nadal dąsała się na samolubne zachowanie syna.

Grace chrząknął.

– Księga główna, panie Acton...?

Acton ściągnął brwi i popatrzył na niego.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Nie ma spoczynku dla niegodziwców, co? – Dźgnął grubym paluchem pozycję w księdze. – Tego można odpuścić.

– Doskonale, sir... – Grace wziął gęsie pióro i coś zaznaczył na stronie.

Gilbourne przyglądał im się, podpierając dłonią policzek.

– I tak wymazano czyjeś życie – wyszeptał.

– Co oni robią? – zapytałem.

– Przeglądają czarną księgę. Grace podlicza długi wobec nadzorcy każdego z więźniów. Jutro jest dzień płacenia czynszu, sprawdzają więc, kto zalega. Szczęśliwcom dają tydzień zwłoki, jeśli uznają, że później będzie można więcej z nich wycisnąć. Resztę przerzucą za mur. Potworność. Ale co można zrobić?

Grace zanurzył gęsie pióro i z zadowolonym uśmiechem zrobił znaczek na marginesie. Pióro zaskrzypiało, kiedy przeciągnął je po papierze, aż zrobiło mi się

niedobrze. Dostyc już nasłuchałem się o stronie dla pospólstwa, żeby wiedzieć, że podpisuje wyroki śmierci na większość tych nieszczęsnych więźniów. Jeszcze gorzej – niewiele trzeba, żeby wymazano moje nazwisko. Samuel Fleet robił na mnie wrażenie kapryśnego przyjaciela – w chwili, gdy mu się znudzę, wyrzuci mnie jak jedną ze swoich rzeczy.

Nie mogłem sobie pozwolić na czynsz za kolejny tydzień po stronie dla dzentelmenów, nawet w najlichszym pokoju. Przy całym humorze Actona i klepaniu mnie po plecach, kiedy wyciśnie ze mnie ostatnie pół pensa, wyrzuci mnie za mur i zostawi tam, żebym gnął z resztą nieszczęśników oddziału dla plebsu. Ile czasu minie, zanim dostanę gorączki albo nożem pod żebro? Ile czasu minie, zanim wywłoką mojego trupa na dziedziniec?

Była tylko jedna możliwość ucieczki. Muszę rozwiązać sprawę morderstwa kapitana Roberta i to jak najszybciej. Ale od czego zacząć? Może powinienem poprosić Gilbourne'a o pomoc? Wygląda na człowieka inteligentnego i przenikliwego a w związku ze swoim zajęciem lepiej zna więzienne tajemnice niż niejeden. Ale czy mogę mu zaufać? Czy mogę zaufać komukolwiek?

John Grace wykreślił kolejne nazwisko prostą, ostrą linią. A potem podniósł wzrok znad książki i długo na mnie patrzył. Szła w jego okularach lśniły od ognia, nie widziałem więc oczu, tylko odbicie płomieni.

W pokoju zrobiło się gorąco, trudno mi było oddychać. Grzebałem przy krawacie; rozluźniłem węzeł drżącymi palcami.

– Panie Hawkins. – Gilbourne dotknął mojego ramienia, jego ciemnobrązowe oczy pełne były troski. – Wyjdźmy na chwilę. Panu chyba potrzeba świeżego powietrza. – Ściszył głos. – No i mam sprawę osobistą, o której chciałbym porozmawiać. – Dyskretnie skinął głową w stronę Actona i Grace'a. Kiedy Mack nieuchronnie nadepnął na stopę Mary, wykorzystaliśmy zamieszanie, żeby się wymknąć.

– Spokój... – westchnął Gilbourne. Oparł się o drzewo przed drzwiami Actona i na chwilę zamknął oczy.

Zapaliłem fajkę i głęboko się zaciągnąłem. Ręce nadal mi drżały. Były chwile, w których zapomniałem o grożącym mi niebezpieczeństwie. Przy całym tym picciu, muzyce i wesołym towarzystwie takich dłużników, jak Trim i pani Bradshaw, którym jakoś udało się uczynić sobie dom z Marshalsea, łatwo było zapomnieć. Ale to tylko cienki lód połyskujący na powierzchni jeziora. Jeden fałszywy krok i wpadam w czarną, mroźną wodę pod spodem. Charles robił co mógł, żeby mnie chronić, kochałem go za to – ale on był poza więziennymi murami. Żeby przeżyć, potrzebowałem przyjaciół wewnątrz murów. Jak na razie Acton uznał, że może mnie polubić, ale zrobiłem sobie wrogów z jego głównego urzędnika i głównego strażnika. Joseph Cross był kłótliwym, podłym draniem, ale przynajmniej rzucał się tylko z pięściami. Z Johnem Grace'em było inaczej. Nawet nie bardzo wiedziałem, dlaczego tak bardzo mnie nie lubił, ale

wyczuwałem zimną, głęboką nienawiść, czekającą stosownej chwili, żeby zaatakować. Ta myśl sprawiła, że włosy na głowie stanęły mi dęba.

W powietrzu unosiła się lekka mgła; łagodziła kontury więzienia i zostawiała wilgotny ślad na skórze. Księżyc nadal wisiał na niebie, lśniąc spoza oparów. Ledwie widziałem słaby blask latarni pośrodku parku. Za murem, w Borough, zegar wybił dziesiątą. Popatrzyłem przez dziedziniec. We mgle, po drugiej stronie parku, majaczył pałac sądu. Sam powiedział, że duch spotka się tam ze mną o północy. „Cóż, może czekać, ile mu się podoba, pomyślałem zdenerwowany, ja tam nie pójdę”. Miałem dość powodów do zmartwień i bez ugania się za widmami.

– Czy pan Buckley już do pana napisał? – zapytał po cichu Gilbourne.

Wzdrygnąłem się. List od Charlesa nadal tkwił w kieszeni żakietu.

– Sir Philip przysłał notkę – wyjaśnił Gilbourne. – Nakazał mi pomagać panu w każdy możliwy sposób. – Uśmiechnął się, mówiąc te słowa i z lekka się uklonił. – Jestem do pańskich usług.

Odwzajemniłem uśmiech, ale ta wiadomość zaniepokoiła mnie. Gilbourne wyglądał na uczciwego, a jego stanowisko i władza nad więzieniem mogłyby okazać się pomocne. Ale im mniej ludzi wie o moim śledztwie, tym lepiej – nowinki szybko się rozchodzą w tych murach.

– Mówił pan komuś o tym?

Gilbourne wyglądał, jakby się obraził.

– Nikomu. Na mój honor.

– Proszę o wybaczenie, nie chciałem pana urazić. To tylko... to moja jedyna nadzieja, żeby stąd się wydostać. Nie mogę sobie pozwolić na porażkę. Sir, moje życie od tego zależy.

– Rozumiem. – We mgle trudno było odczytać wyraz jego twarzy, ale słowa zabrzmiały szczerze. – I mądrze pan postępuje, że jest pan ostrożny. Jeśli Roberts został zamordowany, jego zabójca najprawdopodobniej jest tutaj, w więzieniu. A gdyby odkrył, że pan na niego poluje... Cóż, w Marshalsea tak łatwo jest zamordować.

Ściągnąłem brwi i kolejny raz zaciągnąłem się fajką. Z baru dobiegł wybuch śmiechu i mała grupka pijaków wyszła na dziedziniec – ciemne, posępne kształty we mgle.

– Poświeć nam pan, panie Jenings! – krzyknął któryś w stronę wartowni i chwilę później rozbrzysnęło światło latarni. Mężczyźni szli za nim wężykiem, śpiewając i chichocząc. Grupka zaufanych więźniów Actona zmierzała do pokoju strażników pod kaplicą z paroma dziewczętami z miasta. Przeszli obok nas, potykając się i nawet nas nie zauważyli. Jenings w milczeniu uchylił kapelusza.

– Są ludzie, którzy bez wahania sprzedaliby tę informację – Gilbourne mówił dalej po cichu, kiedy już poszli. – Nie pomyśleliby o tym, jakie to dla pana groźne, nic by ich to nie obeszło. Pan Hand, na przykład. Pański towarzysz z pokoju, inny przykład. –

Przeniósł wzrok na pomieszczenie, które dzieliłem z Fleetem. Stłumione światło padało z okna, ale było zbyt mgliście i za ciemno, żeby stwierdzić, czy Fleet jest na swoim stałym stanowisku. – Wie pan, przypadkiem znam Fleeta. To dziwny, nieprzewidywalny człowiek, ale niezły z niego kompan, kiedy nie wpadnie w ten swój zły nastrój. Tylko że nie można mu ufać. Ani na tyle. – Gilbourne ścisnął kciuk i palec wskazujący, nie zostawiając między nimi miejsca. – Belle Isle... – powiedział i roześmiał się. – Nie załapał pan jeszcze dowcipu? Niech pan wypowie te słowa razem.

Myślałem przez chwilę. Belle Isle. Wydawało mi się, że to tylko sarkastyczne określenie obscurnego pokoju. Belle Isle. Belleisle.

– Belial – wyszeptalem. Oczywiście, Belial. Piekielny demon, najpodlejszy, najbardziej lubieżny, przesiąknięty grzechem. „...nad którego żaden/Nie był sprośniejszy duch”<sup>[2]</sup>, wyszeptalem.

– Sprytne, co? – powiedział Gilbourne. – Ale ja, na pańskim miejscu, uznałbym to za ostrzeżenie. To bystry człowiek i niezły kompan, na swój sposób... ale nie licz na jego pomoc. Może cię zdradzić, to prawie pewne.

Nachmurzyłem się, poczułem się nieswojo.

– Jemu pieniądze nie są potrzebne.

– Nie zrobiłby tego dla pieniędzy. Zrobiłby to dla sportu.

Westchnąłem i wystukałem popiół z fajki. Dla sportu? Tak, to byłoby podobne do Fleeta.

– Rób pan swoje po cichu, panie Hawkins – szepnął Gilbourne. – I pracuj szybko. Cała ta gadanina o morderstwie i duchach nawiedzających więzienie tylko straszy ludzi. – Pokazał brodą mur. – Kłopoty wiszą w powietrzu. Prawie je czuję. Nie chciałby pan spać po tej czy tamtej stronie muru, kiedy plebs się zbuntuje.

– Tam jest bardzo źle?

– Nigdy tam nie byłem. – Zauważył moje zaskoczenie. – To nie jest bezpieczne. Słyszałem, oczywiście, opowieści. Szokujące. W ubiegłym tygodniu zadźgali człowieka na śmierć, za nic. Za skórę od chleba. Dżentelmeni tacy jak my nie przetrwaliby nocy.

Z mgły wyłoniła się wysoka barczysta postać. Nastraszyła nas obu.

– Chapman – warknął Gilbourne. – Cholera, czemu podkradasz się jak łasica?

Chapman łypnął na nas okiem.

– Panowie, ja tylko dostarczam poncz. Prawo dozwala, prawda? – Przeszedł dumnie obok nas w stronę mieszkania Actona.

– Bezczelny cham – zrzędził Gilbourne. – Ale tak się dzieje, kiedy więzieniem zarządza rzeźnik. Lepiej wracajmy, zanim uznają, że zaginęliśmy.

– Gilbourne. – Schwyciłem go za ramię i zatrzymałem. – Wierzysz w to, że Roberts został zamordowany?

Wahał się przez chwilę.



– Chyba wierzę. Tak.

– Jak sądzisz, kto go zabił?

Odsunął się o krok i przyjrzał mi się ze zdziwieniem.

– Acton, oczywiście. Kto inny? – Odwrócił się i poszedł do domu zarządcy.

W salonie wieczór rozwijał się w pijanych podrygach. Tańczyłem z Mary pod zaczerwienionym, kamiennym okiem jej męża, Mack wymiotował do nocnika, a ojciec Mary drzemał niespokojnie przy kominku. Muzycy grali i starali się robić to głośniej, kiedy nadszedł czas zamykania oddziałów i więźniowie ze strony dla plebsu wykrzykiwali swoją cowieczorną pieśń nieszczęścia i strachu. Graliśmy w karty – „daj mu wygrywać”, syknął mi do ucha Gilbourne, kiedy siadaliśmy, więc Acton wygrywał każde rozdanie, a ja straciłem pół gwinei, które przysłała mi Moll. Tuż po jedenastej przyszedł Cross, żeby przypomnieć Actonowi, że oddział dla dżentelmenów jest gotów do zamykania, może więc powinien odprowadzić Hawkinsa do jego pokoju? Acton beknął, sklął strażnika za obrażanie gościa żony i wyrzucił go za drzwi, a potem oskubał mnie z kolejnej połowy korony. Parę razy proponowałem, że wrócę do pokoju, ale byłem zakrzykiwany i wyśmiewany za zniewieściałe kwilenie. A pan Grace przez cały czas w milczeniu patrzył z kąta przymrużonymi oczami na przepływ trunku, pieniędzy i słów.

– Uśmiechnij się, Hawkins, do cholery! – krzyknął Acton, wygrywając kolejne rozdanie. – Jeszcze nie jesteś na oddziale dla plebsu.

Mary błagała o kolejny taniec, a ja dość skwapliwie się zgodziłem. Jeszcze godzina tej nowej gry w „niech Acton wygra”, a w kieszeniach nic by mi nie zostało. Wypiłem jeszcze jedną szklankę, chociaż zdążyłem już wypić za dużo; nie widziałem innego sposobu, żeby przetrwać ten wieczór i nie zemdleć, co chyba zdarzyło się Mackowi, leżącemu pod stołem. Tańczyliśmy, a pokój tańczył z nami, świece filowały, Acton walił pięścią w takt muzyki, aż szklanki z ponczem podskakiwały i przesuwwały się, a jego teść poderwał się ze snu. Acton ryczał coś do Gilbourne’a, który uśmiechnął się uprzejmie, skinął głową i zerknął na zegar. Mary opowiadała mi o swoim mężu, o jego dłoniach, jakie są twarde i popękane po latach pracy w rzeźnictwie.

– Nie takie jak twoje, panie Hawkins – szeptała, a jej palce ocierały się o moją dłoń. Patrzyła mi w oczy przepitym wzrokiem.

– Niezła z nas para, prawda? Para asów – zachichotała, odrzucając w tył żółte loczki. – Wiesz, myślę, że jesteś najprzystojniejszym mężczyzną w więzieniu. Podobał mi się Roberts... – Kokietyjnie zarzuciła spódnicą. – Ale ty mi się bardziej podobasz.

– Mary. – Niski głos Actona zahuczał w pokoju. Przestał walić w stół, ale dłoń nadal miał zwiniętą w pięść.

Mary podskoczyła, potem odęła wargi jak dziecko i wzburzona podeszła do krzesła przy kominku. Zostałem sam, porzucony pośrodku salonu. Acton patrzył zimnym

wzrokiem, twarz miał zmarszczoną gniewem. Piosenka gwałtownie się urwała, on zaś przyglądał mi się ponuro spod ciężkich powiek.

– Ładna odpłata za moją gościnność, sir – powiedział twardym jak głaz tonem. – Pozwalać sobie z moją żoną! Myślisz, że to pospolita dziwka, którą możesz ujeżdżać za moimi plecami?

Z trudem przełknąłem, w ustach mi zaschło. Powietrze między nami jakby drgało od przemocy, tak jak wczoraj, kiedy Jack Carter leżał zwinięty jak niemowlę na zimnej ziemi, a Acton unosił bicz. Ojciec Mary, przy kominku, trzymał ręce złączone jak w gorączkowej modlitwie.

– Proszę o wybaczenie – wyjąkałem. – Nie chciałem...

– Ha! – Acton skoczył z miejsca, celując we mnie palcem. Potem klasnął w ręce, odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– O, to było dobre. – Otarł łzy z oczu. Nikt poza nim w pokoju się nie śmiał. – Widziałeś, Gilbourne? Skamlał jak pies. Hm... może powinniśmy odesłać go do jego budy, co ty na to?

Gilbourne słabo się uśmiechnął i nalał sobie kolejną porcję. Acton podszedł do mnie władczym krokiem. Mocno przycisnął mnie do piersi.

– Lubię cię, Hawkins – oświadczył. – Niezły z ciebie kumpel. Jesteśmy przyjaciółmi, co? – Przysunął wargi do mojego ucha. – I masz potężnych przyjaciół, prawda? Szczęściarz. Myślisz, że ochronią cię bez mojego błogosławieństwa...?

Pokręciłem nieznacznie głową. Serce nadal biło mi szybko, czułem, że się trzęsę w jego uścisku. Nie byłem tchórzem, ale Acton grał znaczonymi kośćmi. Niech wygrywa, powiedział Gilbourne. To była dobra rada.

Wkrótce potem przyjęcie się skończyło. Przyszedł Jenings ze swoją latarnią i dwaj muzycy pospiesznie wyszli za nim, lekkim krokiem, rzadko widywanym u więźniów wracających do cel. Acton obudził Macka kopniakiem i razem powlekli się do Korony, wyśpiewując nieskładnie po nocy. Grace poszedł za nimi jak widmo. Mary nadal się dąsała, patrząc ze złością w ogień, nawet kiedy przysłała pani Wilson ze śpiącym Henrym na rękę. Wieczór nie potoczył się tak, jak sobie nasza kochana gubernatorowa planowała, dopilnowała więc, żebyśmy to zrozumieli i podzielili winę między siebie. Jej rodzice, zdaje się przyzwyczajeni do tego, ucałowali wnuka, powiedzieli do widzenia córce i zamówili powóz, żeby zawiózł ich z powrotem do miasta.

– To długa droga – powiedziała zmęczonym głosem matka Mary. – Ale pan Wilson nie musi już spać, prawda, kochany?

Pan Wilson skrzywił się, przypominając sobie jakieś stare sprawy. Kiedy wychodzili, dotknął mojego ramienia.

– Niech cię Bóg zachowa, sir.

Został Gilbourne i ja.

– Dobra robota, panie Hawkins – szepnął, kiedy drzwi się za nami zamknęły. –

Nadał pan żyje.

Ogarnęła mnie słabość, oparłem się o drzewo pod domem Actona.

– Naprawdę?

Gilbourne zachichotał.

– Blisko było. – Uśmiech zniknął mu z twarzy. – Nie jestem pewien, czy pan Buckley rozumie niebezpieczeństwo, w które pana wepchnął. Wiem, że nie chciał niczego złego, ale...

– ...ale jeśli oskarżę nadzorcę o zamordowanie Roberta, podpiszę wyrok śmierci na siebie. Tak, rozumiem. Myśli pan, że Acton wie?

– Panie Hawkins. – Lekko dotknął mojego ramienia. – Gdyby Acton choćby podejrzewał, że prowadzi pan śledztwo w sprawie morderstwa w jego zamku, wychłostałby pana i wrzucił do karceru po stronie dla pospólstwa. Gdyby miał pan szczęście. Ale teraz jest pan coś wart. Jest pan przyjacielem Charlesa Buckleya, który ma dostęp do ucha sir Philipa. Acton to spryciarz, niech mu się pan nie da omamić. Nie zostaje się nadzorcą Marshalsea tylko dzięki brutalnej przemocy. Przez dwadzieścia lat był rzeźnikiem, wie, kiedy rąbnąć pałą, a kiedy powoli drzeć skórę.

Potarłem się po szczęce. Po tym wieczorze byłem zmęczony i rozbity – i bałem się, dokąd poprowadzą mnie moje podejrzenia. Nie miałem wątpliwości, że William Acton jest zdolny do morderstwa. Widziałem wyraz jego oczu, kiedy tańczyłem z Mary. Zrobił z tego żart, ale zagrożenie nadal było obecne, tuż pod powierzchnią. Może Roberts był mu winien pieniądze albo go obraził, albo wygrał z nim w karty. Może próbował uciekać, jak biedny Jack Carter. Acton bez trudu w ataku furii mógł go zbić na śmierć. Ale Roberts był dżentelmenem, miał przyjaciół, żonę. Mogliby zadawać pytania, nalegać na przeprowadzenie dochodzenia. Więc powiesił go w karczerze i przekupił koronera, żeby nazwał to samobójstwem. Jakież to by było proste, morderstwo we własnym zamku. W Marshalsea nie było miejsca na sprawiedliwość, na uczciwe załatwianie spraw. Jedyne pytanie, to dlaczego Acton pozwolił pani Roberts zostać w więzieniu i sprawiać problemy. Gdyby zamordował Roberta, na pewno chciałby ją trzymać jak najdalej od więzienia. Ale Acton był arogancki. To był jego zamek. Kobieta mu nie zagrozi, nawet tak mądra i stanowcza jak pani Roberts. Może bawiło go, że bierze od niej pieniądze, wiedząc przez cały czas, że nigdy nie odkryje prawdy. Jeśli Catherine była gotowa płacić wysoki czynsz za pokój w Dębie, Acton nie miał skrupułów, żeby go od niej pobierać.

– Coś ci powiem – rzekł cicho Gilbourne. – Jeśli znajdziesz dość dowodów, żeby go powiesić, osobiście splecę twój dług. Ten człowiek to potwór. Gorzej – to nieprzewidywalny potwór. Niech jego głupota zniknie wraz z nim. To jest złe dla więzienia, złe dla zysków. Widzisz, sprawy idą znacznie lepiej w więzieniu Fleet. Cambridge był maklerem; zrobił majątek na kryzysie. Tego potrzebuje Marshalsea. – Gilbourne pokiwał w zamyśleniu głową. – Człowieka interesów.

– Gdybym udowodnił, że to było samobójstwo... – zastanawiałem się, nie za bardzo słuchając uwag Gilbourne'a. – Jeśli powiem, że Acton zabił go z całkiem zrozumiałych powodów, ale Roberts sam się zabił... może to jest najbezpieczniejsza droga przez to wszystko.

– Kto to? Kto tam jest?

Głos był stłumiony, ale natychmiast rozpoznałem jasny, rozkazujący ton Catherine Roberts. Czy mnie słyszała? Palił mnie wstyd. Wyrok, że to samobójstwo, mógł mnie uratować, ale też na zawsze rozdzieliłby Catherine i jej syna.

– Czy tam ktoś jest? – zawołała. – Pan Jenings?

Odetchnąłem z ulgą. Nie słyszała nas.

– Catherine – powiedziałem. – To ja.

Jej drobna, ciemna postać płynęła w naszą stronę. Świece nadal mrugały w mieszkaniu Actona, rzucając akurat tyle światła, żeby mogła nas znaleźć. Kiedy wychynęła z mgły, zobaczyłem jej twarz. Wilgotne powietrze osiadło drobną rosą na jej skórze, policzki miała zaróżowione od chłodu. Wyglądała łagodniej i piękniej niż cokolwiek, co w życiu widziałem – i zbyt doskonale na takie miejsce.

– Catherine – powiedziałem znowu i wyciągnąłem rękę.

Na słodką, podniecającą chwilę jej oczy rozświetliła radość, kiedy mnie rozpoznała. Ale potem na jej twarzy pojawił się wyraz smutku i przerażenia.

– Och! – krzyknęła i położyła rękę na piersi. – Och! Co to jest? – Cofnęła się, owładnięta strachem, potknęła się o spódnicę,omal nie upadła. Ugięły się pod nią kolana.

Zanim zdążyłem się poruszyć, Gilbourne zrobił parę kroków do przodu i uklęknął przed nią.

– Madame, błagam, niech się pani nie boi. Jest pani całkowicie bezpieczna.

Popatrzyła na niego, oszołomiona i przerażona.

– Pan... pan Gilbourne? – Ramiona jej opadły z ulgą, kiedy go rozpoznała. Pozwoliła mu się podnieść i oparła się ciężko o niego. – Och, panie Gilbourne, co to za stwór? – wyszeptała, patrząc na mnie ze strachem. – Widzi pan to?

Gilbourne roześmiał się zmieszany.

– Ależ nie ma się czego obawiać – powiedział łagodnie. – To tylko Thomas Hawkins. Widzi pani?

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, a ja stałem jak posąg, bałem się poruszyć, żeby znów jej nie wystraszyć. Myślę, że we mgle musiała mnie pomylić ze zmarłym mężem, który wrócił, żeby straszyć na dziedzińcu – tak jak mówili Jenings i Ben Carter. A jednak czy naprawdę tak bardzo przypominałem kapitana Roberta, że wdowa po nim dała się oszukać? Sądząc z portretu, który mi pokazała, było to najwyżej ulotne podobieństwo.

– Dlaczego... dlaczego on jest tak ubrany? – zapytała wysokim i drżącym głosem. –

To jakaś okrutna sztuczka?

Popatrzyłem na Gilbourne'a, ale on, zdumiony, pokręcił tylko głową. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej dłoni.

– Catherine...

– Nie dotykaj mnie! – zadrżała, cofając się, jakbym przypalił jej skórę. I w jednej chwili strach i zaskoczenie zmieniły się w chłodny, gorzki gniew. Patrzyła na mnie z wściekłością, w jej oczach płonąła pogarda.

– Ty łajdaku! Jak śmiesz nosić ubranie mojego męża! Ubranie, które miał na sobie, kiedy go zamordowano! Myślałam... O, Boże! – Głos jej zadrzał i łza spłynęła po policzku. – Jakież to okrutne! Myślałam, że wrócił. Myślałam, że wrócił do mnie. – Odwróciła się.

Gilbourne patrzył na mnie ze złością; był wściekły, jego wcześniejsze ciepłe, przyjazne uczucia zniknęły w jednej chwili.

– Cóż to za diabelskie oszustwo, sir? – syknął cicho. – Miał pan nadzieję oszukać nas wszystkich tym perfidnym pomysłem? – Trzepnął z niesmakiem ręką w mój pożyczony żakiet.

Skonsternowany uniosłem dłoni

– Panie Gilbourne, proszę, błagam pana... Nie miałem pojęcia. Przysięgam na swoje życie.

Przyglądał mi się chłodno, z dystansem.

– To niebezpieczne miejsce, Hawkins, tu nie ma zabawy – powiedział. – Miałem o tobie lepsze zdanie. – Podał Catherine ramię i odprowadził ją. Odwróciła się na moment i spojrzała na mnie tak, że nie miałem złudzeń co do jej uczuć. Potem zniknęli we mgle, zostawiając mnie samego.

Straciłem ich oboje. Dwoje ludzi, których podziwiałem w tym zgniłym, śmierdzącym miejscu. Dwoje ludzi, którzy byliby w stanie pomóc mi się stąd wydostać. Gilbourne byłby potężnym przyjacielem i sojusznikiem. A Catherine... poczułem, że coś formuje mi się w gardle. Trudno będzie dowiedzieć się prawdy o śmierci Roberta bez pomocy wdowy po nim, ale w głębi duszy wiedziałem, że straciłem coś znacznie ważniejszego. Nie była kobietą, na którą bym sobie zasłużył, a jednak... Mogłem sobie wyobrazić życie z nią – takie, że stałbym się lepszym człowiekiem. I bogatszym, nie ukrywajmy. Teraz, w jednej chwili, ta nadzieja zgasła, a ja wiedziałem doskonale, kogo za to winić.

– Samuelu Fleet – wyszeptalem w noc. – Przysięgam na Boga, zapłacisz za to. – I wtedy zegar wybił północ.

# Rozdział 11

**M**iałem umówione spotkanie z duchem. Byłoby nieuprzejmością nie zjawić się.

A czemu nie, myślałem gorzko, idąc przez mgłę w stronę pałacu sądu. Co więcej może mi się przydarzyć tej nocy? Jedyłą alternatywą było wrócić do mieszkania i zamordować współlokatora. Spojrzałem w dół, na moje ubranie; ubranie które musiało zostać zdarte z zimnego, zakrwawionego trupa Roberta. Fleet wysłał mnie do mieszkania Actona ubranego w odzież zmarłego, a ja, w swojej głupocie, myślałem, że to grzeczność z jego strony.

– Skręcę mu kark – wyszeptalem i dźgnąłem wielkim palcem stopy o mur. Zakląłem ciężko, sięgnąłem w ciemność i znalazłem szeroką, ceglaną kolumnę. Musiałem dotrzeć do portyku biegnącego wzdłuż sądu. Ciemność i mgła były tutaj nieprzeniknione; jeśli ktoś albo coś na mnie czekało, znalazło doskonałą kryjówkę. Poczułem dreszcz w krzyżu, silne uczucie, że jestem obserwowany. Że mi się przyglądają. Po cichu się cofnąłem.

Na chwilę zapanowała cisza. A potem, z najciemniejszego kąta portyku, głęboko we mgle zamigotało światelko.

Przerażony nabrałem powietrza.

– Kto tam jest?

Światelko zbliżyło się.

– Mam nóż! – skłamałem.

Chwila przerwy. Potem jakaś twarz wyłoniła się z cienia, szara jak mgła, pobrudzona ziemią. Błada ręka wyżej uniosła latarnię i zobaczyłem...

Niemożliwe!

– Roberts? – Patrzyłem na niego przerażony. To był kapitan; nie było wątpliwości, wyglądał dokładnie tak samo jak na portrecie. Ale jak to możliwe? Dotknąłem krzyżyka matki i pospiesznie wyszeptalem modlitwę.

Zjawa podeszła bliżej, jęcząc cicho. Zacząłem się trząść, przerażony postacią stojącą tak blisko w ciemności, że niemal można było jej dotknąć. Z szyi nadal zwisała mu lina, na twarzy miał ciemne sińce, krwawe plamy na koszuli.

– Morderstwo... – szepnęło to coś. – Morderstwo...

Samuel Fleet, pomyślałem. Niech cię cholera. Jesteś geniuszem.

Duch wrzasnął przeraźliwie:

– Pomścij mnie...!

– Jak sobie życzysz. – Założyłem ręce. – Powiedz, kto cię zamordował?

Duch przerwał, myślał przez chwilę.

– Pomścij mnie... – powtórzył niepewnie.

– Daj pan spokój, kapitanie Roberts. – Oparłem się o kolumnę portyku. – Kto cię zabił? Przecież musisz pamiętać?

Duch odchrząknął.

– Było ciemno...

– Doprawdy? – Przypomniałem sobie prośbę Gilberta Handa. – A co się stało z pieniędzmi?

– Z pieniędzmi? Nie było pieniędzy. Były...? – Duch popatrzył z nadzieją.

Straciłem cierpliwość. Skoczyłem do przodu, chwyciłem go za całkiem doczesne ciało i mocno rąbnąłem nim o kolumnę. Latarnia upadła z trzaskiem na ziemię.

– Kim jesteś? Kto cię nasłał?

– Puść mnie! – krzyknął. – Ratunku! Ratunku!

Podniosłem pięść, żeby go uderzyć, ale jakoś udało mu się wyrwać. Na ślepo uciekł w mgłę. W tej samej chwili pojawiło się inne światełko i zobaczyłem, jak biegnie do mnie Jenings ze swoją latarnią.

– Kto tu jest? – zawołał. – Pan Hawkins?

Chwyciłem jego latarnię i cisnąłem w mgłę.

– Właśnie zobaczyłem ducha.

Zatoczył się do tyłu na patykowatych nogach.

– Boże, miej nad nami litość!

– Jenings, to tylko człowiek; nie zrobi ci nic złego. Musi nadal być na dziedzińcu, możemy go złapać.

Dobre pół godziny szukaliśmy go we mgle. Jenings był wystraszony, mimo moich zapewnień, że nasz gość nie miał w sobie niczego ze zjawy. Z wartowni wzięliśmy drugą latarnię i nawet nakłoniliśmy strażnika na służbie, żeby szukał razem z nami, ale Roberts – albo ten, kim naprawdę był – rozplynął się w powietrzu. To było najbardziej tajemnicze.

– Musiał uciec przez mur – wyszeptał Jenings. Strażnik popatrzył na niego szeroko otwartymi ze strachu oczami.

– Przez mur – zgodził się ze zdumieniem.

– Bzdura – parsknąłem. – Musiał mieć klucz do wartowni.

– Słyszelibyśmy, gdyby duch przechodził przez bramę – upierał się Jenings.

– A oddział dla pospólstwa? Mógł tam jakoś przeleźć?

– Przeleźć na stronę dla pospólstwa? – Jenings chmurnie popatrzył na strażnika, który pokręcił głową.

Mieli rację; to nie miało sensu. Był za dobrze odżywiony, żeby pochodzić z tamtej strony muru. I któż próbowałby uciekać na oddział dla pospólstwa? Musiał się wyslizgnąć jakąś inną drogą, ale niech mnie diabli, jeśli wiedziałem jaką. I jak to możliwe, że tak bardzo przypominał prawdziwego kapitana Roberta? Potrzebny mi był mocniejszy umysł niż mój, żeby to wszystko zrozumieć.

Zakładem. Potrzebny był mi Fleet.



# Rozdział 12

**W**stawaj, do cholery!

Chwyciłem za kołnierz szlafroka Fleeta i wyciągnąłem go z łóżka; kartki rozsypały się po podłodze. Wyszczrzył do mnie zęby, oczy błyszczały mu z podniecenia.

– Coś się stało?

Zamachnąłem się na niego, uchylił się w tył, szlafrok załopotał obnażając te części ciała, których nie miałem ochoty oglądać.

– Na litość boską, człowieku, zawiąż szlafrok.

Uśmiechnął się szyderczo.

– Czyżbym cię rozpraszał, sir? Proszę, walczmy jak Grecy! – Mówiąc to zrzucił z siebie szlafrok i stanął gotowy do walki, z uniesionymi pięściami.

Wściekły odwróciłem się tyłem. Powinienem go rąbnąć; należało mu się solidne bicie po sztuczce, którą mi spletał. Ale nie chciałem się mocować z nagim Samuelem Fleetem, za nic w świecie, a on o tym wiedział. Zerwałem perukę i cisnąłem ją w kąt. Nie – nie moją, w tym właśnie rzecz. To było ubranie kapitana Robertsa – to, które nosił, kiedy został zamordowany. Zatrząsałem się ze wstrętu i zerwałem z grzbietu kamizelkę, jakby była zawszona.

Stałem przed lustrem, żeby rozwiązać krawat i zerknąłem na Fleeta w odbiciu. Znów założył szlafrok i zawiązał go mocno. Dzięki Bogu. Zmiałem w dłoniach kawałek muślinu. Mógłbym go nim teraz udusić. Połowa więzienia sądziła, że to on zabił Robertsa; kto by wątpił, gdybym powiedział, że to w obronie własnej? Mógłbym powiedzieć, że był mordercą i do rana być wolnym. Żołądek się we mnie wywracał na tę myśl. Czy naprawdę byłbym w stanie zabić człowieka bez powodu, tylko po to, żeby ratować siebie? Krawat wyślizgnął mi się z palców, upadł na ziemię.

– Mądry wybór – powiedział Fleet, przyglądając mi się w lustrze. W rękę trzymał sztylet.

Odwróciłem się na pięcie, żeby stanąć z nim oko w oko. Serce waliło mi ze strachu. Podszedł bliżej z wzniesioną klingą. Miał spokojną minę – prawie znudzoną – ale nie spuszczał mnie z oka.

– Jesteś głupcem, sir?

Przełknąłem, patrząc na koniuszek ostrza zaledwie o krok od mojego serca.

– Nie. Nie sądzę.

– Albo wariatem?

Cofnąłem się.

– Nie.

Fleet przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– To dlaczego myślałeś o zabiciu człowieka, który może cię uratować przed oddziałem dla pospólstwa? Nie, nie – parsknął, kiedy zacząłem protestować. – Nie zaprzeczaj. Wiem, kiedy człowiek myśli o morderstwie, panie Hawkins. Nieraz widziałem to w lustrze. – Nachmurzył się. – I przestań gapić się na ten but. Dawno wyjąłem z niego pistolet. Powiedz – ciągnął mocnym głosem – czy ktoś do ciebie podszedł? Proponował ci pieniądze? Mam mnóstwo wrogów...

– Nie. Przysięgam...

Z pomrukiem pełnym irytacji skoczył do przodu, szybciej niż w mgnieniu oka popchnął mnie na ścianę z zadziwiającą siłą. Kawałki tynku oderwały się od ściany, aż zacząłem płuć i dławić się, kiedy kurz wpadł mi do płuc. Zanim doszedłem do siebie, sztylet Fleeta naciskał mi na szyję.

– Powiedz – znów syknął. – Co zyskasz na mojej śmierci, panie Hawkins? – Szarpałem się, żeby odepchnąć ostrze, ale on był znacznie silniejszy, niż na to wyglądał. Mocniej przycisnął sztylet.

– No, sir?

Nabrałem tchu; już miałem mu powiedzieć o liście od Charlesa i śledztwie, kiedy przypomniałem sobie ostrzeżenie Edwarda Gilbourne'a. Jeśli powiem Fleetowi prawdę, prawie na pewno wyda mnie rano Actonowi, dla pieniędzy albo dla sportu. Zmusiłem się, żeby spojrzeć mu w oczy i przypomniałem sobie, kim w głębi duszy jestem. Hazardzistą. Wiedziałem, jak odczytywać zamiary człowieka z najmniejszych drgnień twarzy – nawet człowieka tak dziwnego i opanowanego jak Samuel Fleet. Teraz, gdy lepiej się przyjrzałem, zdumiało mnie, że w tych czarnych oczach nie ma gniewu ani groźby. Tylko... oczekiwanie. I zaciekawienie.

Sprawdzał mnie. A sztuczka, zdałem sobie sprawę, polega nie na powiedzeniu mu prawdy. Polega na utrzymaniu jego zainteresowania.

Nabrałem powietrza, nóż dotykał mojej skóry.

– Zabiłeś kapitana Robertsa?

Zamrugał. Potem uśmiechnął się.

– Garda. Bardzo dobrze.

Odepchnąłem ostrze. Nie zabije mnie. Nie tutaj ani nie w ten sposób.

– Zabiłeś go? – zapytałem znowu.

– Nie – odpowiedział po prostu.

Nie. Jedno słowo i byłem tego pewien. Kiedy zarabia się na życie przy stołach gry, trzeba się nauczyć czytać w ludzkiej twarzy, jakby to była „London Gazette”. Jedno spojrzenie w oczy Fleeta – a nie należy spoglądać powtórnie – przekonało mnie, że albo jest największym aktorem na świecie, albo mówi prawdę. Więcej, opanowało mnie dziwne wrażenie, że gdyby naprawdę zabił Robertsa, odpowiedziałby: równie prosto „tak”.

Co by potem ze mną zrobił, wolałem nie myśleć.

Odszedłem od ściany, strzepnąłem tynk i kurz z koszuli.

– Ale musiałeś coś widzieć albo słyszeć – wskazałem gestem oba nasze łóżka. – Byłeś zaledwie sześć stóp od niego. I nie mów mi, że wszystko przespałeś.

Po twarzy Fleeta przemknął ból. Obrócił sztylet w dłoniach i przekładał go między palcami, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Bardzo dobrze – wyszeptał wreszcie. – Podzielę się swoją tajemnicą. Ale pozwól, że cię ostrzegę, sir. – Rzucił mi złe spojrzenie. – Jeśli komuś powiesz choćby słowo...

Szybko kiwnąłem głową.

– Ból. Odwet. Rozumiem. Co się stało?

– Zostałem... – skrzywił się. – Zostałem przechytrzony.

Ugryzłem się w policzek, tłumiąc śmiech. Gdyby mógł się przyznać do morderstwa, chyba zrobiłby to z większą chęcią.

– Przechytrzony – powtórzyłem, rozbawiony po raz pierwszy tego wieczora. – Przecież to niemożliwe.

Kwaśno na mnie popatrzył.

– Ktoś dosypał środka nasennego do mojego ponczu. – Przerwał i poskrobał się czubkiem sztyletu po zaroście. – Uściskałbym zbójowi dłoń, gdybym mógł. Po raz pierwszy od lat dobrze się wyspałem. – Odwrócił wzrok i zaczął szukać wokół siebie, aż znalazł opróżnioną do połowy butelkę wina.

– To dlaczego nie powiesz tego ludziom? – zapytałem, kiedy wręczył mi kieliszek napełniony niebezpiecznie po brzegi.

– I zniszczę sobie reputację zimnokrwistego diabła? – Fleet pokazał okno. – W takim miejscu pomaga, jeśli się ciebie boją. Lepiej, żeby myśleli, że jesteś mordercą, niż że jesteś głupcem.

– Ten, kto doprawił poncz, musiał zamordować Roberta. – Zajrzałem do kieliszka i podejrzliwie go powąchałem. – A może kłamiesz? Może sam się uśpiłeś?

Fleet z niedowierzaniem zamrugnął oczami.

– Sam się uśpiłem? Niby dlaczego?

– Może wiedziałeś, że tamtej nocy zamordują Roberta.

– Rozumiem. – Fleet nachmurzył się. – Uśpiłem się, żeby nie być świadkiem strasznej zbrodni, o to chodzi? Powiedz... gdybyś wiedział, że ktoś ma zamiar zakraść się nocą do twojego pokoju i zamordować twojego towarzysza, pozbawiłbyś się przytomności?

Czułem, jak moja wspiana teoria sypie się w proch.

– Więc kto to był?

Fleet zgrzytnął zębami, jakby próbował uwięzić te dwa słowa, które wypadły mu z ust.

– Nie wiem.

– Ale musisz coś podejrzewać – zaprotestowałem. – Może...

– Nie wiem – wysyczał Fleet i padł pokonany na łóżko. Zanurzył głowę w dłoniach. – Od trzech miesięcy myślę o tym dzień i noc – powiedział zmęczonym głosem. – To mógł być każdy.

– Nie popytałeś się w więzieniu?

Ręce mu opadły.

– A jak niby miałbym to zrobić, nie wyjaśniając, co się stało? – Wcisnął kciuk w dłoń. – Nie minęłaby chwila i rozeszłoby się to. I wszyscy dowiedzieliby się, że można mnie oszukać. Pokonać. – Nachmurzył się. – Wolałbym, żeby tuzin morderstw uszedł komuś na sucho niż przeżyć coś takiego.

– Żartujesz – powiedziałem, nie myśląc.

– Nie, panie Hawkins – odparł cicho. – Mówię poważnie. Jeśli chcesz przeżyć w tym więzieniu... w tym świecie, to musisz sprawić, żeby ludzie widzieli w tobie najbardziej bezwzględного, wykalkulowanego, zdradzieckiego typu, jakiego znają. Muszą uwierzyć, że jesteś zdolny do wszystkiego – do najgorszych, niewyobrażalnych zbrodni. Jeśli twoi wrogowie dowiedzą się, że jesteś słaby, zniszczą cię. Tak się kręci świat.

– Nie chcę, żeby widziano we mnie kogoś bezwzględного i zdradzieckiego – powiedziałem. – I nie sądzę, żebym miał wrogów. Nie licząc Crossa. I Grace'a. – Zmarszczyłem brwi. – Może są też inni, o których nie wiem.

– Tacy są najgroźniejsi – powiedział Fleet, podchodząc do ognia.

Wypiłem jednym haustem wino i zacząłem rozpinać koszulę i spodenki kapitana. Im wcześniej pozbędę się ubrania trupa, tym lepiej. Rzuciłem je w ciemny kąt, w ślad za kamizelką, i wyszperałem stary szlafrok. Obwiązałem go mocno białym sznurem. Nie był tak elegancki jak szlafrok Fleeta, ale znacznie czystszy – i przynajmniej nikt w nim nie umarł.

– Dlaczego dałeś mi to przeklęte ubranie? – zapytałem, pokazując na rzeczy Robertsa.

Fleet zajęty był rozdmuchiowaniem ognia.

– Myślałem, że wywoła reakcję. – Podniósł na mnie wzrok, machając mi pogrzebaczem przed twarzą. – Jesteś podobny, szczególnie w świetle świecy. Ta sama kolorystyka, ta sama postawa.

– Co? – prychnąłem, nalewając sobie kolejny kieliszek. – Gramy w *Hamlecie*? Myślałeś, że morderca tylko na mnie spojrzy i z wrzaskiem wybiegnie z pokoju, gnany poczuciem winy?

– Może. – Fleet wzruszył ramionami i znowu odwrócił się do ognia. – W każdym razie to zabijało czas.

– Zabijało czas? Ostrzegałeś mnie, że będę jadł kolację z mordercą i wysłałeś mnie w ubraniu jego ofiary, tylko po to, żeby zabić czas?

Podmuchał na rozpałkę.

– Zabijanie czasu to bardzo ważna rzecz w więzieniu, wierz mi.

Wściekły patrzyłem na jego plecy.

– Cholera, Acton skreśliłby mi kark. Dzięki Bogu, chyba nie zauważył...

– Acton? – Chrząknął cicho. – Nie, nie sędzę, żeby zauważył.

– A co musiała o mnie pomyśleć biedna Catherine, że paraduję w ubraniu jej zmarłego męża?

– Więc pani Roberts cię widziała? Ojej. Jaka szkoda – powiedział Fleet z wyraźnym brakiem skruchy.

– Wątpię, żeby jeszcze kiedykolwiek się do mnie odezwała – nadąsałem się. Myśl o tym dotarła do mnie z jeszcze większą siłą niż wcześniej. Zaczęło mi na niej zależeć bardziej niż skłonny byłem przyznać. Los był dla niej okrutny. Chciałem jej pomóc w znalezieniu sprawiedliwości i odzyskaniu syna, nie dla jej majątku, ale dlatego, że zasługiwała na szczęście po wszystkim, co wycierpiała. Cóż, szczerze mówiąc, może jednak byłem trochę zainteresowany jej majątkiem – ale trudno mnie winić za to, że zakochałem się w niezwykle bogatej kobiecie. Serce nie sługa.

– Prawie zemdląła z wrażenia – dodałem. Fleeta to nie poruszyło. – Miałem szczęście, że był przy tym Gilbourne.

– Gilbourne...? – Fleet powoli zsypywał węgiel z szufelki do piecyka. – I jak zareagował na twój kostium?

– Był zły za Catherine.

Fleet wbił pogrzebacz głębiej w ogień.

– Jakież to rycerskie z jego strony – mruknął.

– Nie lubisz go.

– Ludzi, których lubię, mogę wyliczyć na palcach jednej ręki. Nie wypuszczając z niej kutasa.

– Myślę, że to dobry człowiek. Raczej cię lubi.

– Naprawdę lubi...? – Fleet zamrugął. – Jakież to niezwykle.

– Ostrzegął mnie też, żeby ci nie ufać.

– Zupełnie słusznie. Tu nikomu nie powinno się ufać. – Podniósł stary but i wyjął z niego pistolet, pomachał nim z uśmiechem i rzucił na łóżko. – Plugawa melina brudnych kłamców. Ale właśnie to jest interesujące. Fascynujące! – Skinął na mnie, żebym podszedł do ognia. – Usiądź. Powiedz mi o wszystkim.

Włożyłem szlafmycę z niebieskiego aksamitu i usiadłem na krześle najbliższym kominka.

– Wydawało mi się, że według ciebie umysł lepiej pracuje, kiedy jest zimno.

– Nie chodzi mi o to, żebyś myślał – powiedział. – Prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś tego nie robił. Po prostu mów.

Opisałem ze szczegółami cały wieczór u Actona, co ku mojemu zaskoczeniu było

znacznie zabawniejsze niż samo przyjęcie. Fleet rozkoszował się tą ohydą, od Grace'a, który kopnął Henry'ego, że aż dzieciak poleciał, poprzez Macka, który spity jak bela leżał pod stołem, po Mary z jej flirtami i dąsami. Kiedy doszedłem do naszego tańca, Fleet podskoczył i zakręcił się w kółko, doskonale oddając jej ruchy.

– Ach, panie Hawkins, pan ma jedwabne dłonie! – zaświergotał i przejeżdżając palcami po swojej piersi, udawał nieprzyzwoity wybuch uniesienia. Potem rzucił się na łóżko, zalotnie wachlując się jedną ze swoich broszur.

– Myślałem, że Acton mnie zabije – powiedziałem, śmiejąc się wbrew sobie.

– Nie, póki możesz płacić czynsz. Bardziej zazdrośnie strzeże swoich zysków niż żony. A Buckley to potężny przyjaciel; Acton nie ryzykowałaby drażnienia go. To dlatego wiedziałem, że można cię tam bezpiecznie wysłać w ubraniu Roberta. – Pochylił się. Nagle zrobił się poważny. – Nie wystawiłbym cię na prawdziwe niebezpieczeństwo, Tom. Musisz o tym wiedzieć.

Z wszystkich rzeczy, które Fleet mi opowiadał, ta zaskoczyła mnie najbardziej. Nadal był dla mnie obcy – ale prawie mu uwierzyłem.

Wepchnął rękę do kieszeni szlafroka i wyjął kawałek sznurka, do połowy zjedzoną bułkę, parę asów z tej samej talii i srebrny zegarek. Pierwsze trzy przedmioty cisnął za siebie i podniósł zegarek do światła dawanego przez ogień.

– Prawie druga. Ależ miałeś dzień. Musisz być zmęczony.

– Trochę – ziewnąłem i podłożyłem sobie ręce pod głowę.

Przez chwilę mi się przyglądał, wreszcie na twarzy powoli pojawił mu się uśmiech.

– Jest coś więcej, prawda...? Co wiesz, kolego? Co przede mną ukrywasz?

Odwzajemniłem uśmiech.

– Ile to warte?

– A dobre?

– Bardzo.

Potarł kciukiem wargi, pomyślał, wreszcie wyciągnął rękę i upuścił solidny srebrny zegarek na moją dłoń. Zdumiony gapiłem się na niego. Był bardzo ładny, tykał mi w dłoni po cichu, jak małe stworzonko. Koperta była wymyślnie grawerowana: dwa ptaszki i inicjały J.H. Kradziony, nie ma wątpliwości, albo wygrany nieuczciwej grze. Otworzyłem go, mrużąc oczy, oglądałem mechanizm w świetle świecy. Nie mogłem znaleźć znaku zegarmistrza przy takim marnym oświetleniu, ale zobaczyłem i wyczułem wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że musi być wart co najmniej dwa albo trzy funty. Wiedziałem, że to błąd zabierać go Fleetowi, bez względu na powód, dla którego mi go dał. Ale miałem dwadzieścia funtów długu i siedziałem w więzieniu. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby nie przyjąć prezentu, który na całe tygodnie mógł mnie uratować przed oddziałem dla plebsu. Wsunąłem go do kieszeni.

– Widziałem ducha.

Był zachwycony. Triumfował. Nowy dramat, żeby utrzymać nudę na odległość; to był lepszy prezent niż solidny srebrny zegarek. Podskoczył i zaczął chodzić po pokoju, kiedy opisałem mu, co się stało.

– To nie był prawdziwy duch.

– Ha, oczywiście, że nie! – zawołał machając rękami. – To dlatego pojawia się tylko wystraszonym chłopcom i łatwowiernym chudzielcom, jak Jenings.

– Miał pętlę na szyi i pokrwawioną koszulę...

– ...ale nosił inną kamizelkę! – dokończył triumfalnie Fleet. – Roberta zamordowano w tym ubraniu. – wskazał na niebieską jedwabną kamizelkę leżącą w poniewierce na podłodze. – Wygrałem ją... od wielkiego geniusza, dodam... w karty następnego dnia rano. A tak naprawdę, Roberts nie znosił tej musztardowej kamizelki. Nie nosiłby jej pośmiertnie. Dosłownie.

– Są dwie sprawy, których nie rozumiem – wyznałem. – Ktokolwiek to był, był prawdziwy, to człowiek z krwi i kości. Ścisnąłem go, że aż przestał oddychać.

– Świetnie!

– Ale jakoś udało mu się rozplątać w powietrzu. Nie przechodził przez wartownię, nie było go w parku, szukaliśmy wszędzie. Nawet we mgłę znaleźlibyśmy go. Myślałem, że może to więzień, któremu jakoś udało się wyslizgnąć z celi... Ale on wyglądał dokładnie jak Roberts. Do tej pory ktoś zauważyłby podobieństwo. A to doprowadza mnie do kolejnego wniosku, Fleet – on nie tylko wyglądał jak Roberts. On był Robertsem. Czy to możliwe, że miał brata bliźniaka? Nie potrafię znaleźć innego rozwiązania.

Fleet uśmiechnął się.

– Nie potrafisz...? Powiedz, skąd wiesz, jak Roberts wyglądał?

– Z jego portretu. Catherine pokazała mi go dziś po południu; nosi go w medalionie na szyi. – Wtedy przestałem mówić i zacząłem myśleć; oczywista prawda spadła na mnie jak kamień. Obraz w medalionie Catherine nie był portretem Roberta. To był portret człowieka wynajętego, żeby grał rolę jego ducha. – O Boże, jestem idiotą.

– Przez jakiś czas ją podejrzewałem – przyznał Fleet. – Ale pomyślałem, że najlepiej będzie, jak sprawa sama się wyjaśni. Nie widziałem w tym niczego złego.

– Ale dlaczego to zrobiła? Co ją, u diabła, opętało?

– Ona chce sprawiedliwości. Chce, żeby oddano jej syna! Jest na tyle zdesperowana, że zrobi wszystko. Czy istnieje lepszy sposób, żeby wszystkich zadreślała myśl o śmierci jej męża, niż pokazać jego ducha błakającego się po więzieniu? Teraz w interesie wszystkich jest znaleźć zabójcę, prawda? Kto chce siedzieć w więzieniu z rozeźlonym duchem? I może miała nadzieję, że zabójca dozna takiego wstrząsu, że przyzna się. Właśnie tak, jak dziś wieczór ja to zrobiłem.

Zmarszczyłem brwi i wróciłem myślą do rozmowy z Catherine w kawiarni. Szukała mnie – powiedziała, że po to, żeby przeprosić. Powinienem zrozumieć, że mnie

oszukała. Odkąd to kobiety przepraszają mężczyzn, którym dały w twarz? To była tylko sztuczka, która pozwoliła jej pokazać mi fałszywy portret. Lepiej mnie załatwiła, niż gdyby była jedną z dziewczyn od Moll, cholera.

– Cóż, cieszę się, że dziś w nocy omal nie zemdlą – powiedziałem. – Co za baba!

– Dobrze ci tak! – ucieszył się Fleet. – Ale należy podziwiać jej odwagę. I wytrwałość.

– Właśnie, że nie należy – sarknąłem.

– Wiesz, to dziwne – Fleet przechylił głowę. – Myślę, że bardziej kocha go po śmierci niż za życia. Bywały między nimi awantury; biegłem na górę, do Trima i wszystko słyszeliśmy przez sufit. Ach, cóż... Teraz może go pamiętać takim, jakim chce go pamiętać. Dobrego, czcigodnego dżentelmena w obrzydliwej kamizelce. Biedaczyna ten Roberts. Jest taki posłuszny po śmierci. Zupełnie jak nie on.



# Dzień trzeci

## SOBOTA

### Rozdział 13

**O**budziłem się przed świtem na zgrzyt klucza w zamku. Fleet już stał przy drzwiach, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać, kiedy wyjdzie. Czy on w ogóle sypiał? Ledwie otwarto drzwi, już go nie było. Został po nim piźmowy zapach tytoniu, potu i zwiędzłego wina. Strażnik zatrzasnął drzwi bez słowa i poszedł do następnego pokoju.

Westchnąłem i sięgnąłem po mój nowy srebrny zegarek; radowałem się jego ciężarem na dłoni. Jeszcze nie było szóstej. Przez jakiś czas podzemałem, czekając w rozkosznej ciszy na światło dnia. Z Fleeta był taki niespokojny narwaniec, ciągle się kręcił, gadał, robił miny; prawie zapomniałem, jak przyjemnie jest być tylko w towarzystwie własnej osoby.

Potrzebowałem też czasu na myślenie. Dzisiaj zacznę śledztwo w sprawie śmierci kapitana Robertsa. Przetoczyłem się na plecy, patrzyłem na sufit i zastanawiałem się, od czego zacząć. Uderzyła mnie myśl, że Roberts leżał właśnie na tym łóżku w tę noc, kiedy go zamordowano. Nie mieszkał z żoną. Pani Roberts utrzymywała osobny pokój w Dębie, tak jak to robiła do dzisiaj. Co powiedziała o swoim małżeństwie?

Nadal byłem zły na Catherine, że mnie oszukała, ale kiedy w półśnie myślałem o niej leżącej w swoim łóżku, w Dębie, moje myśli odeszły daleko od sprawy śledztwa...

Byłem trochę rozkojarzony, kiedy rozległo się stukanie do drzwi. Starczyło mi czasu tylko na to, żeby się okryć i odwrócić do ściany, kiedy weszła Kitty, żeby posprzątać pokój. Zaczęła chlapać wodą z wiadra.

– Panie Hawkins – szepnęła. – Nie śpi pan?

Udawałem, że śpię, po cichu przeklinając, że mi przerwano. Czy w tym przeklętym miejscu nie ma prywatności?

– Leń – mruknęła Kitty pod nosem i zaczęła sprzątać wokół mnie. Kiedy

doprowadziłem się do porządku, obróciłem się po cichu, niby we śnie i patrzyłem na nią spod półprzymkniętych powiek, jak składa ubrania Fleeta, porządkuje jego papiery, tworzy porządek w chaosie, jaki zostawił. Znow uderzyła mnie szybkość i sprawność jej ruchów. Nie wiedziałem, dlaczego tak to na mnie podziałało, po prostu byłem zadowolony, że tak sobie leżą, kiedy ona śmiga po pokoju. Catherine miała rację. Byłaby z niej doskonała pokojówka dla damy, gdyby nauczyła się powściągać język. Może Charles znalazłby dla niej miejsce wśród domowników sir Philipa? Porozmawiam z nim o tym. Lepsze to niż zajmować się całą Fleeta – to żadne referencje.

Kitty zaczęła omiatać kratę, wzniecając kłęby kurzu. Udałem, że kaszlę i ziewam, jakbym dopiero co się obudził, założyłem portki i narzuciłem kamizelkę na koszulę. Podłoga była prawie wolna od gratów, książki i papiery, ubrania i kurioza Fleeta leżały w zgrabnych stosikach pod ścianami. Zanim zapadnie noc, znow będą porozrzucane, ale i tak było to godne podziwu osiągnięcie.

– Dobra robota, Kitty.

Zamarła, wyprostowała się na ten komplement, a wreszcie znow wzięła się do pracy.

– Będzie pan potrzebował ognia? – zapytała, nie odwracając się.

– Nie, dziękuję, zjem śniadanie u pani Bradshaw.

– Bardzo dobrze, sir. – Strzepnęła popiół ze szczotki, tłukąc nią mocno o kratę. Stuk, stuk, stuk.

Zamilkłem i ściągnąłem brwi, patrząc na jej plecy. Dziś rano była chyba w złym humorze, nawet jak na nią.

– Coś nie tak, Kitty?

Upuściła szczotkę z głośnym stukiem i otarła popiół z rąk. Wstała i obrzuciła mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– A co to może pana obchodzić?

– Cóż, prawda. Twoje szczęście nie ma dla mnie znaczenia. To pewne – warknąłem w zdenerwowaniu. – I powinnaś uważać na to, co mówisz, kiedy rozmawiasz z dżentelmenem. – O Boże na niebie. Po co ja to powiedziałem? Jakbym słyszał swojego ojca.

Kitty zacisnęła wargi, powstrzymując słowa, które najwyraźniej cisnęły się jej na usta. Popatrzyła mi prosto w oczy, wysoko podnosząc podbródek.

– Proszę o wybaczenie, sir.

Przeprosiny były tak grubiańskie, tak pozbawione skruchy, że wybuchnąłem śmiechem.

– Eleganckie przeprosiny, panno Sparks. Zostały przyjęte. – Ukłoniłem się i wyszedłem z pokoju, zanim zdołała odpowiedzieć. Kiedy dotarłem do schodów, obejrzałem się i stwierdziłem, że patrzy w ślad za mną ze ściągniętymi z zakłopotania

brwiami. Mrugnąłem do niej i poszedłem dalej.

Kuszący zapach kawy, smażonego boczku i świeżo wypieczonych bułek dolatywał od drzwi pani Bradshaw, ale kiedy dotarłem do progu, zwłokła się z krzesła i zablokowała salkę, krzyżując ręce na szerokiej piersi.

– Nie ma miejsca – sapnęła. – Spróbuj pan na górze w Cycatej Lali.

Zajrzałem obok niej na puste krzesła i stoły i uniosłem brwi.

– Obraziłem panią, madame?

– Och! Jakbyś pan nie wiedział! Powinien się pan wstydzić! Biedna pani Roberts, ostatniej nocy przeżyła wstrząs – łajała mnie, ale wyglądała na zadowoloną z tego wspomnienia. – Myślała, że kapitan wstał z grobu, niech spoczywa w pokoju. Musiałam dać jej środek nasenny, żeby uspokoić jej nerwy. Jak pan mogłeś, sir? Przebrać się w ubranie, w którym go powiesili! Ha! Bardzo się rozczarowałam, panie Hawkins. Naprawdę, lepiej o panu myślałam. Ale powinnam była wiedzieć. Przyjaciel Moll. – Wygoniła mnie za drzwi i zatrzasnęła je za mną.

Już miałem spróbować szczęścia na górze, u pana Macka, kiedy dostrzegłem Jakesa kroczącego przez dziedziniec pod ciężkimi, czarnymi burzowymi chmurami. Zapomniałem o swojej obietnicy, że tego ranka prześlę odpowiedź Charlesowi. Wyszedłem i zatrzymałem Jakesa pod sądową kolumnadą.

– Panie Jakes – powiedziałem, ściskając jego wielką łapę. – Miło mi pana widzieć.

– Panie Hawkins – uśmiechnął się. – Słyszałem, że noc miał pan pracowitą.

– Myślę, że całe więzienie o tym mówi. – Czy to dlatego Fleet wybiegł tak wcześniej? – pomyślałem.

Jakes wzruszył ramionami.

– Pan Buckley twierdzi, że ma pan talent do robienia sobie kłopotów. Prosił, żebym to panu dał. Musi pan to schować, bo strażnicy panu zabiorą. – Wyjął z wiszącej na boku torby zawiniątko i podał mi je.

Rozwinąłem materiał i zobaczyłem krótki sztylet, prosty, ale dobrej roboty. Włożyłem go pod kamizelkę.

– Ładnie to z pańskiej strony, że mi pan pomaga, panie Jakes. Mam nadzieję, że Charles płaci panu za pański czas.

– Miło mi, że mogę pomóc, sir. Kapitan Roberts był lojalnym przyjacielem. Zawdzięczam mu, że żyję. – Popatrzył w ziemię. Potem podniósł wzrok i uśmiechnął się, oczy mu zaiskrzyły. – A i owszem, pan Buckley opłaca mój czas.

– Z tego, co słyszałem o kapitanie Robertsie, pochwaliliby pana, że pan zarabia.

Jakes roześmiał się.

– Tak, to czysta prawda.

– Zatem – powiedziałem, składając z kłaśnięciem ręce – od czego zaczniemy nasze dochodzenie? Czy pub jest otwarty?

– Tam nie znajdzie pan odpowiedzi. Mam lepszy pomysł. – Z żołnierskiego nawyku obejrzał się za siebie. – Jadł pan śniadanie?

– Jeszcze nie.

Utkwił we mnie ponure spojrzenie.

– Dobrze.

Jakes był nieugięty. Jeśli chcemy dowiedzieć się czegoś o śmierci Roberta, musimy odwiedzić oddział dla plebsu.

– Tam go znalezione. Tam jest ukryta tajemnica. Jeśli jest ktoś, kto cokolwiek wie, znajdziemy go po tamtej stronie muru. – Ścisnął pałkę. – Ze mną będzie pan bezpieczny, sir.

Zmarszczyłem brwi.

– Acton nie jest durniem. Jeśli się dowie, że zadawałem tam pytania, zacznie coś podejrzewać.

– Ach, tak? – Jakes wskazał podbródkiem wartownię. – Pomyślałem o tym.

Ku memu przerażeniu, w pole widzenia wtoczył się Woodburn. Rękami przytrzymał kapelusz, żeby nie porwał go silny wiatr.

Jakes zauważył wyraz mojej twarzy i wybuchnął śmiechem.

– On ma serce na właściwym miejscu, sir. I może nam pomóc, nawet o tym nie wiedząc. – Woodburn, jak się okazało, odwiedzał regularnie oddział dla plebsu, żeby pocieszać chorych, przewodzić modlitwom więźniów i rozdawać żywność kupioną za dary z parafii. – Ale zatrzymaj pan to dla siebie – mruknął Jakes. – Bo Acton dowie się w mgnieniu oka.

– Pan Hawkins! – Woodburn podszedł, utykając i dysząc, znękany artretyzmem. – Drogi kolego, Jakes powiedział, że dziś rano chcesz mi pomóc w służbie Bożej.

Zerknąłem na Jakesa. Jakes otworzył szeroko oczy i powoli pokiwał głową.

– A... tak. W istocie.

– Pan Hawkins był zbyt nieśmiały, żeby osobiście napisać do wielbego – wyjaśnił Jakes. – Ale jest bardzo chętny, żeby dołączyć do pana podczas wizyty. – Odwrócił się do mnie, twarz miał doskonale opanowaną. – Natchnął pana dobry przykład wielbego, zgadza się?

– Natchnął, tak... – powtórzyłem, a Woodburnowi twarz spuchła z dumy. – Pomyślałem, że mogę ulżyć im w niedoli w jakiś skromny sposób...

– Modlitwą – dodał Jakes.

– Modlitwą – zgodziłem się znękany.

– Chwalmy Pana – rozpromienił się Woodburn.

Przywłókł się Joseph Cross, obracając kółkiem z kluczami.

– No, Hawkins, słyszałem, że gubernator zabawił się twoim kosztem ostatniego wieczoru – zachichotał. – Mówi, że mało się nie zesrałeś.

Jakes zrobił w jego stronę jeden ciężki krok.

- Joseph, pewnego dnia ktoś ci skręci kark.
- Ależ panowie... – napominał ich Woodburn.

Cross udał, że się rozgląda.

- Żadnego w pobliżu nie widzę.

Cross zebrał pół tuzina zaufanych więźniów Actona, włączając Jeningsa, nocnego strażnika, i Chapmana z pubu, obładowanego kilkoma butelkami alkoholu. Kiedy dotarliśmy do małych drewnianych drzwi w murze oddzielającym stronę dla plebsu, Cross odwrócił się i powiedział do ludzi:

– Chłopcy, znacie zasady. Dłonie na pałkach. Nie przejmujcie się żadną cholerną bzdurą ze strony tych synów ładacznic. – Włożył klucz w zamek. – I oddychajcie przez usta.

Zaufanych więźniów puścił przodem, potem Woodburna. Jakes przygotował się i przecisnął przez drzwi – każdy nerw wrzeszczał we mnie, żeby zawrócić.

Dla uspokojenia głęboko odetchnąłem i przeszedłem na stronę dla plebsu.

...I to jest naprawdę takie inne? Rozejrzałem się wokół z bijącym sercem. Niebo – niskie, szare, ciężkie – wyglądało tak samo po tej stronie muru. Starty, potrzaskany bruk pod stopami był taki sam. Ale powietrze... powietrze było inne. Gęste i obrzydliwe. Zatrute. Popatrzyłem na innych, wszyscy to poczuli – nawet Cross.

- Boże, nienawidzę tego miejsca – mruknął.

Poszliśmy w stronę rozsypujących się więziennych kwater, zbieraniny starych drewnianych domów, przygiętych do ziemi, opartych bezwładnie o przeciwległy mur południowy. Strona dla dżentelmenów była otwarta już od ponad godziny, ale tu więźniowie nadal byli zamknięci w oddziałach. Trzysta dusz ściśniętych po trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt na noc w celi, podduszonych, głodujących, oddychających własnymi wyziewami. Kiedy zbliżyliśmy się, usłyszeliśmy, jak wałą w drzwi i błagają załamującymi się głosami, żeby wypuszczono ich, na litość boską.

– Cicho tam, psy – warknął Cross i przechodząc rąbnął pałką w drzwi. – Albo zostawimy was w zamknięciu na cały dzień.

Krzyki ścichły do jęków, zapanowała cisza. Cross machnął na Chapmana, który zaczął nalewać przyniesiony alkohol do drewnianych kubków. Jakes chwycił jeden z nich i podał dalej.

– Jeszcze nie – powiedział, powstrzymując mnie, kiedy podniosłem kubek do ust. Podał mi chusteczkę. – Zakryj pan nos i usta.

Inni robili to samo: moczyli materiał w alkoholu i ciasno go zawiązywali.

Cross szedł ciężkim krokiem w stronę budynku w odległym południowo-wschodnim narożniku, walcząc z ostrym wiatrem.

– Dzisiaj najpierw lazaret – krzyknął za siebie. Zrobił minę pod apaszką. – Najgorsze będziemy mieli za sobą.

Woodburn, który szedł za mną, zaczął się po cichu modlić przez chustkę.

Zaufani więźniowie ustawili się przy drzwiach. Cross wybrał klucz z kółka i wsunął go w zamek.

– Odsuńcie się – krzyknął do zamkniętych w środku więźniów. Chapman i pozostali łyknęli alkohol jednym szybkim haustem.

Drzwi otworzyły się na oścież.

Obrzydliwy, gnilny smród wylał się na dziedziniec – tak gęsty i mocny, że wszyscy razem krzyknęliśmy, odwracając twarze. To był ropiejący odór choroby, gnijących, zarażonych ciał mężczyzn zmuszonych do tego, żeby sikać, srać i pocić się razem w pozbawionej powietrza celi. Nie było od niego ucieczki, wdarł mi się w nozdrza, chociaż mocno przyciskałem materiał do twarzy. Zacząłem dyszeć w niekontrolowany sposób, raz za razem. Odsunąłem się niezdarnie i upadłem beznadziejnie na czworaki. Wymiotowałem na bruk, aż nic nie zostało poza cienkim strumyczkiem kwaśnej żółci.

Wreszcie wstałem, półprzytomny; oczy mi łzawiły, wypróżniony żołądek bolał. Tymczasem otworzyli obie izby chorych, dla mężczyzn i dla kobiet, i wyciągali na dziedziniec zmarłych w nocy. Ich obcasy drapały ziemię. Przytknąłem dłoń do ust i odwróciłem wzrok, ale nadal, nawet gdy zamknąłem oczy, widziałem szare, pozbawione życia ciała ułożone w rząd. Żołądek znów mi się zbuntował.

Podszedł Cross – pomyślałem, że chce ze mnie zadrwić, ale on tylko wziął mój kubek i napełnił go po brzegi alkoholem.

– Pij – powiedział, wciskając mi go.

Zrobiłem, co kazał; ręce mi się trzęsły, kaszlałem, bo alkohol palił mnie w gardle. Ale był mocny i czysty – niósł ulgę po strasliwym odorze lazaretu.

Cross napił się z butelki, ale najpierw przepłukał usta.

– Lepiej?

Słabo pokiwałem głową.

Przyjrzał mi się dokładnie zaczerwienionymi oczami, trochę z ciekawością, trochę podejrzliwie.

– Co ty u diabła tutaj robisz, Hawkins?

Znów łyknąłem.

– Dzieło dla Boga.

Cross wypluł alkohol na bruk.

– Hm, cóż – powiedział, kiedy doszedł do siebie. – Musi cię piekielnie nie lubić, prawda, sir? Panie Jenings, jest jeszcze jakieś mięso?

Nocny strażnik wynosił z izby chorych dla kobiet trupa owiniętego w cuchnące łachmany. Ciało wydawało się za chude i za lekkie, żeby należało do człowieka. Ostrożnie położył kupkę szmat obok innych.

– Tylko tych siedmioro, Josephie.

„Tylko tych siedmioro”. Mój Boże. Nic dziwnego, że Jenings bał się duchów.

Rozległ się grzmot. Ludzie podnieśli wzrok na niebo, Cross szedł powoli od trupa

do trupa; miał przymrużone oczy.

– Pięciu mężczyzn, dwie kobiety. – Trącił buciorem najbliżej leżące ciało. – Na oko gorączka więzienna.

– Bzdura – wyszeptał Jakes mi w ucho. – Większość umarła z głodu.

Zaczęło padać.

Chapman wyprowadził więźnia z izby chorych – roztrzęsiony, spocony szkielet, dzień, dwa przed śmiercią. Uważał, żeby go nie dotknąć, tylko popychał go naprzód pałką. Mężczyzna popatrzył na rząd ciał; na pewno widział własną przyszłość wyłożoną przed nim na ziemi.

– Któreś z nich ma rodzinę? – zapytał Cross.

Więzień skinął głową. Bardzo się trząsał – z gorączki.

– Pokaż.

Brudnym palcem wskazał czworo.

– Dobrze. – Cross zmarszczył brwi i wskazał na małą szopę stojącą blisko muru.

– Wrzucie je do karceru razem z innymi.

Drgnąłem.

– Z innymi? To są inni?

– Nie można wydać ciała, póki rodzina nie wniesie opłaty. Zarządzenie gubernatora. – Cross znów napił się z butelki i dodał obojętnie: – Jack Carter nadal tam jest.

– Jak to? – krzyknął zaskoczony Woodburn. Przez cały czas był cicho, ale teraz złapał Crossa za ramię. – To musi być jakaś pomyłka. Dałem Benjaminowi pieniądze, żeby wykupił ciało.

Zaufani więźniowie otwierali resztę oddziałów, a Woodburn i Cross klócili się głośno o trupa Jacka i czy za niego zapłacono. Teraz już mocno padało. Na wschodzie, nad Bermondsey zajaśniała błyskawica, ale więźniowie nadal wylewali się strumieniem na świeże powietrze, rozpaczliwie uchodząc z cel. Dziedziniec wkrótce pełen był chudych, oszołomionych postaci. Niektórzy byli w lepszym stanie niż inni – posługacze i służący, którzy znaleźli sobie zajęcie po stronie dla dżentelmenów i mogli sobie pozwolić na sypianie w jednym z lepszych oddziałów. Inni wyglądali jak chodzące wersje trupów wyłożonych na bruk.

Kiedy się rozglądałem, oszołomiony potwornością tego wszystkiego, obok ślaniając się przeszła młoda kobieta; milczała, łzy spływały jej po twarzy. Kiedyś musiała być piękna, ale teraz jej skórę pokrywały jątrzące się wrzody, jakby sto głodnych ust wydobyło się z jej ciała. Na dziedziniec wybiegło też kilkoro dzieci, półnagich, z czerwoną, zakrwawioną skórą od drapania się po głowie. Wszy roiły się w ich brudnych kołtuniastych włosach. Najmniejszy, chłopczyk, nie starszy od syna Actona, podreptał w moją stronę trzymając kawałeczek różowego jedwabiu. Nieśmiało zamachał nim do mnie.

Odwróciłem się do Jakesa, poczułem coś w gardle. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie; deszcz przemoczył nas do suchej nitki.

– Napij się jeszcze – powiedział Jakes. – Potem zaczniemy.

Przeszedł przez tłum do jednego z oddziałów. Zaufani więźniowie skończyli przynosić świeże zwłoki do karceru. Przykryli trzy trupy bez rodzin starymi, poplamionymi prześcieradłami i zostawili je pod murem. Potem, jak najszybciej, przeszli na stronę dla dżentelmenów.

Woodburn podszedł do mnie szybkim krokiem.

– Panie Hawkins, mógłby pan zacząć obchód beze mnie? Muszę pójść z Crossem i załatwić sprawę zwłok Jacka... wczoraj powinny być wyniesione. – Nachylił się bliżej. – Powiedz kapitanowi Andersonowi, że żywność przyniesiemy pod kraty dla żebraków o szóstej, dziś wieczór. Acton będzie zbyt zajęty zbieraniem czynszu, żeby to zauważyć. – Przerwał i uważnie na mnie popatrzył, a w jego oczach widać było troskę. – Przeżyłeś szok. Zapomnisz. – Poklepał mnie po ramieniu. – Dobrze się pan trzymał, sir. Za pierwszym razem zemdlałem.

– Ale wrócił pan.

Woodburn westchnął.

– To moja trzódka. Jak mógłbym ją porzucić? – Ukłonił się i spiesznie odszedł.

Poczułem, że ktoś ciągnie mnie za żakiet. Chłopczyk z kawałkiem jedwabiu podszedł tak blisko, że mógł mnie dotknąć.

– Chleba – poprosił, wyciągając w moją stronę jedwab, jakby to były pieniądze.

Pokręciłem głową. Nie byłem w stanie się odezwać.

Zaczął szlochać, podniósł szmatkę wyżej w małej piątce.

– Głodny...

Starsza kobieta, słaniając się, podeszła bliżej i mocno uderzyła chłopczyka w główkę.

– Przepraszam, sir – powiedziała, odciągając go; jej poczerńnięte paznokcie wbiły się w jego ciało. – Nie powie pan gubernatorowi, prawda?

– Wolno im żebrać tylko przy kracie – powiedział Jakes, aż podskoczyłem. Nie słyszałem, jak podchodził. – Chodźmy. Znalazłem kogoś, kto chce mówić.

Kapitan Ralph Anderson chodził po celi jak dzikie zwierzę. Nawet Jakes zachowywał się wobec niego ostrożnie. Szeroka, źle zagojona blizna przebiegała mu przez policzek, aż do wargi – stara rana odniesiona w bitwie albo w bójce (i tak nie miałem zamiaru pytać). Zeszpeciłaby przystojniejszego mężczyznę, ale pasowała do dzikiej, poranej bruzdami twarzy Andersona. W jego wzroku było coś, co widywałem w oczach starych niedźwiedzi prowadzonych na walkę w ringu. „Och, znowu to. Doskonale”.

Anderson był starostą oddziału – szefem grupy trzydziestu mężczyzn, dzielących pokój niewiele większy od Belle Isle. Kiedy weszliśmy do celi, minęło nas dwóch



ludzi niosących wielką chlupoczącą beczkę, cuchnącą uryną.

– Jak już to wylejecie, powiedzcie Harry’emu Mitchellowi, że go tu potrzebuję – ryknął za nimi Anderson.

To był najlepszy oddział w części dla pospólstwa, z sześcioma łózkami i paru hamakami zwisającymi ze ściany. Teraz pomieszczenie było puste, a zapach chudego gulaszu wieprzowego bulgoczącego na piecu głuszył najgorszy smród. I było czysto – to zasługa Andersona, pomyślałem. Dowodzi tu jak w koszarach. Nadal nosił starą błękitną kurtkę z czasów służby w wojsku, w 3. Pułku Dragonów, jak powiedział Jakes. Przed dwudziestu laty walczył pod Ramillies. Kurtką można by zapłacić za parę porządnych posiłków, ale zatrzymał ją dla siebie.

Pokazał, żebyśmy usiedli z nim przy piecu. Jakes wolał jednak stanąć przy oknie – głównie dlatego, pomyślałem, że krzesło, które mu wskazano, było tak stare i przeżarte przez korniki, że mogło się pod nim połamać.

– Więc szukasz zabójcy Robertsa – powiedział Anderson, patrząc nachmurzony, jak ostrożnie siadam na trzeszczącym krześle. – Co za to dostanę dla mojej celi?

Coś w zamian za informację? Uczciwie.

– Jestem przyjacielem Charlesa Buckleya, kapelana sir Philipa. Zadbam o to, żeby sir Philip usłyszał o wszelkich... skargach – zakończyłem słabym głosem.

Anderson spojrzał na mnie miazdzącym wzrokiem.

– Mówiłeś, że coś wiesz? – zapytał niecierpliwie Jakes spod okna.

Anderson rozparł się w krzesło.

– Nic za darmo na tym świecie, Jakes. Wiesz o tym. Niech pan jeszcze raz spróbuje, panie Hawkins.

– Mogę przedstawić pańską sprawę Gilbourne’owi – powiedziałem, szybko myśląc. – To przyzwoity człowiek, będzie chciał pomóc. I już wie o moim śledztwie – przerwałem. Anderson patrzył na mnie z otwartymi ustami, w przerażeniu.

– Gilbourne wie? – Trzasnął się dłonią w czoło. – Doskonale.

Nachmurzyłem się, zdumiony.

– Nie należy mu ufać? Wygląda na prawego dżentelmena.

– O, tak, jestem pewien, że tak wygląda... – parsknął Jakes. – Gilbourne może wyglądać tak, jak chce, przebiegły drań. Ten człowiek to wąż.

– Gorzej – jęknął Anderson. – To Gilbourne zabił Robertsa.

# Rozdział 14

**D**eszcz przeszedł w ulewę, bębnił w dach, jakby z nieba ciskano tysiącami kostek do gry. Ludzie z celi wbiegli do środka, szukając schronienia, ale zaraz kazano im znów wyjść na ulewę.

– Prywatne spotkanie – warknął Anderson i wszyscy uciekli przed jego złym humorem. – A gdzie do diabła jest Mitchell?

– W drodze. Pracuje... po drugiej stronie – wychrypiał jeden z mężczyzn, a potem zgiął się w pół w napadzie kaszlu; w płucach grzechotała mu choroba.

Oczywiście zadawałem Andersonowi pytania. Skąd pan wie, że Gilbourne zabił Roberta? Dlaczego to zrobił? Jak to zrobił? Dlaczego nic pan o tym nie mówił? Ignorował mnie. Jakes wyglądał na wściekłego. Widziałem, jak zastanawia się nad swoimi szansami, gdyby doszło do wyciągania biciem informacji ze starego żołnierza. Ja zaś myślałem o tym, czy uda mi się zachować godność, gdybym schował się pod łóżkiem.

Po długim, pełnym napięcia oczekiwaniu pojawił się Harry Mitchell. Wyżymał deszczówkę z obszarpanego ubrania. Był zwalistym mężczyzną około czterdziestki, miał ciemną cerę – Kornwalijszyk, pomyślałem, albo Walijszyk. Dobrze wyglądał jak na oddział dla pospólstwa, ale był wyraźnie przepracowany. Wydało mi się, że wygląda znajomo i nagle uświadomiłem sobie, że jest posługaczem po stronie dla dżentelmenów. W mój pierwszy wieczór przyniósł Trimowi kolację.

– Chciał mnie pan widzieć, sir? – Kornwalijszyk. Stanął na baczność, jakby Anderson naprawdę był jego dowódcą.

Anderson popatrzył na niego spokojnie i wypowiedział jedno słowo:

– Gilbourne.

Mitchell drgnął. Zerknął na Jakesa, potem na mnie.

– Można im zaufać?

Jakes przyłożył szeroką, pokrytą szramami rękę do piersi.

– Na mą duszę.

– I na moją – dodałem pospiesznie, dotykając krzyżyka matki.

Mitchell oddychał ciężko przez nos, ale nic nie mówił.

– Na litość boską – mruknął Jakes i rzucił mu dwupensówkę.

Mitchell złapał ją w locie i uśmiechnął się do mnie, nagle przekonany. Cud. Usiadł na łóżku najbliższym ognia, oparł dłonie na kolanach.

– No cóż... Edward Gilbourne. – Pan Mitchell miał niespodziewany dar dramatyzowania. – Zabił kapitana, prawda?

– Harry był służącym Roberta – wyjaśnił Anderson.

– Gotowanie jedzenia – skinął głową Mitchell. – Czyszczenie ubrań i prześcieradeł. Posyłki, paczki. Cztery pensy tygodniowo. Pierwszy tydzień, on przeprasza. Mówi, nie stać go. Ja mu na to: „Nie martw się kapitanie, wiem, żeś pan dżentelmen i honor znasz, zapłacisz, jak będziesz miał. A może trochę rosołu z baraniny?” Jak tylko skończył aż do dna miski, ja mu mówię: „Przy okazji, kapitanie. Zapomniałem powiedzieć, naszczałem do tego. I odtąd tak będzie robił każdy służący, którego będziesz pan miał fantazję zatrudnić z oddziału dla pospólstwa. Chyba, że przypadkiem masz pan tę czteropensówkę”. Nie pogniewał się, niech spoczywa w pokoju. I potem nigdy mnie nie nabierał. To był łobuz, ale...

– Harry... – przynaglił go zirytowany Anderson. – Gilbourne...?

– Na tydzień przed tym, jak go zamordowali – mówił niczym nie speszony Mitchell – kapitan łapie mnie i mówi: „Harry, jest sprawa do ciebie. Za parę dni wychodzę z Marshalsea. Musisz sobie znaleźć nową pracę”. Ja się tylko roześmiałem... zawsze opowiadał bzdury.

Jakes zachichotał cicho.

– Prawda. John pół życia spędził na marzeniach, jak zrobić pieniądze. Nic z tego nie wychodziło.

– Tak właśnie pomyślałem, panie Jakes – zawołał Mitchell z łóżka. – Ot, jeszcze jedna historyjka kapitana. Ale on mówi: „Czekaj tylko, Harry. Mam coś na Gilbourne’a, co go wykończy. Wycisnę z niego ostatnią półpensówkę”. – Mitchell chwycił się za skraj poszarzałej, poplamionej koszuli i mocno ją skrzył.

– Szantaż – mruknął Jakes. Nie wyglądał na zdziwionego zachowaniem starego przyjaciela.

Grzmot przetoczył się po niebie.

– Co zrobił Gilbourne? – zapytałem Mitchella.

– Kapitan powiedział, że lepiej, żebym nie wiedział. Ale mówił, że to parszywa sprawa. Wystarczy, żeby zniszczyć mu opinię – przerwał. – Nie powiecie... nie powiecie nikomu, że wam o tym mówiłem? – zapytał zaniepokojony. – Nie śmiałem mówić aż do tej chwili. Nie chcę, żeby mi poderznęli gardło...

– Kto miałby ci poderznąć gardło? – zmarszczyłem brwi.

Mitchell popatrzył na mnie.

– Gilbourne, oczywiście.

Roześmiałem się z niedowierzaniem. Myśl o Edwardzie Gilbournie podcinającym komuś gardło... to było śmieszne.

Anderson spojrzał na mnie ostro.

– Nie wierzysz nam?

– Hm... słuchajcie. – Zawahałem się; myślałem, jak odpowiedzieć, żeby nie obrazić Andersona albo zasugerować, że Mitchell nie jest całkiem szczery. – Nie znałem Robertsa, ale według wszystkich informacji, był kłamcą i oszustem. Przyznaje

to nawet jego najbliższy przyjaciel – dodałem, wskazując ramieniem Jakesa. – Ale spotkałem się z Edwardem Gilbourne’em. Nie wygląda na zabójcę.

– Cholera z tobą, a niby dlaczego nie wygląda? – krzyknął Anderson, nagle rozwścieczony. – Bo jeździ na pięknym koniu? Bo spodobał ci się sposób, w jaki zawiązuje krawat? – Zeskoczył z krzesła i cisnął nim mocno o ścianę. Żeby nie rzucił nim we mnie, pomyślałem i cofnąłem się. Krzesło rozleciało się na kawałki, które spadły ze stukotem na podłogę.

– Ralph – powiedział spokojnie Jakes, ale wszyscy usłyszeliśmy w jego głosie ostrzeżenie.

Mężczyźni patrzyli na siebie przez pokój. Przetoczył się kolejny grzmot. Błysnęło. Przyglądałem się im obu, zaniepokojony. W uczciwej walce Jakes pobiłby starszego mężczyznę. Ale po tej stronie muru zamkniętych było z nami trzystu więźniów – wystarczyłoby ich, żeby rozerwać nas na sztuki, gdyby Anderson im kazał.

– Kapitanie Anderson – powiedziałem, podnosząc ręce. – Proszę mi wybaczyć, nie chciałem nikogo obrazić. Widzę, że z pana człowiek honoru. Skoro mi pan mówi, że Gilbourne’owi nie można ufać, muszę panu wierzyć.

Anderson przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, wreszcie westchnął. Znalazł sobie inne krzesło.

– Harry, nalej wszystkim coś do picia.

Mitchell przyniósł tanie piwo. Jakes, po drugiej stronie pokoju, odprężył się, pochylił ramiona i rozwarł pięści. Zobaczył, że na niego patrzę i mrugnął z aprobatą.

– Za Edwarda Gilbourne’a... – powiedział Anderson wznosząc swój kubek.

– ...Niech zgnije w piekle – radośnie dokończył Mitchell. – Powinniśmy mu powiedzieć o pieniądzach z dobroczynności – dodał, wskazując miejsce na ścianie, blisko tego, w które Anderson rzucił krzesłem. – Wtedy nam uwierzy. – Rozpoznałem coś, co wyglądało na pozostałości po starej półce, z żelaznymi wspornikami przykręconymi do drewna. Ktoś je wygiął, używając siły.

Kapitan Anderson przesunął się ponuro na krześle.

– Jakes, ty mu powiedz. Ja nie mogę dać sobie z tym rady.

Jakes nalał sobie jeszcze piwa i podszedł do złamanej półki. Dotknął wspornika, roztarł w palcach ciemnopomarańczowy ślad rdzy.

– Po stronie dla pospólstwa jest sześć oddziałów. Każdy oddział ma konstabla, szefa. – Pokazał Andersona. – Potem idzie rządca. Więźniowie wybierają go, żeby reprezentował ich interesy i rozdelał dary. Jedzenie, pieniądze, ubrania, lekarstwa. Ostatnim rządcą był niejaki Matthew Pugh. Sam nie był więźniem, ale był po ich stronie. Chyba miał krewnego, który tutaj umarł, albo przyjaciela. – Jakes machnął ręką. – Cóż, wszystko jedno. Obiecał więźniom, że będzie składał petycje do gubernatora i sir Philipa, żeby poprawiono im warunki.

– Dobry człowiek – oświadczył Anderson, zapalając fajkę. – W tym śmierdzącym

miejscu pracują tylko dobrzy ludzie.

– To wszystko zaczęło się, kiedy... pięć lat temu? – zapytał Jakes.

– Tak. – Anderson nachmurzył się. – Acton był wtedy głównym strażnikiem. Tym, czym Cross jest dzisiaj, ale gorszym, jeśli możecie to sobie wyobrazić. Nawet wtedy kroczył dumnie, jakby był lordem na włościach. „Chłopaki, najlepsze kawałki trzymajcie po stronie dla dżentelmenów, a gówno rzucajcie za mur”.

Jakes nachmurzył się.

– Pugh zaczął podejrzewać, że coś jest nie tak z darami z dobroczynności.

Nachyliłem się.

– Jak to?

– W ogóle ich nie było – odpowiedzieli Mitchell i Anderson jednym głosem.

– Ukradli? – zgadywałem.

Jakes pokiwał głową.

– Rządca powinien mieć własną, specjalną pieczęć, by udowadniała dobroczyńcom, że pieniądze docierają do więźniów, a nie wypychają kieszeni gubernatora. Ale Acton i Darby, poprzedni gubernator, ukradli ją. Brali pieniądze i rozdzielali je między siebie. – Wytrzymałem moje spojrzenie. – Sto pięćdziesiąt funtów rocznie.

Szczęka mi opadła.

– Więcej! – krzyknął Anderson, ciskając fajkę na podłogę. Odbiła się, uderzyła w piec i rozpadła na dwoje. – Dwa razy tyle, jak pragnę żyć! Te dranie kradły pieniądze, panie Hawkins, i pozwalali, żeby więźniowie umierali z głodu. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Setki!

– Dziwne, co? – Jakes roześmiał się gorzko. – Zabijesz człowieka na ulicy, to powiesz cię w Tyburn. Zabijesz setki dłużników w więzieniu i uczynią cię nadzorcą. Pugh przez trzy lata walczył o sprawiedliwość. Najpierw spróbował poprosić Gilbourne’a...

Mitchell stanął na palcach, udając, że poprawia sobie brudne mankiety koszuli.

– „Och, panie Pugh, gdybym tylko mógł pomóc!” – westchnął; nawet przypominałby Gilbourne’a, gdyby urzędnicy z pałacu byli piętnaście lat starsi i o stopę niżsi. – „Niestety, mam związane ręce! Ach, sir, gnębi mnie, że tak mało mogę dla pana zrobić”.

– Próbował i u sir Philipa – powiedział Anderson, machając na Mitchella, żeby przestał. – Przez trzy lata dopraszał się audiencji i za każdym razem mu odmawiano. – Potem pan Buckley dołączył do domowników.

Charles. Zaniepokojony podniosłem wzrok. Och nie, Boże, proszę – jeśli mi powiedzą, że Charles był zamieszany w ten spisek, nie zniosę tego. Zwróciłem się do Jakesa.

– On o tym wie?

Jakes upił łyk piwa.

– Pugh napisał do niego z prośbą o pomoc. A on namówił sir Philipa, żeby zamówił nową pieczęć dla dobroczynności. – Spojrzał na Andersona, unosząc brew. – Pugh nie był jedynym dobrym człowiekiem w tym wszystkim.

– Buckley chyba nie jest taki zły – zgodził się Anderson. – To jedyny powód, że z tobą rozmawiam – dodał, patrząc na mnie spode łba. – Ale jaka to różnica, co?

W pokoju zapadła cisza, deszcz cicho bębnił o dach. Gulasz gadał do siebie w garnku. Burza zagłuszyła wszelkie dźwięki, nie licząc naszych głosów, ale teraz, kiedy przechodziła, usłyszałem więźniów, jak nawołują się na dziedzińcu. Poczulem nagłą chęć, żeby szybko wstać i wyjść – pobiec do muru i walić w drzwi, póki nie wpuszczą mnie na stronę dla dżentelmenów. Ta opowieść nie miała się dobrze skończyć.

– Co się stało?

Anderson poruszył się, jakby obudzony z drzemki.

– Kiedy już mieliśmy nową pieczęć, Pugh zaczął osobiście zbierać pieniądze od dobroczyńców. Postanowiliśmy trzymać je tutaj, po stronie dla pospólstwa, gdzie moglibyśmy ich bronić. Pugh kazał skonstruować skrzynię z siedmioma zamkami. Po jednym kluczu dla każdego konstabla. Siódmy był dla rządcy. Skrzynię umocowaliśmy na ścianie, o tam – przeniósł wzrok na wyłamane zawiasy – i zaprzysięgliśmy, że pieniądze będziemy wydawać uczciwie, dla dobra całego więzienia. Tak było przez kilka tygodni. Nikt nie głodował. Acton był wściekły. Pamiętasz, Mitchell? Szalał po całym więzieniu. Przeklinał nas, że ukradliśmy jego pieniądze. Jego pieniądze!

– A potem?

– A potem? – Anderson prychnął. – Pożalił się sądowi. I co pan myśli, panie Hawkins? Tym razem zastępca protonotariusza stwierdził, że nie ma związanych rąk. Ani trochę.

Mitchell mruknął coś po kornwalijsku. Nie zabrzmiało to przyjaźnie.

Anderson wstał i wyciągnął poobijane, zardzewiałe stare pudło spod łóżka. Wieko zaskrzypiało, kiedy je podniósł. Wyjął list i podał mi go. List pochodził z urzędu protonotariusza, datowany na lipiec 1725 roku i opieczętowany pieczęcią sądu.

*Na mocy informacji przekazanej niniejszemu Sądowi przez Nadzorcę, że niejaki Matthew Pugh często zachowywał się w więzieniu niesfornie, wywołując zamieszanie pomiędzy Więźniami i ze względu na jego beczelne Zachowanie, zarówno wobec niniejszego Sądu, jak wobec Urzędu Protonotariusza, dzisiejszego Dnia zarządza się, że rzeczony Matthew Pugh nie będzie miał więcej Wstępu do Więzienia niniejszego Sądu i że więźniowie mają Prawo wyznaczyć inną Osobę, aby przyjmowała Dary i Legacje im przynależne.*

*Za Sąd*

*Edward Gilbourne*

*Zastępca protonotariusza*

Pokręciłem głową.

– Ale dlaczego Gilbourne miałby pomagać Actonowi? Nie znosi go. – I wtedy przypomniałem sobie prawo Fleeta. – Pieniądze.

– Kiedy Pugh następnym razem przyszedł do więzienia, napadło na niego pięciu ludzi Actona. Wyrwali mu pieczęć dla dobroczynności i wyrzucili na ulicę. – Anderson zgarbił się na krześle. – Ten nieszczęsny sukinsyn spędził trzy lata, walcząc w naszej sprawie, a oni wykopali go za bramę jak psa. Przez tydzień kaszlał krwią.

Jeszcze raz przeczytałem list Gilbourne'a.

– Tu jest napisane, że więźniowie mają prawo mianować nowego rządcę.

Anderson sucho się roześmiał.

– O, tak, Acton dał nam prawo, żebyśmy zagłosowali na pana Grace'a. Spotkałeś go?

Przypomniałem sobie, jak urzędnik Actona podczas kolacji przekreślał nazwiska. Wtedy wydawało mi się to okrutne, ale teraz sam zobaczyłem, dokąd ich wysyłał. Ciarki mnie przebiegły.

– Spotkałem.

– Odmówiliśmy wydania mu kluczy do skrzyni na dary. Acton wpadł z dwudziestoma ludźmi, wyrwał skrzynię ze ściany i wyniósł ją. Śmiał się.

– Polecenie pana Gilbourne'a – powiedział. Rok później zaoszczędził dość pieniędzy, żeby kupić od pana Derby'ego stanowisko nadzorcy. A Gilbourne ma pięknego konia, na którym przyjeżdża do sądu.

Patrzyłem na list z sądu, który trzymałem w rękach, na wielki, zamaszysty podpis u dołu. Podpis z zawijasem – żadnych wątpliwości, żadnego wahania, chociaż Gilbourne musiał wiedzieć, że podpisuje wyrok śmierci na setki głodujących mężczyzn i kobiet. Zrobiło mi się niedobrze. Jak łatwo mnie oszukał pochlebstwami i uprzejmością! Wszystkie te puste, chytne, bezwartościowe słowa. Oczywiście maczał w tym ręce: czy to takie dziwne? Podziwiałem jego konia i piękne ubranie. Widziałem, jak adwokaci mu nadskakiwali. Zawsze szczyliłem się, że wyczytam kłamstwo z twarzy, a on wykiwał mnie jak wieśniaka.

– Niech go cholera. Powinienem to zauważyć.

Mitchell poklepał mnie po ramieniu.

– Nie ciebie pierwszego nabrał – powiedział łagodnie. – Po stronie dla dżentelmenów udaje dżentelmena, rozumiesz? Widziałem go. Będzie tym, kim chcesz, żeby był. Ale to wszystko kłamstwa. Maską, za którą się kryje. Zgwałciłby własną babcię, gdyby musiał – oświadczył tonem autorytetu.

Złożyłem nakaz sądu.

– Może właśnie to miał na niego Roberts.

Mitchell zarechotał.

– Ha! Może! Cóż, jedno wiem na pewno, sir. Cokolwiek zrobił Gilbourne, nie

miało to nic wspólnego z oddziałem dla pospólstwa. Nikogo nie obchodzi, co tutaj się dzieje. Możemy wszyscy umrzeć dziś wieczór – wszyscy naraz i każdy z osobna – a oni tylko wzruszą ramionami i znajdą kolejnych trzystu nieszczęśników na nasze miejsce.

Prawda. Zastanawiałem się, co odkrył Roberts. Pewnie jakiś romans. Czy wystarczająco skandaliczny? Przypomniałem sobie, jak pierwszy raz zobaczyłem Gilbourne'a rozmawiającego na dziedzińcu z Catherine Roberts. Zastanawiałem się wtedy, czy są kochankami. Czy to o to szło? Czy Roberts gotów był zniszczyć opinię własnej żonie, żeby wyjść z więzienia? Catherine powiedziała, że mi, że nigdy jej nie wybaczył, że przekonała go do oddania syna. Może były inne sprawy, których nie mógł wybaczyć. Może postanowił zemścić się jednocześnie i na Gilbournie, i na Catherine...

– Powiedziałem kapitanowi, żeby był ostrożny – westchnął Mitchell. – Mówiłem mu, że Gilbourne jest niebezpieczny. Nie chciał słuchać. „Nic mnie to nie obchodzi, Harry, podejmę ryzyko, jeśli to wydobędzie mnie z tej nędznej nory. Ostatnia hazardowa rozgrywka”. – Mitchell zamilkł. – Parę dni później znaleźli go powieszonoego w karczerze. Biedny głupiec.

– Może miał szczęście – wyszeptał Anderson. – Szybka śmierć.

Jakes zmarszczył brwi i wyjrzał przez okno.

– Deszcz przestał padać. Lepiej wracajmy, zanim pan Woodburn zacznie się niepokoić.

– Och! – krzyknąłem, przypominając sobie słowa Woodburna. Powiedziałem Andersonowi, że tego wieczoru żywność będzie dostarczona pod kratę prozalną.

Anderson westchnął z ulgą.

– Dzięki Bogu.

– Słyszałem plotki na ten temat – powiedział Jakes. – Woodburn twierdzi, że dostawał pieniądze w tajemnicy. Od przyjaciela więźniów – tyle mi powiedział. Myślałem, że to mógł być Matthew Pugh.

Anderson pokręcił głową.

– Pugh nie jest dość bogaty, żeby tyle zaoszczędzić.

– Ile tego było? – zapytałem.

– Pięć funtów – odparł Anderson. – Ale nie śmieliśmy trzymać tego tutaj. Acton wywęszyłby to w mgnieniu oka. Pan Woodburn kupuje żywność i lekarstwa i podaje to przez żebraczą kratę raz w tygodniu. Powinno nam wystarczyć do końca roku, jeśli będziemy ostrożni. Uratuje przynajmniej kilka osób od śmierci głodowej. – Schwycił mnie za ramię i przyciągnął do siebie. – Przysięgnij, że nie piśniesz ani słowa.

– Przysięgam! – powiedziałem, krzywiąc się. Anderson był silniejszy niż na to wyglądał. Zadowolony puścił mnie. – Czy Acton naprawdę kradłby żywność pospólstwa? – zapytałem, pocierając ramię. – Przecież z tego nie ma zysku.

Anderson zanurzył palec w gulaszu, żeby spróbować. Zrobił minę.



– Chce, żebyśmy byli głodni, panie Hawkins. Łatwiej nas w ten sposób kontrolować. A im tutaj jest gorzej, tym więcej może żądać tam, po pańskiej stronie muru. Jak pan myśli, dlaczego pub wychodzi na stronę dla pospólstwa? Chce, żebyście wy wszyscy, dżentelmeni i damy, nas widzieli, prawda? Życie w brudzie. Choroba i głód. Wystarczy na nas popatrzeć i płaci się Actonowi tyle, ile chce, żeby tylko uniknąć tego samego losu. Wiedział pan, że pięć domów tutaj stoi pustych? Nie ma powodu, żeby ściskać nas jak zwierzęta, ale im więcej z nas umrze, tym większy czynsz będą płacili ludzie tacy jak ty. Sprytnie, co?

To była prawda. A najbardziej przerażające, że to działało. Dałbym chyba wszystko, zrobiłbym wszystko, żeby uniknąć zamknięcia tutaj. Nadal czułem smak wymiotów w głębi gardła.

– Może to się zmieni. Gdybym porozmawiał z sir Philipem... Gdybym mógł udowodnić, że Acton i Gilbourne zabili kapitana Robertsa...

– Do diabła! – zaklął Anderson. – Jakes, nie pozwolisz mu chyba mówić o tym po stronie dla dżentelmenów, co? Gdyby usłyszał go gubernator... – przerwał, spojrzał mi prosto w oczy. – Ostatniego lata na trzy dni przykuli człowieka łańcuchem do trupa w karczerze, bo ośmielił się przeciwstawić Actonowi. Widziałem go, kiedy go wyciągnęli. Zdjęli mu łańcuchy, ale to niczego nie zmieniło. Nadal czuł trupa na swojej skórze. Wydrapał w ramieniu dziurę wielkości kurzego jaja. Powiedział, że próbuje wydłubać dotknięcie trupa.

Jakes chrząknął.

– Nie trzeba go straszyć.

Anderson popatrzył na niego.

– Nie trzeba?

Jakes zmarszczył brwi i poszedł do drzwi; rozglądał się po dziedzińcu z dłonią na szpadzie. Anderson pociągnął mnie do tyłu.

– Hawkins – wysyczał mi do ucha. – Przyjmij moją radę, znajdź inny sposób, żeby się stąd wydostać. Chłopcze, zamordują cię. – Puścił mnie i po przyjacielsku wypchnął na dziedziniec. Ociężale wrócił do swojej celi.

Razem z Jakesem przeciskaliśmy się przez tłum chorych, apatycznych więźniów. Wróciliśmy pod mur. W środku byliśmy pod ochroną Andersona, ale teraz czyhało na nas niebezpieczeństwo – dwóch mężczyzn przeciwko trzystu desperatom. Chwyтали nas za ubrania, kiedy przechodziliśmy, chude palce grzebały w kieszeniach, pod koszulami, wciskały się, chwytały, szarpały. Przycisnąłem krzyżyk matki do piersi, bałem się, że zerwą mi go z szyi.

Kiedy dotarliśmy do drzwi, po drugiej stronie muru nie było nikogo, kto mógłby nas wpuścić. Minęło kilka nerwowych minut, pukaliśmy i krzyczeliśmy, żeby nas wpuścili. Joseph Cross mścił się na nas obu. Jakes walił w drzwi pałką, a ja odtrąciłem kolejną dłoń, chwytającą mnie za ramię, ale okazało się, że to Harry Mitchell. Pochylił się do

mnie, dysząc mi w twarz stęchłym piwem.

– Znam tajemnicę Gilbourne’a – powiedział. – To szantaż. Powiem ci, jak mi coś dasz.

Gdybym mógł, złapałbym go za gardło, żeby wydusić z niego prawdę, ale wokół nas przepychało się i potraçało zbyt wielu ludzi. Nie chciałem, żeby rozerwano mnie na sztuki za to, że duszę Harry’ego Mitchella.

– Ile? – szepnąłem niechętnie.

– Wolność. To samo, co ty.

Drzwi otworzyły się i Cross wystawił głowę.

– No chodźcie, chodźcie!

Mitchell przywarł do mnie, nagle ogarnęła go rozpacz.

– Gilbourne zabije mnie, jak się dowie, że ci powiedziałem. Wyciągnij mnie stąd, panie Hawkins. Załatw to z sir Philipem. Przysięgam, że powiem ci wszystko.

Odepchnąłem go.

– Zobaczę.

Zniknął w tłumie. Jakes pchnął mnie przez drzwi, a Cross zamknął je i zarygłował tak szybko, jakby zamykał bramy piekieł. Chyba tak było. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy, robiąc trzy kolejne kroki. Znów po stronie dla dżentelmenów. Żywy! Z radości omal nie ucałowałem bruku.

# Rozdział 15

**B**urza przeszła równie szybko jak przyszła, niebo było jasne i błękitne, jakby deszcz wymył je do czysta. Kamienie dziedzińca były śliskie, a całe więzienie pachniało mchem i wilgocią, ale w powietrzu panowała świeżość, wschodni wiatr zabrał ze sobą smród strony dla pospólstwa. Po raz pierwszy od dawna żałowałem, że nie zostałem na wsi, w bezpiecznym miejscu, gdzie przeskakując nad srebrnymi kałużami, z pończochami ochlapanymi błotem szedłbym do swojej plebanii. Bezpieczny, spokojny, cichy świątek. Świątek mojego ojca. A potem niespodziewana, zdradziecka myśl – może miał rację, może nie powinienem był wyjeżdżać...

– No, to wracam w poniedziałek – powtórzył Jakes, machając dłonią przed moją twarzą. Następnego dnia była niedziela. – Jak sądzisz, dożyjesz do poniedziałku?

Pokiwałem w roztargnieniu głową; odszedł nieprzekonany. Utrata Jakesa była jak utrata sztyletu albo pełnej sakiewki. Będzie mi brakowało jego ochrony. Ale nie mogłem się spodziewać, że zostanie ze mną zamknięty w więzieniu. Miał własne życie w Borough – żonę i dwie córki. Za nic w świecie nie sprowadziłyby ich do Marshalsea. Przez chwilę zastanawiałem się, jak wyglądają jego dziewczęta i przyszedł mi do głowy obraz dwóch miniatur Jakesa w spódnicach. Miały rozbite nosy, pocięte bliznami czoło i mięsiste ramiona.

Z ukrytej kieszonki wyjąłem zegarek od Fleeta; dziwiłem się, że mi go nie ukradli w tłoku pod murem. Druga. Nic dziwnego, że w brzuchu mi burczało – nie jadłem przez cały dzień. Po odejściu Jakesa postanowiłem znaleźć Fleeta i wszystko mu opowiedzieć. Może uda mu się ułożyć tę łamigłówkę. Najlepiej przy obiedzie. Była to niebezpieczna strategia, powierzyć mu prawdę. Powierzyć mu cokolwiek. Ale potrzebowałem jego pomocy. Zdałem sobie sprawę, że Fleet przez cały czas podejrzewał Gilbournę'a. Wiedział, że Gilbournę będzie jadł kolację u Actona, kiedy dawał mi ubranie Roberta. Przypomniałem sobie, że szczególnie zainteresowała go reakcja Gilbournę.

Co jeszcze przede mną ukrywał?

Już miałem zacząć go szukać, kiedy usłyszałem jakieś zamieszanie w wartowni. „Odejdź, Tom. To nie twoja sprawa”.

Głos wielebnego Andrew Woodburna – ostry i piskliwy z wściekłości.

– Nędzny, zły chłopcze! Jak mogłeś? Jak mogłeś?

No, dobrze, może tylko szybki rzut oka, zanim zrobię kolejny krok do parku: z wartowni wypadł Benjamin Carter; tak szybko uciekał, że potknął się i upadł na kolana. Padając, upuścił dwa drewniane pudełka, które niósł pod pachą. Ze stukotem upadły na bruk pod moje nogi. Zaciekawiony podniosłem jedno z nich i potrząsałem. Kilku

dłużników stojących nieopodal odwróciło się w moją stronę, zwabionych tą muzyką.

Ben natychmiast wstał.

– Oddaj – warknął, wyrwał mi pudełko z ręki i przycisnął do piersi. Kiedy odwrócił się, żeby podnieść drugie, na dziedziniec, dysząc z wysiłku, wypadł pan Woodburn. Gilbert Hand szedł za nim z rękami w kieszeniach.

– Woodburn, zostawże chłopaka w spokoju – powiedział łagodnie.

Kapelan, ku memu zaskoczeniu, uniósł laskę z kości słoniowej. Pomyślałem, że rozwali Handowi czaszkę. Ale wtedy Woodburn zobaczył, że mu się przyglądam i wziął się w karby.

– Cóż, panie Hawkins – powiedział, kuśtykając w moją stronę. – Oto diabelski interes.

– Ale interes – podkreślił Hand. – Nie może mieć pan za złe Benjaminowi, że próbował uczciwie zarobić parę pensów.

– Uczciwie? – Woodburn tak mocno wybałuszył oczy, aż myślałem, że wyskoczą mu z głowy i potoczą się po bruku. – Kraść z puszek z ofiarami to uczciwie?

– No, cóż. – Hand zakołysał się na obcasach. – Kraść to mocne słowo. Co pan na to, panie Hawkins? Ten oto młody pan Carter – ścisnął chude ramię chłopca – zapłacił gubernatorowi szylinga za prawo zbierania datków w Borough. I za tę zaszczytną pracę pozwolono mu zatrzymać jedną dziesiątą tego, co ublicha. Czy pożalowałbyś mu pan tego?

Woodburn ze złością zastukał laską.

– A reszta, panie Hand? Co się dzieje z resztą, pytam uniżenie?

Hand zrobił minę niewiniątka.

– Ależ idzie na stronę dla pospółstwa.

– Nic takiego się nie dzieje! – krzyknął oburzony Woodburn. – Trafia prosto do sakiewki Actona. I do pańskiej też, panie Hand – dodał, dźgając palcem w stronę kieszeni kamizelki strażnika. – Wiem wszystko o umowie, którą pan z nim zawarł.

– To bezpodstawne oskarżenie – zauważył Hand. – Potwarcze, rzekłbym. Ciekawe, co na to powie pan Acton?

Woodburn schwycił Benjaminą za ramię i odciągnął go od Handa, jakby odciągał go od skraju przepaści. Nachylił się, żeby spojrzeć chłopcu prosto w oczy.

– Dałem ci tego szylinga na Jacka. Żeby wydano jego ciało. Benjaminie... on nadal leży w karczerze z wszystkimi tymi... – przerwał, pokręcił głową, bo nie był w stanie wydusić z siebie słów. – Nadal tam leży przez ciebie.

Cień winy przemknął przez twarz Benjaminą, ale trwało to tylko chwilę.

– Jack nie żyje – powiedział ponurym, bezbarwnym głosem. – Ja żyję. Muszę się o siebie zatroszczyć.

– O, Benjaminie – westchnął Woodburn. – Bóg się o ciebie zatroszczy, jeśli Mu zaufasz.

Ben nachmurzył się.

– Nie zatroszczył się o Jacka, prawda? O moją matkę też się nie zatroszczył. Nie chcę skończyć jak oni. – Wyrwał się z uścisku kapelana i pobiegł z powrotem do wartowni.

Woodburn patrzył za nim, potem odwrócił się i otarł łzy z oczu.

– Sir, zrobiłeś, co mogłeś – powiedziałem, a Hand uśmiechnął się do mnie ironicznie.

Woodburn westchnął i odszedł bez słowa ciężkim krokiem, z opuszczoną głową. Wyglądał fatalnie, jakby jego własny dom zawalił mu się na głowę.

– Ojej, ojej, biedny Woodburn – powiedział Hand, uśmiechając się szeroko. – Ciągłe wciska swoją wiarę nie tym ludziom, co trzeba. – Popatrzył na mnie chytrze i poszedł na górę, do pubu. Przy kontuarze stała Mary z Mackiem i paroma innymi wielbicielami. Śpiewy i śmiechy rozbrzmiewały głośno, jak zawsze, salka szybowiała w pijanej bańce. Tu nie wolno było wątpić, smuć się czy żałować; dopiero później, kiedy bańka pękała, zostawała brudna rzeczywistość: mężczyźni płakali nad ostatnim kuflem, zastanawiając się, jak to się stało, że znowu wydali pieniądze dla nadzorca i jego żony. Uśmiechnąłem się do Mary, popatrzyła na mnie wściekle i szepnęła coś Mackowi do ucha. Zsunął się z krzesła i węzykiem poszedł do drzwi.

– Problemy, Hawkins – szepnęła, przechodząc obok. – Przepraszam.

Serce we mnie zamarło. Czy w tym przeklętym miejscu nie będę miał pięciu minut spokoju? Jak, do diabła, udało mi się obrazić Mary? Tańczyłem z nią przecież. Przynajmniej nie nastąpiłem jej na stopę jak Mack.

Zajął mi chwilę, zanim znalazłem Fleeta – nie siedział na swoim miejscu pod oknem, ale rozmawiał z jakimś kompanem w ciemnym kącie. Fleet był normalnie ubrany, wreszcie wyglądał jak należy. Między nim a tamtym drugim leżał jego otwarty dziennik; byli zatopieni w rozmowie tak głęboko, że Fleet dostrzegł mnie dopiero, kiedy byłem parę stóp od niego. Z trzaskiem zamknął dziennik i oczami dał znak swojemu towarzyszowi.

– Hawkins – powiedział. Jego wzrok przeniósł się ze mnie na nieznanego, ale nie przedstawił nas, a tamten nie odwrócił się, żeby pokazać twarz.

– Fleet, muszę z tobą porozmawiać. Mam informacje.

Fleet rozparł się na krześle i uśmiechnął się do mnie.

– Oczywiście, że masz informacje. Ty zawsze masz informacje. Zaiste magnes na informacje z ciebie. Jadłeś już obiad? Pozwól, że dokończę sprawę z panem... Smithem i dołączę do ciebie u pani Bradshaw.

– Przez pana zakazano mi wstępu do lokalu pani Bradshaw. Przez pana nienawidzi się mnie tutaj powszechnie. Pani Bradshaw, pani Roberts, pani Acton... nawet Kitty Sparks odwróciła się ode mnie.

– Cztery królowe! – zawołał Fleet. – A to ci rozdanie. Ale nie mogę poszczycić się

nimi wszystkimi. – Schylił głowę. – Czy to możliwe, że sam rozłościłeś Kitty?

– Będę na ciebie czekał w Belle Isle. To bardzo pilna sprawa, panie Fleet.

Fleet kiwnął głową i lekkim machnięciem ręki oddalił mnie. Zgrzytnąłem zębami i odwróciłem się, żeby odejść. Kiedy odszedłem kilka kroków, usłyszałem, jak kompan Fleeta szepce opryskliwym tonem:

– Ten chłopak to problemy, Sam.

– Wiem – odparł Fleet. Wyglądało na to, że jest zadowolony.

Wśród więźniów na dziedzińcu czuło się ulgę; ludzie stali, śmiali się, gawędzili. Przypominało mi to atmosferę w koledżu po egzaminach albo przed kościołem mojego ojca, po jednym z jego bardziej gromkich kazań; coś jakby lekkomyślna radość, że się przetrwało. Na razie. Nie można było powiedzieć tego samego o mężczyznach i kobietach, stojących w kolejce na schodach prowadzących do sądu. Większość wzrok miała utkwiony w ziemi, zatopiona w melancholijnych rozmyślaniach. Mężowie i żony obejmowali się mocno, wlekli się razem, kiedy kolejka przesuwała się w górę schodów. Jakiś mężczyzna wyjął monety i przeliczał je bez końca, jakby miał nadzieję, że rozmnożą mu się w dłoni.

– Tygodniowy czynsz – powiedział jakiś głos za moimi plecami.

Odwróciłem się i wykonałem krótki ukłon.

– Pani Roberts.

Podniosła welon.

– John i ja razem stawaliśmy w tej kolejce – powiedziała cicho, patrząc na powolny marsz dłużników idących z trudem w stronę sądu. – Tak mocno ścisnął mnie za rękę. Baliśmy się zawsze, nawet kiedy mieliśmy pieniądze... pan Grace to demon w wynajdywaniu nowych opłat, nowych długów, jeśli zażyczy sobie tego pan Acton. Tutaj jest tyle strachu, że czasem myślę, czy nie wsiąknął w ściany. – Położyła dłoń w rękawiczce na moim ramieniu. – Jestem panu winna przeprosiny. Pan Fleet powiedział mi, że to był jego pomysł, ubrać pana w rzeczy Johna. Powiedział też... – przygryzła wargę – ...że zna pan prawdę o duchu. – Zakryła twarz dłońmi. – Co pan musi o mnie myśleć?

– Czy moja opinia ma dla pani znaczenie, madame?

Opuściła dłonie.

– Bardzo duże – wyszeptała. – Przejdzie się pan ze mną, sir?

– Jeśli pani sobie życzy.

Wsunęła mi dłoń pod ramię i poprowadziła przez dziedziniec.

– Jest pan na mnie zły.

– Wykorzystała mnie pani. Gdyby traktowała mnie pani uczciwie, z chęcią bym pani pomógł.

Przeszliśmy obok Gilberta Handa, który palił fajkę przy słupie latarni. Uśmiechnął się na nasz widok i ukłonił się.

– Ma pan rację – westchnęła, kiedy nie mógł nas już usłyszeć. – Ale byłam zrozpaczona i... i straciłam zdolność do ufania ludziom. Łatwo jest machnąć ręką na pana Jeningsa i pana Careya. Oni widzieli ducha tylko krótko – obaj za dobrze znali Johna, żeby dać się oszukać... Ale gdyby pan go zobaczył... Gdyby pan zobaczył jego twarz i przysiągł, że wyglądał tak, jak na portrecie... Ludzie chyba by tego wysłuchali.

– A Ben Carter? Nastraszyła pani chłopca, że mało nie zemdlał.

Zaczerwieniła się.

– Wiem, źle postąpiłam, ale to inteligentny, mądry chłopak; wiedziałam, że dojdzie do siebie. Och! – krzyknęła, mocno ściskając mnie za ramię. – Jak to wyjaśnić... jak doszło do tego, że ogarnęła mnie taka desperacja? Żeby odkryć prawdę i wreszcie uwolnić się od tego miejsca. Żeby znów wziąć syna na ręce. Myślę, że zrobiłabym prawie wszystko, by to osiągnąć. – Zadrzała.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, aż dotarliśmy do drzewa pod mieszkaniem Actona.

– To tutaj dała mi pani w twarz – powiedziałem

Zatrzymała się i dotknęła dłonią kory.

– Tutaj także zobaczyłam pana ubranego w rzeczy Johna. Omal nie umarłam ze strachu.

– Jak dziwnie splątaliśmy sprawę.

Roześmiała się.

– Może powinniśmy zacząć od początku, panie Hawkins.

Odwróciliśmy się i poszliśmy w stronę Belle Isle. Kiedy dotarliśmy do wejścia, wyjęła rękę spod mojego ramienia.

– A więc jesteśmy przyjaciółmi?

Przez chwilę się wahałem, potem skinąłem głową. Uśmiechnęła się, w jej szarych oczach zalśniła ulga i radość. Wczoraj serce szybciej by mi zabiło; dzisiaj byłem mądrzejszy. Gdyby Acton albo Gilbert Hand, albo ktokolwiek dowiedział się, że wymyśliła ducha, który wywołał tyle strachu i niepokoju wokół więzienia, wyrzucono by ją z więzienia w niesławie. Bardziej potrzebowała mojej przyjaźni niż jej pragnęła. Krótko mówiąc, nadal mną się posługiwała, ale było mi to obojętne. Rozumiałem jej motywy, nawet jeśli metody były paskudne, jak powiedziałaaby Moll. A w ogóle, to kim byłem, żeby sądzić innych?

– Jednego nie rozumiem. Jak duch wymknął się z więzienia?

Uśmiechnęła się.

– Biedny pan Simmons. To stary kompan Johna od kart. Zaproponowałam, że spłacę jego długi, jeśli mi pomoże. To aktor. Obawiam się, że nie najlepszy. Ale wiedział, jak zagrać tę rolę. Biała twarz to był jego pomysł. Chyba mąka.

– Ale dokąd poszedł? Przeszukaliśmy każdy zakątek więzienia.

– Pan Fleet pytał mnie o to samo. Był bardzo natarczywy. – Ściągnęła wargi. –

Musi pan dzielić z nim pokój, panie Hawkins? Ma bardzo złą reputację. Nie obawia się pan, że pana zepsuje?

– Pani Roberts – ostrzegłem ją poważnym głosem. – Catherine. Więc jak uciekł pan Simmons?

– No, dobrze – powiedziała, marszcząc brwi. – Ale musisz obiecać, że nikomu ani słowa. – Rozejrzała się, żeby się upewnić, że nikt nie patrzy i postukała stopą w ziemię.

– Piwnica składu.

Nacisnąłem palcami stopy drewnianą klapę pod naszymi nogami. Acton trzymał alkohol dla pubu w piwnicy zawalonej po sufit skrzyniami z winem i baryłkami taniego piwa, które sprzedawał z trzykrotnym zyskiem.

– Ale poprzedniej nocy szukaliśmy tam na dole – zaprotestowałem. – Nie znaleźliśmy żywego ducha. – Nie wspominałem, że Jenings z przerażenia omal nie upuścił pochodni i nie wywołał pożaru. Ani że udało mi się przeschmuglować trzy butelki wina pod płaszczem.

– Po przeciwnej stronie są drugie drzwi, które prowadzą na Axe i Bottle Yard. Nikt o nich nie wie; od lat są zamknięte. W piwnicy jest bardzo ciemno, a nikt nie wpadł na pomysł, żeby ich poszukać... – Zobaczyła moją minę i przerwała. – Nie pytaj mnie.

– Mógłbym uciec. Dziś w nocy, gdybyś mi pomogła.

– Nie mam klucza. I dokąd byś poszedł, panie Hawkins? Wiesz, że Actona obciążono by twoim długiem, gdybyś uciekł; wytropiłby cię i... – W oczach zalśniły jej łzy. Jeśli udawała, była lepsza od Simmonsa.

Zastanawiałem się, ile Moll zapłaciłaby za taką informację. Znalazłaby kogoś, kto otworzyłby zamek w mgnieniu oka. Wolne, tajne przejście do i z Marshalsea? Och, to byłoby warte majątek.

– Proszę – wyszeptala Catherine. – Obiecuj, że nikomu nie powiesz. Przysięgnij!

– Kto dał ci klucz?

Jęknęła.

– Jak ci powiem, przysięgniesz?

– Dobrze.

Nachyliła się bliżej i przysunęła usta do mojego ucha.

– Edward Gilbourne.

Potem zostawiła mnie, uniosła lekko suknię i szybko odeszła w stronę pałacu sądu i swego pokoju w oddziale Dąb. Ale transakcja została zawarta – moje milczenie za jej informację. Gilbourne. Oczywiście. Był w samym środku wszystkiego w tym więzieniu, może nawet bardziej niż sam Acton. Kiedy wczoraj przyglądałem się im z okna, musiał dać jej klucz do piwnicy. Teraz, kiedy o tym myślałem, przypomniałem sobie, że w minie Gilbourne'a było coś dziwnego, gdy z nią rozmawiał. Parzył na nią tak, jak ja mógłbym patrzeć na dobre rozdanie w kartach: zaborczo, tajemniczo.



Chytrze.

A zatem Roberts chciał szantażować Gilbourne'a. A Gilbourne dysponował tajnym wejściem do więzienia, mógł wkraść się i wykraść, kiedy chciał. Zamrugalem. O to chodziło. Rozwiązanie! I bez pomocy Fleeta, cholera z nim. Gilbourne zamordował Roberta, żeby go uciszyć – a przy okazji uczynił wdowę z Catherine Roberts. Teraz powoli, wytrwale zalecał się do niej, pomagał jej przy tym głupawym pomysle z duchem, żeby zaskarbić sobie jej wdzięczność i zrobić z niej swojego dłużnika. I przez cały czas wiedział, że pan Simmons nie zdoła tak nastraszyć mordercy, żeby się ujawnił. Bo to on był zabójcą.

Oczywiście, musiał być ktoś drugi; Gilbourne nie dałby rady samemu przenieść zwłok kapitana przez park do karceru. Domyślałem się, że był to ktoś, kto miał klucz do strony dla pospólstwa. Postawiłbym na Josepha Crossa. Cóż, w potrzebie można by przycisnąć Gilbourne'a. Są sposoby na wydobycie z człowieka prawdy.

Muszę natychmiast wysłać list do Charlesa. Ale komu miałem zaufać, że go dostarczy? Jakesa nie będzie do poniedziałku, a Gilbert Hand przeczyta, co napisałem. Może pan Jenings? Nadal stałem przy włączu, zastanawiając się nad tym wszystkim, kiedy przez dziedziniec przytoczyła się do mnie Sarah Bradshaw.

– Och, pan Hawkins! Czy pan mi kiedykolwiek wybaczy? – wydyszała, łapiąc mnie za rękę, którą przycisnęła do falującego łona. – Powinna wiedzieć, że to wszystko sprawa pana Fleeta, że to on pana tak ubrał. Ten piekielnik! Niech pan przyjdzie i pozwoli, żebym przyrządziła panu obiad na koszt firmy. Nie, nie, nalegam! – powiedziała, chociaż nie miałem czasu, żeby jej odmówić. – Biedny kochanečku, ależ ty musiałeś się nacierpieć. A co musiałeś o nas pomyśleć?

Poszedłem za nią. Kolejka przy pałacu sądu zmalala. Mężczyzna, którego znałem z pubu, stał na końcu, obracając kapelusz w dłoniach.

– Niech pan spocznie – nakazała mi pani Bradshaw, wpychając mnie do kawiarni. Opróżniła stół pod oknem. Kitty stała przy piecu, a kilku więźniów grało w rogu w tryktraka. Madame Migault siedziała przy swoim stole, dziobiąc obiad składający się z cielecej głowizny i sałaty. Obok niej stała duża waza z ponczem, do połowy opróżniona; wyglądało, że sama to wypila, chociaż nie byłem w stanie stwierdzić, gdzie to pomieściła, bo była mała jak wróbelek. Wyglądała na rozochoconą. Nie pasowało to do niej.

Pani Bradshaw zamówiła z Cycatej Lali cielecą golonkę i boczek wieprzowy i zajęła się przygotowywaniem dla mnie garnuszka świeżej kawy. Kitty nadal wyglądała na złą po naszej dzisiejszej kłótni i nie chciała mi spojrzeć w oczy – ale byłem zbyt zajęty pisaniem listu do Charlesa, żeby się tym przejmować. Jeśli list dotrze do niego w najbliższym czasie, może uda mu się doprowadzić do zwolnienia mnie jeszcze wieczorem. Ta myśl sprawiała, że serce mocniej mi biło. Charles obiecał, że pomoże mi na wszelkie sposoby, gdy tylko będę wolny. Hm, dostałem nauczkę. Zaczę od

nowa, znajdę dobre, szanowane zajęcie. A przynajmniej dobrze płatne. Wziąłem kolejną porcję wieprzowiny. Może będę mógł zająć stanowisko Gilbourne'a, kiedy go aresztują. Mogłbym ponownie zatrudnić... jak on się nazywa? Matthew Pugh, żeby zajmował się pieniędzmi z dobroczynności – oczywiście za opłatą. Thomas Hawkins, zastępca protonotariusza...

Nie, to wcale nie brzmi dobrze. Szanowany urzędnik? Coś się pojawi, pomyślałem.

– Madame Migault, pani przepowiada przyszłość, prawda? – Wyjąłem z kieszeni monetę. – Odczyta pani moją?

Przez chwilę patrzyła, mrużąc oczy, wreszcie skinęła na mnie dłonią.

– *Rien à payer* – powiedziała, kiedy usiadłem naprzeciwko niej. Z odświętną miną wrzuciła do ust gałkę oczną cielęcia, przerzucała ją między policzkami, wreszcie mocno rozgryzła i połknęła. Teraz, kiedy byłem tak blisko niej, jej oddech potwierdzał, że ponczem z wazy na pewno z nikim się nie podzieliła. Chwyciła moją dłoń w oba szpony i odwróciła ją wnętrzem do góry, drapiąc mnie paznokciami po skórze.

– Kitty – wrzasnęła, aż wszyscy w kawiarni drgnęli. – Tłumacz.

– Mówię po francusku, madame.

– Kitty! – znów wrzasnęła, nie zwracając na mnie uwagi.

– Czytanie z dłoni! – wykrzyknęła pani Bradshaw, klasnęła w ręce i przepchnęła się do stolika madame. – Wydawało mi się, że nie popiera pan czegoś takiego, panie Hawkins? Kitty, chodź tutaj i tłumacz mi, kochana.

Kitty odwróciła się od ognia.

– Nie chcę – wyszeptała, obejmując się w talii rękami.

– No chodź, kochana – zapiszczała pani Bradshaw, ale za prośbą kryło się upomnienie.

Kitty szurając nogami, podeszła do nas, twarz miała białą jak śmierć.

Zmarszczyłem brwi. Chociaż dziś rano posprzeczaaliśmy się, brakowało mi jej humorków. Ten nowy nastrój nie pasował do niej.

– Źle się czujesz, Kitty?

Przygryzła wargę.

– Wszystko w porządku, sir – wyszeptała. Po raz pierwszy powiedziała do mnie „sir”, i to poważnie.

– Widzę twoją przyszłość... – zajęczała Madame Migault, drapiąc mnie po dłoni długimi, niebieskobiałymi paznokciami. – *Oui... très... Clair.* – Podniosła oczy i popatrzyła w dal, jak w transie.

Ty stara oszustko, pomyślałem.

– Jest nawiedzona – wyszeptała z trwogą pani Bradshaw. – O Boże, umrę ze strachu. – Szturchnęła niecierpliwie Kitty. – Co ona mówi?

Kitty powoli usiadła na krześle między madame a mną i drżącym głosem zaczęła tłumaczyć. Rękami zwijała i rozwijała fartuch.

– Widzę twoją rodzinę – powiedziała wysokim, śpiewnym głosem Madame Migault. – Mieszkają na wsi... twój ojciec... to duchowny, tak?

Uśmiechnąłem się.

– Nietrudno się tego dowiedzieć, madame.

– Zdradziłeś go. Okłamałeś. Nie przebaczył ci. I nigdy nie przebaczy. – Szybko spojrzała mi w oczy. – Nie zobaczysz go już więcej w tym życiu, monsieur.

Pani Bradshaw, która stała za mną, ścisnęła mnie za ramię.

– Tak mi przykro to słyszeć, sir. Może uda ci się coś zmienić teraz, kiedy zostałeś ostrzeżony?

– *Non!* – Madame Migault uśmiechnęła się triumfalnie. – Przyszłość się nie zmieni. – Zamknęła oczy i mówiła dalej: – Masz przyjaciela... Chce ci pomóc, ale jest za późno. Twoja tajemnica została odkryta. – Nagle otworzyła oczy. – Zdradzony! – wrzasnęła. A potem, znacznie ciszej: – Przez kogoś blisko ciebie. Bardzo blisko... – Zaczęła chichotać, jakby dostała jakiejś dziwnej czkawki; ramiona jej podskakiwały.

Kitty przetłumaczyła, patrząc w podłogę, mówiła drżącym szeptem. Kiedy skończyła, pani Bradshaw pisnęła cichutko.

– Co to może znaczyć? Och, aż ciarki mnie przechodzą. Miggy, nie mogłabyś znaleźć czegoś weselszego? Ślub...? Majątek...?

– Żadnego ślubu. Żadnego majątku – oświadczyła radośnie Madame Migault. – Wszystkie twoje plany spalą na panewce. Wszystkie twoje marzenia umrą. A ty umrzesz z nimi. Dziś wieczór! – roześmiała się i nalała sobie kolejną szklankę ponczu.

– Cóż. – Zabębniłem lekko palcami o stół. – Mam nadzieję, że nie spodziewa się pani napiwku.

Ku memu zaskoczeniu Kitty wybuchła płaczem, szlochała w fartuch. Dotknąłem jej ramienia.

– Daj spokój, Kitty. To tylko głupia zabawa.

– Nie zabawa – zaskrzeczała w szklankę Madame Migault. – *Pauvre Monsieur*. Dziś wieczór umrzesz.

– Madame! – krzyknęła pani Bradshaw. – Nie wolno mówić takich rzeczy! Och, panie Hawkins, nie wiem, co powiedzieć! Z reguły nigdy się tak nie zachowuje. Powiedziała mi, że przed Nowym Rokiem dostanę pieska. – Odwróciła rozmarzony wzrok.

Kitty wstała nagle i wybiegła z pokoju. Jej kroki zadudniły na schodach, potem, gdzieś nad naszymi głowami, trzasnęły drzwi. Oddział Dąb.

Pani Bradshaw zaczęła chichotać i dała mi kuksańca w żebra, mocno waląc łokciem w siniaka. Z bólu zacisnąłem zęby.

– Och, jej – parsknęła śmiechem. – Obawiam się, żeś jej pan trochę zawrócił w głowie. Od razu pana polubiła, chociaż się do tego nie przyzna. To muszą być te pańskie piękne łydki. Potem usłyszała, jak pan mówił pani Roberts, że dla pana jest

nikim. Powiedziałam: oczywiście, że tak, głupia babo. To prawdziwy dżentelmen! Nawet przez chwilę by o tobie nie pomyślał, bo niby dlaczego? Ale ona dalej się przysłuchiwała i wplątała się w sprawy nie dla niej... jej ojciec był lekarzem, zapewniam pana, ale jej matka... Cóż. Obwiniam pana Fleeta, że napycha jej głowę niesamowitymi myślami.

Zanim zdołałem pomyśleć, jak odpowiedzieć na ten bulgoczący strumień plotek, do pokoju wszedł pan Grace, trzymając przy piersi czarną księgę.

– Panie Hawkins. Nie przyszedł pan po oszacowanie. – Zabębnił cienkimi jak glisty palcami w okładkę.

– Wie pan doskonale, że mój czynsz został zapłacony – odparłem niewzruszony. – Pan Fleet osobiście dał panu pieniądze.

Grace wyniośle dmuchnął przez nos.

– Są przepisy, Hawkins. Nie jesteś ponad nie, nawet jeśli masz potężnych przyjaciół. Musisz pójść, żeby wytłumaczyć się przed gubernatorem. Natychmiast.

– Doskonale. – Wstałem powoli. List do Charlesa nadal miałem w kieszeni, najprawdopodobniej straciłem szansę, żeby skontaktować się z nim przed wieczorem. Mimo usilnych prób spędzę kolejną noc w tym podłym miejscu.

Kiedy wychodziłem, Madame Migault chichotała w dłonie, oczy błyszczały jej złośliwie.

– Tej nocy, monsieur – zakrakała. – Obiecuję. Tej nocy!

# Rozdział 16

**I**dąc po schodach na spotkanie z nadzorcą, robiłem co mogłem, żeby wyglądać na pełnego optymizmu. Nie było to łatwe zadanie. John Grace szedł sztywno za mną, jakby mnie prowadził na szafot. Mówiłem sobie, że nie wierzę wróżkom, szczególnie takim starym wywłokom jak Madame Migault. Ale jej proroctwo, po którym tak szybko nastąpiło wezwanie do Actona, było niepokojące.

Grace wprowadził mnie do długiego, niskiego pomieszczenia, rozciągającego się pod główną salą sądową. Spokojne miejsce odpoczynku dla sędziów i adwokatów, gdzie biedni dłużnicy i zrozpaczone rodziny nie będą ich niepokoić swoimi błaganiami. Togi wisiały na kołkach jak zdarte skóry. Okien nie było.

Acton siedział za stołem po drugiej stronie pomieszczenia. Przy nim stał Cross z łańcuchami przewieszonymi przez ramię, a po obu jego stronach Chapman i Wills, jeden ze strażników. Zaschło mi w ustach. Tyłu ludzi tylko po to, żeby dogadać się w sprawie czynszu? Za nimi troje więźniów zbitych w smutną małą grupkę: mężczyzna i jego żona trzymali się siebie i cicho szlochali, a trzeci – dżentelmen, którego pierwszego dnia widziałem z Gilbertem Handem – wyglądał na oszołomionego. Mocno trzymał stary, poszarpany pieróg, patrząc niewidzącym wzrokiem w podłogę.

Długo szedłem do stołu. Acton przyglądał mi się bez słowa, ręce miał złożone przed sobą, jasne niebieskie oczy nawet nie mrugnęły.

Ukloniłem się.

– Panie Acton.

– Spóźniłeś się.

Spojrzałem na ludzi stojących za nim. Cross odpowiedział spojrzeniem, potem odwrócił wzrok.

– Proszę wybaczyć.

– Księga, panie Grace.

Grace podszedł i położył przed Actonem otwartą czarną księgę. Postukał w jeden z zapisów i odsunął się o krok. Acton udawał, że przez chwilę coś czyta, potem pokręcił głową.

– Hawkins, nie zapłaciłeś czynszu.

– Zapewniam pana, że zapłacono za mnie do końca przyszłego tygodnia – zmarszczyłem brwi. – Pan Grace może to potwierdzić.

Acton popatrzył na swojego urzędnika, udając zdziwienie.

– Czyżby się pan pomylił, Grace? Sir, to się źle dla pana skończy. Nie toleruję pomyłek w moim więzieniu.

Blade wargi Grace'a wygięły się w paskudny uśmiech.

– Myślę, że to więzień się pomylił, gubernatorze.

Serce mi zamarło. To nie była zabawa. Działo się tutaj coś złego.

– Panie Acton. Obawiam się, że nastąpiła jakaś pomyłka. Pan Fleet zapłacił za mnie czynsz panu Grace’owi w czwartek po południu – tego dnia, kiedy tu przybyłem. Jeśli można by wezwać pana Fleeta, żeby to wyjaśnił...

Acton rąbnął pięścią w stół.

– Ja prowadzę to więzienie, nie Fleet! – ryknął, aż echo poszło. Zacisnął wargi. – I nie Charles Buckley. – Patrzył, jak zaczynam się bać, oczy mu błyszczały od potęgi tajemniej wiedzy. – I co, Hawkins?

Mocno przełknąłem.

– Sir, przysięgam na me życie. Fleet zapłacił panu Grace’owi.

Grace zakaszła.

– A ma pan kwit na tę transakcję?

Popatrzyłem na niego wściekle.

– Wiesz, że nie mam.

Acton skinął głową. Cross i Chapman złapali mnie i skuli od tyłu ręce. Wykręcili mi ramiona, kiedy się z nimi szarpałem.

Acton podszedł powoli. Uniósł pięść i mocno uderzył mnie w szczękę. Opadłem na kolana, w głowie mi się zakręciło.

– Podnieś go pan, panie Cross – rozkazał Acton, pocierając kostki palców.

Poderwali mnie z podłogi i mocno przytrzymali.

– Nie wolno ci tego robić! – krzyknąłem chrypliwie, plując krwią na podłogę. – Zapłaciłem...

Znów mnie uderzył; przewróciłem się do tyłu. Zaufani więźniowie podnieśli mnie.

– Mogę robić, do cholery, na co mam ochotę – powiedział cicho Acton. Zbliżył twarz do mojej twarzy. – To jest mój zamek. Nikt nie będzie miał tajemnic przede mną.

– Złapał mnie wielką, zrogowaciałą dłonią za gardło i zaczął dusić. – Biedny pan Hawkins. Chodzi z zadartym nosem, robi problemy. – Ścisnął mocniej. Zacząłem tracić dech. – Jesteś tylko małą myszką, co? Małą myszką w pazurach lwa.

Krew szumiała mi w uszach. Pokój pociemniał.

– Gubernatorze. – Głos Crossa dochodził z oddali. Ostrzegający. Acton rzucił mnie na podłogę.

Leżałem przez chwilę półprzytomny, w płucach mnie paliło, wielkimi łykami, z ulgą chwytałem powietrze. Chapman podniósł mnie kopniakiem. Rozejrzałem się przerażony po pokoju; patrzyłem na Crossa, Willsa, innych więźniów. I na Grace’a, który przyglądał mi się z zadowoleniem w zimnych oczach. Zakląłem i zrobiłem pół kroku w jego stronę, ale Chapman złapał mnie i przytrzymał na miejscu.

Acton wrócił do biurka. Uśmiechnął się, jakby nic takiego się nie stało i podniósł list.

Żołądek wywrócił mi się na drugą stronę. To była notka, którą Charles wysłał mi poprzedniego dnia, obarczając mnie zadaniem. Jak się dostała w łapy Actona? Gdzie ją zostawiłem? Zamknąłem oczy, jęknąłem i przypomniałem sobie. Włożyłem ją do kieszeni kamizelki kapitana Robertsa. Kamizelki, którą ostatniej nocy rzuciłem na podłogę Belle Isle.

Kolejna robota Fleeta. To dlatego tak ochoczo wyszedł dziś rano z pokoju. Nowa rozrywka – i nic go nie obchodziło, jaką zapłacę za to cenę. Jak mogłem być takim durniem?

– Panie Hawkins, od dawna prowadzę Marshalsea – powiedział Acton. – Od dawna jestem tu nadzorcą. Ja ustanawiam zasady. Ja decyduję, kto przeżyje, a kto umrze.

– Panie Acton – powiedziałem, głos cienko chrypiał mi w obolałym gardle. W ustach czułem smak krwi. – Jeśli można wyjaśnić...

Na znak Actona Cross uderzył mnie mocno w brzuch.

Acton splótł palce.

– Oskarżyłeś fałszywie o przekupstwo pana Grace'a. To poważna przewina, sir. Pan Grace jest zaufanym i lojalnym urzędnikiem więziennym. Głównym urzędnikiem gubernatora. Rządcą z wyboru więźniów oddziału dla pospólstwa. Nigdy by nie zhańbił swojego stanowiska.

Grace służalczo skinął głową.

– Nie puszczę tego płazem – mówił dalej Acton, rozpierając się w krześle. – Panie Cross, skuć więźnia i wrzucić go do karceru. Użyjcie żelaznej czapki i kołnierza. Przyśrubować go mocno.

Cross założył mi kajdany na przeguby rąk; były zimne i ciężkie.

– Zakneblować?

– Nie, nie. Niech wrzeszczy razem z innymi. – Acton zachichotał. – I żadnego jedzenia... dopilnuj tego. Nie chcę, żeby te szumowiny po drugiej stronie muru litowały się nad nim.

– Na jak długo, gubernatorze?

Acton zmrużył oczy i przyglądał mi się, jakbym był kawałem mięsa czekającym, aż zawiesi się je na haku.

– Tak długo, jak będzie trzeba. – Wziął gęsie pióro Grace'a i zanurzył je w atramencie. – Wykreślę go za pana, panie Grace.

Przekreślił moje nazwisko grubą linią. Miałem wrażenie, że nóż ślizga mi się po gardle.

Grace patrzył, nie okazując żadnych uczuć. Pokazał troje innych więźniów skupionych w kącie.

– A tamci, sir? Strona dla pospólstwa...?

Acton przez chwilę przyglądał im się, jakby dopiero teraz ich zobaczył.

– Nie, tych zatrzyma się do następnego tygodnia. – Wstał i poklepał kobietę po ramieniu. – Jestem wspaniałomyślny. – Machnięciem ręki kazał im odejść; pospiesznie wyszli, żeby nie zdążył zmienić zdania. Żadne z nich nie spojrzało mi w oczy, przechodząc.

Cross i Wills sprowadzili mnie na dół, a Chapman pobiegł do przechowalni, żeby wziąć żelazną czapkę i kołnierz. Mogliśmy schować się pod portykiem pałacu sądu, ale Cross chciał się zemścić i sam wziął te narzędzia. Wyciągnął mnie na sam środek parku, na pokaz, jak ciele na jarmarku w Smithfield. Wstrząśnięte, podekscytowane oblicza wyglądały z okien, ci, którzy wyszli na dziedziniec, zebrali się w grupki, żeby plotkować i gapić się.

Myśli przebiegały mi przez głowę; próbowałem znaleźć jakiś sposób, żeby to powstrzymać – żeby zostać po właściwej stronie muru. Ale byłem zbyt wstrząśnięty, by prawidłowo rozumować. Zamykają mnie w karcerze, gdzie zmarli Roberts i Jack Carter. Gdzie trzymają zwłoki. Kolana ugięły się pode mną.

– Daj spokój, Hawkins, bądź mężczyzną – powiedział radośnie Cross, łapiąc mnie, zanim osunąłem się na ziemię. – Dawałem ci tydzień, prawda? – wyszeptał mi do ucha. – Może będę musiał zmienić to przewidywanie.

Kilka kroków dalej, przy słupie latarni stali Gilbert Hand i Mack.

– Pech, Hawkins – zawołał Hand bez krzty współczucia. Mack skłonił mi się na odległość. Żaden z nich nie podszedł bliżej. Już nie należałem do ich świata.

Tylko Trim przyszedł mi z pomocą.

– Na litość boską – powiedział, patrząc z przerażeniem na Chapmana, który wrócił z ciężką żelazną czapką i kołnierzem pod pachą. – Chyba nie chcecie mu tego założyć?

Cross zaczął mnie ciągnąć w stronę muru strony dla pospólstwa.

– Rozkazy gubernatora.

Trim poszedł za nami.

– Pozwólcie mi najpierw obejrzeć jego rany. Co się stało z jego gardłem? Wygląda, jakby go ktoś dusił! Do cholery, Cross, gdzie twoje sumienie?

– Nie mogę sobie na nie pozwolić. – Gestem kazał Willsowi otworzyć drzwi.

– Trim! – krzyknąłem. Podszedł bliżej, a mnie udało się wsunąć mu pod żakiet mój list do Charlesa. – Powiedz mu, co się stało. Błagam, powiedz mu...

Cross trzepnął mnie mocno po głowie.

– Żadnego przekazywania informacji. Pchnął palcem w pierś Trima. – Pilnuj się, golibrodo. Chcesz, żeby cię wrzucano razem z nim? – Chwycił mnie za ramię i już popychał przez drzwi, kiedy na balkon pubu wyskoczył Fleet.

– Trim! Co to znaczy? Co się dzieje?

Spojrzałem na niego wściekle, nienawiść płonęła mi w piersi jak w piecu. Gdybym mógł, rozerwałbym go na sztuki.

Trim pobiegł w stronę balkonu.



– Fleet, co ty zrobiłeś? Zabierają go do karceru!

Fleet pobladł i zamilkł oszołomiony. Potem przerzucił nogi przez balkon i zszedł dwa piętra na ziemię, zwinny jak kot.

– Panie Cross, zaczekaj. Mam pieniądze!

Za późno. Chapman przepchnął mnie przez drzwi. Upadłem na kolana. Drzwi zatrzasnęły się i klucz przekreślił się w zamku.

Przez kilka chwil dochodził do mnie słabo zza muru głos Fleeta, wołającego mnie po imieniu. Z równym powodzeniem mógł wołać z innego kraju. A potem po stronie dla pospólstwa rozległ się krzyk, w którym utonęły wszelkie odgłosy z tamtej strony muru. Krzyczeli z popękanych okien, zbiegali się z każdego zakątka dziedzińca, żeby się wokół mnie zebrać, zaciekawieni, jakie to nowe mięso wrzucono do garnka. Chapman i Wills wyciągnęli pałki, żeby trzymać ich na odległość.

– Wrócił!

– Nie uchronił się!

Ryk śmiechu. Kiedy się zbliżyli, poczułem odór gnijących, niemytych ciał. Podniosłem ramię do ust.

– Ach, uraziliśmy cię, panie? Za parę dni będziesz w tak samo złym stanie jak my – krzyknęła kobieta z gnijącymi dziąsłami i wszyscy znów ryknęli śmiechem. – Nawet dżentelmeni tutaj śmierdzą.

Cross uniósł pałkę. Odstąpili, milczący i posepni, ale czułem napięcie pulsujące w przestrzeni między nami.

Chapman kopnął mnie w zębra.

– Wstawaj.

Z trudem się podniosłem. Kilku silniejszych mężczyzn znów zaczęło podkradać się bliżej, przyglądając mi się z entuzjazmem. Czułem ich wzrok na moich butach, ubraniu, złotym krzyżyku na szyi.

– Och, podobasz im się – prychnął Cross. Zobaczył sztylet, który miałem schowany pod żakietem i wyciągnął go, zważywszy go na dłoni z aprobatą. – Kto ci to dał? Jakes? – Chrząknął, kiedy zobaczył, że zgadł. Przysunął mi ostrze do szyi. – Sam już nie jesteś taki odważny, co? – Mocniej nacisnął ostrze i strużka krwi spłynęła mi po skórze. – Gdybym był litościwy, poderznąłbym ci gardło na miejscu.

– Panie Cross... – Wbrew woli zacząłem się trząść.

– O, to teraz „panie”, co...? – Cross uśmiechnął się. Igrał ze mną, przeciągnął mi sztylet po szyi. Koniuszek zahaczył o krzyżyk. Zawahał się, opuścił sztylet, włożył go za pas. – Zamknąć go.

Wills i Chapman złapali mnie za ramiona i zaczęli ciągnąć po dziedzińcu. Przez chwilę widziałem kapitana Andersona stojącego w drzwiach swojego oddziału. Nasze oczy spotkały się; cofnął się w głąb, kiwając głową.

Karcer był toporną drewnianą szopą wciśniętą w najdalszy kąt dziedzińca. Kiedy

podeszliśmy bliżej, gorący, gnilny smród strony dla pospólstwa schwycił nas za gardła, zaczęliśmy się krztusić. Deszcz zamienił łajno i mocz w śliską, musztardową breję i splukał ją na dziedziniec, gdzie mieszała się ze śmieciami i z błotem. Nad tym wszystkim nisko brzęczały tłuste muchy.

Stary człowiek leżał oparty plecami o drzwi szopy, obojętny na smród. Wyglądało na to, że miał gorączkę, drapał się po sieniej wysypce na piersi.

– Gorączka więzienna – mruknął Wills.

Cross cofnął się.

– Usuńcie go z drogi.

Wills nachmurzył się.

– Nie dotknę go. Niech on to zrobi.

Cofnąłem się, ale popchnęli mnie naprzód sztyletami. Co mogłem zrobić? Nie dałbym im rady, nie byłem w stanie uciec. Miałem taki wybór, jakbym jechał wózkiem na szubienicę. Uklęknąłem i odciągnąłem starca na bok skutymi rękami. Kiedy usadowiłem go pod murem, schwycił mnie za nadgarstek. Miał gorącą skórę.

– Nie żyję? – wyszeptał głosem zniekształconym przez delirium. – Nie żyję, sir?

Wyrwałem się i cofnąłem. Usłyszałem pluśnięcie, a potem głośny, gniewny pisk. Szczury. Wąska szczelina między szopą a murem roiła się od nich; pluskały się w kałuży zastałej wody, walczyły, wspinały się sobie na grzbiety.

– O Boże – krzyknąłem. Tamci roześmieli się i wepchnęli mnie do szopy.

Rozejrzałem się, lekko drżąc. Panował tu straszny odór. Gnijące mięso. Śmierć. Tu też były szczury – słyszałem, jak miotają się w ciemności. To tutaj umarł Jack Carter. Teraz gdzieś tutaj leżały jego zwłoki. Opadłem na kolana.

Cross zapalił pochodnię i wszedł do środka, trzymając kawałek materiału przy ustach. Zobaczyłem trupy, owinięte w stare prześcieradła, ułożone w stos w przeciwległym rogu jak drewno na rozpałkę. Szczury roiły się na nich, piszczały i gryzły, rozszarpały materiał. Rozszarpały i cięły.

O Boże, proszę, nie.

– Przykuj go, Chapman – warknął Cross, kopiąc szczury buciorem. – Mocno go przyśrubuj.

Chapman zerwał mi perukę i siłą wepchnął żelazną czapkę na głowę. Jej waga – ponad dwanaście funtów – sama w sobie sprawiała ból. Ale potem przykręcił śruby i metal wbił mi się w czaszkę, ściskając ją tak mocno, aż pomyślałem, że pęknie. Błagałem, żeby przestali, ale oni tylko się roześmieli i popchnęli mnie w dół, aż plecami uderzyłem mocno o zimny wilgotny mur.

– Nie wolno wam tego robić – krzyczałem. – Nie możecie mnie tu zostawić! Cross! Na litość boską, zmiłuj się!

Tył czapki przymocowali do muru, mocno ją przykręcili, żeby się nie ruszała. Nie byłem w stanie poruszyć głową. Potem założyli mi kołnierz na szyję i zacisnęli. Gardło

już miałem posiniaczone i opuchnięte tam, gdzie dusił mnie Acton, a twarde żelazo wgrzyło mi się w skórę. Zacząłem wpadać w panikę, walczyłem o oddech, kiedy Cross sprawdzał żelaza z kawałkiem materiału przyciśniętym do ust. Kiwnął głową zadowolony i wstał, żeby odejść. Inni już uciekli z pomieszczenia.

– Cross, proszę, błagam cię. Zadławię się na śmierć. – Rozpaczliwie złapałem go za żakiet, wszelka duma mnie opuściła. Kołnierz wgrzył się głębiej, kiedy próbowałem nachylić się do przodu. – Chcesz mnie zamordować?

Zawahał się, w końcu sięgnął ręką i poluzował kołnierz na kilka cennych wdechów. Już miałem mu podziękować, kiedy wsadził paluchy w mój żakiet i wyciągnął wszystkie monety, do ostatniej półpensówki, razem ze srebrnym zegarkiem, który dał mi Fleet. Wziął pochodnię i ruszył do drzwi.

– Miej litość, sir! – zawołałem. – Zostaw mi światło!

– Miej litość – przedrzeźniał mnie wysokim, zawodzącym głosem. Potem zatrzasnął drzwi, zostawiając mnie w ciemnościach.

Przez jakiś czas leżałem oszołomiony bólem. Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało. Wszystko przebiegło tak szybko i brutalnie; nie było czasu, żeby się bronić albo wykupić się z kłopotów. Głowa pulsowała mi od żelaznej czapki, która trzymała mi czaszkę jak imadło; nawet najmniejszy ruch rozrywał mi skórę, krew spływała po twarzy. Całe ciało, poobijane i posiniaczone po laniu, jakie dostałem w St Giles, bolało mnie i pulsowało na zimnych, zgniłych deskach podłogi.

Ledwie co widziałem w mroku, ale wyczuwałem trupy leżące zaledwie kilka stóp ode mnie. Szczury wróciły; słyszałem, jak ruszają się w ciemności. Jeden przebiegł mi po nogach. Skopałem go i kopałem dalej, chociaż już dawno uciekł na drugą stronę, z powrotem do trupów. Łatwiejsze mięso. Podciągnąłem nogi i zacząłem bezgłośnie szlochać.

Oczy powoli przyzwyczajały się do mroku. Okien nie było, ale była wąska szczelina nad drzwiami i kilka dziur w dachu, przez które wpadały ostatnie promienie dziennego światła. Jeśli uda mi się uspokoić... Popuściłem wodze fantazji; próbowałem sobie wyobrazić, że jestem daleko stąd... ale to nic nie dawało; smród, wilgoć, potworność tego miejsca trzymały mnie w miejscu równie mocno jak żelazny kołnierz na szyi.

Więc to tutaj znaleziono kapitana Robertsa zwisającego z belki, jego ciało rozbite i połamane. Modliłem się za niego, z nadzieją, że był już martwy, kiedy go tu zaciągnięto.

Szczury piszczały, wściekle uganiając się po trupach. Usłyszałem, jak jeden z tobołów stoczył się ze stosu i upadł z głuchym łoskotem. Szczury zaroily się na nim, tkanina się zsunęła. Zobaczyłem ramię, szarobiałe, bezkrwiste. Czy to był Jack Carter? Może. W półmroku trudno było o pewność. Ale wiedziałem, że tutaj jest i słyszałem szczury. Wiedziałem, co robią kilka kroków ode mnie.

Wtedy krzyknąłem. Krzyczałem, przeklinałem, wyłem, żeby mnie wypuścili. Krzyczałem tak głośno, żeby całe więzienie mnie usłyszało.

Nikt nie przyszedł.

W końcu zapął mi przeszedł, leżałem wyczerpany i odrętwiały. Kiedy słońce zaszło, pomieszczenie pogrążyło się w ciemności, a moje myśli skupiły się na mnie. Myśli wirowały, zderzały się z sobą. Myślałem o Gilbournie i Fleecie, o Catherine Roberts, o wszystkich błędach, jakie popełniłem, odkąd znalazłem się w Marshalsea. Później usłyszałem, jak wieczorny lament wznosi się pod nocne niebo i dołączyłem do ich głosów, do innych potępieńców i nieszczęśników uwieczonych w tym piekle na ziemi.

– Ty durniu. Ty durniu – szeptałem w ciemność. Bo nie o to chodziło, że wystąpiłem przeciwko Actonowi, że walczyłem z rzezimieszkami, którzy napadli mnie w St Giles. Wiedziałem, gdzie leżał błąd. Mój ojciec przepowiedział to na długo przed Madame Migault. „Ścieżka, którą wybrałeś, wiedzie tylko w jedną stronę, Thomasie”.

W pewnej chwili, chyba około północy, przez dziurę nad drzwiami wpadło światło latarni i odezwał się cichy głos:

– Niech Bóg ci dopomoże, panie Hawkins. – Pan Jenings na nocnym obchodzie. Zanim zdążyłem zebrać myśli, żeby odpowiedzieć, światło znikło.

# Dzień czwarty

## NIEDZIELA

### Rozdział 17

**T**amtej nocy dowiedziałem się, co to rozpacz. Jej zimne, nieśmiertelne palce owijały się wokół mojego serca, aż znalazłem się poza strachem i bólem – poza wszelkim uczuciem. Wilgotna, przegniła podłoga ziębiła do kości; na skórze roiło się robactwo; kołnierz trzymał za gardło; w mroku walczyły szczury o rozkładające się trupy; świadomość, że wkrótce do nich dołączę... w pewnej chwili poddałem się temu wszystkiemu, a noc przetaczała się cal za cal, chwila za chwilą.

Zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, kapitan Roberts wisiał na belce nade mną. Ale potem zobaczyłem, że ma moją twarz i zacząłem się dusić z szorstką, zaciśniętą na gardle pętlą, wiłem się na końcu liny, kopałem nogami, walcząc o powietrze. Lina pękła i upadłem na podłogę, ale byłem zimny, trupioblady, a szczury zbiegały ze ścian. Były ich setki, piszczały, wspinały się na mnie, zęby miały jak sztylety, oczy czerwone jak piekielne piece. Zęby wgryzały się w ciało. Ktoś walił do drzwi, ale było już za późno, nic nie zostało, tylko kości i krwawe szczątki.

– Otwierać drzwi!

Charles.

Otworzyłem oczy, sen rozwiął się. Światło dnia wlewało się przez maleńką szczelinę nad drzwiami.

Szuranie; podniesione głosy. Chwilę potem drzwi otworzyły się szeroko. Zmrużyłem oczy oślepiiony światłem.

– Mój Boże! Co wyście z nim zrobili?

– Zaczekaj pan, panie Buckley, niech się pan nie zarazi. – Głos Woodburna. – Niech go Chapman stamtąd wyciągnie.

Znów szuranie i nagle Charles klęczy przede mną, kaszląc w słodko pachnący kawałek materiału, trzymany przy nosie i ustach. Drżącymi palcami poluzował śruby kołnierza. Kołnierz spadł ze mnie. Zaczął odśrubowywać żelazną czapkę, nie

odwracając ode mnie oczu.

– Jesteś bezpieczny, Tom. Jestem tutaj – powiedział łagodnie. – Hej, wy tam! – odwrócił się i krzyknął, a materiał, który trzymał przy ustach, tłumiał mu głos. – Zdjąć te łańcuchy, do cholery. – Ściągnął żelazną czapkę i oparł moją głowę na swojej piersi, kiedy Chapman mnie rozkuwał.

Charles chwycił mnie za rękę.

– Mój Boże, jest wyziębiony do szpiku kości! Tom, słuchaj! – Dotknął mojej twarzy. Nie mogłem powstrzymać dreszczy. – Spróbuj wstać. Pomogę ci.

Podłożył bark pod moje ramię; chwiejnie wstałem, a pomieszczenie kołysało się i wirowało wokół mnie. Na zewnątrz czekał Trim z Woodburnem. Kapelan patrzył na mnie z otwartymi ustami. Był przerażony.

– Panie, pomóż temu biednemu chłopcu. Jest półżywy.

Trim podbiegł i pomógł Charlesowi wynieść mnie na dziedziniec. Skrzywiłem się i cofnąłem, kiedy słońce zajrzało mi w oczy.

– Musi się ogrzać i wykapać, i to szybko; albo go stracimy – powiedział Trim.

– Widzisz, Buckley? – krzyknął, wlokąc się za nami Woodburn. – Widzisz, co się dzieje pod rządami sir Philipa?

– Biegnij pan, sir! – warknął Charles. – Każ przygotować gorącą wodę i to dużo.

Opadłem na kolana, objąłem się rękami. Nadal czułem ciężar żelaznej czapki przygniatającej mi głowę. Dotknąłem palcami skroni. Były lepkie od krwi. Znowu zacząłem dygotać, jeszcze gwałtowniej. Wydawało mi się, że to sen. Może znowu się obudzę, przykuty do ściany.

Po drugiej stronie dziedzińca otwierano oddziały, wyciągano zmarłych. Dzisiaj tylko troje. Trim i Charles odwrócili się, zbierało im się na wymioty.

Ostatni otwarto oddział Andersona. Mężczyźni walili w drzwi i krzyczeli jak szaleni, wrzeszczeli, żeby ich wypuścić, więc Wills, na złość, zostawił ich na koniec. Kiedy otworzył, wszyscy więźniowie wypadli z celi, jakby wraz z nimi uwięzione było dzikie zwierzę. Anderson wyszedł ostatni. Ciągnął coś po ziemi. Kolejne ciało zostawiało za sobą krew na kamieniach bruku.

– Który z was to zrobił? – ryknął wściekle na współwięźniów, parszcząc śliną. – Który z was, dranie, go zamordował?

Położył ciało na dziedzińcu, zaledwie kilka kroków ode mnie. Harry Mitchell. Żołądek mi się wywrócił. Dźgnięto go w serce, oczy miał znieruchomiałe, zamarte w ostatniej chwili przerażenia. Patrzyłem na jego białą, martwą twarz, a mury zaczęły się zbliżać, zaciskały się coraz bardziej. Trim klęknął i położył mi dłoń na ramieniu.

– Oddychaj – szepnął. – Po prostu oddychaj.

– To twoja wina, chłopcze.

Podniosłem wzrok na Andersona, stojącego nade mną; twarz miał poczerwieniałą z gniewu. Wiedziałem, że ma rację. Mitchell zaproponował mi pomoc – za pewną cenę –

a teraz nie żył.

– Przepraszam.

Anderson splunął mi pod nogi.

– Przysięgam, że jeśli jeszcze raz tu przyjdiesz, to twoje ciało wyciągną na dziedziniec. Zrozumiałeś?

Wills szedł wzdłuż ułożonych w szeregi ciał. Doszedł do Mitchella, przyjrzał się otwartej ranie w jego piersi, wygiętym z bólu ustom, długiemu śladowi krwi rozciągającemu się do drzwi oddziału. Poskrobał się w szczękę.

– Gorączka więzienna – oświadczył. – Ma rodzinę w Borough. Zapłacą za niego. Rzućcie go do karceru razem z innymi.

W pokoju Trima Kitty rozpałała ogień. Kiedy wtoczyłem się przez drzwi, krzyknęła i podbiegła do mnie.

– Poczekaj na zewnątrz, Kitty – polecił jej Trim i wypchnął ją za drzwi. Zaczęli przychodzić posługacze i łać wiadrami gorącą, parującą wodę do żelaznej wanny przy piecu. – Za chwilę przyniosę ci jego ubranie. Musisz je natychmiast spalić, zrozumiałaś?

Kiedy Kitty wyszła, Trim zapędził Charlesa do pracy przy ogniu, potem ściągnął ze mnie wilgotne, zatrute odzienie. Stałem, patrząc w dal, oszołomiony przerażeniem. Nadal czułem trupi odór na swojej skórze, jakby wgryzł się w każdy por.

– Cuchnę śmiercią – powiedziałem. Pokój zaczął wirować. Trim złapał mnie i ostrożnie wsadził do wanny. Zatrząsałem się, gorąco szczypało mnie w rany. Łał na mnie miskę za miską wody, szorował skórę do czysta, zmywał brud i wszy. Kiedy uznał, że wystarczy, wtarł świeży balsam w zadrapania i sińce i opatrzył je. Potem owinał mnie w czysty szlafrok, zarzucił mi koc na ramiona i usadowił przy piecu.

– Chcesz jeść? – zapytał łagodnie.

Pokręciłem głową, patrząc w ogień.

Dotknął mojego ramienia.

– Więc zostawię cię, żebyś odpoczął. Panie Buckley, niech się pan nim dobrze zaopiekuje. Potrzebuje spokoju i ciszy.

Charles kiwnął głową, brwi miał ściągnięte.

– Tak mi przykro, Tom – wyszeptał, kiedy Trim wyszedł. – Nie chciałem cię narazić na takie niebezpieczeństwo.

Westchnąłem, podniosłem dłoń. Nie winiłem Charlesa. Ale byłem zbyt zmęczony, zbyt załamany tym, co zaszło, żeby odpowiedzieć. Siedzieliśmy więc przez dłuższą chwilę w milczeniu, patrząc, jak płomienie tańczą i migoczą, a ciepło znów wracało do mojego ciała, chociaż tanta noc nadal była przy mnie. Żałowałem, że nie mogę przejść przez ogień, by wypalić ją ze skóry.

– Tom, wybacz mi. Muszę cię teraz zostawić – powiedział Charles, przerywając moje myśli. – Za godzinę muszę wygłosić kazanie. Zanim wyjadę, porozmawiam z

Actonem – dodał, zaciskając mocno pięści.

Poczekalem, aż zamknął za sobą drzwi, wstałem i powlokłem się do łóżka. Prześcieradła były świeże, pachniały lawendą.

Narzuciłem koc na głowę i przyciągnąłem kolana do piersi, palcami dotykając krzyżyka na szyi. Przez sekundę słyszałem głos Fleeta, dochodzący z dołu. Potem Charlesa, znacznie głośniejszy.

– Nie dość zrobiłeś? Odczepisz się od niego, do kroćset?

Zamknąłem oczy i zapadłem w głęboki sen.

Obudziłem się na odgłos dzwonka Jeningsa, wzywającego na popołudniowe nabożeństwo. Byłem słaby jak nowo narodzone jagnię, w głowie mi pulsowało, ale w przeciwieństwie do biednego Mitchella żyłem. Powinienem pójść do kaplicy i podziękować za to Bogu. Wstałem z łóżka, drżąc z wysiłku. Trim zostawił mi zmianę odzieży złożoną porządnie na krześle; ubrałem się powoli przed lustrem. Miałem dreszcze, bo ogień wygasł. Nowe sińce rozkwitły mi na piersi i brzuchu, wargę miałem rozciętą. Najgorzej wyglądała szyja, otarta do żywego mięsa przez kołnierz, z głębokimi wyżłobieniami w miejscach, w które wbił się w nocy. Była też opuchnięta i pokryta plamami sińców w miejscu, gdzie Acton zacisnął dłoń, żeby mnie udusić.

Przykryłem to starannie świeżym lnianym krawatem. Owijając len wokół szyi, przyglądałem się nieznajomemu w lustrze. Ta noc mnie zmieniła. Zrobiłem się jakoś starszy i twardszy. Część tego, co zobaczyłem, została w moich oczach, jak mucha w bursztynie.

Park był prawie pusty, kiedy wyszedłem za drzwi i skręciłem w stronę kaplicy. Z przyzwyczajenia spojrzałem na ławkę Fleeta. Siedział tam. Podskoczył, kiedy mnie zobaczył, i machnął czerwoną aksamitną czapką. Odwróciłem się i poszedłem do kaplicy, wiedząc, że nie pójdzie za mną. Różne rzeczy można mówić o Fleecie, ale nie był hipokrytą.

Czego nie można było powiedzieć o Crossie. Siedział tam, w drugim rzędzie od frontu, z pochyloną głową, prawdziwy obraz dobrego chrześcijanina. Obok niego John Grace, wyprostowany, chudy. Główny urzędnik i główny strażnik – mój Boże, w tym kraju nie było kapłana, który byłby w stanie oczyścić ich dusze. Nabożeństwo właśnie się zaczęło, usiadłem więc na ławce z tyłu. Catherine Roberts razem z Mary Acton siedziały w pierwszym rzędzie, a Henry kręcił się na kolanach Kitty parę rzędów za nimi. Był i Trim, siedział z Mackiem i Gilbertem Handem. Jenings, stojąc przy ołtarzu, przekształcił się z nocnego strażnika w uczestnika liturgii; podniósł wzrok, kiedy wszedłem i uśmiechnął się z ulgą, widząc mnie żywego. Brakowało tylko Actona i Gilbourne'a.

Zamknąłem oczy, ogarnęły mnie stare, znajome słowa modlitwy. Słyszeć je ponownie to była ulga. Nie uczestniczyłem w pełnym nabożeństwie, odkąd mój brat przyrodni wystąpił przeciwko mnie. Kościół już nie był oazą pociechy i spokoju – ale



miejszem, w którym zdradzono mnie i upokorzono. W którym mój ojciec stracił wiarę we mnie na zawsze.

Niewiele docierało do mnie z nabożeństwa; myślami byłem tam, za murem, po drugiej stronie więzienia. Patrzyłem na swoje rozkute ręce, złożone do modlitwy, i myślałem o więzaniach łachmanów, rzuconych jak śmieci na podłogę karceru. W głowie zaczęło mi dudnić, jakby odzywał się ciężar żelaznej czapki, znów uciskającej mi głowę. Otarłem pot z czoła i głęboko odetchnąłem, próbując się uspokoić.

– Niektórzy nazywają to więzienie piekłem na ziemi – powiedział surowo Woodburn, patrząc na wiernych. – Ale tak nie jest! Przypomnijcie sobie syna marnotrawnego. Dopiero kiedy wszystko stracił, kiedy został biedakiem, nieszczęsnym żebrakiem, chodził po świecie nago, dopiero wtedy krew mu ostygła, grzeszne żądze go opuściły. Dopiero wtedy okazał skruchę i znalazł zbawienie w Panu. – Przerwał i uśmiechnął się dobrodusznie. – I tacy jesteście wy, biedni dłużnicy, odarci w więzieniu z luksusów, pozbawieni rozrywek i pokus, które prowadzą człowieka prosto w płomieniste objęcia diabła. Niezliczone okrucieństwa, jakich doświadczacie w tym podłym miejscu; nieludzkie karanie waszych ciał; niech to będzie zbawieniem waszych dusz w wielkim i straszliwym Dniu Pana! – Przerwał i poluzował biały fular, żeby uwolnić podbródki. – Ból – mówił dalej, patrząc mi w oczy. – Ból jest lekarstwem. Ból to nauka, którą zsyła nam Bóg, żeby wprowadzić nas na powrót na ścieżkę sprawiedliwych. – Uniósł ręce. – Radujcie się zatem z tego świętego daru, który wam dano! Radujcie się bólem! Radujcie się upokorzeniem! I chwalcie Boga, że przywiódł was tutaj, abyście cierpieli i okazywali skruchę na ziemi, by i w ten sposób znaleźć drogę do nieba. Amen.

Wierni zaczęli kaszleć i wymrukiwać: amen.

Wściekły wbiłem wzrok w ziemię; nic nie powiedziałem. Dziś rano Woodburn odwiedził oddział dla pospólstwa. Jak śmie mówić, że tamci biedacy powinni dziękować Bogu, że pozwala im gnić za życia? Czy należy chwalić Actona, że stworzył takie „uduchowione” i „inspirujące” warunki? Czy Woodburn naprawdę myśli, że Bóg patrzy z góry na Marshalsea i jest zadowolony z tego, co widzi? Wstałem i wyszedłem z kościoła chwiejnym krokiem.

Fleet czekał na mnie na dziedzińcu.

– Siedem minut – powiedział, podnosząc swój srebrny zegarek. Musiał go odkupić od Crossa. – Cóż, wytrzymałeś dłużej, niż mnie się kiedykolwiek udawało. O czym było dziś? Chwalcie Pana za oczyszczającą moc bólu? Chciałbym pokazać temu wrzaskliwemu hipokrycie prawdziwe znaczenie bólu. – Jego oczy błyszczały jadem.

Nie zwróciłem na niego uwagi, powlokłem się przez dziedziniec do pubu. Gdybym miał dość siły, zbiłbym go na kwaśne jabłko.

– Zaczekaj! – krzyknął. – Jesteś ranny? – Kiedy się nie zatrzymałem, pobiegł za mną. – Pozwól, że zapłacę za lekarza.

Stanąłem i na chwilę zamknąłem oczy, bolały mnie wszystkie kości.

– Wziąłeś list?

Fleet przebiegle odwrócił wzrok, odchrząknął.

– Przyznaję, pożyczyłem go. Madame Migault chciała ci spłatać figła, więc dałem go jej do przeczytania. Myślałem, że to będzie... zabawne. Nawet w głowie mi nie powstało, że ta stara wiedźma sprzeda list Actonowi.

– Kiedy wydobrzeję – powiedziałem cicho – chyba cię zabiję.

Pochylił głowę, wbił we mnie czarne oczy.

– Mówisz to prawie poważnie – powiedział zafascynowany. Zacząłem się odwracać, ale dotknął moich piersi i zastawił drogę. – Przeczytałem tylko pierwszą stronę. Przysięgam, gdybym wiedział, że to takie niebezpieczne... – Nachmurzył się. – Tom, doprawdy, co ty sobie, do diabła myślałeś, żeby zostawiać list w kieszeni, skąd każdy może go sobie wziąć? Jeśli masz zostać porządnym szpiegiem, naprawdę musisz się nauczyć...

Spojrzałem na niego wściekle.

Przerwał, przeniósł dłoń z mojej piersi na swoją i położył ją na sercu. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak poważnym.

– Wybacz mi. Złe to rozegrałem. Znowu jesteśmy przyjaciółmi?

Pokręciłem głową.

– Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, panie Fleet.

Opuścił rękę. Przez chwilę widziałem rozczarowanie w jego oczach – ale szybko przeszło.

– Doskonale. – Szybko się uklonił i odwrócił się, żeby odejść.

– Hej tam, wy dwaj! – Z wartowni szedł w naszą stronę Chapman, kołysząc się w poczuciu własnej ważności. Kiedy do nas dotarł, wbił kciuki w kieszenie i szeroko rozstawił nogi, patrząc na nas spode łba. W przypadku Actona byłoby to niepokojące. W przypadku Chapmana wydawało się... trochę głupie.

– Gubernator chce was widzieć. Natychmiast.

Acton jadł obiad w Koronie, musieliśmy więc tam pójść. Po raz pierwszy od trzech dni znalazłem się poza więzieniem, ale byłem zbyt zajęty przygotowaniem się na kolejną konfrontację z nadzorcą, żeby cieszyć się z tych krótkich chwil na ulicy. Myślałem o tym wszystkim, co mógłbym mu powiedzieć – o wszystkim, co mógłbym zrobić. Byłem osłabiony, ale wydawało mi się, że mam dość siły, by go udusić za to, co mi zrobił. Cieszyłbym się, widząc szok i zaskoczenie na jego szerokiej czerwonej gębie.

I co bym osiągnął? Chwilę satysfakcji, a potem Chapman odciągnąłby mnie i znów wrzucił w kajdanach do karceru. Charles nie przybyłby ponownie na czas, żeby mnie uratować – Acton już by się o to postarał. Umarłbym w karcerze w towarzystwie łażących po mnie szczurów.

Chodnik zachwiał mi się pod nogami, lekko się potknąłem. Upadłbym na kolana, gdyby Fleet nie przyskoczył i nie podtrzymał mnie. Zgiąłem się w pół, chciałem wymiotować, ale żołądek miałem pusty. Wypłułem strużkę żółci na kępę chwastów.

– Pospieszcie się – burknął Chapman. – Gubernator czeka.

Fleet rzucił się na niego.

– On jest chory, na litość boską.

Odepchnąłem go, otarłem usta drżącą dłonią.

– Nieźle się czuję. – Nie chciałem litości Samuela Fleeta.

Acton jadł samotnie obiad w Koronie, schowany w prywatnym gabinecie na piętrze. Chapman został przy barze, a gospodyni, pani Speer, zaprowadziła nas po schodach, gawędząc o pogodzie. Wlokłem się z tyłu, czując odruch wymiotny.

Pokój był mały i dusznawy, na ścianach wisały scenki myśliwskie i potrzaskana czaszka starego jelenia ze złamanym porożem. Acton siedział pod wielkim oknem, słońce lśniło mu na plecach jak złoto. Stół przed nim zastawiony był obfitymi, do połowy zjedzonymi daniami: gotowana barania noga z zieleniną; pasztet z gołębi; dorsz z ostrygami i tyle chleba i sera, że oddział dla pospólstwa miałby co jeść przez tydzień. Stała tam także butelka klaretu i malinowa brandy. W piecu huczał ogień, ogrzewając pokój do przesady.

– Panowie. – Acton łyknął ostrygę i wytarł lśniąca smugę na rękawie. Skinął na nas ręką, żebyśmy do niego dołączyli. Fleet natychmiast usiadł po prawej stronie Actona, częstując się grubym plastrem pasztetu i kieliszkiem wina. Ja zostałem w drzwiach, pokój chwiał mi się pod nogami, aż dostałem mdłości.

Acton wypił łyk brandy.

– A więc, Hawkins, jesteś tutaj, żyw i zdrow. Bez wrogich uczuć, co? – Niebieskie jak lód oczy patrzyły na mnie, zachęcając, żebym mu się przeciwstawił.

– Czego ode mnie chcesz, sir?

Odciął kromkę chleba i obłożył ją serem.

– W końcu wychodzi na to, że Robertsa jednak zamordowano – powiedział, oblizując hałaśliwie wargi. – Mitchella też, jak słyszałem. Nie pozwolę, żeby w moim zamku mordowano więźniów.

– Przynajmniej bez pańskiego błogosławieństwa.

Fleet zamarł, czekając na wybuch. Ale Acton tylko się roześmiał, klepiąc się po udach, jakbym opowiedział świetny dowcip.

– No, no. Czyżby mój karczer zrobił z ciebie mężczyznę, Hawkins? – Rozsiadł się, wyjął list Charlesa i rzucił go na stół.

– Buckley rozmawiał ze mną dziś rano. Mówi, że podejrzewasz Gilbourne'a – uśmiechnął się. – Jakoś to przeżyję.

– To samo myśli o panu, panie Acton.

– No proszę. – Uśmiech gasł. – Fleet! – Kopnął go pod stołem. – Co o tym sądzisz?

Fleet, zajęty czytaniem listu od Charlesa, nachmurzył się zamyślony.

– To był Gilbourne – powiedział, jakby mówił o rozlanym mleku, a nie o morderstwie.

Acton chrząknął i potarł sobie szczękę. Przyglądał mi się przez chwilę.

– Z pana jest kłopot na dwóch nogach. – Zmarszczył brwi i spojrzał na Fleeta. – Nic dziwnego, że on cię lubi. Im szybciej wyjdiesz z mojego więzienia, tym lepiej, w trumnie czy w powozie – dla mnie żadna różnica. – Uderzył dłonią o stół. – Oto moja oferta, sir. Przypnij to Gilbourne'owi, a z ochotą osobiście przeprowadzę cię przez wartownię.

Wyprostowałem się.

– To nie jest oferta i dobrze o tym wiesz – powiedziałem i zdałem sobie sprawę, że już nie czuję strachu; został gdzieś w ciemnościach ostatniej nocy. – Sir Philip już obiecał, że mnie zwolni, jeśli znajdę zabójcę.

Błysk szacunku w oku Actona.

– No cóż, czego zatem chcesz?

– Żadnego więcej bicia i zastraszania. I trzymaj zaufanych więźniów na smyczy. Szczególnie Crossa.

Ugryzł jeszcze jeden kęs chleba z serem.

– Coś jeszcze?

– Muszę być wypuszczany z więzienia, kiedy to będzie potrzebne dla śledztwa. Jakes zostanie moim strażnikiem – dodałem, zanim zdążył zaprotestować. – A ciała z karceru mają być natychmiast wydane, żeby je pochowano.

Acton beknął, wyprostował ramiona.

– Nie, nie... co to, to nie. Rodziny nie zapłaciły należnych pieniędzy.

– To zapłać z własnej wypchanej kieszeni, ty chciwy synu dziwki.

– Tom... – cicho ostrzegł mnie Fleet.

Rzuciłem się na niego.

– Tam jest pięć trupów, które powoli zielenieją... wystarczy, żeby wywołać zarazę. Słyszałem, jak szczury się na nich pasły...

– No dobrze! – przerwał mi zdenerwowany Acton. Machnął ręką na Fleeta, który dziobał tartinkę ze słodką śmietaną, zupełnie nieporuszony moją przemową. – Będziesz musiał mu pomóc. Brakuje mu oleju w głowie, żeby sam to rozpracował.

Najeżyłem się.

– Wolałbym raczej pracować sam, sir.

– Nic mnie nie obchodzi, co byś wolał, sir. – Acton nalał sobie kolejną szklaneczkę brandy

– A jeśli to on zabił Roberta? Połowa więzienia tak myśli.

Acton obrzucił spojrzeniem mojego towarzysza z celi.

– Hm... Dobre pytanie – przyznał. – Zabiłeś kapitana, nędzniku?

Fleet odłożył łyżkę i popatrzył na Actona. W pokoju zapadła cisza. Słychać było tylko trzask ognia w piecu.

– Odpowiedz, do cholery – warknął wreszcie Acton. – Albo każę z ciebie wybić prawdę.

Fleet powolutku się uśmiechnął. Poczujęm chłód, chociaż stałem o parę kroków dalej, plecami do drzwi.

– Nie radziłbym – powiedział Fleet.

Acton nachylił się do niego, wystawił palec w stronę jego twarzy.

– Nie groź mi, sir. Nie ścierpię tego. Nie obchodzi mnie, ile mi płacisz.

Fleet roześmiał się Actonowi w twarz.

– Doskonale, gubernatorze. Zatrzymam sobie te pięć gwinei miesięcznie, a ty możesz mnie przykuć do ściany w karcerze i kazać Crossowi pobić mnie tak, jak pobił tego tutaj biednego chłopaka. Niech mi złamie kark, a co mi tam... zostawi trupa szczerom i po sprawie. A kiedy ludzie, którzy wtrącili mnie do więzienia, uznają, że znów potrzebują mojego talentu... myślisz, że cię za to nagrodzą? – Pochylił głowę. – Co im wtedy powiesz?

– Nie boję się ich – warknął Acton. – Mam własne kontakty...

– I jest jeszcze mój brat – kontynuował spokojnie Fleet, znów biorąc łyżkę. – Nie jestem pewien, jak by zareagował. Owszem, jest tylko bratem przyrodnim. Może wykroiłby ci tylko połowę serca. Niezwykle precyzyjnie posługuje się klingą.

Acton odsunął się.

– Zesłano go za ocean – wyszeptał chrypliwie. – Tak pisali w gazetach.

– Zdumiewający ocean, ten Atlantyk – powiedział Fleet, machając łyżką tam i z powrotem. – Można nim żeglować w obie strony. No, skończymy z tą nudną walką kogutów?

Acton wyrwał łyżkę z dłoni Fleeta i cisnął ją na podłogę; zaślnęła matowo w świetle ognia.

– Twój brat jest w Ameryce – rzekł stanowczym tonem. – I nic go nie obchodzisz, nawet gdyby wrócił. Naplułby ci na grób, jak my wszyscy. Chcę, żeby zakończono sprawę kapitana Robertsa, Fleet, rozumiałeś? Mam jej dosyć. Dam ci dwa dni, a potem, przysięgam nie na żarty, przyznasz się, że to ty zrobiłeś, a ja każę cię powiesić. A co do ciebie, Hawkins, wrzucę cię z powrotem do karceru szybciej, niż zdążysz się odlać. A teraz wy dwaj... wynoście się.

Wracaliśmy bez słowa, Chapman szedł za nami z ustami zanurzonymi w szklance piwa, które wyniósł z tawerny. Konfrontacja z Actonem musiała bardzo rozbawić Fleeta. Pomrukiwał melodyjnie przez całą drogę do więzienia, z fajką wetkniętą między zęby.

Przeklinałem go bez słów, wściekły, że Acton zmusił nas znowu do bycia razem. Nadal byłem zły na Fleeta, że ujawnił list od Charlesa – i byłem zły na siebie, bo

zabrakło mi oleju w głowie, żeby trzymać go z dala od jego złodziejskich palców. Dlaczego nie zniszczyłem listu? Oczywiście, byłem zbyt zajęty besztaniem Fleeta, że przebrał mnie w ubranie Roberta. Ten człowiek był oszustem i szachrajem, peszył i denerwował wszystkich wokół siebie dla własnej rozrywki i własnego zysku. Bogu dzięki, że nie spotkałem go przy grze w karty.

Inna część mnie wiedziała, że muszę przełknąć dumę i przyjąć jego pomoc. Przy wszystkich swoich wadach, Fleet był mądry i sprytny – a teraz, gdy znalezienie zabójcy leżało w jego własnym interesie, może przestanie się zabawiać, dopóki nie odkryjemy prawdy. Acton dał nam tylko dwa dni; nie wolno zmarnować ani chwili na dąsy.

– Tom, jak długo masz zamiar mnie karać? – zapytał uprzejmie Fleet, kiedy wchodziliśmy po schodach do Belle Isle. Miał niesamowity talent do czytania mi w myślach.

Zignorowałem go i zawołałem przez okno, żeby przynieśli spóźniony obiad z Cycatej Lali. Fleet mógłby, do cholery, zapłacić za niego, po wszystkich kłopotach, jakie na mnie ściągnął. Czekałem na obiad przy oknie, on leżał na łóżku i palił kolejną fajkę. Czułem jego wzrok na plecach, słyszałem ciche tykanie srebrnego zegarka dobiegające z jego kieszeni. Jak go odzyskał od Crossa? I gdzie był jego dziennik? Zastanowiłem się, a potem skłamałem za to, że się tym zajmuję. W ten sposób wciągał człowieka, jak rybak, który zakłada przynętę i czeka cierpliwie, aż ryba weźmie. Albo niecierpliwie. Po nerwowym pociąganiu z fajki poznałem, że moje milczenie gniewa go tak, jak mnie jego bezmyślna zdrada. Dobrze, pomyślałem, ale pokręciłem głową: znam go zaledwie trzy dni, a już jesteśmy jak stare małżeństwo.

W sąsiednim budynku otworzyły się ze skrzypnięciem drzwi i wyłonił się okrągły brzuch, a za nim na dziedziniec wkroczył pan Woodburn. Przyklepał kapelusz na długiej peruce i opierając się na lasce, przeglądał swoją trzódkę. Zawołałem do niego, głównie dlatego, że wiedziałem, jak zdenerwuje mojego towarzysza z celi. Zaskoczony kapelan podniósł na mnie wzrok, osłaniając się dłonią przed słońcem.

– Pan Hawkins! – krzyknął. – Wrócił pan do zdrowia!

– Oczywiście, że nie, ty stary durniu – mruknął za mną Fleet ze swojego łóżka.

– Bardzo mi się poprawiło, sir, dziękuję. Podobała mi się pańska msza dziś popołudniu.

Krztuszenie się i kaszel z łóżka.

– Krzywoprzysięstwo!

Woodburn uśmiechnął się i wyprostował; zaczął kołysać się na obcasach.

– Jestem zachwycony, że to słyszę. – Wyciągnął szyję i zawołał nieco głośniej: – Przykro mi, że pan Fleet nie był w stanie przyjść dzisiaj na nabożeństwo. Ale przecież często widzę, jak ci, którym najbardziej potrzebne jest przewodnictwo kościoła, najbardziej uporczywie odmawiają jego przyjęcia...

– Cóż, panie Woodburn – powiedziałem, schylając głowę i przyjmując najbardziej

pobożny wyraz twarzy, na jaki było mnie stać – będzie panu przyjemnie, kiedy się pan dowie, że pan Fleet ma egzemplarz jednego z pańskich kazań...

– ...którym podcieram sobie dupę...

– ...które czytuje co wieczór, by znaleźć pocieszenie.

– Doprawdy? – Twarz Woodburna pofałdowała się, kiedy próbował pojąć ten zadziwiający fakt. – No, no. Miło mi słyszeć, że moje słowa przynoszą mu jakąś otuchę. – Podszedł bliżej. – A co z tą inną sprawą, sir? – zapytał scenicznym szeptem. – Z pańskim śledztwem? Przypuszczam, że gubernator kazał je powstrzymać?

– Ależ nie, sir – powiedziałem, ścisząc głos. – Dopiero co dał nam wolną rękę w poszukiwaniach.

Woodburn wyglądał na zdumionego.

– Naprawdę? I mówi pan, że pracuje z panem Fleetem?

Już miałem to potwierdzić, kiedy Fleet wyskoczył z łóżka i zatrzasnął okno.

– Na litość boską – syknął. – Mam ci znaleźć trąbę, żebyś ogłosił to na całe Borough?

Rzuciłem się na niego.

– Dzięki tobie całe więzienie już wie, co robię. Gdybyś nie ukradł tego listu, moje dochodzenie pozostałoby w tajemnicy.

– Ha! – Wyjął z kieszeni list i pomachał mi nim przed nosem. – Gdybyś mi tylko powiedział, spaliłbym go, zanim zdążyłby wpaść w niewłaściwe ręce.

– To znaczy w twoje – warknąłem, wyrwałem mu list i wrzuciłem w ogień. – Chciałem ci wszystko powiedzieć wczoraj w pubie, ale odegnałeś mnie jak psa. A przy okazji, co to była za sprawa? Kim był człowiek, z którym rozmawiałeś?

– Sprawa rodzinna – powiedział z wyższością Fleet. Zamilkł na chwilę. – A więc znów rozmawiamy?

Założyłem ręce.

– Nie przebaczyłem ci.

– Oczywiście, że przebaczyłeś. Po prostu jeszcze o tym nie wiesz. – Wyciągnął rękę.

Wiedziałem, że nie powinienem jej przyjmować. Jutro znów będę go przeklinał – jeśli dożyję do jutra. On był diabłem, co do tego nie było dwóch zdań. Powinienem kazać pani Bradshaw wyhaftować na mojej chusteczce „Nie ufaj Samuelowi Fleetowi” i nosić ją przypiętą do piersi. Ale, prawdę mówiąc, potrzebowałem go. Jeszcze gorzej; hazardzista we mnie szeptał mi z przejęciem do ucha: przyjmij jego dłoń, zaryzykuj. Bo przy wszystkich niebezpieczeństwach, związanych z jego towarzystwem, były i korzyści i nie chodziło tylko o srebrny zegarek czy pieniądze na czynsz. Prosta rzecz – życie stawało się bardziej interesujące. Bez wątplenia znacznie krótsze – ale interesujące.

– Myślę, że bezpieczniej być twoim przyjacielem niż wrogiem.

– Niekoniecznie.

Podałem mu rękę.

– Świetnie! – krzyknął, chwycił mnie za dłoń i potrząsnął nią energicznie, a rękawy szlafroka opadły mu aż do kostek palców. – Byłem pewien, że będziesz się dąsał jeszcze jakąś godzinę. Zamówmy wazę ponczu – dodał pospiesznie, widząc moją minę. – Pomoże nam się skupić.

Zjadłem lekki obiad, grzanki z masłem i gotowane jajka, chociaż trudno było mi jeść, bo gardło miałem posiniaczone i obrzmiałe. Po poprzedniej nocy nadal nie czułem się dobrze. Staralem się nie myśleć o trupich oparach, którymi przez całą noc napełniałem sobie płuca. Sama myśl o tym wystarczała, żeby żołądek wywracał mi się na drugą stronę.

Większą część ponczu wypił Fleet.

Kiedy skończyłem, rozsiedliśmy się przy ogniu i zapaliliśmy fajki. Jedzenie i tytoń pomogły mi trochę uspokoić nerwy, koszmary bicia i uwięzienia zaczęły wreszcie blaknąć. Ziewnąłem i przeciągnąłem się, na ile pozwalały mi sińce i rany.

Fleet oparł brodę na dłoni.

– Powiedz, dlaczego podejrzewasz Gilbourne'a?

Opowiedziałem mu o wyznaniu pani Roberts na temat wjazdu prowadzącego do więzienia i o tym, jak jej przyjaciel-aktor, pan Simmons, zakradał się do więzienia i wykradał się z niego dzięki kluczowi Gilbourne'a. Fleet słuchał uważnie, palce miał złączone, czarne oczy błyszczały jak wypolerowany jaseit.

– Więc Gilbourne mógł się zakraść na dziedziniec tak, żeby nikt go nie widział, nawet strażnicy. A ty jesteś pewien, że tylko on miał klucz?

Skinąłem głową.

– Ale musiał mieć współnika, zgodzisz się chyba? Kogoś z kluczem do tego oddziału i na stronę dla pospólstwa. Kogoś dość silnego, żeby mu pomógł przenieść ciało przez dziedziniec. Stawiam na Crossa.

Fleet zachichotał.

– Oczywiście... a ty byś bardzo chciał zobaczyć, jak zadynda. Ale dlaczego Cross miałby zabić Roberta? Ledwie się znali.

– Pieniądze. Zawsze w grę wchodzi pieniądze; sam to powiedziałeś.

– Cóż, nie muszę mieć we wszystkim racji... – Zamilkł, nieprzekonany własnym argumentem.

– Gilbert Hand powiedział mi, że bym zapytał ducha, co się stało z pieniędzmi – upierałem się, ale Fleet odrzucił tę błażostkę machnięciem ręki. – Harry Mitchell powiedział...

– Harry Mitchell? – ostro przerwał Fleet. – Dopiero co zamordowany Harry Mitchell? Rozmawiałaś z nim? Kiedy?

– Wczoraj rano, na oddziale dla pospólstwa.

– Wczoraj rano na oddziale dla pospólstwa. Oczywiście. Ależ dureń ze mnie! I co



ci powiedział Mitchell? Kiedy ja go pytałem, powiedział, że nic nie wie. – Zmarszczył brwi. – Zapłaciłem mu pół szylinga za tę zdumiewającą wiadomość.

– Cóż, za darmo powiedział mi, że kapitan Roberts miał zamiar szantażować Gilbourne’a.

Fleet westchnął i oparł głowę na rękach. Siedział tak przez dłuższy czas, pocierając palcami oczy, jakby był niewymownie zmęczony. Jeszcze nie widziałem go takim... pokonanym. Później zrozumiałem, że wstrząsnęły nim moje słowa. Fleet pysznił się, że po ludziach spodziewa się najgorszego, ale na to nie był przygotowany.

– Roberts – wyszeptał w końcu. – Ty durniu. Ty przeklęty durniu.

– Mitchell powiedział, że wie, co zrobił Gilbourne. Zaproponował, że mi powie, jeśli zapewnię mu wolność. Za bardzo się bał cokolwiek powiedzieć tu w więzieniu. Bał się, że Gilbourne każe go zabić. A teraz jest martwy.

Na półpiętrze obok trzasnęły drzwi, piętro wyżej zahuczały kroki, deski jęczały i skrzypiały. Trim wracał do swojego pokoju. Fleet spojrzął na sufit z niepokojem.

– Mitchell miał rację, że był ostrożny – powiedział. – Nie możemy ryzykować i rozmawiać tutaj.

– Chyba masz rację – odparłem spoglądając na sufit. – Ale jestem pewien, że Trimowi możemy zaufać. – Pokazałem wilgotną plamę w okolicy okna, gdzie deski popękały i wypaczyły się. – Aż dziw, że nie spadł i nie złamał sobie karku, takie to wszystko zgniłe.

Fleet przyłożył palec do ust.

– Takie to wszystko zgniłe – powtórzył szeptem.

# Rozdział 18

**F**leet nie chciał powiedzieć ani słowa więcej, dopóki nie wyszliśmy z Belle Isle. Nawet wtedy nie dał z siebie nic wyciągnąć, tylko dał do zrozumienia, że jest coś pilnego, co chciałby omówić, ale żeby to zrobić, musimy wyjść z więzienia.

– A więc musimy znaleźć Jakesa – odparłem. Acton zgodził się, żebyśmy w sprawach śledztwa wychodzili z więzienia, ale tylko pod strażą.

– Jakes będzie w kościele – powiedział Fleet, pociągając z dezaprobatą nosem. – Pewnie całe dni spędza na kolanach. I nie w jakiś pożyteczny sposób. – Zakaszłał, żeby stłumić śmiech. – Dlaczego nie wziąć Crossa albo Chapmana?

– Nie ufam im. – „I nie ufam tobie”. Myśl o Crossie współpracującym z Fleetem była niepokojąca.

Nachmurzył się.

– To potrwa za długo.

– On mieszka wszystkiego pięć przecznic stąd.

Fleet wysunął stopę i otworzył usta, żeby się spierać... ale dostrzegł moją minę. Musiała być pochmurna, bo ledwie spojrzał, wycofał się. Podniósł ręce na znak porażki i poszedł poszukać kóregoś z chłopaków Handa, żeby wysłać list. Usiadłem na beczce przy drzwiach i zamknąłem oczy. I znów tam się znalazłem, w karczerze, w środku nocy...

– Panie Hawkins. – Szept przy uchu.

Otworzyłem jedno oko, potem drugie.

– Kitty?

Ubrana była w porządne, niedzielne ubranie – jasnoniebieską suknię związaną wstążkami i schludną chustę na ramionach. Włosy miała częściowo rozpuszczone, miedziane loczki opadały jej na twarz, pierś jej falowała; musiała biec przez dziedziniec, żeby mnie dopaść. Łapiąc oddech, przyłożyła dłoń do gorsetu.

– Ślicznie wyglądasz – powiedziałem bezmyślnie.

Mrugnęła zaskoczona.

– A ty wyglądasz paskudnie – odparła i dotknęła palcami mojej skroni, tam, gdzie żelazna czapka wgrzyła się głęboko. W oczach błyszczały jej łzy.

– Jest coś, co musisz wiedzieć...

– Catherine Sparks! – Wrócił Fleet. Wyglądał na złego, a nawet niebezpiecznego.

Większość osiemnastolatek zapiszczałaby ze strachu, ale nie Kitty. Wyprostowała się, oparła dłonie o biodra.

– Będę z nim rozmawiała, kiedy zechcę – powiedziała, wysuwając zaczepnie podbródek. – Nie jesteś moim ojcem.

Czekałem na zgryźliwą odpowiedź, ale nie nadeszła. Ramiona mu opadły.

– To prawda.

Kitty podbiegła do niego przerażona i zarzuciła mu ramiona na szyję. Coś szepnął jej do ucha, pokręciła głową.

– To nie jest w porządku – nadąsała się.

Fleet popatrzył na mnie i uniósł oczy.

– Porozmawiamy o tym później, Kitty.

Tupnęła nogą. Fleet zachichotał; uderzyła go mocno w ramię, potem znowu go objęła i biegiem wróciła na dziedziniec.

Patrzyłem, jak odchodzi, zdumiony całym tym przedstawieniem.

– Ta dziewczyna zmienia się szybciej niż pogoda.

Uniósł brwi.

– No, a dlaczegoż to, Tom?

Podniosłem dłonie na znak protestu.

– Nie zrobiłem nic, żeby ją zachęcić.

– Przystojny dwudziestopięcioletni młodzieniec nie musi niczego robić. Masz. – Wręczył mi sztylet, który Cross ukradł mi poprzedniego wieczora.

– Możemy wyjść, gdy tylko Jakes raczy się zjawić.

– Co masz przeciwko Jakesowi? To dobry człowiek.

– Właśnie.

Wsunąłem ostrze za pas.

– Cieszę się, że jest z nami. Nie mogę sobie pozwolić na przegranie kolejnego starcia. Tobie dobrze, ale ja muszę brać pod uwagę swój wygląd.

Fleet roześmiał się i podrapał po brodzie. Całkiem już posiwiąła. Kolejna nieprzespana noc, bez wątpienia. Może czuje się winny, że mnie zdradził. Ale jeśli poczucie winy nie pozwalało zasnąć Samuelowi Fleetowi, to znaczy, że musiał zrobić coś naprawdę piekielnego. Nie widziałem, żeby spał, odkąd tu przybyłem.

– Nie wolno nam omawiać spraw przy Jakesie.

– Dlaczego? Chyba go nie podejrzewasz?

– O zabicie Roberta...? – Fleet zamilkł, zastanawiając się nad tą możliwością. Rozchylił wargi w uśmiechu. – Wiesz, mógł to zrobić. Ma dostęp do pokoju strażników i wszystkie klucze. I mógł zanieść Roberta do karceru na ramieniu. – Klasnął w dłonie. – Świetnie! To Jakes.

– Hm, właśnie tu jest – skinąłem głową w stronę wartowni. Jakes szedł korytarzem.

– Chcesz mieć honor aresztowania go? A może on sam się aresztuje, jako policjant sądowy?

Myślałem, że Fleet powściągnie język. Myliłem się.

– Dobry dzień, sir! – krzyknął, kiedy Jakes podszedł do nas. – Powiedz, zamordowałeś kapitana Roberta?

Jakes gapił się na niego oniemiały.

– Coś ty powiedział? – wydyszał, kiedy odzyskał głos.

– Właśnie rozważaliśmy tę możliwość. Tom sądzi, że nie, ale przecież z niego bardzo ufny człowiek. – Poklepał mnie po ramieniu. – Musimy to z ciebie wytrząsnąć.

Jakes zwinął dłonie w pięści.

– Jak śmiesz! – zahuczał. – Jak śmiesz mnie oskarżać! Kapitan Roberts był moim przyjacielem! Bratem! Myślisz, że zabiłbym człowieka, który uratował mi życie? Ostatnie trzy miesiące strawiłem, udowadniając, że został zamordowany. A co ty zrobiłeś w tym czasie, cwaniaku? Siedziałeś na dupie i nic nie robiłeś, żeby tylko obronić swoją reputację. Całe więzienie uznało cię za winnego. – Schwycił Fleeta za kołnierz i przyciągnął go bliżej. – Powiedz no, panie Fleet. Czy zamordowałeś kapitana Roberta?

Fleet spojrzał Jakesowi prosto w oczy.

– A co byś zrobił, sir – zapytał spokojnie – gdybym się przyznał...?

Jakes uniósł pięść.

– Na litość boską! – warknąłem, wcisnąłem się między nich i powstrzymałem pięść Jakesa. Przez chwilę gniewnie na mnie patrzył, potem powoli opuścił ramię, nie spuszczać wzroku z Fleeta. – Nie mamy na to czasu! Jeśli chcesz, żebyśmy się nawzajem rozdarli na sztuki, to będziesz musiał poczekać, aż znajdziemy prawdziwego zabójcę. Potrzebuję jego mózgu – powiedziałem do Jakesa. – Na nic mi się nie zda, jak rozsmarujesz go po dziedzińcu.

Kiedy ponownie znaleźliśmy się w zgiełku High Street, serce urosło mi z radości. Marshalsea było jak wyspa osadzona we własnym czasie i przestrzeni. Przez trzy dni, odkąd zostałem tam zamknięty, prawie zapomniałem, że za murami jest świat – a podczas drogi do Korony byłem zbyt zajęty myślami, żeby docenić ten krótki czas wolności.

Ulica pełna była gości, którzy przepłynęli rzekę, żeby ochoczo weselić się niecnymi przyjemnościami Southwark: walkami niedźwiedzi i kogutów, teatrem i hazardem, akrobatami i wrózkami, tanim piwem i równie tanimi flamandzkimi dziwkami. Prawdopodobnie nie całkiem to miał na myśli Pan, ustanawiając dzień odpoczynku. Fleet wyglądał niemal na pijanego ze szczęścia.

– Gdybyśmy rozbiegli się w przeciwnych kierunkach – zapytał Jakesa, podnosząc z zaciekawieniem wzrok – kogo byś gonił?

– Popatrz na tych wszystkich ludzi – westchnąłem, przyglądając się chłopcom śmigającym między kołami wozów; lektykarzom wyszukującym drogę w tłoku; kobietom paradującym w najlepszych niedzielnych strojach. – Czy oni wiedzą, jacy są szczęśliwi?

– Nie praw mi kazań, Tom. – Fleet pociągnął Jakesa za żakiet. – Pytam poważnie: za kim byś pobiegł?

Jakes uderzył Fleeta w ramię i mocno zacisnął dłoń.

– Acton ma kumpli w każdej tawernie. Gdyby któryś z was uciekł, oni by was gonili. A jeśli by was znaleźli... – Mocniej zacisnął dłoń. Łzy bólu pojawiły się w oczach Fleeta. – Cóż. Oni nie są tacy łagodni jak ja. – Puścił jego rękę.

Fleet teatralnie roztarł sobie ramię i mrugnął do mnie.

– Skoro mowa o tawernach... – powiedziałem. – George?

Fleet pokręcił głową.

– Słyszałeś, co powiedział. Tam się roi od szpiegów Actona. Nie jest lepiej niż w Marshalsea. Potrzebujemy spokojnego miejsca, gdzie nie będzie można nas podsłuchać. Snows Fields będą puste.

Jakes chrząknął z aprobatą.

Fleet popatrzył na niego ze strachem.

– Dobry Boże, czyżbyśmy się zgadzali, panie Jakes? Kłopotliwa sprawa.

Skręciliśmy prosto w Axe and Bottle Yard, biegnącą wzdłuż północnego muru Marshalsea. Przeszliśmy obok szewców, których słyszałem z drugiej strony muru. Warsztaty były dzisiaj pozamykane. Potem obok apteki, cukierni i sklepu kolonialnego. Gdzieś w tym murze były ukryte drzwi do piwnicy, którymi „duch” pani Roberts zakradał się do więzienia. Musiały być dobrze zamaskowane, bo ich nie zauważyłem. Dalej przy ulicy poczułem ciepły, kuszący aromat świeżo upieczonego chleba i nagle się zatrzymałem, a kiszki zagrały mi marsza.

Jakes pokazał piekarnię przed nami.

– Nehemiah Whittaker. Najlepszy chleb w Southwark – powiedział, kiedy przechodziliśmy. Potem nachylił się i wyszeptał mi do ucha: – Przyjaciel gubernatora. Uważaj na to, co mówisz.

Kupiłem sobie dwie bułki i zjadłem je na miejscu, popijając czarką czekolady, kiedy Jakes gawędził z żoną Nehemiaha. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, Fleet zawrócił drogą, którą przybyliśmy.

Jakes dotknął szpady.

– Jeśli pan myśli o ucieczce, panie Fleet...

– Myślę o wałówce, panie Jakes – powiedział Fleet, zmierzając do sklepu.

Na końcu uliczki wyszliśmy przez niską drewnianą furtkę na puste pole. Zatrzymałem się i spojrzałem na szerokie Snows Fields, ogromne niczyje pole rozpościerające się aż do Bermondsey. Przed nami leżały sady i małe ogródki warzywne, niektóre dobrze utrzymane, inne zarośnięte i błotniste. W oddali dostrzegłem pole do suszenia farbowanych tkanin z wielkimi kwadratami materiału rozciągniętego na kołkach, żeby sechł w późnym, popołudniowym słońcu.

Odwróciłem się w stronę pola, potknąłem się i omal nie upadłem. Nieużytki były nierówne, małe kępki trawy i ziemi sterczały na powierzchni. Rozejrzałem się.

– Czy to cmentarz?

Jakes wydał policzki.

– Tak wygląda, prawda? Pan Woodburn tak uważa. Przychodzi tutaj, żeby praktykować nabożeństwa.

– I praktykuje? – Fleet wyglądał na zdumionego.

Słońce stało nisko za naszymi plecami i rzucało długie cienie na trawę. Jakes usiadł pod starym dębem i oparł się o pień. Drzewo było sęcate ze starości, pobliźnione i zniszczone przez pogodę. Jedna z grubszych gałęzi wystawała dalej niż pozostałe, jakby wskazywała coś w oddali, ostrzegając albo oskarżając.

– Można by na tym powiesić człowieka – powiedziałem.

Fleet rzucił mi z ukosa spojrzenie – taksujące zerknięcie lekarza, którego pacjent właśnie ujawnił nowe alarmujące objawy.

– Przejdźmy się jeszcze – powiedział i oplatając palcami moje ramię poprowadził mnie dalej.

– Będę na ciebie patrzył, Fleet – ostrzegł Jakes.

– Cóż za rozkosz dla ciebie.

Kiedy dotarliśmy do równiejszego kawałka ziemi, Fleet rzucił szary wełniany koc, który niósł pod pachą, i rozciągnął się na nim. Podłożył ręce pod głowę.

– Miło widzieć niebo bez ograniczeń – powiedział cicho.

Usiadłem obok niego i jadłem jabłko.

– O co chodzi z Kitty?

Fleet patrzył na płynące obłoki i nic nie mówił. Ptaki ćwierkały, nawoływały się na gałęziach nad nami, wiatr szeleścił w trawie. To mogło być gdziekolwiek, wystarczyło nie patrzeć w stronę Borough, w stronę więzienia. Spojrzałem wprost przed siebie. Może białe kwadraty w oddali to nie kawały tkanin, schnących na palikach wbitych w ziemię, ale wielkie żagle wspaniałej flotylli. Mógłbym pobiec na brzeg i patrzeć, jak przepływają obok mnie, milczące i majestatyczne, tak jak robiłem, kiedy byłem chłopcem. I wtedy opanowały mnie wspomnienia: biegłem do brzegu w Oksfordzie, nieskończone niebo nad głową, smak soli w powietrzu, ryk fal, mewy krążące i szybujące na wietrze, coraz wyżej i wyżej.

Kiedy się obudziłem, słońce stało nisko, w powietrzu czuło się chłód. Fleet nadal leżał na plecach i patrzył w niebo. Usiadłem; czułem się zamroczony, ale wypoczęty.

– Pozwoliłeś mi zasnąć?

– Potrzebowałeś tego. A twoje chrapanie pomagało mi w myśleniu.

– Która godzina?

Podał mi swój srebrny zegarek. Prawie szósta. Kiedy próbowałem mu go oddać, odepchnął moją rękę.

– Tom, byłeś kiedy zakochany?

Tylko Fleet potrafił zadać takie pytanie bez ostrzeżenia czy przeprosin. To był mądry trik; potrafił odczytać odpowiedź z mojej twarzy w chwili, gdy je zadał. Przez

sekundę, zanim pojawia się maska, można odgadnąć prawdę, patrząc człowiekowi w oczy – ale trzeba szybko pytać, kiedy ktoś się nie spodziewa i wiedzieć, że zaraz potem może dać człowiekowi w szczękę.

– Naprawdę to nie. Nie na poważnie – wymruczał, odpowiadając za mnie. Miał rację, ale nie dałem mu satysfakcji, żeby powiedzieć to samo. Sięgnął po butelkę wina i pociągnął długi łyk.

– Kitty to córka mojego starego przyjaciela, Nathaniela Sparksa. Umarł pięć lat temu. – Potarł złotą obrączkę ślubną, jakby był Aladynem wywołującym dzina.

Zajęło mi chwilę, zanim zrozumiałem, że odpowiedział na pytanie, które zadałem mu prawie godzinę wcześniej.

– Kitty powiedziała, że jej ojciec był doktorem.

– Tak. Był świetnym lekarzem. I zrobił na tym majątek. Obawiam się, że do tej pory cały przepadł. – Wyrwał garść trawy i rzucił ją na wiatr.

– Co się stało?

Roześmiał się gorzko.

– Matka Kitty, Emma... Bardzo piękna jako dziewczyna i nie bez uroku osobistego. Ale potrzebny był Nathaniel, żeby trzymać ją w ryzach. Kiedy dowiedział się, że umiera, kazał mi obiecać, że zaopiekuję się nią i Kitty. – Przerwał i pochylił głowę.

Nigdy jeszcze nie widziałem takiego Fleeta; nie było w nim udawania. Zrozumiałem, że właśnie wtedy wszystko się skończyło. Czekałem.

– Nathaniel był najlepszym z ludzi. Odważny i lojalny. – Dotknął niewielkiej blizny na skroni. – Byłby zadowolony ze spokojnego życia, szczególnie kiedy urodziła się Kitty. Ale Emma nie chciała wyjechać z Londynu, a ja... ja musiałem mieć go obok siebie, rozumiesz. Samolub... – mruknął w trawę. – Wtedy nie byłem właścicielem drukarni. Byłem... – Obejrzał się na Jakesa siedzącego pod drzewem.

– Byłeś szpiegiem – zgadłem. Dowiedziałem się tego z rozmów z Actonem, w Koronie.

– Jeszcze gorzej – szepnął Fleet. – Uwielbiałem to, Tomie. To była gra – niebezpieczna i ekscytująca. Gdybym miał zginąć, grając w nią... a niechby.

Pokiwałem głową.

– Ale za nic nie powinienem w to wciągać Nathaniela. Nie był do tego stworzony. Nie zdawałem sobie... nie, to nieprawda – poprawił się. – Doskonale o tym wiedziałem. Ale nie obchodziło mnie to. Nie byłem przygotowany na odejście z gry, więc go w nią wciągnąłem. I umarł.

Zamilkł, skupiony patrzył w dal.

– Smutek prowadzi człowieka w ciemne miejsca – rzekł wreszcie. – Ale wina to jak bicz na plecach, pogania cię. Nathaniel umarł z mojej winy, uciekłem więc w poszukiwaniu siebie samego. Zanim wróciłem do Londynu, minęło pięć lat. Dom został sprzedany, a matka i córka zniknęły. Emmę odnalazłem dość łatwo, ale prawie jej nie

poznałem, tak się zmieniła. Sprzedawała się za dzin w St Gilles – skrzywił się. – Płaciłem jej czynsz, kupowałem jedzenie i ubranie. Wszelkie pieniądze spłynęłyby jej do gardła.

– A Kitty?

– Uciekła. Przed laty. Emma ledwie pamiętała, jak miała na imię, nie mówiąc już o tym, gdzie ją ostatni raz widziała. Całe miesiące szukałem jej bez skutku. Potem, rok temu, w lutym wtrącono mnie na przechowanie do więzienia – aż ludzie, którzy mnie wynajęli, postanowią, czy mnie wykorzystać, czy zabić. I ona tu była, jak cud, w kawiarni Sarah Bradshaw. Tak jakby cały czas na mnie czekała. I nietknięta – mój Boże! – Przejechał dłonią po głowie.

Z pobliskiego płotu sfrunął wróbel. Rzuciłem kilka okruszków, przyskakał trochę bliżej.

– Pewnie strzegł jej duch ojca.

– Bzdury.

– Chciałem tylko powiedzieć...

– Chciałeś mnie wytłumaczyć, że ją opuściłem. Hm, nie trzeba – warknął. – Zostawiłem ją, Tomie. Przeżyła dzięki własnemu umysłowi i odwadze i niczemu więcej. Nie odmawiaj jej tego.

Wróbel poskakał trochę w trawie i odleciał.

– Czy ona jest twoja, Fleet? – zapytałem cicho.

Fleet zmarszczył ciemne brwi.

– Moja?

Zaczerwieniłem się.

– Dopiero co mówiłeś o miłości. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie pomyśleć...

– Dobry Boże! – krzyknął ze zdumieniem, szeroko otwierając czarne oczy. – Co ty, u diabła, myślisz? Trzymałem ją na rękach, kiedy miała kilka godzin życia! Nie, nie, nie! Nie jest moja. Ani niczyja.

– To o co ci chodziło, z tym byciem zakochanym? – zmarszczyłem brwi. – Nie rozumiem.

Fleet popatrzył na mnie ze smutkiem.

– Nic takiego. – Odwrócił się, spojrzął na Jakesa, który nadal drzemał pod drzewem, i ściszył głos. – Może innym razem. Ale muszę ci powiedzieć o Robertsie i Gilbournie. Najpierw naładuj sobie fajkę. Będzie ci potrzebna.

– Roberts nie był złym człowiekiem – zaczął Fleet, kiedy zapaliłem. – Podobno świetny oficer. Odważny, niepozbawiony honoru.

– Uratował Jakesowi życie.

– Cóż, nie miejmy mu tego za złe. – Fleet chwycił drugą butelkę wina i wyciągnął zębami korek. Upił łyk i wytarł usta rękawem. – Nie był złym człowiekiem, ale głupiał,



kiedy chodziło o pieniądze. Gdyby miał w kieszeni dwa szylingi, spekulowałby trzema. Był pewien, że fortuna czeka na niego za rogiem, za następnym rogiem, za jeszcze następnym. Oczywiście, to śmieszne. Jedyne, co czekało na kapitana Robertsa za rogiem, to jego wierzyciele.

Rozpaczliwa wiara hazardzisty w opatrność. Doskonale to znałem.

– Wyrzuty sumienia, tego nie mogłem ścierpieć – mówił dalej Fleet, unosząc wzrok. – Wszystkie te godziny zmarnowane na szlochaniu w poduszkę. „Och, co ja zrobiłem, co ja zrobiłem?” Godziny na kolanach w kaplicy, zawrozczenie do niebios. „Przebacz mi, Panie! Przysięgam, że się zmienię! Daj mi ostatnią szansę, błagam Cię!” Brr! Wątpię, żeby Bóg w swej nieskończonej mądrości zastanawiał się, jakie są szanse na spełnienie tej obietnicy. Mówiłem: Roberts, sam to na siebie sprowadziłeś. Nie zwracaj głowy Bogu swoim wrzaskiem, tylko Go zirytujesz.

– To musiała być wielka pociecha.

Fleet zachichotał.

– Myślę, że niewiele się różnił od większości z nas – przyznał. Pokazał kciukiem w stronę więzienia. – Tam są zamknięci ludzie, którzy dziesięć lat czekają na odmianę losu. „Jutro wygram sprawę. Jutro długi będą umorzone. Jutro dziadek-wujek Jakmutam umrze i zostawi mi majątek, nareszcie będę wolny!”

Wypuściłem dym z płuc, wspominając, co powiedziała mi Moll wieczorem, zanim zostałem wtrącony do więzienia: „Tom, ty zawsze mówisz, co będzie jutro”.

– Potem nadchodzi jutro i nic nie niesie pod pachą. Wściekłość. Rozpacz! – Fleet wyrzucił w górę ręce. – Potem trucizna. Nadzieja. Wsącza ci się w krew. I wszystko zaczyna się od nowa. To więzienie, które oni sami robią dla siebie. Gilbourne to rozumie. Drapieżnik lepiej zna swoje ofiary niż siebie.

– Czego Gilbourne chciał od Robertsa?

– Jego żony. – Znow napił się wina. – Pewnego dnia wróciłem do Belle Isle i znalazłem Robertsa leżącego na podłodze; rękami trzymał się za głowę. Gilbourne zrobił mu propozycję. Zapłaci Robertswi dziesięć gwinei, tyle, żeby mógł wyjść z więzienia. Po gwinei za każdy raz.

– Mój Boże – wyszeptałem. Przebiegłość i okrucieństwo oferty Gilbourne’a odebrała mi dech. Catherine mogła krzyczeć, mąż by jej nie pomógł i kto by jej uwierzył? A Roberts mógł obronić jej honor, tylko przyznając się do winy.

Fleet pochylił głowę.

– Myślę, że dla Gilbourne’a było to całkowicie sensowne. Przecież siedzi cały dzień w biurze, ustala stawki, robi transakcje. Szyling za to, gwinea za tamto. Czemuż nie kupić od człowieka żony, jeśli sam tego chce?

Zapadła długa cisza. Fleet miał rację: Gilbourne przywykł do kupowania sobie drogi przez życie. Wyrwałby chleb z ręki głodującego, gdyby od tego zależało, że będzie się pięknie ubierał. Ale czy nie było w tym czegoś więcej? Manipulował mną

tamtego wieczora u Actona dla własnej rozrywki. Wszystkie te pochlebstwa i udawana skromność wciągały mnie. „Och tak, panie Hawkins, to wszystko bzdura i głupota, ale my się na tym poznaliśmy, prawda?” Fleet nazwał Gilbourne’a drapieżnikiem, ale on polował dla sportu, nie dla zaspokojenia apetytu.

Uważałem się za człowieka światowego, ale tego było zbyt wiele. Roberts chciał tym szantażować Gilbourne’a? Tylko tyle? Dlaczego nie przeszyć go ostrzem, na litość boską?

– Roberts poprosił mnie o radę – powiedział Fleet, wytrącając mnie z morderczych myśli. Uśmiechnął się ponuro. – Była to chyba oznaka rozpacz. Gilbourne chytrze wykorzystał Catherine. Roberts winił ją, że go przekonała, by wydać ich syna. A tamte pieniądze od jej ojca... w sam raz, żeby płacić miesięczny czynsz, choć przecież mógł sobie pozwolić na to, by tysiąc razy ich uwolnić. Roberts potrafił szukać winy we wszystkich, byle nie w sobie.

– Ale ty go powstrzymałeś.

– Powiedziałem, że zgnije w piekle. To chyba poskutkowało. – Fleet wzruszył ramionami. – Nie był światłym człowiekiem.

– A Catherine nigdy nie dowiedziała się prawdy.

Fleet pokręcił głową.

– Kilka dni później Roberts nie żył. Myślałem, że Gilbourne zabił go z urazy. Ale jeśli Roberts próbował go szantażować, dawałoby to lepszy motyw, nie? Biedny Roberts. Naprawdę był idiotą. Spotkałem mnóstwo niebezpiecznych ludzi, a Gilbourne jest jednym z najgorszych – przerwał. Z wyrazu jego twarzy zrozumiałem, że przypomina sobie dawne dzieje, kiedy ledwie uchodził z życiem. – Musimy się strzec. Jeśli zacznie podejrzewać, że znamy prawdę, nasze życie jest zagrożone. Wiemy, że może wchodzić i wychodzić, kiedy chce i że ma współnika, kogoś, kto pracuje w więzieniu. Musimy...

Dyskretne kasznięcie kilka kroków dalej. Fleet podskoczył ze zdumiewającą szybkością, wyciągnął sztylet zza mojego pasa i uniósł go do góry.

– Niech cię ospa, panie – warknął. – Żeby się tak zakradać!

Jakes poparzył na ostrze, jakby to była któraś z igieł pani Bradshaw.

– Obiecałem Crossowi, że was przyprowadzę przed zapadnięciem nocy – powiedział cicho.

Fleet odprężył się.

– Cóż, nie chcemy rozczarować pana Crossa, prawda? Prowadź, panie.

Gdy szliśmy Axe and Bottle Yard, zapytałem Fleeta, czy nie powinniśmy ostrzec pani Roberts przed Gilbourne’em.

– Próbowałem – powiedział. – Ale raczej by nie zrozumiała, gdyby nie ujawniło się całości sprawy. Nie sądzę, żeby była gotowa wysłuchać czegokolwiek złego o swoim nieszczęsnym mężu.

Zgodziliśmy się co do tego, że naszym następnym krokiem musi być zebranie większej liczby dowodów na Gilbourne'a i dopiero potem wystąpimy przeciwko niemu. Samo słowo Fleeta niewiele by znaczyło.

– Musimy porozmawiać z Gilbertem Handem – powiedział. – Jego też Roberts prosił o radę. To dlatego Hand powiedział, żebyś zapytał ducha o pieniądze.

– Zaufał Gilbertowi Handowi? – zdumiałem się. – Dziw, że ta historia nie dotarła jeszcze do obu Ameryk.

– Gilbert umie trzymać gębę na kłódkę. Nie chciał zostać zamordowany w łóżku jak Roberts. I miał rację, co? Popatrz na biednego Mitchella. – Fleet nachmurzył się. – Ale powie prawdę, jeśli Acton obieca, że go ochroni. Oczywiście, będziemy musieli mu zapłacić.

– Oczywiście.

– I żadna z tych rzeczy nie da mi wolności – dodał posępnie. Rzucił okiem na Jakesa, który szedł kilka kroków z przodu. – Może powinienem po prostu dać mu po głowie i uciec.

– Jesteś za niski, żeby sięgnąć.

– Mógłbyś mnie podnieść.

– Już nigdy nie zobaczyłbyś Kitty.

– Ach. – Fleet przyłożył rękę do piersi. – To prawda. Ona musi się jeszcze tyle nauczyć. Historia, filozofia, anatomia...

– ...dobre maniery?

– Phi! – Fleet skrzywił się. – Jaki z nich pożytek? Nauczyłem ją kląć po francusku; nie wystarczy jej to?

– Anatomia?

– To mój obowiązek, Tomie. – Pokazał mi najbardziej szczerą ze swych min. – Wszystkie dziewczęta powinny być uczone anatomii. Nie wysyłamy żołnierzy w bój, jeśli najpierw nie nauczymy ich walczyć.

Zaśmiałem się i pokręciłem głową. Nie byłem pewien, czy Fleet to najgorszy, czy najlepszy opiekun w królestwie. Być może obie te rzeczy naraz. Nadal się śmialiśmy, kiedy skręciliśmy z uliczki na High Street.

Ledwie przeszliśmy kilka kroków, kiedy Fleet nagle się zatrzymał i po cichu zaklął.

Wysoki, elegancko ubrany mężczyzna jechał w stronę więzienia na lśniącem czarnym ogierze. Gilbourne. Serce we mnie zamarło. Jakże niepokojące było widzieć go znowu, kiedy wyszła na jaw jego prawdziwa natura! Pozornie wcale się nie zmienił; był tym samym przystojnym, eleganckim człowiekiem, z którym jadłem kolację dwa dni wcześniej. Ale mój stosunek do niego był tak inny, że dziwiłem się, jak to możliwe, że bym nie przejrzał go w mgnieniu oka, mimo przyjacielskich manier i modnego stroju. Był jak marnie podrobiona moneta, którą wyciąga się ze wstydem z kieszeni, w zdumieniu, że dało się na nią nabrać.

Kiedy dotarł do wąskiej więziennej bramy, wypatrzył nas i uniósł kapelusz.

– Ukłóń się... – przynaglił mnie Fleet i jakoś udało mi się nakłonić szyję, żeby się zgięła. Gilbourn zeskoczył z konia i zbliżył się do mnie z wyciągniętą ręką i przyjaznym spojrzeniem. Uścisnąłem jego miękką, białą dłoń o doskonale wymodelowanych paznokciach. Czułem się podle.

– Drogi kolego – powiedział głosem ociekającym szczerością. – Cóż za fortunne spotkanie. Pragnę cię przeprosić, sir, że w ciebie zwątpiłem. – Zerknął przez moje ramię na Fleeta. – Ale czyż to nie ten łajdak przebrał cię w ubranie kapitana Roberta?

– We własnej osobie – oświadczył Fleet, nisko się kłaniając.

Gilbourn nieufnie popatrzył na Fleeta, jakby widział w nim wstrętnego, ale godnego przeciwnika.

– Przebaczyłeś mi pan, Hawkins? Nie jestem pewien, czy to mądre.

– Przebaczyłem, sir. Może pan Fleet postępuje źle, ale wierzę, że ma uczciwe intencje.

– Wielkoduszne słowa – wymamrotał Gilbourn, mrużąc oczy.

– Nazbyt wielkoduszne – zgodził się Fleet. – Nazwij mnie przebiegłym albo sprytnym, a zasłużę na te słowa. Ale uczciwy? Uczciwi ludzie umierają za szybko, jak na moje upodobania. – Uśmiechnął się do Gilbourn'a. – Bez wątpienia dlatego jest ich tak mało.

Między dwoma zamkniętymi sklepami wkroczyliśmy w ślepą, podmokłą uliczkę prowadzącą do Marshalsea. Koń Gilbourn'a parsknął i przebierał nogami, zmuszając jeźdźca do mocnego ściągnięcia wędzidła. Nie winiłem biednego stworzenia; dołączyłbym do niego, gdybym mógł.

Jeszcze nie doszliśmy do wartowni, kiedy brama otworzyła się na oścież i wybiegł Ben Carter, a zaraz za nim Gilbert Hand. Przebiegli obok nas, aż koń Gilbourn'a stanął dęba i wściekle zamachał kopytami. Przycisnęliśmy się mocno do muru, w obawie, że skopie nas na śmierć.

– Co u diabła...! – krzyknął Gilbourn, próbując opanować zwierzę.

Gilbert Hand dobiegł już do wylotu alejki.

– Jak najszybciej, chłopcze! – krzyknął. – Jego życie od tego zależy!

– Czyje życie? – szybko zapytał Fleet, przyciśnięty do ściany. – Panie Hand! W imię Boga, co się stało?

Hand drgnął, jakby dopiero co nas zobaczył. Twarz miał białą jak kreda, koszulę pokrwawioną.

– Pan Woodburn. Dźgnęli go nożem.

# Rozdział 19

**W** więzieniu tumult, strażnicy siłą próbowali zamknąć wszystkich w ich oddziałach, więźniowie krzyczeli i protestowali. Zaufani więźniowie Actona przybyli wraz z nami, krążyli w chaosie z biczami i pałkami, bijąc każdego, kto przypadkiem albo przez brak rozumu, stanął im w drodze. Krzyki, przekleństwa, szkło rozbijane w pubie i pod nim, niski, toczący się jak grzmot ryk oddziału dla pospólstwa, który powstał po drugiej stronie muru. Woodburn był jednym z nielicznych, którzy się za nimi wstawiali. Przemyczał im żywność i lekarstwa od anonimowych dobroczyńców. Rozwalą mur, jeśli Acton ich nie powstrzyma, pomyślałem. Poczulem nagłą chęć, żeby pobiec do pubu i zachęcić ich do tego, zrobiłem nawet kilka niepewnych kroków po dziedzińcu. Jakes złapał mnie za ramię i pociągnął w bezpieczne miejsce w oddziałach zaufanych więźniów.

Gilbourne bystro się rozejrzał i skoczył z powrotem na siodło. Zmuszał na równi więźniów i strażników, żeby uskakiwali mu z drogi, galopem uciekając z więzienia. W tej samej chwili na dziedzińcu wpadł Acton i rzucił się w wir walki; chwycił więźniów i ciskał nimi wokół siebie jak tuszami zwierzęcymi. Jestem pewien, że gdyby mógł, wieszałby ich także na hakach.

Fleet odwrócił się do mnie, oczy błyszczały mu z podniecenia.

– Tom, to bunt! – Podniósł porzuconą pałkę i zakręcił nią w rękę. – Boże błogosław wielebnego Andrew Woodburna! Wreszcie jakieś osiągnięcie!

Jakiś więzień przeszedł obok nas chwiejnym krokiem, mocno krwawiąc z rozcięcia nad okiem. Jakes zaprowadził go pod portyk sądu, a potem przebił się do nas.

Dziki wrzask wzniósł się po drugiej stronie muru. Bunt się rozprzestrzenił. Usłyszałem głos, który wzniósł się ponad inne:

– Co do jednego! Co do jednego przeciwko Rzeźnikowi! – To kapitan Anderson.

Rozejrzałem się przerażony. Umiąlbym się obronić, ale nadal byłem osłabiony po biciu, które dostałem poprzedniego wieczora. Miałem jednak dość zdrowego rozsądku, żeby wyjąć krótki sztylet, który nosiłem u boku, i pewnie się trzymać. Tymczasem Fleet oczyszczał drogę pałką, a Jakes osłaniał nas od tyłu. Do chwili, kiedy dotarliśmy do Belle Isle, zaufani więźniowie zwyciężali w walce po stronie dla dżentelmenów, a Acton przygotowywał swoich ludzi, żeby przedostali się za mur i zrobili porządek z resztą. Zaufani więźniowie wygrają, rozumiałem to po krótkim pobycie po stronie dla pospólstwa. Małą liczebność nadrabiali siłą. Nietrudno zwalczyć dziesięć czy dwadzieścia ospowatych szkieletów, kiedy ma się brzuch wypchany baraniną i dobrym piwem.

Zderzyliśmy się na schodach z Chapmanem. Fleet chwycił go i przyparł do ściany.

– Gdzie jest Woodburn?

Chapman wskazał podbródkiem następne piętro i pokój Trima, a potem wybiegł, żeby dołączyć się do bijatyki. Pobiegliśmy wyżej i wpadliśmy przez drzwi.

Woodburn leżał na łóżku, na którym spałem zaledwie przed paroma godzinami, lecząc się z obrażeń. Trim zdjął z kapelana koszulę i przyciskał mu tkaninę do lewego ramienia, żeby powstrzymać krwawienie. Tłusta pierś Woodburna trzęsa się przy każdym oddechu. Obok nich, na podłodze, stała misa pełna wyrzuconych krwawych łachmanów.

Kitty stała przy piecu, gotowała wodę. Fleet podszedł do niej; podniosła wzrok, a twarz złagodniała jej od ulgi, że go widzi. Z kieszeni fartucha wyjęła długi, złowrogi sztylet. Był wytarty do czysta, ale na ostrzu zostało kilka ciemnych śladów krwi. Wręczyła go Fleetowi. Przejechał palcami po stali.

– To broń wojskowa – stwierdził Jakes, wyjmując mu sztylet z dłoni. Podszedł do okna, żeby lepiej go obejrzeć. Fleet starł zaschnięte płatki krwi z palców.

– Trim znalazł to przy ołtarzu – powiedziała Kitty. – Porzucony podczas walki. Nie widzieliśmy, żeby ktoś wchodził po schodach.

Fleet kiwnął głową i uściśnął jej dłoń. Szybko przyskoczył do łóżka, by zbadać zranione ramię Woodburna. Wcześniej nie zwróciłbym uwagi na ten drobny, intymny gest, ale teraz, kiedy znałem już ich historię, zrozumiałem go od razu. Fleet nie był opiekunem czy nauczycielem Kitty, był kimś bardziej z nią związanym i ważniejszym. Oboje ponieśli stratę i oboje dogłębnie rozumieli, co straciło drugie z nich. Inne, lepsze życie.

– Co się stało? – zapytał Fleet kapelana, stojąc w nogach łóżka.

Woodburn zamrugnął i otworzył oczy. Zobaczył Fleeta, jęknął i znów je zamknął.

– Dźgnięto go – powiedział Trim, obracając się, żeby stanąć twarzą do nas. Koszulę miał poplamioną krwią Woodburna.

– Doprawdy? – wymamrotał Fleet. Postukał w stopę Woodburna. – Sir, kto pana napadł? Mógł mu się pan dobrze przyjrzeć?

Woodburn jęknął i zadrżał.

– Modliłem się... kaplica... – skrzywił się, palcami gniojąc prześcieradło.

Trim mruknął coś uspokajającego i przystawił kubek do ust Woodburna.

– Ktoś zakradł się od tyłu.

– Będzie żył? – zapytałem cicho.

Trim pokiwał dłonią w przód i w tył.

– Rana nie jest głęboka, ale może zropieć. Posłałem po Stephena Siddalla, to najlepszy aptekarz w Borough. – Wstał i ze znużeniem potarł czoło. – Jak mogło do tego dojść? – pytanie skierował do wszystkich i do nikogo. Potarł wilgotną ściereczką plamy krwi na swojej koszuli. – Dlaczego ktoś miałby krzywdzić pana Woodburna?

– Może słyszał którąś z jego nauk...? – mruknął Fleet.

Jakes stał przy oknie, przyglądając się, jak bunt zamiera, ale teraz odwrócił się płynnym ruchem i bez ostrzeżenia uderzył Fleeta w twarz, raz, ale bardzo mocno. Pod Fleetem ugięły się nogi, upadł na podłogę.

– Błuznierczy psie! – zaklął Jakes. Zanim zdołałem coś zrobić, podniósł oszołomionego Fleeta i przerzucił go przez ramię jak worek z wypraną bielizną.

– *Bâtard!* – krzyknęła Kitty, schwyciła pogrzebacz z pieca i zaczęła nim łościć Jakesa po grzbiecie i nogach.

Podbiegł Trim, próbując wyrwać jej pogrzebacz z ręki, a Fleet – który wyglądał na zadowolonego, że Jakes znosi go na ramieniu po schodach – rzucił jej spojrzenie pełne uczucia i dumy. We czwórkę zeszli na dół i znalazłem się sam na sam z panem Woodburnem. Teraz był ledwie przytomny. Z rany na ramieniu nadal sączyła się krew, ale najgorszy krwotok ustał. Trim miał rację, rana nie była głęboka, ale bez wątpienia było to precyzyjne dźgnięcie, a nie lekkie draśnięcie ostrzem. Cał niżej i czubek ostrza przeszłyby mu serce.

Przysiadłem ostrożnie na łóżku, patrzyłem, jak pierś kapelana niespokojnie unosi się i opada. Czy to tak Bóg nagradzał uczciwego sługę? Woodburn poświęcił życie dla biednych dłużników w tym nieszczęsnym miejscu. Robił, co mógł, żeby zbawiać ich dusze, a teraz leżał tutaj, okrutnie ukarany za swoje starania.

Spojrzałem na niego i z przestachem stwierdziłem, że Woodburn jest przytomny i patrzy na mnie. Podniosłem kubek i przytknąłem mu go do ust. Wypił z wdzięcznością, ale potem wyraz skrajnego przerażenia ukazał mu się na twarzy.

– Och! – jęknął. – Och, Panie, miej litość! – Wskazał kąt pokoju, w którym na krześle wisiał jeden z płaszczy Trima. – Och, przebacz mi, przebacz! – krzyczał załamującym się głosem, w oczach miał strach. – Nie widzisz go, sir? O, Boże!

– Panie Woodburn – powiedziałem, potrząsając nim łagodnie. – Tam nikogo nie ma.

– Powinienem go powstrzymać. O Boże, zlituj się nad moją duszą! – krzyknął jeszcze raz i zwałił się na poduszkę. Rana zaczęła mocniej krwawić.

– Kogo powstrzymać? Panie Woodburn! – Słyszałem kroki, przed chwilą ktoś wbiegł po schodach. – Kogo powstrzymać? – Nachyliłem się bliżej i wyszeptalem mu do ucha: – Gilbourne'a?

Nie odpowiedział; przez chwilę myślałem, że nie usłyszał. Ale potem sięgnął ręką i złapał mnie za nadgarstek.

– Myślałem, że uda mi się go uratować.

Do pokoju wpadł Trim, za nim Siddall, aptekarz, niosąc na zgiętym ramieniu wielką skórzaną torbę. Pospiesznie podszedł do pacjenta.

Odsunąłem się, zbyt oszołomiony, żeby wydobyć z siebie słowo. Trim dotknął mojego ramienia.

– Pobladłeś – powiedział. – To pewnie widok krwi. Może odpoczniesz? Później

pójdę z tobą się napić. – Wskazał łóżko, gdzie pan Siddall badał ramię Woodburna. – Myślę, że zasłużyliśmy sobie na szklaneczkę, nie sądzisz?

Piętro niżej, w Belle Isle, Fleet siedział wygodnie przy ogniu, paląc fajkę, w zasięgu ręki miał filiżankę kawy. Szczękę z lewej strony miał czerwoną i napuchniętą od uderzenia Jakesa, ale poza tym był obrazem zadowolenia. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie widziałem go tak radosnego – chaos buntu i zagadka zamachu na Woodburna były jak dwie dziwki przybywające razem na Boże Narodzenie. Jedyny problem z tym, którą najpierw popieścić.

Kitty leżała na moim łóżku i czytała książkę, miedziane włosy spływały jej luźno rozpuszczone na ramiona. Nie słyszała, jak wchodzę i wzrok miała opuszczony na stronę tak, że wyglądała jakby drzemała. Uśmiechała się łagodnie i było w niej coś tak słodkiego i spokojnego, że poczułem nagłe pragnienie, żeby się obok niej położyć, pierś przy jej plecach, ręka wokół jej talii, twarz zanurzona w ciepłej masie loków.

– Samuelu...? – powiedziała, uważnie wpatrując się w stronicę.

– Tak, moja miła?

– Czy to prawda, że kutas wygląda jak biała kiszka wieprzowa?

Fleet wykrztusił z siebie kłęb fajkowego dymu.

– Cóż... Chyba tak, w pewnym sensie. – Przeniósł wzrok na mnie. – Może poprosimy pana Hawkinsa o praktyczny pokaz?

Kitty nagle usiadła, w jej zielonych oczach widać było strach. Kiedy dojrzała mnie, stojącego w drzwiach, krzyknęła z oburzeniem i wypadła z pokoju. Jej spódnica zaszeleściła przy moich nogach, kiedy mnie mijała.

Fleet odłożył fajkę, przyłożył dłoń do ust i śmiał się do łez. Podniosłem książkę, która spadła na podłogę i przeczytałem frontispis:

Szkoła Wenus  
Albo Rozkosz Dam  
Sprowadzona Do Praktycznych Zasad.  
Przetłumaczona z francuskiego  
*L'Ecole des Filles*  
przez S. Fleeta

Przerzucałem bezmyślnie kartki, aż trafiłem na frywolny rysunek parki spółkującej na otomanie.

– Wszystko wyszło spod mojej ręki – zawołał z dumą Fleet. – I weź pod uwagę, że to pełne tłumaczenie, nie takie, jak tego łajdaka Curlla. Żarliwie wierzę, że w piekle jest specjalne miejsce dla księgarzy, którzy obiecują lekturę pełną świństw i nie dotrzymują tego.

Rzuciłem książkę z powrotem na łóżko. Na później.

– Pan Woodburn powiedział mi coś dziwnego, kiedy wyszedłeś.

– Cóż, to z pewnością usunęło wszelkie wątpliwości z pokoju – zauważył Fleet,



machając na mnie, żebym usiadł naprzeciwko niego. Złączył palce i zmrużył oczy, a ja zrelacjonowałem wyznanie kapelana. – Czy sądzisz, że mówił o Gilbournie? – zapytał, kiedy skończyłem.

– Może... Ale dlaczego nie podał jego nazwiska? – Pokręciłem głową. – Było coś więcej. Odniosłem wrażenie... – przerwałem, bo trudno było mi w to uwierzyć. – Myślę, że Woodburn widział coś tamtej nocy. Myślę, że mógł... Wyglądał na winnego, Fleet. Nie potrafię tego ocenić, ale tak to wyglądało.

Fleet rozsiadł się i w głębokim zamyśleniu spojrzął na sufit.

– Myślę, że Woodburn znał napastnika. – Położył sobie dłoń na lewym ramieniu, postukał palcami miejsce, w którym znajdowała się rana. – Nie ma sposobu, żeby tak zranić kogoś od tyłu. – Wziął fajkę i zamarkował cios klingą. – Musieli stać twarzą w twarz. Woodburn patrzył mu prosto w oczy, kiedy ostrze się zbliżało.

Poczułem coś cienkiego i zimnego na plecach.

– Fleet, kto to był?

Pokręcił głową.

– Nie ty. Nie ja. Nie Jakes – powiedział, odliczając nas na palcach. – Wtedy wszyscy wracaliśmy ze Snows Fields.

– I nie Gilbourne – dodałem z żalem. – Przyjechał razem z nami. Więc Acton...? Do diabła! Kręcimy się w kółko.

– Kimkolwiek był, nie zgadniemy tego dziś wieczorem – powiedział Fleet. – Gilbourne uciekł, Acton jest zajęty sprzątaniem po buncie, a jak znam Simona Siddalla, dał Woodburnowi wyciąg na sen i wziął za to od niego gwineę.

– No, panie Fleet, zostało nam zatem jedno.

Uniósł brwi.

– Poncz? – zapytał z nadzieją.

Uśmiechnąłem się.

– Poncz.

Pub był zamknięty, rozbity, zdewastowany podczas buntu, ale nic nie powstrzymało strumienia alkoholu w Marshalsea. Dawał za duże zyski, a poza tym, kto chciałby być trzeźwy w takim miejscu? Pani Bradshaw i Mary Acton połączyły siły i urządziły tymczasowy pub w długim, niskim pokoju odpoczynkowym w pałacu sądu. Nie miałem ochoty wracać tam, gdzie mnie dopiero co pobito i upokorzono, wyszedłem więc na dziedziniec, żeby znaleźć posługacza, który przyjmie zamówienie i przyniesie trunek do Belle Isle.

Po krótkim, oślepiającym rozbrłosku przemocy w parku zapanował znowu niepewny spokój. Paru ludzi – zarówno więźniów, jak i zaufanych nadzorców – chodziło z ranami i siniakami, ale nikt nie wyglądał na mocno poszkodowanego, przynajmniej po tej stronie muru. Mack wznowił hazard pod portykiem sądu, chociaż ściemniało się i w powietrzu czuć było chłód. Uśmiechnąłem się i skinąłem uprzejmie głową, ale nie

podszedłem, żeby się z nim przywitać. Im lepiej poznawałem Macka, tym mniej mi się podobał; był człowiekiem Actona, skoro o tym mowa, i w przeciwieństwie do Trima nie ruszył palcem, żeby mi pomóc, kiedy ciągnięto mnie na stronę dla pospólstwa.

Jenings zapalał latarnie pośrodku parku; akrobatyczna robota, biorąc pod uwagę wysokość. Podszedłem, żeby mu podziękować, że rzucił mi błogosławieństwo, kiedy przykuto mnie do muru karceru. Jego słowa były jedyną jasną chwilą pociechy podczas tej długiej, strasznej nocy, a ja o tym nie zapominałem.

– Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej, sir – powiedział, rozglądając się, żeby się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. – Gdybym był innym człowiekiem, wystąpiłbym przeciwko całej zgrai. – Zacisnął zęby. – Oni nie czynią po chrześcijańsku, panie Hawkins. A teraz ktoś napadł biednego pana Woodburna w kaplicy Pańskiej. I to w niedzielę!

Obaj pokręciliśmy nad tym głowami. Obawiałem się, że sam nie „czynię po chrześcijańsku”, jak ujął to Jenings, ale zgodziłem się z nim, że sposób, w jaki zaatakowano Woodburna, był oburzający. Ugodzić duchownego podczas modlitwy w jego własnej kaplicy – jakież człowiek ośmieliłby się popełnić tak świętokradczy czyn? Ale przecież, jeśli jakiś człowiek jest zdolny popełnić morderstwo z zimną krwią, czy nie mógł zrobić i tego? Muszę znowu porozmawiać z Woodburnem, gdy tylko wydobrzeje. Wyznanie prawdy było jego obowiązkiem; powiem mu to, kiedy zbierze siły, żeby tego wysłuchać. Jutro – to będzie jutro, jak tylko się obudzi. Nie ma czasu do stracenia. Nie miałem zamiaru znowu dać się wrzucić do karceru.

Zawołałem posługacza i zamówiłem wazę ponczu za cztery szylingi i porcję jedzenia. Ominął nas obiad, nie licząc chleba i owoców, które zjedliśmy na Snows Fields, wybrałem więc kilka dań, żeby je zjeść z Fleetem, i zapłaciłem posługaczowi dodatkowego pensa, żeby się pospieszył. Pieniądze były Fleeta, oczywiście, ale nie sądziłem, by miał coś przeciwko temu. Miał ich pod dostatkiem.

Wracałem do Belle Isle, kiedy poczułem łagodne dotknięcie na ramieniu. Odwróciłem się gwałtownie i zobaczyłem, że przygląda mi się Catherine, a jej szare oczy błyszczą z niepokoju. Ubrana była w ciemną pelerynę do jazdy konnej z podniesionym kapturem, który stanowił ramę dla jej twarzy.

– Pani Roberts. – Skłoniłem się szybko.

Schyliła głowę, ale nie zdejmowała wzroku z okien, jakby się bała, że jest obserwowana.

– Było mi przykro, kiedy usłyszałam o ciężkiej próbie, jakiej poddano pana ostatniej nocy. – Dłoń w rękawiczce położyła mi na ramieniu. – Ufam, że doszedł pan do siebie?

– Tak, dziękuję – powiedziałem, oszczędzając jej prawdy. Moje świeże obrażenia – razem z tymi od bicia w St Giles – będą się goiły wiele dni. I było coś więcej, poza ranami fizycznymi. Nie miałem czasu, żeby to przyswoić, ale wiedziałem, że czeka to

na mnie, jak komornik u drzwi. – Bunt panią zagarnął?

– Trzymałam się swojego pokoju – powiedziała i zamilkła.

Czekałem, wiedząc, że między nami rośnie mur. Myślałem – przez krótki czas – że może żywi do mnie jakieś uczucie. Chciałem wtedy dowieść jej, że jestem inny, niż myśli, lepszy od jej męża. Mogłem się dla niej zmienić. Może. Wielkie może. W każdym razie nie była taka, na jaką wyglądała. Prawdę mówiąc, wcale nie znałem Catherine Roberts. Dla wszystkiego, co zrobiła, miała dobre powody. Współczułem jej, że wpadła w kłopoty – a teraz, kiedy dowiedziałem się, że jej mąż był bliski najgorszej z możliwych zdrad, współczułem nawet bardziej. Ale nie byłem pewien, czy mogę jej zaufać.

Przypadkiem zatrzymaliśmy się przy włączu do piwnicy ze składzikiem. Już nie było objawień ducha, odkąd dwa wieczory temu złapałem całkiem materialnego pana Simmonsa, ale domyślałem się, że Catherine pracowała nad nowym planem, by oczyścić imię męża. Tak przynajmniej sądziłem – że chce usunąć plamę samobójstwa ze śmierci Roberta i odzyskać syna.

Głęboko odetchnęła i mówiła dalej:

– Czy to prawda, że zlecono panu odnalezienie zabójcy mojego męża?

– Tak, zlecił mi to osobiście sir Philip. I pan Acton.

Triumfalny uśmiezek.

– A czy pan... ma pan jakichś podejrzanych?

– Żadnego, o którym mógłbym obecnie coś powiedzieć.

Spojrzała na mnie ostro.

– Nawet wdowie po nim?

Nie odpowiedziałem.

Zawahała się, obejrzała za siebie i sięgnęła pod pelerynę. Ku memu zaskoczeniu wyjęła sztylet, który niespełna pół godziny wcześniej widziałem w pokoju Trima. Był wytarty dokładniej, ale na pewno było to ostrze, którym dźgnięto Woodburna.

– Dał mi to Jakes – powiedziała. – Natychmiast to rozpoznał. Należał do mojego męża.

– Schowaj to, pani, na litość boską – syknąłem, chowając jej ręce pod fałdy peleryny. Stała plecami do dziedzińca, ale każdy, kto patrzył przez okno, mógł zobaczyć, że trzyma sztylet.

– Schowałam go w moim pokoju – powiedziała. – John zawsze trzymał go pod poduszką, pomyślałam więc, że zrobię tak samo. To jedna z nielicznych pamiątek po nim. Grali w karty o jego rzeczy, wiedział pan? To dlatego ten diabeł mógł ubrać pana w jego ubranie. – Przeszedł ją dreszcz obrzydzenia.

Nie miałem ochoty ani odwagi bronić postępków Fleeta z tamtego wieczoru. Ale uderzyło mnie, że gdyby nie rada tego „diabła”, jej ukochany mąż John mógł z powodzeniem sprzedać ją Gilbourne’owi za dziesięć gwinei.

– Kto mógł go zabrać?

Bezradnie pokręciła głową.

– Wie pan, jak to jest, panie Hawkins. Słudzy i goście przychodzili i wychodzili przez cały dzień. Przeraza mnie, jak łatwo tu kogoś zabić... i nie zostać wykrytym.

– Tutaj można umrzeć na sto sposobów – powiedziałem, zaskoczony, że ta myśl nie przyszła mi wcześniej do głowy. – Śmierć przychodzi i wychodzi, kiedy chce. Nie potrzebuje klucza. – Postukałem stopą o wąż. – Wie pani, że tej nocy zmarło troje, nie tylko pan Mitchell?

– Tej nocy? Jak?

– Myślę, że z głodu. Albo na gorączkę więzienną. Gilbert Hand mówi, że najgorzej jest w środku lata...

– Och, po stronie dla pospólstwa – powiedziała, machając niedbale ręką.

Jakby to było na odległym kontynencie, a nie pięćdziesiąt kroków od miejsca, w którym staliśmy. Podałem jej rękę i grzecznie się skłoniłem. To był koniec i po wyrazie jej twarzy zorientowałem się, że wie o tym. Otworzyła usta ze zdumienia i zaraz zacisnęła je w twardą, cienką linię. A potem odwróciła się i odeszła do swojego pokoju, szara peleryna rozplątywała się w wieczornym cieniu.

Usłyszałem cichy chichot z pokoju nade mną.

– Nieładnie przysłuchiwać się prywatnym rozmowom.

Fleet oparł ręce na okiennej ramie.

– W więzieniu nie ma miejsca na prywatność. Pan Trim piętro wyżej słyszy, jak chrapiesz. Nieprawdaż, sir?

Trim wystawił głowę z okna i ochoczo nią pokiwał. A potem obaj popatrzyli na mnie i uśmiechnęli się.

– Obiad!

– Kolacja!

Przeszło trzech posługaczy; jeden niósł wielką wazę ponczu, dwaj pozostali kuszącą różnorodność talerzy na drewnianych tacach. Wpół do ósmej. Za późno na obiad i trochę za wcześnie na kolację.

– Pospiesz się, Tom – przypilił mnie Fleet. – Niech cię te twoje smukłe łydki przyniosą tu natychmiast.

Zanim dotarłem do Belle Isle, posługacze postawili już dania na stole, który Fleet z Trimem wynieśli na środek pokoju. Kiedy składałem zamówienie, byłem głodny i płaciłem nie swoimi monetami; trzeba przyznać, że mogłem trochę przesadzić, ale Fleetowi to nie przeszkadzało. Kręcił się wokół stołu, nie mógł się doczekać, spędzał z drogi posługaczy, żeby zacząć. To była uczta – na miarę Marshalsea, oczywiście: łopatka jagnięca z różną z zieleniną; rosół wołowy; kielbaski bolońskie z grubymi kromkami chleba z masłem; nadziewany filec cielęcy z sałatką i ogórkami; łosoś w sosie i doskonały pudding jabłkowy.

Fleet nalał sobie ponczu do szklanki i postawił ją przy sobie, obok opróżnionego do połowy kieliszka klaretu. Przez chwilę czule się im przyglądał, potem postukał w wazę z ponczem.

– Tom, jesteś pewien, że tu jest ponczu za cztery szylingi?

Radośnie pokiwałem głową. Czwarły szyling zapłaciłem za dodatkowe ćwierć kwarty malinowej brandy zmieszanej z ponczem. Trim pociągnął łyk i skrzywił się.

– Za mało cukru – oświadczył. – Przyniosę trochę od siebie.

– Jak się czuje pan Woodburn? – zapytałem.

– Odpoczywa. – Wskazał na sufit, na moment zrobił zatroskaną minę. – Musimy uważać, żeby go nie obudzić.

Fleet parsknął.

– Siddall uśpił go swoim najlepszym wywarem nasennym. Możemy mu tańczyć po łóżku, a dziś w nocy się nie obudzi. Będziemy musieli spróbować później, co? – Odchylił krzesło i patrzył, jak Trim wbiega po schodach; potem spojrział na mnie, groźnie, ostrzegawczo. – Uważaj na to, co mówisz przy naszym dobrym sąsiedzie, Tomie. I nałóż sobie na talerz, póki masz szansę – dodał, ładując na swój talerz tyle, że starczyłoby dla trzech. – Trim je jak wieprz. Wiem z dobrego źródła, że jego krawiec trzy razy w tym roku poszerzał mu kamizelkę.

– Nie ufasz Trimowi? – zapytałem i odpowiedziałem na własne pytanie: – Ty nie ufasz nikomu.

– Tobie ufam – powiedział Fleet, napychając usta jedzeniem, jakby całował talerz. – Ale nie bierz tego za komplement.

– Nie wezmę – powiedziałem i zamilkłem. – Dlaczego mi ufasz?

– Ufam ci, bo pod cienką politurą hulaki... – machnął widelcem w stronę mojego ubrania – ...jesteś człowiekiem honoru. Nie rób takiej zmartwionej miny, nikomu nie powiem – uśmiechnął się i nadział na widelec kawałek cielęciny. – To oczywiście wina twoich rodziców. Musieli cię zatruć gadaniną o dobroczynności i uczciwości, kiedy byłeś dzieckiem. I zobacz, gdzie cię to doprowadziło! Nie nadajesz się na urzędnika najniższej rangi. Edwardowie Gilbourne'owie tego świata rozkwitają i dobrze zarabiają, i zawsze tak będzie. Ale ludzie tacy jak ty... Tom, idę o zakład, że nawet w kartach nie oszukujesz. To cud, że tak długo przetrwałeś.

Podniosłem rękę na znak protestu.

– Nie muszę oszukiwać w kartach!

– A niby dlaczego nie?

Zgarbiłem się na krześle i nic nie powiedziałem. To prawda, nie lubię oszukiwać. Fleet ujawnił prawdę, którą ukrywałem nawet przed sobą – bo siedziała głęboko we mnie, jak pestka w brzoskwini. Honor.

– W końcu może powinienem zostać duchownym – marudziłem, przesuwając jedzenie po talerzu.

– Nonsens – krzyknął Fleet, unosząc ręce, jakby odpychał coś śmiercionośnego. – Wszyscy ci biskupi i arcydiakoni z ich intrygami i dwulicowością zjedliby cię na śniadanie. Nie, nie... nie wolno ci tak bardzo przejmować się swoimi wadami. Musimy po prostu znaleźć ci uczciwy zawód, gdzie słowo się liczy. – Przechylił głowę. – Dobrze jeździsz konno? Byłby z ciebie świetny rozbójnik.

Przybył Trim z tłuczkiem i moździerzem wypełnionym mielonym cukrem i jakimiś słodko pachnącymi ziołami.

– Mój własny przepis – uśmiechnął się, wsypując zawartość do wazy z ponczem i mieszając z brandy.

Fleet nalał sobie łyżkę nowej, ulepszonej mieszanki Trima. Potem wręczył ją mnie.

– Spróbuj pierwszy. Nie ufam ludziom przynoszącym zioła.

– Sam spróbuj – krzyknąłem oburzony. – Nie jestem twoim degustatorem.

– O czym wy, do diabła, mówicie? – zapytał zdziwiony Trim. – Chyba nie sądzicie, że to zatrąłem?

Już chciałem wyjaśnić, że Fleeta uśpiono w noc morderstwa Roberta. Wtedy Fleet na mnie popatrzył. Gdyby spojrzenia były sztyletami, przyszpiliłby mnie do ściany.

– Świetnie – mruknąłem i upiłem długi łyk. Potem drugi.

– Cóż, według mnie zmysły ma w porządku – powiedział po chwili Trim.

Fleet patrzył z powątpiewaniem.

Przez jakiś czas jedliśmy i pili w pełnym zadowolenia milczeniu, chociaż okazało się, że nie mogę dużo zjeść, mimo że burczało mi w brzuchu. Siniaki na szyi, ukryte pod krawatem, utrudniały mi przełykanie. Mimo to udało mi się zjeść dwie miski rosołu. Trim, jak powiedział Fleet, rzeczywiście miał nadzwyczajny apetyt, ale nie miałem mu tego za złe; okazał mi wiele uprzejmości, odkąd przybyłem do Marshalsea, nie mówiąc o tym, że dziś rano zajął się moimi obrażeniami. Jeśli jedzenie to paliwo, które sprawia, że piec jego serca płonie jaśniej, niech tak będzie. I jak mówiłem: nie ja za to zapłaciłem.

Srebrny zegarek położyłem na stole; pamiętam, że wskazywał kwadrans po dziewiątej, kiedy usłyszeliśmy kroki dwóch osób na schodach. Pierwszy wszedł Cross, obrażony na cały świat, jak zwykle bez pukania, ciężkim buciorem kopnął na pół uchylone drzwi, otwierając je do końca.

– Gość – wychrypiał, częstując się obficie ponczem na oczach zgorzonego Fleeta. Chwilę później do pokoju wszedł Charles i uśmiechnął się, kiedy zobaczył mnie przy stole. Wstałem, objęliśmy się serdecznie.

– Wyglądasz znacznie lepiej – powiedział, odsuwając mnie na odległość ramion. – Martwiłem się rano. Niewymownie się martwiłem.

Uśmiechnąłem się; nie wyprowadzałem go z błędu. I w rzeczy samej czułem się lepiej, tyle że myślami ciągle wracałem do poprzedniej nocy, a głowa nadal mnie bolała w miejscach, w których żelazna czapka wgrzyła mi się w czaszkę. Tutaj, między

przyjaciółmi, potworność tamtej nocy wydawała się odległa. Ale bałem się tego, co zobaczę, kiedy zdmuchnę świecę i zamknę oczy.

Widząc, że poncz prawie się skończył, Charles wysłał Crossa po świeżą wazę. Ten gest w mgnieniu oka zmienił opinię Fleeta na temat mojego przyjaciela z dzieciństwa.

– To bardzo szlachetne z pańskiej strony, sir – rozpromienił się. – Proszę wziąć z podłogi, co pan chce, w ramach podziękowania.

Charles zamrugał na widok stert zmiętej odzieży, śmietniska obscenicznych broszur, kła słonia; potem przeszedł, wymijając to wszystko, żeby usiąść przy ogniu. Nie wziął niczego. Poszedłem za nim i razem zapaliliśmy fajki, a Trim i Fleet dojadali resztki dań.

Charles spojrzął na Fleeta, nachylił się i ściszył głos.

– Zdumiewa mnie, że mu przebaczyłeś, Tomie. To cud, że przeżyłeś tę noc. Kiedy rano wszedłem do karceru i zobaczyłem cię, przykutego do muru... Byłeś taki blady. Myślałem... – skrzywił się i pokręcił głową.

Powiedziałem Charlesowi o bełkotliwych wyznaniach Woodburna – nie byłem pewien, co chciał powiedzieć. Powiedziałem mu też, czego dowiedziałem się o Gilbournie i propozycji, którą przedstawił kapitanowi Robertsonowi: dziesięć gwinei za skorzystanie z jego żony. Charles wyglądał na zgorzzonego, zacierał ręce i patrzył w ogień.

– Musimy cię wyciągnąć z tego przekłętego miejsca.

– Jutro rano przesłuchamy Woodburna – powiedziałem. Zabrzmiało to rozsądniej niż myślałem. – Jeśli ktokolwiek potrafi nakłonić człowieka do powiedzenia prawdy, to tylko Samuel Fleet. Teraz w jego interesie leży pomaganie mi.

Charles prawie mnie nie słuchał. Nadal wpatrywał się gniewnie w ogień.

– Żałuję, że nie mogę zrobić więcej, żeby ci pomóc.

– Zrobiłeś znacznie więcej niż na to zasługuję – powiedziałem i po raz pierwszy zrozumiałem, że to prawda. – To moja wina, że tu skończyłem, Charlesie. Muszę znaleźć własny sposób, żeby stąd wyjść.

Nadszedł Cross z nową wazą, z trzaskiem postawił ją na stole.

– Zamykają frontową bramę – powiedział do Charlesa. – Chodź pan lepiej ze mną. A może wolałbyś spędzić tutaj noc, sir?

Charles wziął kapelusz i życzył wszystkim dobrej nocy. Zszedłem z nim na dziedziniec, wykorzystując ostatnią szansę, żeby wyjść, zanim zamkną oddziały na noc. Charles dotknął mojego ramienia i uśmiechnął się, ale wyglądał na zaniepokojonego.

– Tomie, na litość boską, uważaj na siebie. Teraz wiesz, jak tu jest niebezpiecznie. Nie mogę obiecać, że następnym razem przybędę na czas, żeby cię uratować. I miej oko na Fleeta... on nie jest...

– Dziękuję, Charlesie – powiedziałem, chwytając jego dłonie. Nie mógłbym znieść kolejnego wykładu o dwulicowości Samuela Fleeta, choćby to była prawda.

Charles uśmiechnął się, ale nie wyglądał na szczęśliwego.

– Będę się za ciebie modlił.

Cross, oparty o ścianę, cicho zachichotał i wyszedł z cienia.

– Panie Buckley, modły niczego dobrego nie dadzą – powiedział, podnosząc wzrok na przyćmione światło żarzące się w oknie Belle Isle. – Tutaj diabeł sprawuje rządy...

Kiedy strażnicy zamykali więzienie, wypaliłem kolejną fajkę. Oddział dla pospólstwa zawodził w proteście przed kolejną nocą.

– Panie Hawkins?

To Jenings. Z latarnią i kluczami przyszedł zamknąć mój oddział. Za nim stał Jakes, jego masywną postać ledwie było widać w mroku. Rzuciłem wypaloną fajkę na ziemię i zmęczonym krokiem poszedłem do drzwi. Jakes poszedł za mną do Belle Isle i sprawdził pokój, a Jenings stał na zewnątrz z kluczami.

– Tu nie ma zba... zbió... zabójców – oświadczył Fleet i zachichotał. Razem z Trimem siedzieli przy drugiej wazie.

Nalałem sobie szklanę, spiesząc się, żeby zrównać się z nimi i podałem też szklanę Jakesowi. Pokręcił głową.

– Jeden z nas musi być trzeźwy.

– Porządny człowiek! – ucieszył się Fleet. Był naprawdę pijany.

– Dziś w nocy będę stał na warcie na dole – powiedział Jakes. – Jak będą jakieś kłopoty, po prostu zawołajcie przez okno.

Jenings odchrząknął.

– Wybaczcie, panowie, ale muszę was teraz zamknąć.

Trim chwiejnie wstał i wężykiem podszedł do drzwi. Omal się nie przewrócił, kiedy dotarł do półpietra i spadłby ze schodów, gdyby Jenings nie złapał go za kurtkę i nie pociągnął w tył. Fleet patrzył, jak odchodzi, potem pokręcił głową.

– Nie potrafi znieść alkoholu – rzekł i czknął.

Jakes zmarszczył brwi.

– Jak mówiłem, wystarczy zawołać...

Z zadowoleniem stwierdziłem, że w wazie zostało jeszcze parę porcji rumu, mimo wielkich wysiłków Trima i Fleeta. Trim musiał dosypać resztę swojego „przepisu” do mieszanki; była bardziej korzenna niż poprzednia i dzięki temu mocniejsza. Tym lepiej – ciało bolało mnie od bicia, a nic lepiej nie uśmierza bólu jak ćwierć kwarty brandy.

Miałem zamiar przedyskutować z Fleetem plany na następny dzień, ale teraz niewiele do niego docierało, a po dwóch kolejnych szklaneczkach sam nie byłem w lepszym stanie. Z początku winiłem za to pusty żołądek, ale kiedy pokój zrobił się nieostry i stwierdziłem, że nie mogę wstać, zrozumiałem, że coś jest w tym dziwnego. Sięgnąłem do Fleeta, który opadł na stół; jego głowa spoczywała ciężko na ramieniu.

Powoli, z wielkim wysiłkiem uniósł głowę. I po raz pierwszy zobaczyłem strach w jego oczach.



– Tom... – jęknął, jego głos dochodził z głębi. – Odurzyli... Sprowadź pomoc... – Schwycił mnie za rękę i wbił paznokcie w dłoń. Ostry ból trochę mnie ocucił. Potem znów zwiesił głowę, a jego ręka ześlizgnęła się z mojej.

Jakoś wstałem i powlokłem się przez pokój, nogi miałem ciężkie jak z ołowiu. Gdybym tylko mógł dotrzeć do okna i zawołać Jakesa! Ale pokój zakręcił się wokół mnie, a słowa utkwily mi w gardle. Potknąłem się i upadłem. Podniosłem się i znów upadłem. Potem... nic.

# Dzień ostatni

## PONIEDZIAŁEK

### Rozdział 20

**O**budziłem się. Głowa mnie bolała, w ustach miałem sucho.

W pokoju panował półmrok, dziwne szare światło pojawiające się na godzinę przed świtem. Leżałem na łóżku całkowicie ubrany. Dowlokłem się, czy ktoś mnie zaniósł?

Nie martwy. Nie zamordowany. Przez chwilę leżałem bez ruchu, gapiąc się w sufit, a ulga przenikała całe moje ciało. Żywy.

– Fleet.

Zobaczyłem go po drugiej stronie pokoju. Nadal spał. Usiadłem i jęknąłem. Pokój zachwiał się i zaraz uspokoił, nabrałem głęboko powietrza, w głowie mi się rozjaśniło. Gmerałem, szukając świecy i krzesiwka schowanego głęboko w kieszeni kurtki. Uderzałem krzemieniem o stal, póki nie zaiskrzyło. Zapaliłem świecę.

– Fleet! Obudź się.

Wziąłem świecznik i z mozołem przeszedłem przez pokój. Leżał na wznak, jedno ramię opadało w kierunku podłogi, drugie leżało na sercu. Podniosłem wyżej świecę.

Miał podcięte gardło. Czerwone rzeki na białej skórze.

Tylko nie Fleet. Proszę, Boże.

To było nierealne. Otwarta rana. Poplamione krwią prześcieradła. Czarne oczy szeroko otwarte, bez życia, zapatrzone w nicość. To chyba sen. Dotknąłem jego ręki. Zimna.

Podbiegłem do drzwi, ale były zamknięte. Waliłem w nie pięściami, krzychałem o pomoc, kopałem, aż drewno zaczęło się łupać i zamek puścił. Chwiejnym krokiem wybiegłem na korytarz, Jakes biegł już po schodach, tuż za nim Jenings, wysoko trzymając latarnię.

– Panie Hawkins! – krzyknął Jakes. – Co, na Boga... – Zajrzał do pokoju i zamarł. Potem odwrócił się, chwycił Jeningsa i popchnął go w stronę schodów. – Krzycz na

alarm! Fleet nie żyje.

Ta prawda uderzyła mnie jak pięść. Nogi ugięły się pode mną i powoli osunąłem się po ścianie. Słyszałem, jak Jenings wykrzykuje na dziedzińcu i jak więźniowie wyrzaskują tę informację przez ściany.

– Fleet nie żyje!

– Zamordowany!

– Diabeł wrócił do piekła!

Buntownicze wrzaski, krzyki, gwizdy przetaczały się po całym więzieniu.

Brzmiało to jak aplauz.

– Panie Hawkins! – Jakes dotknął mojego ramienia, drgnąłem. Uklęknął, zbliżył usta do mojego ucha. – Zabiłeś go?

Gapiałem się na niego.

Pokazał podbródkiem Belle Isle.

– Drzwi były zamknięte. Nikt nie będzie cię winił, jeśli uderzył pierwszy.

Pokręciłem głową, przejechałem ręką po włosach.

– Więc kto...? – Jakes nachmurzył się. – Całą noc stałem na straży przy wejściu na oddział. Nikt nie wchodził.

Opuściłem ręce i z trudem wstałem. Patrzyliśmy na siebie, stojąc po obu stronach korytarza.

– Jesteś pewien? – wyszeptalem. – Nikt nie wchodził na oddział? Żywej duszy nie było?

– Na moje życie.

Przebiegł mnie chłodny dreszcz. Jeśli przez całą noc nikt z dziedzińca nie wchodził na oddział, to znaczy, że zabójca musi się przez cały czas ukrywać w budynku, czekając na najlepszy czas, żeby uderzyć. Zaprawił poncz i zakradł się do Belle Isle, kiedy stwierdził, że środek już działa.

– Musiał otworzyć wytrychem zamek – powiedziałem. Z trudem znosiłem myśl o tym, co stało się potem. Leżałem tam, śpiąc kamiennym snem, a zabójca Fleeta wyciągnął nóż i...

Fleet miał otwarte oczy. Czy obudził się na tę ostatnią chwilę? Czy wołał pomocy? Zadrzałem i przetarłem oczy. Po chwili uderzyła mnie pewna myśl. Zajrzałem w głąb klatki schodowej, a potem podniosłem wzrok na piętro nade mną.

– Jakes... Czy dziś rano ktoś wychodził z oddziału?

Pokręcił głową.

– Cele nadal są zamknięte.

Patrzyłem na niego przerażony.

– Więc nadal tu jest. Nadal jest w oddziale. Cały budynek musi pozostać zamknięty. I trzymaj straż. Nie możemy pozwolić, żeby uciekł.

Jakes już miał odpowiedzieć, kiedy na dole rozległ się głośny trzask, a po nim

krótka szarpanina. Potem dał się słyszeć dziewczęcy krzyk.

– Puść mnie! Na litość boską, puść mnie!

Kitty. Nie minęła chwila i była na schodach, a za nią Acton we własnej osobie. Przepchnęła się obok mnie i rzuciła do pokoju. Jakes próbował ją złapać, ale kopnęła go mocno w goleń i wyrwała mu się z rąk. Skoczył za nią, ale go powstrzymałem.

– Wracaj do głównego wejścia. On może wykorzystać zamieszanie, żeby prześlizgnąć się obok nas.

Jakes skinął głową i przepchnął się obok Actona. Zbiegając schodami do głównego wejścia, wyjął pałkę. Usłyszałem, jak Kitty krzyknęła po drugiej stronie drzwi – niski, straszny jęk żalu. Kiedy Acton do mnie dotarł, wyciągnąłem rękę blokując mu drogę.

– Na litość, sir. Daj jej chwilę.

Już zaczął protestować, ale zobaczył, co mam w oczach i wzruszył ramionami.

– Czemu nie? Chwilę.

W pokoju panował spokój. Wczesne poranne światło wpadało przez niezastłonięte okiennicami okno, zalewając ciało Fleeta. Światło świecy oszczędziło mi najgorszego, ale jaskrawe słońce było bezlitosne. Wszędzie była krew: kałuża pod łóżkiem, przesiąknięte prześcieradła na łóżku. Jej odór wisiał w powietrzu. Ot, życie wykrwawiło się i odeszło.

Ale to ten bezruch był dla mnie nie do wytrzymania. Fleet zawsze był w ruchu; sięgał po fajkę, chodził po pokoju, nachylał się, żeby podkreślić swoje stanowisko. Znałem go cztery dni, ale odczułem stratę, tkwiła głęboko w sercu jak nóż, jakbym znał go całe życie.

Kitty klęczała u jego boku, zimną białą dłoń Fleeta przyciskała do policzka. Jej spódnica poplamiona była jego krwią. Opanowała się, kiedy podszedłem, ale łzy spływały jej po twarzy. Rozwarłem ramiona i przypadła do mnie; szlochała mi na piersi, a ja mocno ją ścisnąłem.

Wyprowadziłem ją łagodnie z pokoju do pani Bradshaw, która czekała na korytarzu. Pokręciła głową, patrząc na mnie, kiedy podałem jej Kitty jak tobolek.

– Straszna sprawa, panie Hawkins – powiedziała, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć, co jest za drzwiami. – Zupełny koszmar...

Wróciłem do środka odrętwiały od wstrząsu. Acton gniewnie patrzył na łóżko, dłonie zaciśnięte w pięści trzymał na wysokości pasa.

– Tego nie możemy nazwać samobójstwem, prawda? Wykrwawił się jak świnia.

Zacisnąłem pięści, paznokcie wbiły mi się w dłonie.

– To ktoś z tego oddziału. Niemożliwe, żeby nie.

– Czyżby...? – zasępił się. – No, to za to zapłaci, do cholery z nim. Wycisnąłem mnóstwo pieniędzy z Samuela Fleeta przez ostatnie parę miesięcy. Ten, kto go zabił, winien mi jest fortunę. – Mocno trzepnął mnie dłonią po ramieniu. – To nie byłeś ty, prawda, Hawkins? Może zrobił się trochę zbyt przyjacielski w nocy? – Łypnął na mnie

lubieżnie okiem. – Nie popuściłby. Nikomu by nie popuścił ten syn nierządnicy.

Strząsnąłem jego dłoń z ramienia.

– Fleeta zamordowano, bo szukał zabójcy Roberta i robił to na twoje polecenie. Cud, że i mnie nie poderżnięto gardła.

Acton parsknął.

– Nie było potrzeby, prawda? To Fleet był tym mądrym. – Pociągnął za koszulę przy szyi Fleeta i gwizdnął z aprobatą. – Bardzo elegancko – powiedział, oglądając ranę.

Podszedłem chwiejnym krokiem do okna, otworzyłem je szeroko i zacząłem głęboko oddychać, żeby zwalczyć nudności. Nie pomogło. Starczyło mi czasu tylko na to, żeby znaleźć nocnik; zwymiotowałem całą zawartość żołądka. Doskonały obiad, który zeszłego wieczora zjadłem z Fleetem i Trimem. Poncz zaprawiony wywarem nasennym. Trim... i Woodburn! Mój Boże, zapomniałem – muszę z nim porozmawiać. Ale kiedy spróbowałem stanąć, znowu padłem na podłogę. W głowie czułem silne łomotanie – na pewno skutek przyprawionego narkotykiem ponczu. Oparłem się o ścianę i poczułem przyływ rozpaczy. Acton miał rację – to Fleet był tym mądrym. Jak przeżyję w tym przeklętym miejscu bez niego?

– Skończyłeś? – zapytał Acton, wskazując podbródkiem nocnik. Krew z rąk wytarł w prześcieradło. – Ciekawe, co oni o tym pomyślą.

Otarłem pot z czoła.

– Kogo... – Głos mi się łamał. – Kogo miałeś na myśli?

– Ludzi, dla których pracował. Ludzi, którzy go tutaj zamknęli. „Zbyt niebezpieczny, żeby żyć i zbyt użyteczny, żeby umrzeć”, tak powiedzieli. Myślę, że nie spodoba im się to. Mogę mieć kłopoty. – Popatrzył na mnie w zamyśleniu i uśmiechnął się. – Może im powiem, że ty to zrobiłeś?

Żołądek się we mnie przewrócił. Zrobiłby to bez mrugnięcia okiem, wiedziałem.

– Byłem uśpiony.

– Ty tak mówisz.

– Nadal mnie potrzebujesz – wyrzuciłem z siebie w rozpaczy. – Mogę rozwiązać morderstwo Roberta. Wiem, że to był Gilbourne. Muszę tylko znaleźć tego drugiego.

Acton chrząknął zaskoczony.

– Myślisz, że było ich dwóch?

Pokazałem ręką łóżko.

– Ten, kto zabił Fleeta, pomógł też zabić Roberta. Gilbourne nie przeniósłby ciała sam.

– Chyba to prawda – wymamrotał Acton. – Ten dandysowaty mydłek ledwie podniesie kutasa, żeby się odlać. – Zmrużył oczy. – Więc kto jest tym jego przyjacielem, co?

Nie mam pojęcia, pomyślałem bezradnie. Woodburn wiedział, byłem tego pewien,

ale ostatniego wieczoru był na wpół oszalały.

– Jestem prawie pewien, potrzebuję tylko więcej czasu, żeby zebrać dowody. Daj mi tydzień...

– Masz mnie za durnia? – ryknął Acton. – Dałem ci dwa dni, a już minął jeden. Tracę cierpliwość, panie Hawkins. Znajdź tego drugiego przed zamykaniem na noc. – Pokazał ciało Fleeta. – Albo przysięgam, będziesz za to wisiał.

Wyszedł, w pokoju zapanowała cisza. To było podejrzane. Za cicho. Wstałem i wziąłem potrzebne mi rzeczy: srebrny zegarek, fajkę i tytoń, sztylet. Kilka kartek papieru. Zarzuciłem koc na ciało Fleeta – ten sam kwadrat szaroniebieskiej wełny, który Fleet rozłożył wczoraj na Snows Fields. Wyśmiałyby taki głupi, tradycyjny gest. „Tom, to strata dobrego koca”.

Sięgnąłem ręką i zamknąłem mu oczy.

# Rozdział 21

**N**a schodach zatrzymałem się na chwilę i głęboko odetchnąłem, żeby się uspokoić. Kiedy już doszedłem do siebie, przechyliłem się w dół i zawołałem Jakesa, który pełnił straż przy głównych drzwiach oddziału.

– Czy są zamknięci? – zawołałem przekrzykując zgiełk. Więźniowie nadal przerzucali się nowiną o śmierci Fleeta.

Jakes zwrócił pokrytą wojennymi bliznami twarz w moją stronę.

– Całe więzienie. Rozkaz gubernatora. Nie chce kolejnego buntu.

Usłyszałem walenie z piętra nad sobą.

– Czy to ty, Hawkins? – ryczał Mack. – Powiedz, żeby nas wypuścili, do cholery. Prowadzę interes!

Zawahałem się. Stałem na korytarzu i słuchałem, jak moi sąsiedzi krzyczą, żeby ich wypuścić, w ich głosach było słycać strach i oburzenie. Któryś z nich udawał. Któryś z nich otworzył wytrychem zamek i wślizgnął się w nocy do Belle Isle, kiedy spałem. Czy chcieli i mnie zamordować? Czy przystawili mi ostrze do gardła? A jeśli tak – co powstrzymało ich rękę?

– Panie Hawkins? – zawołał Trim, waląc w swoje zamknięte drzwi. – Czy to prawda? Zamordowali Fleeta?

Zrobiłem kilka kroków po schodach, w stronę jego piętra.

– Trim! Czy pan Woodburn się obudził?

Na chwilę zaległo milczenie, potem głos Trima znów odezwał się przez drzwi:

– Nie chciał zostać. Próbowałem go powstrzymać... jest zbyt chory, żeby wychodzić...

Krzyknąłem przerażony i zbiegłem jak najszybciej po schodach. Jakes otworzył główne drzwi oddziału w samą porę, bym mógł zobaczyć okrągłą, zaniedbaną postać pana Woodburna, który kulejąc, szedł przez dziedziniec w stronę wartowni, opierając się ciężko o Josepha Crossa. Z wściekłością popatrzyłem na Jakesa.

– Wypuściłeś go?

– Nie widzę w tym nic złego – powiedział. Oczy miał zaczerwienione po całonocnej warcie. – Nie zabił Fleeta, prawda?

– Nie... ale myślę, że wie, kto to zrobił. Ucieka.

Jakesowi opadła szczeka. Pobiegłem przez dziedziniec, krzycząc, żeby zaczekali.

Woodburn odwrócił się, kiedy do nich dobiegłem. Wyglądał, jakby przez noc postarzał się o dwadzieścia lat. Oczy miał szkliste i rozbiegane, na rękach świeże, dziwne zadrapania, jakby rzuciło się na niego jakieś zwierzę.

– Och! Dzięki Bogu! – krzyknął, złapał mnie za płaszcz i gniótł go w osłabionych

dłoniach. – Jesteś bezpieczny.

Cross zaczął go odciągać.

– Chodźmy, sir. Pańska lektyka czeka.

Spojrzałem na niego wściekle.

– Zostaw go! Muszę z nim natychmiast porozmawiać!

– Na czyje polecenie? – warknął Cross.

– Gubernatora. Biegnij, zapytaj go, jeśli chcesz.

Cross zrobił kwaśną minę, cofnął się o krok i założył ręce.

– No to rozmawiaj.

Zakląłem w duchu. Ostatnia osoba, która była mi tu potrzebna, to Joseph Cross – ale nic nie mogłem na to poradzić. Pan Woodburn nadal trzymał mnie za płaszcz.

– Jesteś bezpieczny – bełkotał, poklepując mnie po piersi. – Nie mogłem go uratować. Próbowałem, ale było za późno... za późno. Tyle grzechów...

– Panie Woodburn, proszę, błagam pana... – Złapałem go za ramiona i lekko nim potrząsnąłem. – Wie pan, kto zabił Roberta?

– Roberts... – westchnął, patrzył w przestrzeń między nami. – Roberts... kto zabił Roberta... – Z trudem przełknął. – Widzisz go? – nagle krzyknął. – Patrz! Widzisz go z pętlą na szyi?

– Majaczy – mruknął Cross.

– Panie Woodburn – mocniej ścisnąłem go za ramię; zamrugał, na chwilę oczy mu się przejaśniły. – Proszę, niech mi pan tylko powie prawdę. To był Gilbourne, prawda?

Okrągła, rumiana twarz Woodburna zmarszczyła się ze zdumienia.

– Gilbourne... nie... chociaż... – odwrócił wzrok i zaczął gorliwie kiwać głową. – Tak! Tak! Masz rację, sir! Jego należy winić. Edwarda Gilbourne'a!

Serce mi zadrżało – oto wreszcie prawda wyszła na jaw.

– A drugi człowiek, sir? Ten, który pomagał Gilbourne'owi? Kto dziś w nocy zabił Samuela Fleeta? – Zajrzałem mu głęboko w oczy, próbując dotrzeć do łaskawego, uczciwego człowieka, którego spotkałem pierwszego dnia w więzieniu. Człowieka, który ciągle wracał na oddział dla pospólstwa i przemyczał żywność dla więźniów – ryzykując reputacją, a nawet życiem. – Sir... Kto zadał ci wczoraj cios sztyłem? Widziałeś go, prawda?

Woodburn wzdrygnął się i cofnął. W przerażeniu spojrzał na budynki więzienne i Belle Isle. Nerwowo zaczął się drapać po ręce, orząc paznokciami skórę.

– Nie mogę powiedzieć – zakwilił. – Nie mogę...

Chwyciłem go za żakiet.

– Musisz! – krzyknąłem. – Mój Boże, wybiję to z ciebie, jeśli będę musiał...

– Zostaw go! – ryknął Cross, rozdzielając nas siłą. Zawołał Willsa i Chapmana, którzy pili piwo pod słupem latarni. Krzyczałem, wrzeszczałem na kapelana, żeby



powiedział mi prawdę. Zakrył dłońmi twarz, krew lała się z głębokich zadrapań na jego skórze, a on zaszlochał rozpaczliwie.

– Sam się dźgnąłem! – zawodził. – Boże, przebacz mi! – Opuścił dłonie, twarz miał pełną przerażenia i odrazy. – Sam się dźgnąłem!

Na chwilę zapadła pełna przerażenia cisza. Cross pierwszy doszedł do siebie.

– Zabierzcie kapelana do lektyki – rozkazał Willsowi i Chapmanowi. Posłuchali natychmiast i wyprowadzili Woodburna przez wartownię, a Cross zatrzymał mnie na miejscu. Szarpałem się z nim, jak mogłem, ale był silniejszy, rzucił mnie mocno na bruk, aż upadłem. Zanim zdołałem się podnieść, Woodburna nie było.

– On wie, kto zabił Fleeta! – krzyknąłem rozpaczliwym głosem. – Na litość boską, sprowadźcie go z powrotem.

Cross podniósł palec i postukał się nim w małe nacięcie na wardze, gdzie uderzyłem go rano cztery dni temu, kiedy przybyłem do Marshalsea. Potem odwrócił się, włożył ręce do kieszeni i pogwizdując, poszedł do pubu.

Musiałem się ruszać. Gdybym zatrzymał się na chwilę, wściekłość i żal zbiłyby mnie z nóg. Czuję, że mam gorączkę, głowa mi ciążyła – były to chyba utrzymujące się skutki wywaru nasennego. Wszystko jedno. Jakoś dam sobie z tym radę. Woodburn podał mi przynajmniej jedno nazwisko. Drugie będę musiał sam znaleźć – i to przed zmierzchem.

Acton wrócił do biura strażników w wartowni, siedział za biurkiem i przeglądał rachunki. Grace, nachylony nad jego ramieniem, pokazywał jakąś nową duszę skazaną na potępienie.

– Panie Acton.

Grace spojrział na mnie wściekle.

– Gubernator jest zajęty.

Acton rozparł się w krzesło i przez chwilę mi się przyglądał.

– Więc nadal polujesz? Miło słyszeć. – Spojrział na Grace'a i dźgnął palcem księgę główną. – Morderstwo źle służy interesom.

– Potrzebuję pokoju do pracy. Spokojnego.

Acton podrapał się w szczękę.

– Mój salon dziś rano jest wolny. Mary jest zajęta uprzątnięciem pubu.

– Panie Hawkins – przymilnym głosem powiedział Grace. – Raczy mi pan coś powiedzieć. Kto zapłaci za pana czynsz, kiedy pan Fleet nie żyje? Będę potrzebował zabezpieczenia...

– Do cholery z tobą, sir, nie jesteśmy brutalami! – ryknął Acton, rzucając się na swojego urzędnika. Podniósł grubą księgę i trzasnął nią mocno Grace'a po głowie. – Tak czy inaczej, pan Hawkins opuszcza nas dziś wieczór – uśmiechnął się powoli, okrutnie. – Tak czy inaczej.

W salonie Actona kazałem rozpalić ogień i położyłem kartkę na stoliczku do

pisania stojącym w rogu pod oknem. Miałem zamiar spisać krótkie podsumowanie wydarzeń z nocy z nadzieją, że znajdę jakiś nowy trop, ale nie potrafiłem się uspokoić. Jakbym odziedziczył po Fleecie niecierpliwość, bez precyzji jego umysłu. Za nic w świecie nie potrafiłem zgłębić, dlaczego Woodburn miałby sam się dźgnąć. Mógł kłamać – żeby chronić siebie albo kogoś. Ale wyglądał na tak nieszczęśliwego i zawstydzonego swoim wyznaniem, że w to wątpiłem.

Jakkolwiek było, jednego byłem pewien. Woodburn wiedział, kto zabił kapitana Robertsa. Czy ktoś wyznał winę kapelanowi, a potem tego pożałował? Jęknąłem. Byłem na siebie wściekły, że pozwoliłem mu uciec, zanim wycisnąłem z niego prawdę.

Otworzyłem okno i zawołałem posługacza, żeby przyniósł mi dzbanek kawy, trochę mleka i chleb. Potem usiadłem, wziąłem jedno z gęsich piór Actona i umoczyłem je w atramencie.

Ostatniej nocy ktoś dodał wywaru nasennego do ponczu. Jeśli spiszę wszystkich ewentualnych podejrzanych – mniejsza o to, jak mało prawdopodobnych – może zabójca sam się ujawni.

*Pani Bradshaw i Kitty przygotowywały obie wazy.*

*Posługacz przyniósł pierwszą wazę.*

*Z pierwszej wazy piłem z Trimem i Fleetem.*

*Joseph Cross wypił szklankę z pierwszej wazy.*

*Cross przyniósł drugą wazę, za którą zapłacił Charles.*

*Trim, Fleet i ja piliśmy z drugiej wazy.*

*Charlesowi i Jakesowi zaproponowano szklaneczkę ponczu, obaj odmówili.*

*Natychmiast wykluczyłem Kitty, wykreślając jej imię gęsim piórem.*

Fleet sam się nie zamordował, więc jego nazwisko było następne do skreślenia. Atrament pokrył nazwisko, jak ziemia trumnę.

Czy Charles mógł potajemnie dosypać jakiegoś proszku do drugiej wazy? Tak – to było wykonalne. Ale jaki miałby cel? W każdym razie opuścił więzienie, zanim zamknięto frontową bramę. Ten, kto zamordował Fleeta, musiał zostać w budynku na całą noc. Kolejne nazwisko wykreślone.

To samo dotyczyło Jakesa – mógł doprawić poncz środkiem nasennym, kiedy nikt nie patrzył, i po namyśle odmówił wypicia szklanki z drugiej wazy. Ale przecież wiedział, że będzie stał na warcie przez całą noc i musiał mieć jasny umysł. A skoro był zabójcą, to dlaczego zachęcał mnie do odkrycia prawdy? Fleet nie wykreśliłby Jakesa z czystej złośliwości, ale to nie byłoby w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Postawiłem kreskę na jego nazwisku.

Pani Bradshaw? Dostarczała środków nasennych od pana Siddalla do cel za Dębem; dała ich trochę Catherine Roberts poprzedniego wieczora, żeby ukoić jej nerwy. Nie było tajemnicą, że nie ufała Fleetowi i uważała, że wywiera zgubny wpływ na Kitty. Mogła nalać wywaru do wazy, zanim ją do nas wysłała. Wahaniem się;

zatrzymałem gęsie pióro nad jej nazwiskiem. Ale znów: jak prześlizgnęłaby się obok Jakesa, który stał przy głównych drzwiach? Jej figura nie pozwalała na prześlizgiwanie się obok kogokolwiek, nawet pod osłoną nocy. W każdym razie między niechęcią a podrażnieniem mu gardła jest długa droga.

Przybył posługacz ze śniadaniem dla mnie. Przyglądałem mu się dokładnie, kiedy stawiał na stole chleb i mleko i nalewał mi kawy. Był z oddziału dla pospólstwa – mogłem to poznać po jego zapadniętych policzkach i poszarpanym ubraniu. Większość posługaczy pochodziła z tamtej strony muru; byli zadowoleni, że mogą zarobić dodatkowo parę ćwierćpensówek i pooddychać świeższym powietrzem po stronie dla dżentelmenów. Nikogo nie obchodzili, nawet Fleet specjalnie się im nie przyglądał. Słudzy przepływali przez Belle Isle przez cały dzień z tego czy innego powodu – dostarczali węgiel, zmywali naczynia, wynosili nocniki; wykonywali sto różnych codziennych czynności i wszystko było w ich zachowaniu oczywiste. Wręczyłem mu ćwierć pensa, ukłonił się i wyszedł.

To mógł być posługacz. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Mógł się schować w jednej z klatek schodowych po przyniesieniu pierwszej wazy, poczekać, aż środek nasenny poskutkuje i zakraść się do Belle Isle, kiedy wszyscy już spali. Nie musiał przechodzić obok Jakesa przy głównych drzwiach. I chociaż posługacze nie noszą kluczy, mógłbym się założyć, że wielu z nich potrafiłoby po ciemku otworzyć zamek wytrychem. Potem posługacz mógł wrócić do swojej kryjówki i czekać, aż rano wybuchnie panika, gdy sprawa wyjdzie na jaw. Nikt nie zauważyłby posługacza wymykającego się w pierwszych pełnych chaosu chwilach.

Otoczyłem obwódką linijkę z posługaczem, ale zawahałem się. Miałem wszelkie powody, żeby go podejrzewać, choć w głębi ducha wiedziałem, że nie był zabójcą Fleeta. Zamknąłem oczy i usłyszałem głos Fleeta, jakby w pokoju był ze mną jego duch: „Nie w duszy, Tomie. W rozumie”. Dlaczego nie miałby być zabójcą?

Bo to druga waza zawierała wywar nasenny.

Otworzyłem oczy. Środek zaczął działać dopiero, kiedy wypiliśmy sporo z drugiej wazy. A Cross wypił szklaneczkę z jej dna, gdzie środek musiałby być najmocniejszy. Wystarczyłoby to, żeby poczuł się nieswój, gdyby poncz był zaprawiony.

Wykreśliłem posługacza i zastanowiłem się nad dwoma nazwiskami, które zostały.

Joseph Cross.

Trim.

Wiedziałem, kogo z tych dwóch chciałbym widzieć jako mordercę. Ale to nie dowód. Zakradła mi się do głowy zimna, nieprzyjemna myśl, jak chmura przesłaniająca słońce.

Ostre pukanie do drzwi, aż się wzdrygnąłem. Chwilę potem do pokoju wszedł Edward Gilbourne, a tuż za nim Acton.

Wstałem natychmiast, zmieszany. Nie byłem gotów zmierzyć się z tak sprytnym

człowiekiem jak Gilbourne i to bez jasnego dowodu jego winy. Patrzyłem gniewnie na Actona, w milczeniu dając mu do zrozumienia, że jestem zaniepokojony. Tymczasem Gilbourne zdjął rękawiczki i niedbale cisnął pieróg na krzesło. Acton zignorował mnie, zamknął drzwi z cichym trzaśnięciem i oparł się o nie, wpychając dłonie w kieszenie czerwonej kamizelki.

– Cóż, panowie – powiedział Gilbourne, sadowiąc się przy piecu. Przebiegł palcami po nogach, wygładzając piękny, ciemnobrązowy jedwab spodni. Wyglądał na spokojnego, ale to była gra, teraz to zrozumiałem. Zauważył moją minę, kiedy wszedł, i gotował się do boju.

– Miło mi widzieć, że nie zraniono pana podczas buntu. – Zwrócił do mnie szczerą, przyjazną twarz, aż krew mi stężała w żyłach. Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę głos Fleeta: „Uważaj na niego, Tom. Uważaj”.

– Pan Acton mówi mi, że jest pan bliski rozwiązania sprawy morderstwa. Rozumiem przez to, że nasz dobry gubernator nie jest podejrzanym. – Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, jak współnik w zbrodni. – Byłbym zobowiązany, gdyby mi pan wyjaśnił, dlaczego wezwano mnie w takim pośpiechu. Czy jestem tutaj, żeby wypisać nakaz aresztowania? To pójdzie naprawdę szybko. Ale pan jesteś naprawdę bardzo zdolnym człowiekiem.

Jego pochlebstwo runęło na mnie jak grad z nieba. Nie wiedziałem, co zrobić, co powiedzieć. Czy powinienem przedstawić mu oskarżenie pana Woodburna? Ale jaki pożytek z bredzenia starca, który właśnie przyznał, że strach i szaleństwo pchnęły go do samookaleczenia? Niech diabli wezmą Actona, że zwalił mi to na głowę! Przynajmniej starczyło mu rozumu, żeby nie mówić Gilbourne’owi o moich podejrzeniach. Ten człowiek był taki bystry, że znalazłby tysiąc wyjaśnień, idąc od wartowni do salonu Actona. Podszedłem do okna, szybko myśląc. I zdałem sobie sprawę, że mogę go poddać pewnej próbie.

– Obawiam się, że nie potrafię wyjaśnić, dlaczego wezwano cię tutaj, sir. Ale powinien pan wiedzieć, że ostatniej nocy zabito pana Fleeta.

Wystraszony Gilbourne wyprostował się w krześle.

– Dobry Boże! – krzyknął. – Przykro mi to słyszeć. Zabito go podczas buntu?

Nachmurzyłem się. Gilbourne chyba naprawdę był zaskoczony tą informacją.

– Ktoś poderznął mu gardło, kiedy spał.

– Zamordowany we własnym łóżku! Biedny diabeł. – Gilbourne pokręcił głową. Przekręcił się na krześle, żeby spojrzeć na Actona. – Ale przecież miał chyba wielu wrogów. W więzieniu i poza nim...

Nie mogłem już dłużej znosić tej obłudy.

– Włączając pana, panie Gilbourne.

Gilbourne roześmiał się, udając zaskoczenie.

– Wielkie nieba! Chyba mnie pan nie oskarża? Byłem jednym z nielicznych, którzy

go bronili! Drogi panie Hawkins, wybacz mi. Chyba się pan trochę miota. Żal wpłynął na pańską zdolność osądu. – Uniósł brwi. – Może trochę za bardzo lubił pan Fleeta? Wydaje mi się, że wywierał taki wpływ na pewnych... dżentelmenów.

Nic nie powiedziałem. Bo i co miałem powiedzieć? Żeby przyłapać takiego węża jak Gilbourne, potrzebowałem pomocy Fleeta. Sam niewiele mogłem począć.

– Cóż – westchnął Gilbourne, sięgając po rękawiczki. – To było wielce interesujące. Ale wybaczcie, panowie, powinienem wracać do miasta. Spotykam się z przyjaciółmi na obiedzie.

Acton zrobił krok do przodu, pchnął go z powrotem na krzesło i mocno przytrzymał.

– To mój zamek, panie Gilbourne. Ja powiem, kiedy może pan wyjść.

Gilbourne'owi pociemniała twarz, ale głupi nie był – zachował spokój i czekał.

Kiedy Acton upewnił się, że sprawa jest jasna, cofnął się i wrócił pilnować drzwi.

Gilbourne zwrócił na mnie zimne, pogardliwe spojrzenie.

– A zatem chcecie, żebym bronił swojego honoru, czy tak? Rzeźnik i hulaka. Doskonale, panowie. Nie mogłem zabić pana Fleeta ostatniej nocy. Byłem na spotkaniu w saloniku w Kotwicy i Koronie, w Shorts Garden, do trzeciej, a resztę nocy spędziłem w domu rozpusty. Mam przyjaciół, którzy za mnie poręczą. Potężnych przyjaciół.

Podniosłem rękę, żeby mu przerwać.

– Wiem, że nie zabił pan Fleeta.

Gilbourne zamrugał zaskoczony.

– Więc po co ta cała bzdura?

Zawahałem się. W pokoju zrobiło się duszno, słyszałem, jak krew szumi mi w uszach.

– Na litość boską, Hawkins – ryknął Acton. – Pokaż karty, ty bezmózgi durniu. Gilbourne, on mówi, że zamordowałeś kapitana Robertsa. A ja przysięgam na Boga, że jeśli jesteś przyczyną niepokojów, które przez ostatnie trzy miesiące nawiedzały mój zamek, osobiście cię powieszę.

Widziałem przez sekundę błysk strachu w oczach Gilbourne'a. Potem uśmiechnął się i wygodniej usadowił na krześle, jak dziecko, które czeka na bajkę na dobranoc.

– A więc to ja zamordowałem Johna Robertsa, tak? No, no... zdumiewające. A niby dlaczego?

Otarłem pot z czoła, w duszy przeklinając naczelnika więzienia. Nie miałem wyboru; musiałem go oskarżyć i żywić w Bogu nadzieję, że zmuszę go do przyznania się.

– Panie Gilbourne, wiem, że zaproponował pan kapitanowi Robertsonowi pewną sumę w gwineach, żeby móc zgwałcić jego żonę. Kiedy odmówił i zaczął cię szantażować, wkradłeś się do więzienia przez piwnicę i zabiłeś go z pomocą współnika.

To było to. Prosta, obrzydliwa prawda.

– Syn dziwki – wyszeptał Acton, chociaż prawdopodobnie myślał o dziesięciu gwineach. Gilbourne nic nie powiedział.

Oparłem się o półkę nad kominkiem, w ustach miałem sucho, koszula lepiała mi się do pleców od potu.

– Roberts wszystko opowiedział Fleetowi. Domyślałeś się tego, ale nic cię to nie obchodziło, póki trzymał język za zębami. Kiedy dowiedziałeś się, że pomaga mi w śledztwie, wysłałeś współnika, żeby poderznął mu gardło.

Czekałem. To była chwila, w której Gilbourne powinien się załamać i przyznać. Wtedy byłby mój. Ale coś tu było nie tak; chwila wymykała mi się z rąk. Spodziewałem się wściekłości, zaprzeczenia – nawet przemocy. Ale Gilbourne wydawał się całkowicie spokojny. Strzepnął pyłek ze spodni, uśmiechnął się do mnie z lekka protekcjonalnie.

– A masz na to dowód?

Wyprostowałem się.

– Sir, pan Woodburn oskarżył pana o to dziś rano. Wobec świadków.

– Naprawdę? – Gilbourne ściągnął brwi. – Jakie to dziwne. No cóż, ten stary tłusty dureń nigdy mnie nie lubił. Raz oskarżył mnie o kradzież pieniędzy z darów, może pan to sobie wyobrazić, panie Acton...? – Gilbourne bawił się koronkowym mankietem. – Rozumiem, że to ja dźgnąłem też biednego pana Woodburna?

– Nie. On... sam się dźgnął. – Poczulem, że się czerwienię. Zabrzmiało to śmiesznie, nawet dla mnie.

Gilbourne zachichotał.

– Sam się dźgnął...? Nadzwyczajne!

Serce we mnie zamarło. Wszystko na nic – Gilbourne pokonał mnie, nie wstając z krzesła. Nie mogłem nawet pomścić śmierci przyjaciela, chyba że przebiłbym sztyłem czarne serce Gilbourne'a, zanim znów nabierze tchu. Przyznaję, wtedy o tym myślałem.

Gilbourne oparł brodę na dłoni.

– Panie Hawkins, wie pan co, prawie mi pana żal.

Acton zniecierpliwiony się, kiwał się w przód i w tył na obcasach.

– Czy to prawda, Gilbourne? Bóg wie, że jesteś do tego zdolny.

Gilbourne roześmiał się szyderczo.

– To wspaniałe, że właśnie ty tak mówisz... Tak. Owszem, zaproponowałem kapitanowi Robertowi dziesięć gwinei za jego żonę. I co z tego? Myślę, że to była hojna oferta – uśmiechnął się. – Lady Roberts sunie po świecie, jakby wszyscy musieli całować jej stopy. To pospolita dziwka. Uciekła z pierwszym mężczyzną, który namówił ją, żeby rozłożyła przed nim nogi. Pomyślałem, że byłoby zabawnie zerznąć ją, żeby nabrała rozumu.

Tego było za wiele nawet dla Actona.

– Miałeś zamiar zgwałcić panią Roberts dla zabawy?

– Trudno to nazwać gwałtem, sir, skoro mąż się zgodził. Och, z początku odmówił, zapewniam pana. I próbował mnie szantażować, biedny głupiec... ale kiedy mu wyjaśniłem, że to będzie jego słowo przeciwko mojemu słowu i ilu mam przyjaciół wśród adwokatów i sędziów... szybko zmienił zdanie. Robi się wszystko, żeby tylko pozostać przy życiu. Sztuka polega na tym, żeby znać cenę, prawda, panie Acton?

Acton wzruszył ramionami na znak, że się zgadza.

Gilbourne wstał i przeciągnął się. Przyjrzał się swojemu odbiciu w szybie i zaczął poprawiać krawat. Pochwycił mój wzrok w lustrze i uśmiechnął się.

– Roberts sprzedał jedyne go syna, żeby uniknąć oddziału dla pospólstwa. Dlaczego nie miałby sprzedać żony, żeby kupić sobie wolność? Dobiliśmy targu i dałem mu pięć gwinei zaliczki. Niestety, tej samej nocy ktoś go zamordował i ukradł pieniądze. – Wziął rękawiczki i kapelusz. – Jeśli kiedykolwiek znajdziesz prawdziwego zabójcę, byłbym zobligowany, gdybyś zwrócił mi pieniądze. Mam oko na nową parę długich butów na zimę. A może mógłbyś wyjaśnić pani Roberts, że jej mąż sprzedał mi ją po gwinei za jeden numer?

Nie mogłem już wytrzymać. Wyciągnąłem sztylet, przyłożyłem mu go do gardła i popchnąłem go w stronę kominka.

– Acton! – krzyknął Gilbourne. – Na litość boską, zabierz go ode mnie!

Acton zachichotał.

– A niech cię zamorduje, co mnie to obchodzi? Powieszają go i będę miał spokój z wami dwoma.

Powoli opuściłem ostrze i przystawiłem szpic do serca Gilbourne'a. Słowa Actona trafiły mi do przekonania. Ten człowiek nie był wart, żeby dać się za niego powiesić.

– Dlaczego pomagałeś Catherine z tym jej duchem?

Gilbourne uniósł brwi.

– O... wiesz o tym?

– O co chodzi? – zapytał ostro Acton. – Co wiesz o duchu Roberta, do cholery?

Gilbourne uniósł oczy.

– Nie ma ducha. To głupi kawał uknuty przez panią Roberts. Pomogłem jej, panie Hawkins, bo mi za to zapłaciła. I jest teraz nad wyraz wdzięczna. Muszę przyznać, że długo i serdecznie się z tego śmiałem.

Odrzuciłem sztylet, a każde jego słowo wywoływało we mnie mdłości. Ramiona mi opadły. Co więcej mogłem zrobić?

Gilbourne uśmiechnął się głupawo.

– Czy wolno mi będzie odejść, sir? Jest pan zbyt łaskawy. – Mówiąc to, wykonał wobec mnie szyderczy, głęboki ukłon i wyszedł z pokoju.

Acton przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu.

– Idiota – wymruczał i wyszedł za Gilbournem.

Usiadłem na podłodze, głowę oparłem na rękach. Co za dureń. Co za skończony dureń. Wszystkie moje nadzieje, wszystkie moje wysiłki... wszystkie moje marzenia o ucieczce. O pomszczeniu śmierci Fleeta. Zniszczyłem je własnoręcznie. Gilbourne nigdy nie pokonałby Fleeta w tak upokarzający sposób. Jego pogarda była jak kwas; całe moje ciało płonęło ze wstydu.

Musiała minąć godzina albo więcej, kiedy kroki na schodach wybiły mnie z odrętwienia. To był Charles, zziębnięty, spocony; przebył całą drogę z Mayfair, żeby mnie pocieszyć. A przynajmniej tak myślałem.

– Mój Boże, Tom – powiedział. – Nie sądzę, żeby moje nerwy wytrzymały jeszcze raz taki wstrząs! Jak ci idzie? – Przez chwilę patrzył na mnie spod oka. – Jesteś błądliwy jak prześcieradło.

Opowiedziałem mu o spotkaniu z Gilbourne'em.

– Dobry Boże! Do wszystkiego się przyznał? – krzyknął zgorzchniony Charles. – Bezwstydnny łotr. Sir Philip dowie się o tym... oczywiście, gdy tylko zostaniesz uwolniony.

– Uwolniony? – roześmiałem się gorzko. – Wątpię, żebym kiedykolwiek miał się stąd wydostać bez pomocy Fleeta.

Charles przez chwilę nie odpowiadał. Chodził po saloniku. Zatrzymał się przy obrazie pędzla ojca Mary, przedstawiającym różowe róże i lawendę.

– To nie było źle przeprowadzone... – wyszeptał.

– Na litość boską, Charles. Powiedz, co chcesz powiedzieć, zanim zwariuję od tego twojego chodzenia.

Przygryzł wargę, odwrócił się od obrazu.

– Jest sposób, żebyś stąd wyszedł na wolność w ciągu godziny – powiedział, wskazując ręką zegar na kominku. – Ale nie spodoba ci się. – Położył mi rękę na ramieniu i zaprowadził do krzesła przy kominku. Sam usiadł po drugiej stronie paleniska, na tym samym krześle, na którym przed godziną siedział Gilbourne. Ogień przygasł, zostało tylko kilka słabo żarzących się węglików.

– Lubiłeś pana Fleeta.

– Nie wiem...

– Byliście przyjaciółmi – upierał się. – Do końca. – Poprawił się na krześle, wyjął fajkę, ale rozmyślił się. Znów włożył ją do kieszeni płaszcza i splótł palce. – Była też ciemniejsza strona Samuela Fleeta. Sir Philip ma wielu potężnych przyjaciół na wysokich stanowiskach. Fleet był znany w tych kręgach jako człowiek użyteczny, ale groźny. Tomie, on był szpiegiem – przerwał. – I zabójcą. W swoim czasie zabił mnóstwo ludzi.

Oczywiście. Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem. Ten bystry, przebiegły umysł... Łatwość, z jaką trzymał sztylet... Sam dawał do zrozumienia, że zna zbyt wiele tajemnic; że jest powód, dla którego marnieje w więzieniu.



– Po co mi to mówisz?

Charles miał ponurą minę. Nigdy nie lubił kłopotów, nawet jako chłopiec. Ale jeszcze bardziej nie lubił niedokończonych spraw.

– Dopiero co przeszedłem się po więzieniu. Rozmawiałem ze strażnikami i zaufanymi więźniami. Z posługaczami. Z wszystkimi więźniami, których nie zamknięto. Większość jest przekonana, że to Fleet zabił kapitana Roberta. I nic ich nie obchodzi, kto zabił Fleeta. Sir Philip i pan Acton mają nadzieję na szybkie zakończenie sprawy. Zawodem Fleeta było zabijanie. W noc morderstwa Roberta był w pokoju. Mógł to zrobić. – Charles chrząknął i odwrócił wzrok. – Powiedz Actonowi, że Fleet ci to wyznał. Z radością w to uwierzy, jeśli to będzie koniec sprawy. Powiedz mu to teraz, a ja obiecuję, że natychmiast zostaniesz uwolniony.

– Nie.

– Tom...

– Nie! – Patrzyłem na niego z wściekłością. – Nie oskarżę niewinnego.

– On nie żyje – powiedział Charles, machając ręką, jakby to był katowski miecz. – Co takiego się stanie? Nie miał dobrej opinii, nie miał krewnych. Nikt na tym nie ucierpi.

– A Kitty?

Charles zamrugał.

– Ta kuchta? Na litość boską, Tom! Umrzesz tutaj. Popatrz na siebie! Cztery dni w więzieniu i już jesteś poobijany i posiniaczony od stóp do głów. Znam cię – wdasz się w walkę z niewłaściwym człowiekiem albo wplądziesz się w jakieś kłopoty i to twojego trupa wywiozą na wózku przez wartownię. Proszę, błagam cię... nie odrzucaj życia ze względu na źle umiejscowioną lojalność wobec człowieka, którego ledwie znałeś! Nikogo nie obchodzi Samuel Fleet.

– Chcesz, żebym kłamał? Zniszczył człowiekowi opinię? A jego dusza, Charles? Pochowają go w nie poświęcanej ziemi...

– Do cholery z tym, ty uparty durniu – powiedział przez zaciśnięte zęby. – W głębi duszy wiesz, kim był Fleet. W najlepszym razie łobuz. W najgorszym zboczeniec i zabójca. – Zauważył moją minę i uniósł rękę. – Wybacz, ale muszę być szczery. Samuel Fleet już płonie w piekle za to, co zrobił. Co zmieni jeszcze jedno morderstwo dodane do jego imienia? – Charles wstał. – Chodź teraz ze mną, razem powiemy to Actonowi.

Przez chwilę o tym myślałem. Przynajmniej tyle byłem winien Charlesowi. Ale moje myśli nie były w stanie przebić się przez mur twardy jak żelazo, a tego muru nie dało się pokonać górą. Nie chcę, nie mogę zdradzić Fleeta. To było nieracjonalne, ale tak było.

– Nie. Przykro mi, Charles, ale nie.

Skrzywił się, długo patrzył w podłogę.

– Więc skończone – wyszeptał i wstał z krzesła. – Nie zostanę, żeby patrzeć, jak tu

umierasz. – Skłonił się krótko, uprzejmie i odwrócił się, żeby wyjść. W drzwiach zatrzymał się i spojrzął za siebie. – On zdradziłby cię w mgnieniu oka.

Uśmiechnąłem się smutno.

– Wiem.

Zegar na półce nad kominkiem wybił południe. Podeszedłem do stolika i wziąłem kartkę z wykreślonymi nazwiskami. Rzuciłem ją w ogień, wepchnąłem głęboko między węgle, aż zapłonęła jaskrawym płomieniem. Nagłe gorąco parzyło mi twarz, nazwiska spopielwały się w nicość. Ostatnie było nazwisko Trima.

## Rozdział 22

**O**jej, ojej, panie Hawkins. Pan to ma kłopoty.

Gilbert Hand siedział pod słupem latarni i pił piwo z kufła. Uśmiechał się, pokazując zęby jak do sprawdzenia.

– Wiesz, że Roberts wziął pieniądze.

Hand wzruszył ramionami, że i owszem, wie.

– Trzeba wiedzieć, kiedy trzymać język za zębami, panie Hawkins. Nie jestem pleciugą. – Upił długi łyk piwa. – Gubernator jest na pana wściekły. Zrobił pan z niego durnia przed Gilbourne'em. Dziwne, że nie wrzucił pana do Dziury na parę dni. Jeszcze panu nie urządził tam próby, co? W dziurze pod schodami? Mówią, że to jest tak, jakby się było pogrzebanym żywcem...

– Co pan jeszcze wie, sir?

Pokazał ręką na park.

– Wiem, że nie chciałbym zejść z tego świata w taki sposób. – Podążyłem za jego wzrokiem w stronę więziennych oddziałów. Dwóch posługaczy niosło na noszach zawinięte w stare prześcieradło ciało Fleeta. Jakes – który nadal stał na warcie – zdjął kapelusz i skłonił głowę, kiedy przechodzili.

– Dokąd go zabieracie? – krzyknąłem.

– Do koronera – powiedział jeden z posługaczy, nie zatrzymując się. Dźwigali nosze w stronę wózka, który właśnie wjechał przez wartownię. Z góry zleciał kruk i przycupnął na kole, przyglądając się z uwagą, jak ładują od tyłu ciało Fleeta. Woźnica odegnał ptaka.

Acton, z pięściami opartymi o biodra, stał przy ławce Fleeta, patrzył, jak wóz przejeżdża z łoskotem. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Chętnie widziałyby, jak tą samą drogą opuszczam więzienie, najlepiej jeszcze przed końcem dnia.

Jakes podszedł do mnie.

– Wypuścili wszystkich. Rozkazy Actona. Uratowałem twoje rzeczy. – Pokazał na mały węzełek z prześcieradła leżący za drzwiami. – Grają o resztę, która była w Belle Isle. Do tej pory zostały tam gołe deski.

Pobiegłem po schodach po dwa stopnie naraz i wpadłem przez drzwi. Pokój był pusty. Ze ściany zdjęto stare, potrzaskane lustro. Książki, koce, garnki, patelnie, ubrania, cała pstrokaczna życia Fleeta zniknęła. Zwędzili nawet węgiel z kubła. Została tylko rama łóżka, jak szkielet oskubany z ciała. Przy oknie stała Kitty, przyciskając do piersi czerwony aksamitny szlafrok Fleeta. Starła kałużę krwi z podłogi, ale została wielka, ciemna plama na deskach. Coś, żeby kolejnym mieszkańcom śniły się koszmary.

– Zdobyłam to dla ciebie – powiedziała Kitty, wyciągając ku mnie szlafrok.

Złożyłem go starannie i położyłem w nogach mojego łóżka.

– Dla siebie nic nie zostawiłaś, Kitty?

Sięgnęła pod fartuch i wyjęła złoty pierścień, który nosił Fleet.

– To pierścień z napisem. Należał do mojego ojca.

Podniosłem go pod światło padające z okna i przeczytałem napis ukryty po wewnętrznej stronie:

„Nie mogę okazać miłości, którą jestem winien”.

– Nie pasuje – wyjaśniła Kitty. – Ześlizguje mi się z palca.

– Masz. – Rozpiąłem łańcuszek od matki i schowałem krzyżyk do kieszeni kamizelki. Nawlokłem pierścień na łańcuszek i zapiąłem go na jej szyi. Palcami otarłem się o jej chłodną, piegowatą skórę. Taka gładka; najprzedniejszy jedwab. Po wszystkim, co się stało, to... to było to, czego potrzebowałem. Nie mogłem na to nic poradzić. Moje palce przebiegły powoli wzdłuż jej szyi. Zadrżała i odwróciła twarz w moją stronę; oczy miała szeroko otwarte, poważne. I wtedy stanęła na palcach i dotknęła ustami moich ust, z początku łagodnie, potem mocniej, obejmując mnie rękami za szyję. Zatraciłem się w tym pocałunku, tak nagłym i niespodziewanym. Jeszcze nikt mnie tak nie całował, nigdy w moim życiu. Pokój zniknął, wszystkie moje długi, cały ten koszmar, całe więzienie przestało istnieć w mgnieniu oka. Byłem wolny. Objąłem ją rękami w pasie i przyciągnąłem do siebie, najbliżej jak mogłem, przyciskając biodra do jej bioder. Czuję bicie jej serca na mojej piersi.

– Zostaw ją! – W drzwiach stała Catherine Roberts i wpatrywała się w nas z wściekłością.

Aż podskoczyliśmy i odsunęliśmy się od siebie, nastrój chwili roztrzaskał się jak cienka porcelana na podłodze.

Dłonie pani Roberts w rękawiczkach zacisnęły się w pięści.

– Ty draniu! – Jej głos odbijał się echem w pustym pokoju.

Widziałem teraz ten pocałunek jej oczami, tak jak musiał wyglądać. Wykorzystanie żałoby dziewczyny. Chciałem się wytłumaczyć, ale brakowało mi słów – a ona i tak by nie zrozumiała.

Odsunąłem się jeszcze jeden krok od Kitty. Znów czuję, że między nami jest przepaść.

– Pani Roberts, czego pani ode mnie oczekuje?

– Zdradził pan moją tajemnicę. Kazano mi natychmiast opuścić więzienie.

Na chwilę zamknąłem oczy. Serce nadal biło mi mocno i chwilę mi zajęło, żebym zrozumiał, a w dodatku, żebym się przejął tym, co mówiła.

– Tak... proszę o wybaczenie. Opowiedziałem Actonowi o duchu. Obawiam się, że nie miałem wyboru. Madame, próbowałem znaleźć zabójcę pani męża.

– O co chodzi z tym duchem? – zapytała Kitty.

– Pani Roberts wynajęła aktora, żeby zakradał się do więzienia.

– Obiecał pan, że nic nie powie! – rzuciła z wściekłością. – Jak mam teraz znaleźć zabójcę Johna, skoro wygnano mnie z więzienia? Przez pana straciłam syna! – Przerwała i zaszlochała w dłoń, ramiona się jej zatrzęsły.

Kitty popatrzyła na nią z wściekłością.

– To wszystko było oszustwem? Wysłałaś aktora, żeby nastraszył Bena Cartera, kiedy jego brat leżał na łożu śmierci?

Pani Roberts opuściła rękę, starła łzy z policzka, opanowała się. Obrzuciła Kitty zimnym, królewskim spojrzeniem.

– Jak śmiesz tak zuchwale się do mnie zwracać! Myślisz, że jeden pocałunek dżentelmena czyni z ciebie damę?

– Myślę, że powinna pani wyjść, madame – powiedziałem cicho. Dzień, dwa dni wcześniej powiedziałbym do niej „Catherine”... ale nie teraz.

Rzuciła się na mnie.

– Pan Acton powiedział mi o podłym oskarżeniu, które rzuciłeś na mojego męża i pana Gilbourne’a. – Przyłożyła dłoń do gardła. – John nigdy, nigdy nie zgodziłby się na taką niegodziwość. Był prawdziwym dżentelmenem.

Westchnąłem, ale nic nie powiedziałem. Nigdy nie przyjęłaby plugawej prawdy: że wyrzekła się rodziny, reputacji i oddała serce człowiekowi, który sprzedałby jej ciało i duszę za dziesięć gwinei. Czy można było ją winić, że nie chciała tego uznać?

– Kitty – wyciągnęła rękę. – Podejź tu, dziecko.

– Nigdzie nie pójde – oświadczyła Kitty, odrzucając głowę.

– Biedna dziewczyno – zaśmiała się pani Roberts. – Myślisz, że poświęciłby dla ciebie dwa pensy, kiedy dostanie to, o co mu chodzi? Chodź. Skoro mam stąd wyjść, mogę to zrobić razem z tobą. Służąca damy to dobra praca, Kitty – nie marnuj się dla czegoś tak bezwartościowego. Zapłacę ci uczciwie.

– Jestem pani wdzięczna za łaskawą propozycję, pani Roberts – odpowiedziała powoli i z namysłem Kitty. – Ale wolałabym possać kutasa pana Woodburna.

Pani Roberts drgnęła, ale opanowała się. Spojrzała zimno i z dezaprobatą szarymi oczami.

– Dziecko, skończysz jak twoja matka. Jako pospolita dziwka, która się sprzedaje w śmierdzącym zaułku za szklanekę taniego dżinu. – Naciągnęła kaptur na głowę i odpłynęła po schodach.

Kitty zacisnęła zęby, nieposłuszna jak zwykle. Ale byłem tak blisko, że mogłem zobaczyć błysk łez w jej oczach. Żałowałem, że nie mogę wrócić do tych cennych chwil, zanim pani Roberts nas rozdzieliła. Miałem ochotę, znów ją objąć. Ale oboje czuliśmy, że między nami wyrósł mur.

– Cóż – powiedziałem ostrożnie. – Co teraz, Kitty? – „Powiedz, żebyś znów cię pocałował, a zrobię to”.

Spojrzała na ciemną plamę przy łóżku Fleeta i zadrżała.

– Nie mogę tutaj zostać. Obetnę włosy i wstąpię do wojska.

– Nie zrobisz tego – warknął od drzwi Jakes. Rozejrzał się i objął wzrokiem splądrowane królestwo Belle Isle. – Nic nie zostało? Cholerna szarańcza.

Kitty wzięła miotłę opartą o ścianę.

– Przynajmniej będę mogła porządnie pozamiatać – westchnęła. Przeciągnęła miotłą po podłodze, wznecając chmurę kurzu. – Nie widziałam tego od wielu miesięcy. Kiedy dobrze pomyślę, to od czasu śmierci kapitana.

– O czym mówisz? – zapytałem, kaszląc, kiedy kurz podrażnił mi gardło.

Przerwała i zatknęła kosmyk włosów za ucho.

– Pokój był zamieciony do czysta, o tutaj. – Pokazała na kawałek podłogi między moim łóżkiem a drzwiami. – Próbowałam to powiedzieć Samuelowi, ale wpadł wtedy w ten swój ponury nastrój. Nie zawsze był taki, jakim go widziałeś. – Włożyła miotłę pod moje łóżko i wymiotła grube, szare zwały kurzu.

Zmarszczyłem brwi, patrząc na nagie deski.

– Po co mieliby zamieść podłogę?

– Żeby oczyścić drogę między śmieciami? – zgadywał Jakes. – W ciemności można było się o nie potknąć i złamać kark.

Coś wpadło mi w oko, lśnienie srebra w kurzu. Powstrzymałem rękę Kitty.

– Chyba coś upuścili. – Nachyliłem się i podniosłem z brudnej podłogi monetę. Srebrna korona. Zdmuchnąłem kurz i wyciągnąłem ją na dłoni, żeby zobaczyli. Brązowa jak rdza plama pokrywała twarz starego króla. Zdrapałem ją paznokciem kciuka. Krew. – Zabili go, a potem zmietli wszystkie pieniądze. – Obróciłem monetę w palcach, myślałem intensywnie. – Gilbourne zapłacił Robertowski pięć gwinei... tutaj to spora suma.

– Do tej pory dawno ją wydali – powiedział ponuro Jakes. Potarł bliznę rozcinającą mu brew.

Ciszę przerwał głośny trzask podłogi nad naszymi głowami. Spojrzałem na sufit. Trim nadal był w swoim pokoju. Popatrzyłem na Jakesa i ściszyłem głos.

– Rozpytaj się – w więzieniu i w Borough. Kto miał pieniądze po śmierci Roberta. Kto spłacił stare długi albo stawiał kolejkę w pubie. Jest szansa, że ktoś będzie pamiętał. – Kiedy przechodził, dotknąłem jego ramienia i zbliżyłem usta do jego ucha. – Zapytaj o Trima. I Crossa.

Jakes zamrugał z zaskoczeniem, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Tutaj uwierzyłbym we wszystko”.

– Da pan sobie radę sam? Obiecałem panu Buckleyowi, że się panem zaopiekuję, sir.

Dotknąłem rękojeści sztyletu.

– Jestem innym człowiekiem niż cztery dni temu.

– Rozumiem – pokiwał powoli głową. – To miejsce zmienia ludzi. Albo może czyni z nich to, czym naprawdę są. Nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałem. – Ukłonił się lekko. – Wrócę, jak zapłoną świece.

Schwyciłem go za rękę.

– Wcześniej, jeśli można, panie Jakes. Jeśli do zmierzchu nie będę miał odpowiedzi, Acton mnie aresztuje za zamordowanie Fleeta.

– Nie! – krzyknęła przerażona Kitty. – Nie... nie pozwolę mu!

– Niech go diabli porwą – mruknął Jakes. – Jestem pewien, że to zrobi. Ale nie powieszają pana za to... ława przysięgłych zobaczy, żeś pan uczciwy dżentelmen.

Kitty włożyła mi rękę pod pachę.

– Tom, będę świadczyć za tobą – powiedziała cicho. – Oboje będziemy.

Jakes kiwnął głową na znak zgody. Uśmiechnąłem się do nich, ujęła mnie ich lojalność i wiara we mnie – ale lojalność i wiara nie uratują mnie teraz. Acton będzie w stanie oszukać cały sąd, jeśli zechce. Ależ to będzie proste. Fleet zamordował kapitana Roberta, a ja zamordowałem Fleeta. Może ustawić w rządku, jednego za drugim, swoich zaufanych więźniów, a oni powiedzą to, co im każe powiedzieć. Wątpię, żeby Cross, Wills czy Chapman mieli jakieś rozterki co do krzywoprzysięstwa. Oczywiście, jeśli będę wystarczająco długo żył, żeby stanąć przed sądem. Nietrudno zabić człowieka w więzieniu. Biedny stary Mitchell był tego dowodem. Mitchell... Prawie o nim zapomniałem. Łatwo się zapomina po tej stronie muru. Może to był błąd. Może z tego morderstwa dałoby się wyciągnąć jakieś informacje...

– Tom? – Kitty ścisnęła mi dłoń, przywracając mnie światu.

Zamrugalem, przetarłem oczy. W głowie szumiało mi od pytań o pieniądze, o morderstwo, o motyw. Jakes wyszedł z pokoju – słyszałem, jak jego ciężkie buty dudniły na schodach. Też powinienem wyjść; za dużo czasu tu zmarnowałem. Spojrzałem na Kitty; uśmiechnęła się, oczy jej błyszczały. Nie, nie zmarnowałem. Dotknąłem luźnego loczka jasnorudych włosów i zatknąłem go jej za ucho.

– Muszę iść – powiedziałem. Nie będzie ze mnie dla niej pożytku, jeśli zadyndam na linie w Tyburn.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zmieniła zdanie.

– Ale później porozmawiamy? – zapytała nerwowo. – Obiecujesz?

O tak... porozmawiamy. Godna pożałowania kara za pocałunek.

– Oczywiście, jeśli tylko sobie życzysz. – „Jeśli jeszcze będę żył”. Pochyliłem się i dotknąłem jej warg. I nawet mimo groźby stryczka zostałem trochę dłużej.

– Idź – powiedziała i zachichotała, kiedy przyciągnąłem ją bliżej. – Tom, idź już, na litość boską. Będę na ciebie czekała. – Odepchnęła mnie. – Tylko ten jeden raz.

Nie ma łatwego sposobu, żeby powiedzieć człowiekowi, że podejrzewa się go o morderstwo. Innego dnia, w innym stanie umysłu, znalazłbym może bardziej elegancki sposób, żeby przedstawić tę materię, ale było, jak było.

– Boże na niebiosach! – Trim sapnął z przerażenia. Patrzył wystraszony na ostrze przyciśnięte do jego serca. – Oszalałeś, sir?

Pchnąłem go na ścianę.

– Tracę cierpliwość. Powiedz, zabiłeś Fleeta?

Skulił się.

– Nie! Przysięgam!

Przeciagnałem ostrze od serca do gardła.

– A Robertsa...?

– Nie – zakwilił, prawie się nie ruszał. Po twarzy spłynęła mu kropelka potu. – Przysięgam...

Dłuższy czas trzymałem ostrze nieruchomo przy jego gardle. Coś ukrywał; widziałem to w jego oczach. Odstąpiłem, opuściłem ostrze. Kazałem mu usiąść.

Zrobił, co mu poleciłem. Potykając się, podszedł do stoliczka, przy którym jedliśmy razem kolację w mój pierwszy więzienny wieczór.

– Pan Acton dowie się o tym – wystękał.

Zignorowałem to i nalałem nam obu po kieliszku wina.

– Kto zabił Robertsa?

Wziął kieliszek i tulił go w obu dłoniach, jakby to była książeczka do nabożeństwa. Stałem nad nim.

– Pomagałeś nieść ciało do karceru?

– Dlaczego zadaje mi pan takie pytania? – zapytał, a jego jasnobrązowe oczy pełne były urazy. – Przecież byłem dla pana miły i uprzejmy, sir.

– I dlatego nie poderznąłem ci gardła. Ktoś zaprawił poncz ostatniego wieczora. Widziałem, jak coś dodawałeś do wazy.

Trim, wstrząśnięty, otworzył i zamknął usta.

– Cynamon i gałkę muszkatołową – wyjąkał, kiedy odzyskał głos. – Trochę cukru... razem to piliśmy, panie Hawkins! Na całą noc straciłem przytomność, tak samo jak pan! Chyba do tej pory czuję się po tym jak podpity. – Potarł czoło.

– Kupiłeś środek nasenny od pana Siddalla.

– Żeby pomóc panu Woodburnowi! – krzyknął zrozpaczony. – O, musi być jeszcze na półce. Pokażę panu. – Szybko wstał i zaczął przeszukiwać regalik z lekarstwami, stawał na palcach, żeby sięgnąć do wyższych półek. – Dałem mu tylko łyżkę – zawołał odwrócony do mnie plecami. Szperał wśród szklanych i kamionkowych butelek.

Trim prowadził schludny, dobrze uporządkowany interes, wszystko miał w zasięgu ręki. Powinien to znaleźć natychmiast. Przez jakiś czas gorączkowo szukał dalej, potem zaklął cicho.

– Ktoś musiał to ukraść.

– Wątpię, żeby gubernator tak na to spojrział.

Trim zbladł.



– O czym pan mówi, sir?

Ruchem ręki kazałem mu znowu usiąść.

– Mieszkasz piętro nad Belle Isle. Nie potrafisz się rozliczyć ze środków nasennych, które kupiłeś od pana Siddalla – przerwałem. – I wiedziałeś, że kapitan Roberts miał zamiar sprzedać żonę za dziesięć gwinei.

Trim drgnął i próbował zaprotestować. Uciszyłem go natychmiast.

– Ściany są tutaj cienkie. Głos niesie się po innych pokojach. – Postukałem stopą w podłogę. – Fleet mówił, że przychodził do ciebie na górę, kiedy kapitan kłócił się z panią Roberts i mogliście ich stąd słyszeć. Każde słowo.

– Tak, to prawda. – Trim pokiwał głową. – Fleet odliczał punkty, krzyczał w dół. Jak na meczu bokserskim. Biedny Fleet. Żałuję, że go tu nie ma. – Ściągnął brwi, patrząc na mnie. – Przy wszystkich swoich wadach, on zawsze był dżentelmenem.

Pokazałem łóżko w drugim końcu pokoju.

– Wczoraj rano słyszałem, jak Fleet kłócił się z Charlesem, kiedy ja tutaj odpoczywałem. Nie mogłem zrozumieć wszystkich słów, ale przecież leżałem daleko, w kącie. – Podeszedłem do okna, gdzie na dywaniku stało krzesło; odsunąłem krzesło i dywanik, żeby pokazać stare, zbutwiałe deski podłogi. Były w tak kiepskim stanie, że przez szczeliny widać było Belle Isle. – Gdybym tutaj stanął, myślę, że usłyszałbym wszystko.

Uniosłem nogę i mocno uderzyłem butem w deskę. Waliłem, póki drewno nie rozłupało się i zatrzęszczało. Trim przyglądał się przerażony, ale nic nie mówił. Włożyłem w to całą moją wściekłość, a kiedy skończyłem, w podłodze ziała wielka dziura na wylot – tak szeroka, że mógł się przez nią przecisnąć człowiek.

– Proszę! – krzyknąłem. – Czy tak nie jest lepiej? Następnym razem, gdy zamordują człowieka w Belle Isle, będziesz mógł wszystko i widzieć, i słyszeć.

Trim jęknął i zakrył dłońmi twarz.

– Tracę cierpliwość – ostrzegłem go. – Co słyszałeś?

– Nie mogę powiedzieć – zaszlochał.

– Niech cię cholera! – krzyknąłem, rzucając się na niego. – Mogę cię złamać równie łatwo jak te deski! – Odsunąłem z drogi stół, podniosłem Trima i mocno nim potrząsałem. – Fleet zginął, bo nic nie powiedziałaś! Ile jeszcze śmierci zniesie twoje sumienie? – Mówiąc to, z wściekłością rzuciłem nim o podłogę.

Upadł ciężko, krzyknął ze strachu i bólu. Widziałem, że jest bliski wyznania. Trim nie gromadził tajemnic dla zysku. Cicho siedział, bo się bał. Musiałem tylko przekonać go, że jeszcze bardziej niebezpieczne jest nic nie mówić.

– Powiedz, albo Gilbert Hand dowie się ode mnie, że wszystko słyszałeś. Do wieczora rozniesie się to po więzieniu. Jak myślisz, ile czasu minie, zanim przyjdą po ciebie, tak jak przyszli po Fleeta?

– Już dobrze – zaszlochał. – Dobrze. – Z trudem wstał, skrzywił się obciążając

zwichniętą kostkę. Nalał sobie kolejny kieliszek wina i pokuśtykał powoli do krzesła przy kominku. Wydobył z siebie długie, zmęczone westchnienie, przetarł oczy.

– Nigdy nie pomyślałeś, że kapitan Roberts zasługiwał na śmierć? – Patrzył uporczywie w ogień. – Sprzedał żonę za dziesięć gwinei. Takiego człowieka należało powiesić, nie sądzisz?

– Nic mnie to nie obchodzi. – Chodziłem po pokoju, nadal ścisnąłem sztylet w rękę.

– Co słyszałeś?

Nachmurzył się, dla pokrzepienia wypił łyk wina.

– Przyszli po niego o północy – powiedział wreszcie. – Nie słyszałem, jak wchodzili do budynku. Musieli przejść przez dziedziniec jak duchy, zakraść się po schodach i otworzyć wytrychem zamek. Wyciągnęli go z łóżka, rzucili na kolana – to mnie obudziło. Łomot, kiedy uderzył o podłogę. – Trim zadrzał.

– Co dalej?

Zamknął oczy.

– Monety rozsypały się, potoczyły po deskach. Mnóstwo monet. A potem jeden z nich... – Otworzył oczy, nabrał tchu. – Jeden z nich powiedział: „Myślisz, że to cię uratuje”? Kapitan musiał im rzucić monety... te pięć gwinei, które Gilbourne zapłacił mu zaliczkowo. Ale oni nie przyszli po pieniądze, panie Hawkins.

– Przyszli go ukarać.

– Nie! – Trim energicznie pokręcił głową. – Przyszli go zbawić.

Zmarszczyłem brwi.

– Zbawić? Mordując go?

– Zbawić jego duszę. Roberts zmienił się przez ostatnie parę tygodni, odkąd stracił syna. Codziennie chodził do kaplicy. Godzinami modlił się w swoim pokoju. Może myślał, że to jakoś wróci mu Matthew. – Z oczu popłynęły mu łzy. – To moja wina, że zginął. Słyszałem, jak Gilbourne przyszedł do Belle Isle i wypłacił Robertsowi pieniądze. Kapitan miał następnego dnia wyjść z więzienia, a pani Roberts... Wiesz, co powiedział Gilbourne, kiedy dawał Robertsowi pieniądze? „Wyświadczam ci przysługę, Roberts. Będzie cicha i pokorna jak myszka, kiedy to z nią załatwię”. Nie mogłem... Nie mogłem stanąć z boku i pozwolić, żeby to się stało.

– Komu powiedziałaś? – Ale teraz mogłem się już domyślić.

Przełknął z trudem. Pochylił się w krzesło i wyszeptał:

– Woodburnowi.

## Rozdział 23

**P**óźne popołudnie, cienie na dziedzińcu Marshalsea wydłużyły się. Kończył się kolejny dzień – ludzie mieli więcej długów do spłacenia i mniej nadziei na przeżycie. Czułem się jak duch kapitana Roberta, przechodząc obok innych więźniów. Patrzyli też na mnie, jakbym był duchem – jakbym nosił na sobie piętno śmierci.

Pospieszyłem do kaplicy; była otwarta po wczorajszym buncie. Zapaliłem świece i usiadłem w ławce w pierwszym rzędzie, wyjąłem z kieszeni krzyżyk od matki i pochyliłem głowę. Fleet nie żył; Charles mnie opuścił; rodzina i przyjaciele nie istnieli dla mnie. Kiedy słońce zajdzie, zostanę oskarżony o morderstwo. Zamknąłem oczy, prosiłem o przewodnictwo, o pociechę... o cokolwiek. Wokół mnie narastała zimna, posępna cisza.

Otworzyłem oczy. Marnowałem czas. Powinienem działać, zanim będzie za późno. Ale głowę miałem w takim stanie, jakbym nadal nosił tę przeklętą żelazną czapkę. Miałem gorączkę, koszula była śliska od potu, czułem na przemian gorąco i zimno. Może to skutki środka nasennego i wszystkich innych prób, które dzisiaj przeszedłem. Ale kiedy zastanowiłem się, zdałem sobie sprawę, że czuję się podle, odkąd Charles i Trim wywlekli mnie z karceru. Nie dziwota – tam samo powietrze było zatrute; a wdychałem je przez całą noc.

Przy ołtarzu była niezeskrobana plamka krwi Woodburna. Trim potwierdził zdumiewającą prawdę, że kapelan sam dźgnął się sztyletem kapitana Roberta; to on wpadł na Woodburna, kiedy to robił i wyrwał mu nóż, zanim przybyła Kitty. Woodburn nie miał zamiaru się zabić, byłem tego pewien. Trim zgodził się ze mną.

– Rana była głęboka, ale omijała serce. Ramię to dobre miejsce, żeby się zranić, jeśli chce się potem wyzdrowieć. Ale i tak... dźgnąć się... szaleństwo! Trudno mi w to uwierzyć, chociaż widziałem to na własne oczy.

– Nie szaleństwo, Trim. Chytróść. Chciał odciągnąć uwagę. Dlaczego mielibyśmy go podejrzewać, skoro sam stał się ofiarą? – Woodburn udawał od samego początku; ofiarował mi pomoc w poszukiwaniu prawdy i nastawiał mnie na Actona a potem na Gilbourne'a, wiedząc przez cały czas, że nie są winni przynajmniej tej jednej zbrodni. Rozumiem, jak dał sobie radę z własnym sumieniem; byli okrutnymi, grzesznymi ludźmi, podczas gdy on zajmował się dziełem bożym, chroniąc kapitana Roberta przed popełnieniem śmiertelnego grzechu. Co takiego powiedział do mnie Woodburn, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy? „Tyle tu dobrej pracy do zrobienia. Tyle dusz trzeba zbawić”.

– Są inne sposoby, żeby udawać ofiarę, bez podnoszenia na siebie ostrza – zauważył Trim. – Obawiam się, że to poczucie winy skłoniło go do szaleństwa. Kiedy

go znalazłem, bredził o duchach. Myśli, że Roberts go nawiedza.

– Duch nie był prawdziwy.

Trim postukał się w głowę.

– Myślę, że wywołał własnego ducha, panie Hawkins.

To brzmiało sensownie. Dziś rano Woodburn wyglądał na półoszalałego. To jego własne sumienie wywołało ducha, żeby go dręczył.

– Cóż, modlę się, żeby nawiedzał go aż po grób – przerwałem. – Czy był w stanie zabić Fleeta?

– Nie, nie. Daliśmy mu najsilniejszy środek nasenny Siddalla. Chyba ten sam, który my wypiliśmy. Obudził się dopiero, kiedy ja się obudziłem. Słyszeliśmy, jak pan wali w drzwi. Wtedy powiedział... powiedział: „Och, litościwy Boże. On znowu zabił”.

Nadal nie byłem bliżej odkrycia, kim „on” był. Trim słyszał tylko głos Woodburna w noc morderstwa – bicie musiało się odbyć w karczerze, bo ci ludzie przebywali w Belle Isle tylko parę minut. Kiedy Woodburn sam się dźgnął, Trim błagał, żeby wszystko wyznał, ale Woodburn odmówił. Powtarzał, że to była jego wina, że to wszystko spada na niego i że wcale nie chcieli skrzywdzić kapitana Roberta – tylko nastraszyć go. Ale kiedy Trim zapytał, kim był ten drugi, Woodburn zrobił przerażoną minę i mruknął, że Harry Mitchell zginął, chociaż wiedział mniej. I dlatego obaj siedzieli cicho – a Fleet zginął za ich tchórzostwo.

Włożyłem krzyżyk matki z powrotem do kieszeni. Kiedy to robiłem, dotknąłem palcami srebrnej korony, którą podniosłem z kurzu w Belle Isle. Wyjąłem ją i położyłem na dłoni. Tamtej nocy Woodburn wziął pieniądze, a jego kompan usunął ciało. Teraz rozdawał pieniądze między chorych i głodujących na oddziale dla pospólstwa. Pięć funtów. Razem z brakującą koroną byłoby to pięć gwinei. Jedyny raz, kiedy Gilbourne wspomógł cel dobroczynny – chociaż nie był tego świadom.

Gdyby tylko udało mi się wydusić prawdę z Woodburna. Może uda mi się przekonać Actona, żeby ze mną poszedł i przesłuchał go jeszcze raz? Nie było czasu, do diabła. Nie było czasu.

Za mną rozległ się cichy szelest, jakby piór.

– Monsieur.

Madame Migault w swoich starych czarnych jedwabiach i z siwymi włosami, w których gnieździły się pozółkłe grzebienie z kości słoniowej i wyblakłe wstążki. Nie słyszałem, jak wchodziła.

– Madame.

Przyglądała mi się uważnie paciorkowatymi oczami, na wąskich, popękanych wargach igrał uśmieszek.

– Pan jest chory – triumfowała, jakby sama wypichciła tę chorobę.

Próbowałem przejść obok niej, ale zablokowała mi drogę; złapała mnie za ramię sękatymi palcami.

– Wiem, czym jesteś – wysyczała. – Obserwowałam cię z ukrycia. Po prostu chłopiec w ubraniu mężczyzny.

Przypomniałem sobie pierwszą noc w więzieniu i niski, drwiący śmiech dobiegający z ciemności dziedzińca. Wtedy myślałem, że to duch. Jakimż byłem łatwowiernym durniem. Wyszarpnąłem ramię.

– Nie możesz jej mieć – wyrzuciła z siebie. – Ona jest moja. Teraz pracuje dla mnie. *Le diable est mort, et Kitty est à moi.*

– Kitty? – Gniew zapłonął mi w piersi. – Czego od niej chcesz?

– Bystre oko, szybkie dłonie. Przynosi mi tajemnice. Kradnie rzeczy, których mogę użyć... – Coś okrutnego zabłysło w jej oczach. – Jak myślisz, w jaki sposób twój list wpadł w moje ręce? Może spadł z nieba? – Zatrzepotała palcami.

– Fleet mi go ukradł. Przyznał się do tego.

– Ach... *le diable!* – zakrakała. – Nawet on ma słabości! *Non, non.* On chronił swoją kochaną małą Kitty. Ona ukradła list i przyniosła go mnie.

– Nie wierzę ci – powiedziałem przerażony.

Roześmiała się z triumfem.

– Mówiłam ci, monsieur. Ona jest moja. I ty mi jej nie odbierzesz.

Na dziedzińcu Mack pozwalał wygrywać Actonowi w lotki, a Cross przyglądał się z cwany uśmiechem. Cross nie odegrał żadnej roli w śmierci Roberta. Teraz byłem tego pewien. Gdyby chodziło o pieniądze albo o zemstę, wtedy mógłbym po tysiackroć uwierzyć, że to on. Ale Cross nie był zainteresowany ratowaniem czyjejś duszy. I gdyby był w to zamieszany, pieniądze Gilbourne'a nigdy nie dotarłyby na stronę dla pospólstwa. Ten, kto zabił kapitana Roberta – ten, kto włókł jego ciało po dziedzińcu i powiesił na belce stropowej w karczerze – wierzył, że Bóg jest po jego stronie.

Pośrodku parku Jenings zapalał latarnie, popołudnie przechodziło w zmierzch. Kiedy pracował, brzęczało wielkie kółko z kluczami u jego pasa. Już miałem do niego podejść, kiedy drzwi kawiarni otworzyły się szeroko i ukazała się Kitty. Biegła do mnie uśmiechnięta, unosząc spódnicę. Kiedy się zbliżyła, zawahała się i zwolniła kroku. Jej uśmiech zbladł.

– Tom... Jesteś taki blady. Co ci dolega?

Popatrzyłem na nią. Zdradziła mnie – i mało przez to nie umarłem. Powinienem ją znienawidzić. Zmuszałem się do tej nienawiści.

– Ukradłaś list.

Bardziej niż czegokolwiek chciałem, żeby zaprzeczyła. Ale zobaczyłem w jej oczach cień winy.

– Ja... ja chciałam się wytłumaczyć już wcześniej – wyjąkała. – Samuel nie pozwoliłby mi... – przerwała, gdy wymieniła imię Fleeta, ale nabrała tchu i mówiła dalej: – Wziął na siebie winę za mnie...

– Nie ma co się tłumaczyć, Kitty.

– Och, Tom! Jak się cieszę! Madame Migault przyłapała mnie, jak go czytałam i świsnęła mi list; żeby się zabawić, powiedziała. Przeczytałam tylko kilka pierwszych linijek – nie miałam pojęcia, że list może wyrządzić jakąś szkodę. Mało nie umarłam, kiedy wsadzili cię do karceru. Ukradłam go tylko dla zabawy, żeby ci się odpłacić za to, jak mnie nazwał: pokojówką dla pani Roberts. – Przygryzła wargę na to wspomnienie. – Jakbym była niczym.

Uśmiechnąłem się.

– Cóż, to nie było w porządku z mojej strony. Jesteś czymś znacznie więcej niż pokojówką.

Uśmiechnęła się rozdzierającym serce uśmiechem i sięgnęła po moją rękę.

– Jestem?

– Oczywiście. – Odsunąłem ją. – Jesteś też świetną złodziejką i doskonałym kłamcą. I wierzę, że niebawem nauczysz się rozkładać nogi i będzie z ciebie także porządna dziwka.

Drgnęła, jakbym ją uderzył. Wyprostowała ramiona i uniosła głowę.

– Myślisz, że jesteś pierwszym mężczyzną, który mówi mi coś takiego? – Obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby jej bystre zielone oczy oceniały mnie cal po calu, od mojego pożyczonego ubrania i pustych kieszeni do samej istoty mojej osoby. – Miałam na twój temat lepsze zdanie – powiedziała. – Samuel też. – Odwróciła się i odeszła.

Chciałem za nią pobiec. Chciałem wziąć ją w ramiona i powiedzieć prawdę – że wybaczyłem jej tę chwilę, o której opowiedziała mi Madame Migault. W mgnieniu oka. Przerazał mnie fakt, że tak szybko jej przebaczyłem. Mogłem kłamać i przeklinać, a gorączka płonąca mi we krwi czyniła mnie okrutnym. Prawdę mówiąc, chciałem ją zranić. Jej kradzież – jej zdrada – dawały mi wymówkę, której szukałem, żeby ją odepchnąć, jak łódź odpychaną od brzegu, żeby odpłynęła i zniknęła za horyzontem. Wyczułem, czego Kitty chce ode mnie, kiedy się całowaliśmy, chociaż próbowała to ukryć. Więcej niż mogłem dać. Więcej niż mogłem sobie pozwolić wobec pokojówki. Kuchty.

Acton dobrze to ujął. Byłem idiotą.

Wyjąłem srebrny zegarek Fleeta. Była prawie piąta. Miałem tak mało czasu, żeby się uratować – a przecież czułem, że prawda leży przede mną, prawie w moim zasięgu. Kto był współnikiem Woodburna? Nie Cross. Nie Trim. Więc kto? Jak zabił Fleeta – i Mitchella, skoro o tym mowa? Obaj zginęli w ten sam sposób: zamordowani w zamkniętych pomieszczeniach, kiedy inni wokół nich spali. O Boże. Kamienie bruku zatańczyły i zawirowały mi przed oczami, kiedy zrozumiałem, co muszę zrobić.

Muszę porozmawiać z kapitanem Andersonem. Trzeba będzie wrócić na tamtą stronę muru.

Kilka minut później trzymałem kurczowo w dłoni klucz do drzwi na stronę dla

pospólstwa. Gilbert Hand miał klucze do wszystkiego, ale kiedy dawał mi ten klucz, w jego miedzianych oczach zobaczyłem podejrzliwość.

– Chce pan tam wrócić? Po co? Hawkins, czy ty aby nie zwariowałeś? Słyszałem, że stary Woodburn jest pół kroku od Bedlam...

Nie mogłem sobie pozwolić, żeby mu zapłacić za wypożyczenie klucza. Została mi jedynie srebrna korona, którą znalazłem w kurzu podłogi Belle Isle – ale była mi potrzebna jako dowód. I niech mnie diabli, gdybym miał mu dać zegarek Fleeta. Więc wymieniłem z nim jedyną inną walutę, którą przyjmował – informację. Opowiedziałem mu wszystko, co wiem o morderstwie Roberta poza udziałem Trima i obiecałem, że powiem więcej, gdy tylko porozmawiam z Andersonem.

– Z Andersonem? – Hand nachmurzył się i podrapał pod brązową peruką. – Przykuto go w karcerze za wszczęcie buntu. – Schwycił mnie za rękaw. – Dziesięć minut, nie więcej. A jak cię złapią, powiem, że ukradłeś mi klucz.

A więc stałem teraz w cieniu muru, tak jak za pierwszym razem, kiedy wkroczyłem na więzienny dziedziniec. Miałem wrażenie, że od tamtej chwili minęło dwadzieścia lat, a nie cztery dni. Łagodny wietrzyk wiał przez park, niosąc z sobą zapach tytoniu. Nie myśląc, spojrzałem ku balkonowi pubu. Fleeta tam nie było i nigdy już nie będzie. Nie było nikogo, żeby mnie odciągnąć od muru, żeby objąć mnie w pasie i zabrać na górę, na szklaneczkę ponczu. I nie było nikogo, kto widziałby, jak wsuwam klucz w zamek, jak przekradam się przez drzwi na stronę dla pospólstwa.

Zamknąłem drzwi tak cicho, jak tylko się dało i oparłem się plecami o wilgotny mur. Ledwie oddychałem, strach przygniatał mi pierś, jakby zwałił się na mnie dom. Tutaj ryzykowałem życiem. Gdyby Acton zobaczył, że włamałem się na oddział dla pospólstwa, pobiłby mnie na śmierć na oczach całego więzienia.

Na szczęście dla mnie dziedziniec był pusty, więźniowie nadal siedzieli zamknięci w celach. Była to kara za bunt. Skradałem się wzdłuż muru w stronę karceru, zerkając na balkon pubu, na wypadek gdyby ktoś wyszedł i zobaczył mnie – samotną postać na pustym dziedzińcu. Posuwałem się do przodu, pot spływał mi po plecach. Kiedy podszedłem bliżej, kilkanaście szczurów z piskiem wybiegło ze śmierdzącej wody stojącej między murem a karcerem, jakby zapamiętały mój zapach. Kopiając je, kiedy kłębiły się wokół moich stóp, szybko podszedłem do drzwi.

Myślałem, że będą zamknięte – że będę musiał krzyczeć do Andersona przez małą dziurę wyciętą nad nimi. Ale otworzyły się bez trudu, kiedy je pchnąłem, wypuszczając znajomy odór śmierci i gnicia. Cofnąłem się i zakryłem ramieniem nos i usta, pokonując odruch, żeby się odwrócić i uciec.

Anderson był przykuty do ściany tak samo jak ja dwa dni temu; żelazną czapkę miał przyśrubowaną ciasno do głowy, a kołnierz wgryzał mu się w grubą szyję. Deszcz całą noc sączył się przez dach i ziemia wokół niego zamieniła się w błoto o konsystencji zupy. Twarz miał pokrytą zaskorupiałą krwią, oczy podbite, ale kiedy podchodziłem,

wyglądał na spokojnego, jakby poddał się wszystkiemu, co los mógł mu jeszcze przynieść.

– Hawkins – burknął gardłowo, zakaszłał i wypluł w ciemność pękną flegmę. – Mówiłem, żebyś tu nie wracał.

– Kto zabił Harry’ego Mitchella?

Anderson na chwilę zamknął oczy i wybuchnął krótkim, suchym śmiechem.

– Powiedzmy, że wiem. Dlaczego miałbym ci o tym mówić?

– Acton do zachodu słońca dał mi czas na odkrycie prawdy. Chce, żeby mi się nie udało. – Ukucnąłem i zajrzałem mu w oczy. – Mógłbyś mi pomóc go rozczarować.

Uśmiechnął się przelotnie. W walce stracił ząb – dziąsło miał rozbite i pokrwawione.

– Co ci robi? Jak przegrasz?

– Oskarży mnie o zamordowanie Fleeta. A Fleeta obciążą śmiercią Roberta.

Chrząknął.

– Więc to jednak prawda? Stary diabeł nie żyje. – Zerknął na drzwi. – Słyszałem rano, jak krzyczeli, ale nie wierzyłem.

– Ktoś poderżnął mu gardło. Ten sam człowiek, który przebił serce Mitchellowi.

Anderson ściągnął brwi.

– Nie. Wczoraj zajęliśmy się zabójcą Harry’ego. Dostał nożem pod żebro. – Przesunął się tyle, na ile pozwalały mu łańcuchy, i westchnął. – Bunt to dobra osłona, jeśli chce się zabić człowieka.

– Ale przecież... – Wstałem i starłem pot z twarzy. Myślałem, że śmierć Mitchella ma związek z moim śledztwem. Czyżby to był przypadek? – Kto to był?

– Fred Owen. Był ze mną w celi przez trzy lata... Nie był złym człowiekiem, naprawdę. Tylko zropaczonym – skrzywił się. – Ktoś dał mu pięć szylingów przez kratę do zebrania. Powiedział, że jak zabije Harry’ego, dostanie jeszcze dziesięć. Owen miał córkę na ulicy. Dziewięcioletnią. – Anderson zamilkł.

– Widział, kto to był?

– Było ciemno. Przez kratę niewiele widział.

– A głos? Czy Owen coś ci powiedział?

– Nie, panie Hawkins, za bardzo był zajęty umieraniem – przerwał. – Ale wiem, dlaczego został zabity.

Czekałem.

– No i?

– Ile to jest warte?

Zakląłem w duszy. Nie miałem czasu na negocjacje.

– Nic mi nie zostało. Nie pozwoli pan, żeby niewinnego człowieka wysłano na szubienicę, to nie wystarczy?

– Nie wystarczy.



Jęknąłem i rozejrzałem się, jakby w wilgotnej, nędznej szopie mogła nagle pojawić się góra skarbów albo tuzin chętnych panien z dołkami w policzkach... i wtedy przypomniałem sobie, jak to jest, kiedy człowieka przykują do muru, a żelazny kołnierz ściska gardło.

– Mógłbym poluzować te śruby – powiedziałem.

Zanim Anderson zdołał się powstrzymać, na jego twarzy pojawił się na mgnienie oka wyraz rozpaczliwego pragnienia. Chyba dobiliśmy targu; znalazłem jakiś złom i zabrałem się do pracy. Anderson mówił. Metal był wyszczerbiony i ostry, drapał mnie w dłonie, ale prawie tego nie zauważałem.

– Mitchell wszystko mi wyznał na dzień przed śmiercią – rzekł Anderson. – Powiedział, że będzie o tym z tobą mówił... że obiecałeś mu w zamian wydobyć go stąd. Wiedział, że gadanie z tobą jest niebezpieczne, pomyślał więc, że ktoś z tej strony powinien poznać prawdę. To Harry dodał środka nasennego do ponczu Fleeta tej nocy, kiedy zginął Roberts. Wynajęto go tak samo jak Owena... ktoś podszedł do kraty dla żebraków i zapłacił mu parę szylingów. Harry myślał, że chcą obrabować Fleeta, to wszystko. Następnego ranka znaleźli kapitana dyndającego tutaj na belce. – Spojrzał na sufit. – Zła śmierć. A teraz jego dusza jest tu uwięziona z wszystkimi tymi trupami aż po dzień sądu.

Zadrzałem.

– Czy Mitchell rozpoznał człowieka, który podszedł do kraty?

– Nie. Głos był przytłumiony. Ale powiedział, że skądś go zna. Był pewien, że to ktoś z więzienia.

Poluzowałem ostatnią śrubę.

– Czy to mógł być Woodburn?

Anderson wyciągnął szyję i spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Pan Woodburn? Nie, Harry rozpoznałby go natychmiast, nawet po ciemku. To jedyny grubas w więzieniu... Ale dlaczego Woodburn...? – Zmieszany zamilkł. – To on zaklinał się, że to morderstwo, a nie samobójstwo.

– Myślę, że to był przypadek. – Popatrzyłem wokół siebie, na zaschnięte plamy krwi, na szczury rojące się wokół gnijących ciał zwalonych w kącie. – Roberts zgodził się na coś koszmarnego... coś nikczemnego. Chcieli go powstrzymać, więc sprowadzili go tutaj, gdzie panuje spokój, i próbowali mu to wyperswadować.

– Pięciami. Dwóch na jednego. – Anderson wyglądał na wściekłego. – Cholerni tchórze.

– Woodburn wiedział, że jeśli koroner nazwie to samobójstwem, Roberts straci prawo do chrześcijańskiego pogrzebu. Nie mógł znieść tej myśli. Złem jest zabicie człowieka, ale narażenie jego duszy na potępienie...

– Szlachetne – wymamrotał sarkastycznie Anderson. – To po co go tutaj powiesili? Przetarłem oczy.

– Nie wiem.

I na tym polegał mój problem: nie wiedziałem. Nie wiedziałem, kim był ten drugi. Nie wiedziałem, dlaczego powiesił Roberta w karczerze. Nie wiedziałem, jak zeszłej nocy zakradł się do Belle Isle i poderżnął Fleetowi gardło. Wiedziałem tylko, że muszę znaleźć odpowiedzi przed zachodem słońca – czyli w ciągu godziny.

## Rozdział 24

**J**akoś udało mi się niepostrzeżenie wrócić na stronę dla dżentelmenów. Pomogło mi to, że zazwyczaj nikt nie patrzył na drugą stronę muru, kiedy więc odszedłem od drzwi, wyglądało tak, jakbym po prostu przechadzał się po dziedzińcu.

Oddałem klucz Gilbertowi Handowi i powiedziałem mu, czego się dowiedziałem, pomijając część o zabójstwie Owena. Kapitan Anderson miał już i tak dość kłopotów. Dla Handa była to korzystna wymiana – ryzykował bardzo niewiele, a dowiedział się tyle, co ja wiedziałem o śmierci Roberta. Poklepał się po brzuchu, jakbym właśnie zafundował mu ucztę – i chyba, na swój sposób, tak było.

– Dobrze się pan czuje, panie Hawkins? Wygląda pan na rozgorączkowanego.

Już miałem odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi do mieszkania Actona i stanął w nich sam nadzorca.

– Hawkins! – krzyknął przez dziedziniec i wezwał mnie, kiwając palcem.

Hand rozpląnął się, widać wyczuł kłopoty.

Powoli poszedłem w stronę Actona, modląc się, żeby dał mi trochę więcej czasu. Wystarczyłby nawet dzień. Z mieszkania nadzorcy wyszedł wysoki, smukły mężczyzna i stanął obok niego. Gilbourne. Włożył ręce do kieszeni i szeroko, ironicznie się uśmiechnął, patrząc, jak podchodzę.

– No, Hawkins? – Acton obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów. – Masz dla mnie nazwisko?

Mózg pracował mi na pełnych obrotach. Mitchellowi wydawało się, że rozpoznał głos zza kraty dla żebraków. To był ktoś, kogo dobrze znał z więzienia i kto mógł bez trudu wchodzić tutaj i wychodzić. Chapman? Cross? Jeden z chłopców Handa, a może Gilbert Hand we własnej osobie, jeśli o tym mowa? A może jeden z posługaczy? Ale to było na nic – nie miałem wystarczających dowodów, żeby oskarżyć któregoś z nich.

– Mam, sir. – Głęboko odetchnąłem. – Pan Woodburn.

Obaj popatrzyli ze zdumieniem. Gilbourne wybuchnął śmiechem i klasnął w rękę.

– Och! To fantastycznie, sir! Wielebny Andrew Woodburn, ni mniej, ni więcej. Ten dżentelmen, który, jak pan mówi, oskarżył mnie o tę samą zbrodnię dziś rano? Domyślam się, że dlatego... dlatego wczoraj sam się dźgnął? – Gilbourne dostał ataku śmiechu.

Acton rzucił swojemu nowemu sojusznikowi spojrzenie pełne źle ukrywanej niechęci.

– To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia, panie Hawkins? – prychnął. – Nic dziwnego, że pocisz się pan jak świnia. Hm... to nieistotne. Mamy dla pana inne imię, prawda, panie Gilbourne?

Gilbourne przestał się śmiać i lekko się wyprostował.

– W istocie, mamy, sir. Fleet zabił Robertsa. Wyznał mi to na dzień przed śmiercią. Obawiam się, że w zamieszaniu wywołanym przez bunt zupełnie wypadło mi to z głowy.

Popatrzyłem na niego z wściekłością.

– To kłamstwo, sir.

– Czyżby? – Gilbourne uśmiechnął się. – Cóż, smutne to, ale on nie żyje i nie może się bronić, prawda? Co za szkoda, że pan go zabił.

Serce mi drgnęło.

– Panie Acton, niech mi pan da jeszcze jeden dzień. Błagam pana.

– Nie, nie. Ta wersja bardziej mi się podoba – odparł Acton. – Fleet zabił Robertsa, a pan zabił Fleeta. Lepiej go zamknijmy, co, Gilbourne? – Włożył mi rękę pod ramię i zaczął ciągnąć w stronę wartowni.

Szedłem jak oszołomiony. Musiałem to jakoś powstrzymać. Gdyby udało mi się powiadomić Charlesa...

Gilbourne szedł za nami.

– Ma pan bicz, sir? Może się opierać przed aresztowaniem...

– Panie Acton – powiedziałem cicho. – Chce pan złamać swoje słowo?

Acton nagle się zatrzymał, nadal ściskając mnie za ramię.

– Coś powiedział?

– Dał mi pan słowo, że mam czas do zachodu słońca. – Popatrzyłem na niebo. – Nadal jest widno.

Acton zawahał się.

– To prawda.

– Wrzuć go pan do przechowalni, na litość boską – parsknął niecierpliwie Gilbourne.

Acton puścił moje ramię i rzucił się na Gilbourne'a.

– To mój zamek – powiedział, dziobiąc grubym palcem pierś Gilbourne'a. – Jeszcze raz mi powiesz, co mam robić, a złamię ci kark. – Wyjął z kieszeni zegarek i spojrzał na niego. – Panie Hawkins, ja dotrzymuję słowa. Pół godziny. Wykorzystaj pan to mądrze. – Wzruszył ramionami. – Albo pieprz się z panią Bradshaw, mnie tam wszystko jedno. Panie Gilbourne, mamy sprawy do omówienia. – Położył dłoń na plecach Gilbourne'a i popchnął go w stronę pubu.

Podszedłem na miękkich nogach do ławki Fleeta i opadłem na nią. Trząśłem się z szoku i ulgi. Ale co teraz? Cóż można osiągnąć w pół godziny?

Na ławkę padł wielki cień. Podniosłem wzrok; nade mną stał pan Jakes, przez ramię przewieszona miał łańcuchy. Dzięki Bogu. Wstałem i w głowie mi się zakręciło, przez chwilę myślałem, że zemdleję. Jakes złapał mnie i popatrzył na mnie z niepokojem.

– Co się stało, sir? Wyglądasz na półżywego ze strachu.

Machnąłem ręką.

– Nieźle się czuję, dziękuję.

Jakes nachmurzył się, nie przekonało go to.

– Pytałem w Borough. Jedynym człowiekiem z Marshalsea, który miał pieniądze w kieszeni po śmierci Roberta, był Acton.

– Wiem, przepraszam... zmarnowałem twój czas. Woodburn wydał pieniądze.

– Woodburn? – Jakes zmarszczył czoło.

Szybko powiedziałem, co wiem.

– Woodburn... – Jakes znowu mruknął do siebie. Zacisnął dłoń na rękojeści pałki.

– A ten drugi człowiek?

– Nie wiem. – Miałem wrażenie, że głowa rozpadnie mi się na dwoje, pot lał się ze mnie. – Myślałem, że może to Trim, ale on jest przerażony. Zamknął się w pokoju i mówi, że nie wyjdzie, póki nie odkryjemy prawdy. Jakes, musimy bezzwłocznie znaleźć Woodburna. Jestem pewien, że nakłonicz go do mówienia.

– Przyszedłem, żeby właśnie coś panu powiedzieć. Przysłał to do wartowni. – Wyjął z kieszeni kartkę. – To brzmi... dziwnie. Jeszcze dziwniej teraz, kiedy wiem, co zrobił. Pomyślałem, że powinienem to przynieść. – Poprawił łańcuchy przewieszane przez ramię. Rozłożyłem kartkę.

*Panie Jakes*

*Błagam, żeby przyszedł pan natychmiast na Snows Fields, gdzie chcę uczynić wyznanie wielkiej Wagi. Przyrowadź Hawkinsa, bo obawiam się, że jego życie od tego zależy.*

*Niech Bóg pomoże nam wszystkim.*

*Andrew Woodburn, kapelan*

Przeczytałem to powtórnie i zrodził mi się w głowie plan. Spojrzałem w stronę pubu, gdzie Acton pił z Gilbourne'em. Muszę się spieszyć.

– Robi się ciemno – powiedział Jakes, patrząc z niepokojem na niebo. – Skoro mamy się z nim spotkać, musimy wyjść teraz, póki jest widno.

I zanim Acton zamknie mnie za morderstwo. Ponownie przeczytałem kartkę.

– To mi wygląda na pułapkę.

– Może ma pan rację, panie Hawkins. – Jakes uśmiechnął się. Włożył rękę pod płaszcz i pokazał mi długą szpadę ukrytą pod nim. – Wejdziemy w nią z otwartymi oczami i przygotowanym ostrzem, co?

Robiłem co mogłem, żeby wyglądać na spokojnego, kiedy szliśmy do bramy wartowni, ale ledwie oddychałem ze strachu. W każdej chwili spodziewałem się, że ktoś wywoła moje nazwisko, a pół tuzina zaufanych więźniów pochwyci mnie i zaciągnie z powrotem przed oblicze Actona. Doszliśmy do pokoju strażników. Cross siedział z nogami na stole, pił jak zwykle. Serce mocno mi biło; byłem pewien, że musi

to słyszeć z odległości dziesięciu kroków.

– Otwórz bramę, Joseph – polecił Jakes.

Cross zmrużył oczy. Z każdą mijającą chwilą czekałem, aż podniesie alarm. „Hawkins próbuje uciec!” Rozszarpią mnie na sztuki, jak psy. Cross trzasnął szklanką o stół i powoli wstał.

– Jest za późno – powiedział.

Serce we mnie zamarło, ale kiedy spojrzałem mu w oczy, zrozumiałem, że nie wie, co Acton i Gilbourne mają zamiar ze mną zrobić. Miał na myśli tylko tyle, że wkrótce będzie ciemno.

– Mam umówione spotkanie z panem Woodburnem – powiedziałem pospiesznie. – Uzgodniłem to z panem Actonem. Zapytaj go o to, sir, jeśli chcesz... ale muszę cię ostrzec, że jest w paskudnym humorze.

Cross nachmurzył się i wyjął klucze.

– Miej na niego oko – powiedział do Jakesa i wypuścił nas.

Drzwi zatrzasnęły się za nami. Jakes spojrzał na mnie z ukosa. Widziałem, że moje zachowanie go zastanawiało, ale nie śmiałem mu powiedzieć, co zamierzałem. Mógł za to stracić pracę. Uśmiechnąłem się z nadzieją, że winy nie mam wypisanej na twarzy.

– Chodźmy.

Nie poszliśmy wzdłuż Axe and Bottle Yard do Snows Fields, tak jak przedwcześniej. Skręciliśmy w lewo i jeszcze raz w lewo, na Mermaid Court, graniczący z zabudowaniami oddziału dla pospólstwa. Rząd maleńkich zakratowanych okien, wybitych w grubym kamiennym murze, wychodził na wilgotną, ciemną uliczkę. To były kraty do żebrania; jedyne miejsce, gdzie można było przekazywać jedzenie i pieniądze do więzienia, żeby Acton nie zatrzymał tego dla siebie. Ale Mermaid Court był nieprzejezdny i mało kto przypadkiem tędy przechodził. Smród oddziału dla pospólstwa przenikał na ulicę; zbyt wiele ciał uwięzionych w jednym miejscu, bez powietrza, jedzenia i wody, żeby się umyć.

Musieli usłyszeć nasze kroki odbijające się echem w uliczce. Brudne palce ukazywały się między prętami, zrozpaczone twarze przyciskały się mocno do krat. Niektórzy, jak rybacy, z nadzieją na połów spuszczały sznurki, do których przywiązane były żebracze miseczki.

– Miej litość, panie!

– Głodujemy! Przyślij jedzenie, na litość boską!

Zatrzymałem się, wyjąłem okrwawioną srebrną monetę z kieszeni i wepchnąłem ją między kraty, w pierwszą dłoń, której dotknąłem. Nie było już powodu, żeby zatrzymywać ją jako dowód.

– Boże błogosław cię, panie – krzyknął jakiś głos. – Niechby twój kutas i twoja kieska nigdy cię nie zawiodły! – Żebracze błogosławieństwo. Dłoń cofnęła się i usłyszałem, że zaczęła się szamotanina, walczący o zdobycz krzyczeli gniewnie.

Jakes przypatrywał się temu z uniesionymi brwiami.

– Prowadź, do diabła – powiedziałem, wyciągając sztylet spod płaszcza.

U końca uliczki wysoka brama znaczyła granicę Snows Fields. Jakes pchnął ją jedną ręką, otworzyła się. Odwróciłem się i spojrzałem na Mermaid Court i wysoki mur Marshalsea. Cokolwiek się zdarzy na Snows Fields, nie wrócę do więzienia. Jeśli Woodburn wyzna wszystko, odeślę Jakesa z powrotem, żeby przekazał informację Actonowi i wrócę do miasta, niech diabli wezmą konsekwencje. Jeśli nie – ucieknę. I niech Bóg broni, żeby Jakes pogonił za mną.

Nadal miałem zegarek Fleeta; wystarczy mi pieniędzy, żeby uciec z Londynu. Kiedy tylko będę bezpieczny, napiszę do Charlesa i będę miał nadzieję, że oczyści moje nazwisko. Nie wiedziałem, gdzie się ukryję – prawdę mówiąc nie za bardzo szło mi myślenie, tak bolała mnie głowa. Wiedziałem tylko, że nie wrócę.

Przeszedłem przez bramę.

Jakes był już w połowie wąskiej, błotnistej dróżki wiodącej przez łąkę z wysoką trawą. Popędziłem za nim, oglądając się za siebie, żeby się upewnić, że nikt nas nie śledzi. Trawa szeleściła i szemrała na wietrze, a mnie serce zaczęło bić ze strachu. W wysokiej, splątanej trawie mogło się ukrywać kilkunastu ludzi, a my nawet byśmy o tym nie wiedzieli.

Wreszcie przeszliśmy z łąki na płaską, porośniętą krzakami ziemię. Jakes zmierzał ku skrawkowi trawy, na którym poprzedniego dnia siedziałem z Fleetem. Jemu bardzo by to przypadło do gustu; rzucać się głową naprzód w niebezpieczeństwo. A że były w tym emocje – to mógłbym mu zagwarantować. Dowiedzieć się wreszcie, bez względu na koszty.

Zmierzchało, pola do suszenia tkanin wyglądały w oddali jak brudna szara masa. Światła pozostało tyle, że wzrok sięgał do skrajów pola; dąb przedstawiał się jak czarna sylwetka, jego szubieniczna gałąź była cienka i wyraźna na tle ciemniejącego nieba. Kilkanaście kruków opadło na ziemię przed nami; kłóciły się, krakały na siebie, przygotowując się do snu. Jakes machnął w ich stronę buciorem, parę ptaków niechętnie wzleciało w powietrze i wylądowało na najbliższym kurhanie.

Rozglądałem się w gasnącym świetle. Nikogo nie było. Tylko ja, Jakes i kruki. I wtedy wreszcie zrozumiałem – nikt więcej nie przyjdzie.

To miało być moje miejsce egzekucji. Nie było wózka, wiwatujących tłumów, ale tutaj zginę. Czas spowolnił bieg, kiedy ta prawda do mnie docierała; kruki milczały, przypatrywały się, wiatr ustał.

Jakes spokojnie patrzył, jak podnoszę sztylet. I wtedy uśmiechnął się; w jego oczach widać było cień żalu.

Przypomniałem sobie pierwszy dzień, kiedy się poznaliśmy; płynęliśmy rzeką do Southwark. Wtedy się przyznał, szkoda, że nie słuchałem: „Lepiej zachowane trupy widziałem na polu walki”. Widział ciało kapitana. Był tam wtedy, tamtej nocy.

– Zabiłeś go – powiedziałem, cofając się. – Najlepszego przyjaciela. Człowieka, który uratował ci życie.

Jakes patrzył na mnie bez mrugnięcia.

– Tak, uratował mi życie. A ja uratowałem jego duszę. Wyrównałem rachunek, nie uważasz?

Mogłem uciekać – ale nie pozwoliliby mi uciec daleko. Nie mógł mnie teraz sięgnąć szpadą – ale ja byłem słaby, miałem gorączkę. Błyskawicznie przeszłyby mnie ostrzem. Musiałem go jakoś zmylić. Z trudem przełknąłem ślinę.

– Jak mogłeś to zrobić? Mój Boże, Jakes... jesteś... dobrym, zacnym człowiekiem. – Nawet mówiąc te słowa, nie byłem w stanie uwierzyć w to, co zrobił.

– Bo go kochałem – powiedział cicho Jakes, prawie do siebie. – Był moim kapitanem i moim bratem. Nie znałem człowieka dzielniejszego w polu. Ale jeśli chodzi o bitwę o swoją duszę... był tchórzem. Zawsze ustępował swym zachciankom – picciu, kobietom, hazardowi.

– Właśnie opisałeś połowę angielskich mężczyzn, panie Jakes. To nie daje ci prawa, żeby ich mordować. – Zrobiłem krok w tył, próbując odsunąć się od jego szpady. Im dłużej rozmawialiśmy, tym większe były szanse, że ktoś będzie przechodził i podniesie alarm.

„Nikt nie przyjdzie, Tom. Sam musisz stawić temu czoło”. Głos Fleeta, jasny i nagły zabrzmiał w mojej głowie.

– Sprzedałby żonę za dziesięć gwinei – powiedział Jakes, okrążając mnie ostrożnie. – Nie mogłem na to pozwolić. Plama na jego duszy... nigdy by jej nie zmył. Nie chcieliśmy, żeby umarł. Chcieliśmy tylko pokazać mu, dokąd zmierza. John był człowiekiem czynu, nie słów. Nie dałoby się mu opisać piekła, ale można mu było je pokazać. – Jakes skrzywił się. – Przykułem go łańcuchami do muru i zbiłem go. Boże pomóż, pokazałem mu trupy i szczury. A Woodburn powiedział mu, o ile gorzej mu tam będzie – wieczność w piekle.

Kiedy mówił, odsunąłem się od niego o parę stóp. Gdybym dał radę dobiec do pól, gdzie suszyły się tkaniny, mógłbym go zgubić. Było prawie ciemno.

– Więc to był akt miłosierdzia?

– Tak! – warknął gniewnie. – Kpij sobie ile chcesz, ale to było miłosierne. Powstrzymałem go od potępienia siebie samego. Zaryzykowałem przy tym własną duszę... ze spokojnym sercem. John w końcu okazał skruchę. Wiem, że tak zrobił.

– Zanim go zamordowałeś.

– To był przypadek! – krzyknął Jakes. Zobaczyłem udękę w jego oczach. – Obiecał oddać pieniądze, ale Woodburn powiedział, żeby jeszcze go zbić, tylko raz, żeby nigdy tego nie zapomniał. Nie wiem... Nie wiem, co się stało. Uderzyłem go, upadł do tyłu. I wtedy... – Łzy spływały mu po twarzy. – Po prostu tam leżał. Nie chciałem go zabić, przysięgam.



– A teraz leży w niepoświęcanej ziemi, mimo całego twojego gadania o ratowaniu go! Po kiego diabła go powiesiłeś? Po co było udawać, że to samobójstwo? Przecież chodziło ci o ukrycie własnej winy.

Jakes otarł łzy z twarzy.

– Chciałem zostawić go na ziemi, ale szczury... najpierw wyjadają oczy, wiedziałeś? Nie mogłem... – Przełknął. – Powiesiłem go poza ich zasięgiem. Zasługiwał przynajmniej na to.

Nic nie powiedziałem. Zdumiewał mnie człowiek, który umiał zabić swojego najlepszego przyjaciela, ale był zbyt wrażliwy, żeby zostawić trupa szczurom na żer. Zrobiłem jeszcze jeden krok w tył.

– A co z Fleetem? Czy zasługiwał, żeby go zamordować w jego własnym łóżku?

– Samuel Fleet? – Jakes splunął. – Nie stracę nawet chwili snu przez tego demona o czarnym sercu. Mitchell, przyznaję... to był trudny wybór. Ale i tak wkrótce umarłby w tej piekielnej matni. – Westchnął, lekko wzruszył ramionami. – Spoczywa teraz w pokoju.

– I oczywiście z grobu nie może cię oskarżyć o morderstwo.

– Nie. Pewnie, że nie. – Jakes zrobił krok do przodu.

Słaniając się, zrobiłem krok do tyłu, wysoko uniosłem sztylet.

– Ale po co znowu zabijać? Dlaczego ryzykować własną duszę dla mnie? Pozwól mi uciec do Mint i nigdy o mnie nie usłyszysz.

– Umierasz, panie Hawkins. Gorączka więzienna. – Końcem szpady wskazał moją pierś, gdzie miałem rozpiętą koszulę.

Spojrzałem w dół i podciągnąłem koszulę. Serce mi skoczyło. Od brzucha rozprzestrzeniała się po moim ciele matowa, czerwona wysypka. Wiedziałem, co to znaczy. Gorączka. Majaczenie. Śmierć. Acton nie będzie musiał wysyłać mnie na szubienicę. Trzęsącymi się rękami opuściłem koszulę.

– Więc... – Z trudem przełknąłem. – Więc po co zabijać umierającego?

– Bo nie masz nic do stracenia. Powiesz im wszystko. A oni ci uwierzą.

Mówiąc to, rzucił się bez ostrzeżenia naprzód. Sparowałem, klingi zadźwięczały. Machnął szpadą drugi raz, ostrze prawie wytrąciło mi sztylet z dłoni. Zatoczyłem się do tyłu, a on uderzył ponownie, zasypywał mnie gradem ciosów, coraz słabiej zasłaniałem się krótszym ostrzem. Robiłem, co mogłem, walczyłem z całych sił, żeby się obronić – ale nie byłem w stanie mu dorównać. Znow się zamachnął, tym razem mocniej. Cios był druzgocący, nieomal zbił mnie z nóg. Sztylet wypadł mi z dłoni. Jakes mocno uderzył mnie w brzuch, upadłem na kolana.

Stał groźnie nade mną ze wzniesionym ostrzem. Siły mnie opuściły; pot lał mi się po plecach, świat wirował wokół mnie jak karuzela. Niebo rozbłysło czerwienią ostatnich promieni zachodu.

– Miej litość – jęknąłem.

Silnie ścisnął rękojeść, ledwie świadomie opadłem na ziemię. Podniósł mnie i zarzucił sobie na ramię, tak jak musiał nieść Roberta, jakbym był lekki jak piórko. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści kroków... nie ustawał. Byłem zbyt oszołomiony, zbyt chory, żeby zrozumieć, co się dzieje. Rzucił mnie na ziemię, zaczął ciągnąć w stronę dębu, jakbym już był trupem. Poczulem, że ziemia się przede mną rozstępuje, że koziółkując wpadam do jamy. Upadłem mocno na plecy, aż zaparło mi dech w piersiach. Kawałki ziemi leciały mi na twarz, do ust.

Byłem w grobie. Przygotował dla mnie grób.

Wyplułem grudki. Czulem chłodną i wilgotną ziemię pod palcami. Grób był głęboki – co najmniej na cztery stopy. Musiał go kopać całymi godzinami. Przez całe popołudnie, kiedy myślałem, że jest w Borough. Nie musiał pytać ludzi o pieniądze; już wiedział, jak zostały wydane. Przez cały czas trzymał się blisko mnie, udawał, że pomaga, a w istocie pilnował, żebym nie odkrył prawdy.

– Powiem, że uciekłeś – powiedział cicho, kiedy szamotałem się, żeby się wydostać. – Nie przyjdą tutaj, żeby cię szukać. Na trawie nie ma krwi, nie ma śladów walki. Przykro mi, panie Hawkins, naprawdę. Kiedy tylko będę mógł, przyjdę modlić się za pana.

– Czekaj! – prosiłem. Zniósłbym ostrze na szyi, ale nie to. Nie spoczynek w nieznanym grobie, jak ktoś zagubiony, nie opłakiwany. Wyciągnąłem z kieszeni krzyżyk matki, poczułem w palcach jego znajomy kształt. – Najpierw pomódl się ze mną, na litość boską.

Zawahał się, potem skinął głową. Wiedziałem, że się zgodzi. W końcu uważał się za dobrego chrześcijanina.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie... – Ile razy wypowiadałem te słowa? Wypluwały się z moich ogarniętych gorączką warg, ledwie słyszalne. Jakes pochylił głowę, mamrotał te słowa do siebie. Kiedy odwrócił ode mnie wzrok, zebrałem resztki sił. Podciągnąłem się, przewiesiłem przez skraj grobu i wygramoliłem się całkowicie. Chwiejnie stanąłem i na oślep pogałem w stronę drzew przed nami.

Jakes zaklął i rzucił się w pościg, jego buciorzy dudniły po ziemi. Wbiegłem do małego zagajnika, a serce waliło mi jak szalone. Był tylko kilka kroków za mną, słyszałem, jak przedziera się przez krzaki. Dałem nura za gruby jesion i stanąłem bez ruchu, tylko pierś mi falowała.

– Nie możesz się ukrywać w nieskończoność! – zawołał Jakes. – Znajdę cię!

Jeśli pobiegnę, usłyszysz mnie. Jeśli zostanę, znajdzie. Kora ostro wbijała mi się w pokryte potem plecy, powietrze było świeże i pachnące. W końcu to nie takie złe miejsce na umieranie. Lepsze to niż gnić w więzieniu. Odepchnąłem się od drzewa i zacząłem biec.

Gruchnął wystrzał z pistoletu – głośny i twardy jak uderzenie pioruna.

Zatrzymałem się i odwróciłem, oszołomiony strachem i zmęczeniem. Między

drzewami widać było światło latarni. Rozpaczliwie zacząłem przedzierać się w tym kierunku. Gałęzie mnie drapały, wołałem pomocy – i wbiegłem prosto na Josepha Crossa.

– Hawkins, cholera jasna. Wyglądasz jak umrzyk.

– To był Jakes – wydyszałem, łapiąc go za płaszcz. – To on ich wszystkich zamordował.

Cross prychnął.

– Już nikogo więcej nie zamorduje. – Pokazał małą polankę przed nami. Puściłem go i chwiejnie ruszyłem naprzód, chwytając się gałęzi, żeby nie upaść.

Polana była jak scena, zalana srebrem promieni wschodzącego księżyca. Pośrodku, na plecach leżał Jakes, jęcząc w agonii. Rękami podtrzymywał otwartą ranę w brzuchu, krew spływała mu między palcami. A nad nim stała...

Oddech uwiązał mi w piersi.

A nad nim stała Kitty, z pistoletem Fleeta w garści.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, stojąc po przeciwległych stronach polanki. Odwróciła wzrok i pewną ręką nasypała świeżą miarkę prochu do lufy. Słaniając się, zrobiłem w jej stronę kilka kroków; Cross szedł za mną, Latarnia rzucała miękkie światło na krwawą scenerię. Kitty w milczeniu zakończyła przeładowywać pistolet i znów odwróciła się do Jakesa.

– Nie – wyszeptał ochryłym głosem Jakes. – Nie jestem gotów. Błagam... Poślijcie po księdza...

Uniosła pistolet i wycelowała mu w głowę. Odciągnęła kurek.

– Przekaż diabłu wyrazy szacunku ode mnie, panie Jakes.

Strzeliła.

Mgiełka dymu z lufy uniosła się powoli pod niebo.

– Piekielna jatka – wyszeptał Cross.

Rzuciła pistolet i podeszła do mnie.

– Tomie, jesteś bezpieczny.

Wyciągnąłem rękę, żeby ją powstrzymać.

– Nie podchodź. Jestem chory. Gorączka więzienna. – Ale przecież przed paroma godzinami całowałem ją, na górze, w Belle Isle. Usta mocno przyciskała do moich ust.

Gorączka zwyciężyła. Czułem się tak, jakbym umierał. Opadłem na kolana, potem przewróciłem się na ziemię. Ciemność runęła na mnie jak ryczące wody Tamizy i przestałem istnieć.

**Część III**  
**ŻYCIE I ŚMIERĆ**

# Rozdział 25

**O**budziłem się w małym, ciasnym pokoiku.

Leżałem na plecach na wąskim łóżku, materac był wilgotny i cuchnął potem. Okiennice były zamknięte, ale na stole obok mnie filował i rzucał iskry ogarek świecy. Na ścianie wisiał drewniany krzyż. Potarłem twarz i głowę, długi zarost zaszeleścił mi pod palcami. Musiałem tutaj leżeć od wielu dni.

Wspomnienia nadchodziły i wypadały z pamięci. Najgorszym była gorączka; paliła mi ciało, było mi gorąco jak w piekielnym piecu. Ostry, ciężki ból głowy, jakbym znów miał na niej żelazną czapkę. Majaki. Dni stapały się w jeden. Zaniepokojone głosy, twarze pokryte uperfumowanymi kawałkami materiału nachylają się nade mną. W pokoju obok odprawiają modły. Miękka, chłodna ręka trzyma moją dłoń.

„Thomasie, zostań. Proszę, zostań ze mną”.

Byłem o włos od śmierci. Czułem to w kościach.

Usiadłem powoli, odklejając się od prześcieradła. W głowie mi się kręciło. W powietrzu czuło się słaby zapach uryny i wymiocin, zmieszany z lawendą. Ktoś przywiązał do łóżka świeżą gałązkę. Pokruszyłem w palcach liście i wdychałem mocny, ciepły aromat.

Przełożyłem nogi na podłogę i podszedłem do okna, powłócząc nogami jak stary pies. Pokój wychodził na ruchliwą ulicę – słyszałem stukot końskich kopyt, turkot wozów, krzyki i śmiech. Otworzyłem okiennice i pokój zalało słoneczne światło, prawie mnie oślepiając. Kilkoma mocnymi pchnięciami otworzyłem okno i wyjrzałem na tętniącą życiem, szeroką ulicę. Kupcy z turkotem pchali wózki na rynek; jakiś chłop prowadził małe stadko chyżo drepczących owieczek w stronę mostu. Po drugiej stronie ulicy dwie dziewczyny leżały wyciągnięte na schodach burdelu; przebierały palcami stóp, kąpiąc się w jesiennym słońcu.

W Borough świta, a ja żyję. Na chodniku pod moim oknem Charles kłócił się z Trimem. Pokazywał czekający obok wóz z woźnicą zaprzężony w szkapę, Trim kręcił głową, ręce opierając mocno o biodra.

– Charles... – Głos miałem ochrypły, załamujący się. Odchrząknąłem i spróbowałem jeszcze raz.

Charles spojrzął w górę, uśmiechnął się, wpadł do domu i tupiąc wbiegł po schodach. Chwilę później był w pokoju, Trim tuż za nim. Omal się nie popłakałem na jego ramieniu, tak się cieszyłem, że żyję. Ale prosta czynność, jak podejście do okna, przyprawiła mnie o zawroty głowy. Chwiałem się na nogach i upadłbym, gdyby Trim mnie nie złapał.

– Posadź go – powiedział do Charlesa, a sam podszedł do drzwi, żeby zamówić

dzbanek z piwem.

Charles podprowadził mnie powoli do łóżka. Kiedy usiedliśmy obok siebie, wyjaśnił, że to areszt dla dłużników, którego właścicielem jest jeden z kumpli Actona. Jeśli Marshalsea było piekłem, to tutaj był czyściec, w którym trzymano dłużników na tyle zasobnych, by uniknąć więzienia. Pozostawali tutaj pod czujnym okiem komorników. Niektórzy zbierali dość pieniędzy, żeby wrócić do domu, z pozostałych wyciskano ostatniego pensa, a potem wsadzano do więzienia. Miejsce spraw straconych i marnych szans.

– Co pamiętasz? – zapytał.

Próbowałem sobie przypomnieć, ale po gorączce byłem osłabiony, miałem mętlik w głowie, bo nie jadłem od wielu dni. Dopiero później przypominałem sobie wszystko: polowanie wśród drzew, Kitty na polance z pistoletem w dłoni i Jakesa trzymającego się za otwartą ranę brzucha. Możliwe, że umysł chciał mi zaoszczędzić wspomnień, póki na tyle nie wydobrzeję, żeby je znieść.

– Jakes... – wyszeptałem spękanyymi wargami. – To był Jakes. – Zacząłem się gwałtownie trząść.

Charles otoczył mnie ramieniem.

– Teraz jesteś bezpieczny, Tomie.

Wrócił Trim i nalał mi kufelek piwa.

– Powoli – ostrzegł, wkładając mi go w drżące ręce.

– Kto mnie tu przyprowadził? – zapytałem.

Charles wyjaśnił, że ze Snows Fields przywieziono mnie z powrotem do Marshalsea. Acton zauważył, że jestem przeżarty gorączką i odmówił przyjęcia mnie. Bał się, że zarazę stroneę dla dżentelmenów i go zrujnuję. „Rzucimy go do oddziału dla pospólstwa, jeśli chcecie”, miał powiedzieć. Dość dziwne, ale to Cross przypomniał Actonowi, że sir Philip obiecał mi wolność. Acton poszedł na kompromis i wysłał mnie tutaj, gdzie mogłem gorączkę wypocić albo na nią umrzeć – domyślałem się, co by mu bardziej odpowiadało.

Wtedy nie rozumiałem, dlaczego Cross się za mną ujął. Powody przestawił mi później, kiedy po raz ostatni się z nim spotkałem – nie chciał, żebym zaraził chorobą oddział dla pospólstwa. W końcu to Cross musiał wyciągać ciała co rano, a nie Acton. Czasami myślę, że było w tym coś więcej – może chwila łaskawości. Kiedy indziej sędzę, że po prostu chciał, żebym zniknął z więzienia.

– Długo tu jestem?

Charles ponuro się uśmiechnął. Oczy miał przekrwione i podkrążone.

– Prawie tydzień. Dzisiaj jest niedziela, pierwszy października – przerwał. – Byłeś bardzo chory. Przez ostatnich parę dni opiekował się tobą Trim... już kiedyś miał tę gorączkę, więc był bezpieczny. Nie sądziliśmy... – Charles z trudem przełknął ślinę. – Trzy dni temu udzielili ci ostatniego namaszczenia. Mnie nie wpuszcili do pokoju z

obawy przed infekcją. – Popatrzył na mnie z ciekawością. – Pamiętasz?

Zamknąłem oczy. Tak; były jakieś głosy w ciemności. Słowa pociechy i spokoju. Odpląnąłem po nich, szczęśliwy że w końcu jestem wolny. Coś sprowadziło mnie z powrotem. Coś wyraźnego i jasnego. Coś, o co warto walczyć...

– Tom?

...Może to był sen. Pamięć wyblakła. – Otworzyłem oczy, pokręciłem głową.

– Cóż, może i lepiej – powiedział Charles, patrząc uważnie na Trima. – Porozmawiajmy o radośniejszych sprawach. Mam parę doskonałych wiadomości – przerwał i uśmiechnął się. – Sir Philip spłacił wszystkie twoje długi.

Zajęło mi chwilę, zanim zrozumiałem, co to znaczy. Schwyciłem go za ramię.

– Wszystkie? Jestem wolny?

Charles uśmiechnął się.

– Tak jak obiecano, Tom.

– A Jakes? Woodburn?

Trim chrząknął. Charles ostro spojrzał na niego i pokręcił głową.

– Sir Philip wszystkim się zajął. Nie zwracaj sobie tym głowy.

Przybył służący z herbatą i śniadaniem. Zgłodniały, patrzyłem, jak rozstawia półmiski, ale kiedy usiadłem do jedzenia, ledwie mogłem zjeść pół bułki.

Trim przyglądał mi się z zaniepokojoną miną.

– Widzi pan teraz, panie Buckley? Jeszcze nie wydobrażał na tyle, żeby pojechać.

Charles nachmurzył się.

– A jaki mamy wybór? Jeśli zostanie jeszcze jeden dzień w tej dziurze, może znowu się zarazić.

– Więc znajdziemy mu ładny, czysty pokój w Borough – sprzeciwił się Trim. – Teraz, kiedy przeszła mu gorączka, przyjmą go w George.

– George? – Z zainteresowaniem podniosłem wzrok znad bułki. – Moglibyśmy tam zaraz pojechać?

– Tak, dziękuję za tę sugestię, panie Trim. – Charles wściekle spojrzał na golibrodę. – Ale jak pan wie, sir Philip zaprosił Toma do swojego mieszkania w Richmond na czas rekonwalescencji. – Zwrócił się do mnie. – Wóz czeka, żeby nas zabrać nad rzekę.

– Moglibyśmy... – Myślałem o dwóch dziwkach opalających się na schodach, na ulicy. – Moglibyśmy pojechać jutro? Jestem troszeczkę zmęczony.

Charles położył mi dłoń na ramieniu.

– Tom, proszę, błagam cię. Potrzebujesz spokoju i wypoczynku. Pozwól, że się tobą zajmę. Kiedy dojdiesz do siebie, razem przebiegniemy się po tawernach, obiecuję.

Kiwnąłem głową, że się zgadzam. Brakowało mi Charlesa przez ostatnie parę miesięcy – no i uratował mnie od więzienia. Jeśli tego chce, pojedą z nim.

– Dobrze. Wyruszymy natychmiast, gdy tylko się ubierzesz. Tu, na krześle jest nowe ubranie. – Wyciągnął portmonetkę i wysypał na dłoń strumyczek monet. – Panie Trim, zechciałby pan łaskawie zapłacić rachunek? Resztę może pan zatrzymać.

– Po prostu Trim – mruknął zdenerwowany fryzjer, ale monety wziął. – Niech pan na siebie uważa, panie Hawkins. – Lekko się uklonił i wyszedł, zanim zdołałem mu podziękować.

Chętnie powiedziałbym, że zapomniałem o tym, bo przeszedłem chorobę, albo ze względu na szybkość, z jaką Charles wyciągnął mnie z łoża bóleści i zapakował do dorożki. Może tak i było, a może nie chciało mi się za dużo myśleć. Mniejsza o przyczynę; prawie dojechaliśmy do rzeki i schodów Tooley, kiedy zdałem sobie sprawę, o czym zapomniałem.

– Charles, poczekaj. Musimy zawrócić.

Wystawił głowę z powozu i popatrzył na ulicę.

– Jesteśmy prawie nad rzeką.

– Charles! – Chwyciłem go za ramię i pociągnąłem, żeby na mnie spojrział. – Muszę znaleźć Kitty. Uratowała mi życie. Nie mogę odjechać i się z nią nie spotkać.

Charles nic nie powiedział, tylko patrzył na mnie ze smutkiem, chwiejąc się, kiedy dorożka skręcała za róg.

– Musimy wracać – zawołałem do woźnicy. Wiedziałem, że coś jest nie tak, widziałem to w minie Charlesa. Ale nie chciałem tego zrozumieć. Wygramoliłem się ze swojego siedzenia i złapałem woźnicę za ramię. – Zatrzymaj się, do cholery!

Woźnica tak gwałtownie przystanął, że mało nie wyleciałem z dorożki. Odwrócił się i popatrzył na mnie z wściekłością.

– Złap mnie jeszcze raz, a złamię ci szczękę, ty cholerny głupcze.

– Zawracaj natychmiast! Zawieź nas do Marshalsea.

– Tom... – powiedział łagodnie Charles.

Skuliłem się na siedzeniu.

– Nie mów mi tego. Charles... nie mów tego, błagam.

Położył mi rękę na ramieniu.

– Przykro mi, Tom. Ona nie żyje.

Nie żyje. Nie żyje. Nie pamiętam reszty podróży, tylko te słowa, kręcące się w kółko w rytm kół dorożki. To niemożliwe. Kitty. Uratowała mnie. Zabiła dla mnie Jakesa. Była moja nagrodą za wszystko, co przeszedłem. Może nie? Nie mogła umrzeć. Jak mam bez niej dalej żyć? Jakie będę miał życie?

Sir Philip wysłał swój prywatny jacht z Richmond, żeby nas zabrał. Jego córki, Mary i Constance, przypląnęły z prowiantem na piknik, bez wątplenia zaintrygowane spotkaniem z niesławnym przyjacielem pana Buckleya. Spotkały spustoszony wrak człowieka, dobitego smutkiem.

– Obawiam się, że do pana Hawkinsa dopiero co dotarły złe wieści – powiedział



Charles, złapał mnie mocno i poprowadził na pokład.

Na korzyść panien Meadows trzeba powiedzieć, że naprawdę zaniepokoił je mój stan i znalazły mi cichy, ocieniony kącik, żebym wypoczął.

– Poduszki – powiedziała stanowczo Mary, jakby były lekiem na wszelkie nieszczęścia, od choroby poprzez śmierć po apokalipsę.

Położyłem się i zasłoniłem twarz dłonią. Tutaj nie mogłem szlochać tak głośno, jakbym chciał. Charles usiadł obok mnie. Ręka mi opadła.

– Jak umarła?

– Porozmawiamy o tym później, Tomie. Musisz wypocząć. – Pod troską wyczułem leciutki odruch zniecierpliwienia. Nikt inny by tego nie usłyszał, ale ja znałem Charlesa aż za dobrze.

– Czy zabrała ją gorączka?

Westchnął i skinął głową.

Serce we mnie zamarło. Pomyślałem o jej ustach przyciśniętych do moich ust, o jej rękach obejmujących mnie za szyję.

– Zabiłem ją pocałunkiem.

Charles odwrócił wzrok, ale nic nie powiedział. Krępowałem go. Tyle zamieszania, a chodzi o kuchtę.

Jacht zaczął się kołysać; unosił się i szybko opadał z ostrym pluskiem. Wywołany przez to wstrząs przywrócił mi zdolność rozumowania. Jaki ze mnie mężczyzna, skoro leżę na aksamitnych poduszkach i kwilę? Nie takiego mężczyzny chciała Kitty. Wstałem i znalazłem sobie miejsce do siedzenia w pobliżu dziobu. Służący przyniósł mi kieliszek wina i fajkę.

Constance, widząc, że się zebrałem w sobie, podeszła i usiadła obok mnie, wachlując się energicznie. Była piękną dziewczyną o śmiałych manierach i w innych okolicznościach cieszyłbym się z jej towarzystwa.

– Panie Hawkins – ściszyła głos. – Mary i ja byłyśmy podekscytowane pańskimi przygodami w więzieniu. Obiecuje pan opowiedzieć nam wszystko? Oczywiście, kiedy dojdzie pan do siebie.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale nic mi nie przychodziło na myśl. Jak mógłbym siedzieć przy kolacji i opisywać to, czego byłem świadkiem, dwóm niewinnym młodym damom? Trzynastoletni chłopak zбитy na śmierć; gnijące trupy rojące się od szcurów; przebudzenie i widok przyjaciela z poderżniętym gardłem, bez życia w bystrych czarnych oczach. Jak miałbym z tego utkać śliczną historyjkę, żeby zabawić córki sir Philipa? Co gorsza, wiedząc, że ich ojciec nie kiwnął palcem, pozwalając, żeby to wszystko się zdarzyło? Uśmiechnąłem się i upiłem łyk wina.

Constance nachyliła się bliżej i szepnęła pod osłoną wachlarza:

– Charles kazał nam obiecać, że nie będziemy pytać, ale muszę wiedzieć... czy to prawda, że strzelił pan zabójcy prosto w serce?

Zdumiony gapiłem się na nią.

– Nikogo nie zabiłem, panno Constance.

Nachmurzyła się.

– Musiał pan przecież! Papa tak mówił. Pan Buckley powiedział, że był pan bardzo odważny.

– Nie, madame. Jakesa zastrzeliła Kitty Sparks. – Raz w brzuch, raz prosto między oczy.

– Kitty Sparks...? – Zamknęła wachlarz z ostrym trzaskiem, odsunęła się i zmierzyła mnie ostrym wzrokiem, mrużąc oczy. – Dziewczyna?

– Kuchta – przerwałem. – Kochałem ją.

Długo gapiła się na mnie szeroko otwartymi oczami. Potem zamrugła, roześmiała się i kokieteryjnie postukała mnie wachlarzem w ramię.

– Drażnisz się ze mną, sir. To niegodziwe. – Nagle wstała, zakręciła suknią z pięknego niebieskiego jedwabiu i tanecznym krokiem odeszła, żeby dołączyć do siostry. Wspomniałem Kitty biegnącą przez dziedziniec, jej uniesioną w rękach spódnicę, błysk delikatnych kostek. Charles stał tak blisko, że wszystko słyszał. Pokręcił powoli głową i odwrócił się.

Łódź żeglowała w górę rzeki, słońce lśniło na wodzie. Spojrzałem za siebie, w stronę Southwark, ale wypłynęliśmy za zakręt i od jakiegoś czasu zniknęło z pola widzenia. Nawet nie zauważyłem, jak zostawiłem je za sobą.

Kolejnych kilka dni przeszło jak sen. Pałacyk myśliwski sir Philipa był ogromny, służący gotowi byli zaspokoić każdy możliwy kaprys. Dano mi lokum blisko mieszkania Charlesa, z własnym lokajem, który patrzył na mnie zezem, jakbym mógł go uderzyć albo ukraść coś małego i cennego. Dlaczego nie? Jak wiadomo, zabiłem człowieka.

Tylko Charles i Joseph Cross znali prawdę. Razem postanowili, że jej nie wyjawia. Kitty zastrzeliła Jakesa z zimną krwią. Gdyby świat się o tym dowiedział, jej reputacja na zawsze ległaby w gruzach. W najgorszym przypadku mogłaby zostać zesłana za ocean albo powieszona. Cross wyjął jej pistolet z dłoni i wszystkim powiedział, że to ja zastrzeliłem Jakesa. I tak byłem półżywy – jakie to miało znaczenie? Kitty protestowała, ale nikt jej nie uwierzył, nie licząc Charlesa. Wiedział, że nie byłbym do tego zdolny.

Kitty mogła zostać i opiekować się mną. Teraz przypominałem ją sobie. Trzymała mnie za rękę, wyciągnęła mnie z objęć śmierci. A potem gorączka zabrała ją zamiast mnie.

Była mowa o procesie, kiedy dojdę całkowicie do zdrowia. Ale ja byłem dzentelmenem, a Jakes nie. Sir Philip miał przyjaciół i wpływy. Sprawa przyschła.

A pan Woodburn? Charles mamrotał coś, że kościół chroni swoich ludzi.

– Gdzieś go zamknęli. A może wysłali za granicę? Pewnie powinien wisieć za to,

co zrobił...

– Nie – westchnąłem. Pan Woodburn nie uniknął kary, postarało się o to jego własne sumienie. – Niech żyje tam, gdzie żyje. Był durniem. Niebezpiecznym durniem. Ale on nie zabił Roberta ani nikogo innego. Na swój pomyłony sposób naprawdę myślał, że czyni dobro. – Pokręciłem głową nad bezsensem tego wszystkiego.

Z upływem czasu robiłem się coraz mocniejszy, wrócił mi apetyt, ale nadal byłem w kiepskim nastroju. Stwierdziłem, że nie potrafię długo usiedzieć w domu, godzinami chodziłem po posiadłości. Lubiłem spacerować nad jeziorem niedaleko domu, gdzie pod drzewami stały konie, potem zagłębiałem się w las, kopiąc jesienne liście, jakbym pod nimi mógł znaleźć odpowiedzi. Kiedy się ściemniało, żona sir Philipa, lady Dorothy, wysyłała ludzi z latarniami, żeby mnie znaleźli. Wracałem na pokoje, gdzie już czekała ciepła kąpiel i świeże ubranie.

Po nocach śniło mi się, że jestem w grobie na Snows Fields. Budziłem się z okrzykiem strachu i smakiem ziemi w ustach.

# Rozdział 26

**N**ie masz prawa, Charlesie. Żadnego prawa!

Byliśmy w bibliotece sir Philipa. Nieprzeczytane książki stały aż po sufit. Od śniadania mocno padało i skryłem się tutaj, żeby w spokoju spędzić poranek i pobuszować po półkach. Lubiłem ten pokój; pachniał starą skórą i dymem z fajki, a rodzina rzadko z niego korzystała.

Minął już tydzień, odkąd przybyłem do pałacyku. Długie spacerunki, świeże powietrze i dobre jedzenie odbudowały moje siły, ale mroki nie ustępowały. Wznosiły się w środku nocy, przychodziły po mnie: gęsta, nieskończona mgła przerażenia i niepokoju. Godzinami leżałem na jawie, moje myśli wirowały i skręcały się w beznadziejną gmatwaninę.

Powinienem się cieszyć, że żyję i jestem wolny. Nadal opłakiwałem Kitty i Fleeta, ale ich śmierć była jak ostre klingi w moim sercu – czyste, honorowe rany, które potrafiłem zrozumieć. To coś innego nie pozwalało mi zasnąć w nocy; coś bardziej zdradzieckiego niż smutek. Nie wiedziałem, co to takiego, nie potrafiłem tego nazwać, ale w głębi duszy wiedziałem, że to jest we mnie.

Czytałem stary egzemplarz „Gazette”, kiedy Charles wszedł do pokoju. Ucieszyłem się na jego widok; przez ostatnie parę dni niewiele czasu z nim spędziłem. Godzinami pracowałem z sir Philipem, ale tego ranka cała rodzina wybrała się do Londynu, żeby przygotować się do koronacji. Mary była damą dworu królowej i następnego dnia przypadło jej miejsce blisko czoła procesji.

– Charles! – uśmiechnąłem się. – Wreszcie jesteś wolny? Każmy przynieść butelkę wina i zagrajmy w karty. Będziesz musiał pożyczyć mi trochę pieniędzy. – Sir Philips spłacił moje stare długi, ale w kieszeni nie miałem nowych środków. Byłem bez grosza przy duszy. Znowu.

Uśmiechnął się z zalem.

– Muszę napisać kazanie. Ale proszę... to przyszło do ciebie dziś rano. – Podniósł list i dodał ostrożnie: – To od twojego ojca.

Cofnąłem się.

– Jak mnie znalazł?

– Napisałem do niego.

Popatrzyłem na niego wściekle, kiedy wyjmował list z koperty.

– Nie masz prawa, Charlesie. Żadnego prawa.

– Gdybyś tylko zechciał przeczytać... Myślę, że będziesz zaskoczony.

Wyrwałem mu list z ręki i wrzuciłem w ogień.

Charles skoczył i wyjął go, zanim zajął się płomieniem. Otrząsnął płonący popiół z

palców.

– Tomie, proszę. Zrób to dla mnie. To tylko jedna strona.

– Doskonale – nadąsałem się. – Daj go tutaj, skoro musisz. – Rozłożyłem kartkę, przygotowując się na słowa nagany i triumfu.

*Moje Drogie Dziecko*

*Dziś rano właśnie otrzymałem Nowinę o twoich ostatnich Kłopotach i piszę do ciebie w wielkim Pośpiechu. Mój chłopcze – błagam, przyjedź do Domu, do Rodziny, żeby odpocząć i nabrać sił. Załączyłem trzy funty, żeby pomóc ci w Podróży i proszę, przybywaj natychmiast.*

*Mój Najukochańszy Synu, dlaczego do mnie nie pisałeś? Myślałeś, że o tobie zapomniałem? Tęskniłem za tobą, Thomasie, każdego dnia – i modliłem się za ciebie. Charles mówi, że wyrosłeś na dobrego człowieka i prawdziwego Przyjaciela i że wyświadczyłeś wielką Przysługę sir Philipowi Meadowsowi. Jestem pewien, że przy poparciu tak szlachetnego patrona występki twojej młodości zostaną ci wybaczone. Napiszę do Biskupa Norfolku w twoim imieniu, w chwili gdy dostanę wieść od ciebie.*

*Mój chłopcze. Obaj jesteśmy Uparci, ale ja już jestem stary – za stary, żeby powodowała mną Duma. Wróć do Domu do swojej Rodziny, która cię kocha i przejmij moje Obowiązki w tutejszej parafii. To twoje prawdziwe powołanie, mój Synu, i najukochańsze pragnienie twojej umiłowanej Matki. Módl się do Boga, a on wskaże ci Ścieżkę sprawiedliwych.*

*Twój Miłujący cię Ojciec*

Przeczytałem list ponownie. Trzy razy. Odsunąłem go na odległość ramienia, żeby potwierdzić krój pisma.

Charles uśmiechał się.

– Widzisz, Tom? Jesteś uratowany!

Zdezorientowany pokręciłem głową.

Deszcz ustał. Było spokojne, szare październikowe popołudnie; dzień na podejmowanie spokojnych, szarych decyzji. Poszedłem nad jezioro i usiadłem na skraju wody, pod wielką wierzbą płaczącą. Pod gałęziami, zwisającymi jak zasłony przy łóżku, trawa była sucha. Moja własna kaplica zadumy, ukryta przed światem.

Wyjąłem list z kieszeni i przeczytałem ponownie. „Mój Najukochańszy Synu”? Ojciec nigdy się do mnie nie zwracał takimi czułymi słowami. Edmund, mój brat przyrodni, zawsze był jego faworytem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Czyżbym przez cały ten czas się mylił?

Mogłem wrócić do domu. Zostawić za sobą wszelkie niepokoje i troski i zacząć od nowa. Dlaczego nie? Co mi zostało w Londynie? Hazard, rozpusta, długi. Ile czasu minie, zanim znowu wtrącą mnie do więzienia? Ile czasu minie, zanim zadam się z niewłaściwą dziwką i złapię francę? Byłaby dla mnie inna droga, gdyby Kitty żyła. Buntownicze, niechlubne losy, to jasne, ale mój Boże, warte przeżycia. Ale ona nie

żyła i ta droga była dla mnie zamknięta.

Oparłem się o pień wierzby i pozwoliłem sobie na rozmyślanie o domu, po raz pierwszy od trzech długich lat. Nie o ostatnich gniewnych dniach i kłótniach, ale o szczęśliwszych czasach. Myślałem o życiu, które mógłbym wieść, życiu, dla którego studiowałem i przygotowywałem się, odkąd byłem dzieckiem. Wielebny Thomas Hawkins. Przyzwoity, szacowny dżentelmen. Probostwo, dwieście funtów *per annum*, sto akrów ziemi. Służący. Piękna, posłuszna żona, żeby miał kto prowadzić gospodarstwo, kiedy ja będę siedział przy starym biurku ojca i pisał kazania. Szacowni sąsiedzi. Proste przyjemności: strzelanie, wędkowanie i długie spacery na wybrzeże. Spokój, zdrowie. Długie, przyjemne życie.

Czy to była ścieżka dla mnie? Czy uciekałem od jedynej rzeczy, której naprawdę chciałem?

Ojciec kiedyś powiedział, żebym prosił Boga o przewodnictwo. Zamknąłem oczy i zacząłem się modlić.

„Umrzesz z nudów, Tomie”.

Powiew wiatru. Szelest liści. Otworzyłem oczy i zakląłem. Między gałęziami zauważyłem mignięcie czerwonego aksamitu. Zamrugąłem, aksamit zniknął. Śniłem.

Śniłem, ale teraz byłem przytomny.

Błyskawicznie wstałem i odszedłem od wierzby, pobiegłem w stronę domu. Złapałem przechodzącego służącego i kazałem mu znaleźć dla mnie łódź, która zabierze mnie do miasta. Ojciec miał rację; czas wracać do domu. Do Londynu.

Zebrałem trochę swoich rzeczy i poszedłem szukać Charlesa. Jego pokój był pusty, kuferek spakowany; miał dołączyć do rodziny w mieście, w dzień koronacji. Uśmiechnąłem się, widząc porządne stosy książek i starannie złożone ubrania. Nie byłem tutaj od mojej pierwszej nocy; wtedy siedzieliśmy przy kominku, rozmawialiśmy wiele godzin. Myślałem, że znajdzie się więcej czasu na wspomnienia, ale od tamtej chwili prawie go nie widywałem. I właśnie wtedy opadły mnie i ogarnęły nagłe wątpliwości. Ten dziwny, bezkształtny niepokój, który odczuwałem, odkąd przybyłem do pałacyku, sprowadził się do jednego pytania:

Czy Charles mnie unika?

W ostatnim tygodniu więcej czasu spędziłem z lady Dorothy i jej córkami niż ze starym przyjacielem. Nawet przez chwilę głębiej się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz zacząłem się dziwić. Charles zawsze był ambitny. Nie każdy to widział, ale ja wiedziałem, co kryje się pod jego spokojnym, przyjacielskim zachowaniem; żelazny charakter, którego potrzebuje każdy, kto chce awansować w tym świecie.

Czy to dlatego napisał do mojego ojca? Żeby się mnie pozbyć, kiedy zrobiłem swoje? Nie, nie. To niewdzięczność. Charles był dobrym, lojalnym, cierpliwym przyjacielem. Gdyby nie on, nadal gnąłbym w więzieniu.

Ale nie mogłem nie zauważyć chłodnego, zakradającego się podejrzenia, że coś tu

się nie zgadza. Takie samo uczucie miałem przy kartach, kiedy byłem pewien, że ktoś oszukuje, ale nie mogłem tego udowodnić.

Chodziłem po pokoju zamyślony. To nie była prawda. Myliłem się. Ale im więcej myślałem, tym większe miałem wątpliwości. Sir Philip i lady Dorothy uwielbiali Charlesa; był dla nich jak kolejny syn. Dlaczego nie prosił sir Philipa, żeby mnie wypuszczono, skoro wiedział, że moje życie jest zagrożone? I dlaczego trzymał się na dystans przez ostatnie kilka dni? Teraz, kiedy dokładniej to przemyślałem, jego zachowanie wydało mi się dziwne; prawie podejrzanе. Jakby się obawiał, że jeśli będę z nim spędzał zbyt wiele czasu...

...domyślę się, jaką tajemnicę skrywa.

Nagle stanąłem, pośrodku pokoju, wreszcie zacząłem rozumieć. Kiedy odsunąłem sentymenty, poczucie wdzięczności i lojalności, wszystko stało się jasne. Charles nie pomagał mi w Marshalsea. On mnie wykorzystywał.

Gdyby Charles wstawił się za mną, sir Philip wysłuchałby go; byłem tego pewien. Ale obu im odpowiadało, że jestem zamknięty w więzieniu. Ich własny, osobisty śledczy, rozpaczliwie pragnący odkryć prawdę. Charles zostawił mnie tam, nawet kiedy mnie skuto, zbito i wtrącono do karceru. I proszę, jaki byłem uczynny! Nie będzie więcej gadania o duchach. Nie będzie buntów. Nie będzie nudnych listów od zrozpaczonej wdowy. Nie będzie utraty zysków.

Wcześniej miałem zamiar poczekać i porozmawiać z Charlesem – może namówić go, żeby pożegłował ze mną do Londynu. Teraz wiedziałem, że muszę wynieść się natychmiast. Bałem się, że w jego oczach zobaczę potwierdzenie prawdy: że nie był moim przyjacielem, i to od dawna. Może od tamtego dnia, kiedy zawołałem do niego na ulicy, w obliczu jego patrona, trzymając w ręku butelkę. Albo nawet wcześniej – w jakiejś bezlitosnej chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że mnie już nie potrzebuje. Chłopiec, którego kiedyś podziwiał, który bronił go w szkole, pograżał się, a on wyrastał wysoko.

O tak, Charlesie. Znacznie lepiej upchnąć mnie w Suffolk, daleko i bezpiecznie. I kazać mi wierzyć, że i to był akt łaskawości.

Usiadłem przy stoliku, czując się pusty, oszołomiony. Napiszę mu list z wyjaśnieniem, że wyjechałem do miasta. Chociaż tyle byłem mu winien, ale na tym koniec. Na wierzchu nie było papieru, otworzyłem więc szufladę i sięgnąłem do środka. Moje palce wymacały miękką, skórzaną sakiewkę. Wyjąłem ją.

Moja sakiewka. Zrabowana mi w śmierzdzącej uliczce w St Giles. Zważyłem ją w dłoni, monety zabrzęczały cicho. Nadal pełna.

Skąd ona tutaj, w jego pokoju? Coś mocno ścisnęło mnie za serce. Ciężar zdrady przyjaciela.

Chwilę potem otworzyły się drzwi i wszedł uśmiechnięty Charles.

– Tom! Co ty... – Zatrzymał się, widząc sakiewkę w mojej dłoni. Wstrząśnięty

otworzył usta. Odwrócił chytrze wzrok, wygładził czarną jedwabną kamizelkę.

– Słyszałem, że zamówiłeś łódź. Chyba powinieneś sprawdzić, czy już jest gotowa.

Wstałem z krzesła, krew dudniła mi w uszach. Trzymałem sakiewkę przed sobą, chciałem, żeby jakoś zniknęła. Może się myliłem. Boże, proszę, niech to się okaże jakimś głupim nieporozumieniem.

– Tę sakiewkę mi ukradziono.

Zmarszczył niecierpliwie brwi.

– Wszystkie pieniądze są w środku. Weź je i idź.

Patrzyłem na niego, ledwie byłem w stanie oddychać, kiedy prawda zaczęła do mnie docierać.

– Coś ty zrobił, Charles? – wyszeptałem. – Mój Boże. Co ty mi uczyniłeś?

– Co ja zrobiłem? – roześmiał się głośno, sarkastycznie. – Chcesz mnie obwinić za wszystkie swoje kłopoty? Latami pracowałem bez ustanku, żeby osiągnąć to wszystko.

– Zatoczył ręką wokół siebie. – Masz w ogóle pojęcie, jak trudno jest zdobyć sobie patrona, kiedy nie ma się rodziny, znajomości? Poświęciłem wszystko dla tego stanowiska. Ale ty nie zrozumiesz tego, prawda? Urodziłeś się z wszystkimi możliwymi do wyobrażenia przywilejami. Pieniądze. Dobre zdrowie. Dobra rodzina. I patrz, co osiągnąłeś z tymi pięknymi darami! Przepiłeś, przegrałeś każdego pensa, którego kiedykolwiek miałeś. Szedłeś przez życie, jakby cały świat winien ci był utrzymanie. Cóż, tak się sprawy mają, Tomie Hawkins. Świata nic nie obchodzisz.

Ból rozgorzał mi w piersi. Jak on może mówić mi coś takiego – mój najstarszy, najdroższy przyjaciel? Patrzyłem na niego z nadzieją, że nagle się roześmieje i powie, że to wszystko żart. Ale ten spokojny, przyjacielski chłopak, którego zawsze kochałem, zniknął. Na jego miejscu stał obcy człowiek.

– Pomagałeś mi. Oddałeś mi wszystkie swoje oszczędności.

– Nie. Nawet w przybliżeniu nie. Tylko tyle, żebyś w więzieniu nie głodował. – Charles przerwał, zastanawiając się przez chwilę. Podniósł podbródek i popatrzył mi prosto w oczy. – Będę z tobą uczciwy. Możesz przecież poznać całą prawdę. Może się nawet czegoś nauczysz. Tamtego wieczoru, kiedy przyszedłeś do mnie i poprosiłeś o pomoc, od dawna wiedziałem, że twoim przeznaczeniem jest Marshalsea. Widziałem twoje nazwisko na liście nakazów aresztowania.

– Nie. – Usiadłem ciężko, chwyciłem się poręczy krzesła. – Nie wierzę ci.

Złączył dłonie za plecami i podszedł do okna. Spojrzał w dół, na starannie utrzymany ogród w angielskim stylu. Słońce świeciło przez szybę, w połowie oświetlając, w połowie ocieniając jego twarz.

– Wszyscy mamy panów, Tomie. Jedynymi wolnymi ludźmi na tym świecie są durnie i wariaci. Obowiązkiem sir Philipa jest utrzymywanie więzienia w porządnym stanie. A moim obowiązkiem jest mu pomagać w wypełnianiu tego zadania. Być mu potrzebnym. Bez względu na koszty osobiste. – Pochylił głowę. – Catherine Roberts



przyciągała zbyt wiele zainteresowania całą tą swoją gadaniną o duchu i morderstwie. Sir Philip chciał... musiał doprowadzić sprawę do normalnego stanu. Acton odmówił przeprowadzenia śledztwa, mimo że więzienie było na skraju buntu. Prawdę mówiąc, niemal podejrzewaliśmy go o to morderstwo. Kiedy zobaczyłem twoje nazwisko na liście, wiedziałem, że Bóg umieścił je tam nie bez powodu. Nie rozumiesz? Już byłeś przeznaczony do więzienia, a nam potrzebny był człowiek, któremu moglibyśmy zaufać. Cóż w tym złego? Pomógłbyś mnie. Pomógłbyś sir Philipowi. Sir Philip pomógłby nam obu. Tak kręci się świat. Dokąd byśmy bez tego doszli? Kim byłbym bez patronatu sir Philipa? Biednym wiejskim proboszczem, ledwie opędzającym potrzeby paroma funtami rocznie – przerwał. – Widzisz, on jest bardzo wdzięczny nam obu. Pani Roberts jest zadowolona, a więzienie znów działa bez przeszkód. To nadal może obrócić się na twoją korzyść, Tom, gdybyś po prostu... Gdybyś chociaż raz pomyślał racjonalnie.

Ścisnąłem sakiewkę, monety wpiły mi się w dłoń.

– Wystarczy mi pieniędzy, żeby samemu dać sobie radę.

Przygryzł wargę.

– Tak. A co do tego... co do tego, przepraszam, Tom. Ale czy ty nie rozumiesz? Było za późno. Już obiecałem sir Philipowi, że nam pomożesz. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby go zawieść – przysięgłem, że rozwiążę tę sprawę dla niego przed koronacją. Sir Philip to łaskawy i hojny patron, ale nie lubi porażek. Straciłbym stanowisko, a on zrobiłby co trzeba, żeby jego przyjaciele i stronnicy także mnie odsunęli. Byłbym zrujnowany.

– Więc... zapłaciłeś ludziom, żeby mnie obrabowali.

Charles odwrócił się od okna.

– Musiałem – nie rozumiesz? Potrzebowałem cię w więzieniu. Nie sądziłem, że wygrasz przy stole do gry! Spędziłem pół nocy, chodząc na zewnątrz tam i z powrotem, modląc się do Boga, żebyś przegrał. – Wskazał na mieszek. – Połowa pieniędzy i tak była moja. Ja tylko wezwałem paru rzezimieszków, żeby to odzyskać.

– Omal mnie nie zabili, Charles!

– Nie, nie – przysięgam! Nigdy bym... Ich herszt już wcześniej dla nas pracował. Uderzył cię tylko dlatego, że byłeś głupi i z nim walczyłeś.

– To była moja wolność! – krzyknąłem, mocno chwytając sakiewkę. – A ty mi ją ukradłeś. – Z trudem hamowałem łzy rozgoryczenia i wściekłości. – To ty napisałeś ten przekłety liścik do Fletchera, prawda? Tylko żeby mieć pewność. Mój Boże, Charles – nie wstydzisz się siebie samego? Nie czujesz się winny tego, co zrobiłeś?

Spąsowiał.

– Co mam zrobić, żebyś zrozumiał? Nie chcesz spróbować popatrzeć na to moimi oczami? Myślisz, że skoro takie życie ci się nie podoba, nie warto tak żyć? Ale ja harowałem ciężko przez ostatnie lata, kiedy ty piłeś po brudnych gospodach, trwonieś

wszystkie dary, które Bóg ci dał. Jeśli tu jest jakiś wstyd i wina, to tylko po twojej stronie, nie po mojej.

Złapałem się rękami za głowę. Całe to bicie, które wycierpiałem w St Giles i Marshalsea. Nawet noc w karczerze. Nic tak mnie nie zraniło jak to – nic poza śmiercią Kitty.

– Złamałeś mi serce – powiedziałem.

– Och, Tom... – powiedział Charles i roześmiał się. Nie wierzył mi, bo nie chciał. Odwrócił się, żeby odejść, ale przystanął. – To była tylko kwestia czasu, twoje uwięzienie. Ja tylko popchnąłem cię na drogę, która zawsze była ci przeznaczona. Opiekowałem się tobą niegorzej, prawda? Teraz masz pełną kieskę i szansę, żeby zacząć życie od nowa. Ilu ludzi może to o sobie powiedzieć? – uśmiechnął się do mnie z wyższością. – Kiedy się uspokoisz i rozważysz fakty, zrozumiesz. Prawdę mówiąc, myślę, że gdybyś był na moim miejscu, zrobiłbyś to samo.

Wzbierał we mnie gniew i rozgoryczenie. Wstałem.

– Nie. Nie zrobiłbym. Nigdy nie zdradziłbym przyjaciela.

Podniósł oczy, jakbym był naiwnym dzieckiem.

– I dlatego to ja zostanę pewnego dnia biskupem Londynu. Podczas gdy ty... – Obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów i lekko się uśmiechnął. – Kim ty będziesz, Tom?

Chwilę się zastanawiałem. A potem rąbnąłem go pięścią w twarz. Upadł na kolana, z oczu polały mu się łzy, krew trysnęła z nosa na piękny jedwabny dywanik.

– Kim ja będę? – Popatrzyłem na niego z niesmakiem, rozcierając zakrwawioną pięść, kiedy szlochał na podłodze z bólu i wściekłości. – Będę człowiekiem, który złamał nos biskupowi Londynu.

# Rozdział 27

**N**igdy nie myślałem, że wrócę do Marshalsea, ale oto stanąłem przed bramą wartowni. Rąbnąłem pięścią w drzwi, zanim zdążyłem zmienić zdanie. Krata się odsunęła i znajoma para zaczerwienionych oczu spojrzała na mnie wściekle przez szczelinę.

– O, na litość... – Ale otworzył drzwi i mnie wpuścił.

Mój plan po ucieczce z Richmond polegał na tym, żeby udać się prosto do knajpy Moll, kupić fajkę, dziewczynę, wazę ponczu i zapomnieć o Charlesie i jego zdradzie. Ale Tamiza miała inne zdanie. Rzeka zatłoczona była gośćmi płynącymi do miasta na koronację. Do schodów po północnej stronie stały długie kolejki. Wybuchwały bójkę między przewoźnikami i dwie łodzie już wywróciły się do góry dnem, wyrzucając pasażerów do mętnej, brudnej wody.

Mój wioślarz przez chwilę przyglądał się chaosowi i zdecydowanym ruchem skręcił w stronę południowego brzegu.

– Wysadzę cię przy schodach Tooley – powiedział. – Dzisiaj bezpieczniej będzie przejść przez most.

Park pełen był więźniów, którzy póki mogli, korzystali ze świeżego powietrza. Było wśród nich kilku nowych dłużników, których nie znałem; przypomnienie, że więzienne życie toczy się dalej i nigdy nie ustanie. Młoda dziwka ciężko pracowała, pocieszając na ławce Fleeta starego, pijanego dżentelmena. Jedną ręką operowała w jego portkach, drugą wkładała mu do kieszeni.

Nigdzie nie było widać Actona i Gilbourne'a. Dzięki Bogu. Odwróciłbym się na pięcie i wyszedł, gdybym ich zobaczył. Dostrzegłem Mary Acton, jak nachmurzona przyglądała mi się z okna swojego mieszkania, z Henrym na biodrze, który próbował zjeść jej włosy. Uniosłem kapelusz i głęboko, teatralnie się jej ukloniłem. Zacisnęła wargi i odeszła od okna.

Gilbert Hand stał jak zwykle na swoim posterunku pod słupem latarni. Skinąłem mu głową, ale nie zatrzymałem się; nie miałem czasu ani ochoty, żeby wkładać wijące się robaki informacji w głodny dziób Leśniczego.

Zapomniałem, jak obrzydliwie tu śmierdzi; zdążyłem się przyzwyczaić do świeżego powietrza w Richmond i kontrast był prawie nie do zniesienia. Kupiłem bukiecik od młodej Cyganki na dziedzińcu, żeby zamaskować odór, potem wstąpiłem do sklepiku mydlarza, gdzie nabyłem tytoń, świece, funt masła i parę innych paczuszek. Potem poszedłem do mojego starego oddziału, po znajomych zniszczonych schodach do Belle Isle – ale królestwo Fleeta zniknęło wraz z całym bałaganem. Był to tylko brudny, stary pokój z wygniłymi deskami podłogi i pięcioma nowymi mieszkańcami, stłoczonymi na dwóch łózkach. Acton, jak zwykle, robił na ludziach pieniądze.

– Tom! Coś takiego! Ledwie cię poznałem w tym pięknym ubraniu. To znaczy... kiedy cię ostatnio widziałem, byłeś bardzo chory – dodał pospiesznie Trim, kiedy wszedłem do pokoju.

Popatrzyłem na swoje odbicie w lustrze przy kominku. Zobaczyłem siebie nowym okiem. Nadal byłem odziany w tabaczkowego koloru ubranie, które dała mi lady Dorothy, i nową krótką peruczkę z czarnymi jedwabnymi wstążkami. Miałem wyprostowaną, pewną siebie postawę człowieka z pieniędzmi w kieszeni: trzy funty od ojca i dziesięć, które ukradł mi Charles. Wyglądałem... na godnego szacunku.

Podaliśmy sobie ręce i obdarowałem go paczką tego, co kupiłem.

– Sir, to bardzo miłe z twojej strony – powiedział, otworzył paczuszkę z tytoniem i nabił sobie fajkę.

– Byłeś dla mnie dobry, Trim. Wątpię, czy przeżyłbym bez twojej pomocy. I... hm, uważaj to za małe przeprosiny za to, że oskarżyłem cię o morderstwo – przerwałem. – I groziłem, że cię zabiję.

– To moja wina – odparł cicho. Odłożył fajkę i podszedł do okna. Starą podłogę naprawiono od czasu, kiedy zrobiłem w niej dziurę. – Powinienem mówić. Powinienem przynajmniej Fleetowi powiedzieć, co słyszałem tamtej nocy. Może nadal by żył... – Pochylił głowę.

– To nie była twoja wina, nie opowiadaj bzdur. Winić trzeba Woodburna i Jakesa. Winić trzeba Gilbourne'a, że tak obrzydliwie kusił Robertsa. Winić trzeba samego Robertsa! Za nic nie powinien brać tych pieniędzy.

Trim uśmiechnął się, ale po jego oczach poznałem, że zawsze będzie czuł się trochę winny temu, co się stało. Znacznie bardziej niż Gilbourne, niech go diabli. Jakes i Roberts nie żyli i wątpiłem, by Woodburn odzyskał kiedyś zdrowe zmysły. Ale Edward Gilbourne przeżył bez zdraśnięcia na tej swojej gładkiej skórze, bez najmniejszej plamki na reputacji. Cóż, na tym świecie uciekł przed sprawiedliwością i nic na to nie mogłem poradzić. To nie włoska opera, gdzie wszystko kończy się dobrze. Szkoda, naprawdę – z radością bym zapłacił, żeby zobaczyć Gilbourne'a na scenie. Jako kastrata.

Trim podał mi filiżankę herbaty i pokazał głową drzwi.

– Pan Buckley, widzę, z tobą nie przyszedł?

– Pobiliśmy się.

– Naprawdę? – Otaksował mnie wzrokiem. – Chyba na serio.

On mnie zdradził. Mój najstarszy przyjaciel. Z trudem przychodziło mi w to uwierzyć. Całe te lata przyjaźni, wszystkie te szczęśliwe wspomnienia – zniszczone przez jego zdradę. Nie mogłem nawet zacząć tłumaczyć tego Trimowi. Usiadłem, odwróciłem twarz w stronę kominka.

– Nie był takim przyjacielem, za jakiego go miałem.

– Ambicja i przyjaźń to marni sąsiedzi – zauważył Trim, dołączając do mnie przy

kominku. Filiżankę herbaty oparł o wydatny brzuszek. – Myślę, że pan Buckley w lojalności widzi słabość.

Ogrzewałem dłonie o filiżankę z herbatą.

– Dziwne. Fleeta znałem tylko kilka dni, ale był lepszym przyjacielem niż Charles kiedykolwiek.

– Łatwo pomylić dobry humor z dobrym charakterem. A pan Jakes, co? Wydawał się takim przyzwoitym chrześcijaninem.

– Myślę, że taki był pod wieloma względami. Oczywiście, zszedł z tej ścieżki. Prawdę mówiąc, myślę, że na koniec ze szczeniem zwariował. Ale naprawdę wierzył, że czyni boże dzieło.

– Więc musimy się modlić, żeby Bóg mu przebaczył. – Trim przerwał. – Przez te ostatnie dni modliłem się za pana Fleeta. Chociaż trudno się zorientować, od czego zacząć – zachichotał i zamilkł, zaciągając się dymem z fajki. – Niech spoczywa w pokoju.

Uśmiechnąłem się na to i wysłałem do niebios własną modlitwę. Wątpiłem, żeby Fleet za życia doświadczył wiele spokoju czy odpoczynku – ale może to mu się podobało.

– Jest coś, o co chciałem cię zapytać – powiedziałem po chwili. – Charles przeniósł mnie z domu dla więźniów, zanim zdołałem to zrobić.

Usiadł prosto.

– Kitty?

Pokiwałem głową, łzy spłynęły mi z oczu. Otarłem je, zdumiony, że nagle znów płacę. W Richmond nauczyłem się ukrywać smutek – nikt nie chciał go tam widzieć. Ale Trim powinien zrozumieć.

– Chcesz wiedzieć, gdzie ona jest?

– Tak, gdzie ją pochowano.

– Pochowano? – Trim wypuścił długi strumień dymu. Herbata uląła się z jego filiżanki. Zaklął i postawił ją na podłodze. – Na Boga, co chcesz przez to powiedzieć?

– Charles powiedział... – Gapiłem się na niego wielkimi oczami. Iskierka nadziei zapłonęła mi w piersi. – Powiedział mi, że umarła na gorączkę. Że zaraziła się nią ode mnie.

– Nie! Wcale nie! – krzyknął przerażony Trim. – Kitty żyje i ma się dobrze, przysięgam! Nie dostała gorączki.

Błyskawicznie podniosłem się z krzesła.

– Mój Boże! To gdzie ona jest? Tutaj, w więzieniu?

Zgarbił się.

– Nie. Odeszła. Uciekła dziesięć dni temu, kiedy dowiedziała się, że wyjechałeś do Richmond. Od tego czasu nikt o niej nie słyszał, nawet pani Bradshaw. – Nachmurzył się. – Zniknęła.

Pytałem w całym więzieniu – na pół oszalały z radości po uzyskaniu tej informacji i z paniki, że jej nie odnajdę. Kitty umiała zniknąć bez śladu, jeśli chciała; Fleet szukał jej całymi miesiącami, zanim natknął się na nią w Marshalsea. Do diabła, ja nie mogłem tak długo czekać. Ale nikt nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie mogłaby być.

– W Borough jej nie ma – oświadczyła pani Bradshaw. – Pan Hand wysłał Bena, żeby ją wytropił. Wysłaliśmy nawet list do pani Roberts, ale ona wyjechała z miasta. To dopiero sprawa. – Podeszła bliżej. – Pojednała się z ojcem, wyobraź pan sobie. Teraz biedny kapitan Roberts to już nie... samobójca. Nie mogą wykorzystać tego przeciwko niej w sądzie. Wróciła do domu, do syna. Jedno musisz mi pan powiedzieć. – Chwyciła mnie za ramię. – Czy to prawda, że pan Gilbourne miał zamiar strasznie ją wykorzystać? – Oczy płonęły jej z podniecenia.

– Pani Bradshaw, proszę. Muszę znaleźć Kitty.

– *Elle est morte!* – Cienki, przeszywający głos rozległ się w kawiarni. Madame Migault siedziała w swoim kącie, wyczytując złe wieści z herbacianych fusów. – Widziałam ją! Martwą w rowie. Zamordowaną. – Przejechała palcem po gardle.

– Zamknij twarz, ty parszywa stara wywłoko! – krzyknęła pani Bradshaw.

Zostawiłem je, kiedy się kłóciły, ich głosy rozchodziły się po parku.

– Hawkins!

Prawie doszedłem już do wartowni, kiedy na dziedziniec wypadł Acton z Grace'em i dwoma strażnikami przy boku. Był pijany, w ręku trzymał bicz, tak jak wtedy, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy. – Co ty u diabła myślisz, że będziesz tutaj węszył? Wynoś się, zanim cię stąd wykopię.

Wytrzymałem jego wzrok.

– Pewnego dnia świat dowie się o tobie, Acton. O tym, co tutaj wyprawiasz.

Roześmiał się pogardliwie i splunął mi pod nogi.

– Panie Hawkins, świata to nie obchodzi. Nawet za złamaną ćwierćpensówkę. Panie Grace – zwrócił się do swojego urzędnika. – Każ panu Gilbourne'owi wypisać nakaz sądowy. Nie chcę rozrabiaczy w moim zamku.

Taka była moja ostatnia wyprawa do Marshalsea. List z pieczęcią sądu następnego dnia dotarł pod adres kawiarni Toma Kinga, podpisany ręką Gilbourne'a. Wyrzucił mnie z więzienia za bezczelność i rozpowszechnianie złośliwych plotek na temat głównego nadzorcy i zastępcy protonotariusza. Spaliłem go.

Ostatnią osobą, z którą się widziałem, wychodząc z więzienia, był Joseph Cross. Stał w drzwiach wartowni i pił wino z butelki. Uderzyło mnie po raz pierwszy, że kiedyś musiał być przystojny, zanim dopadły go alkohol i ciężki żywot.

– Na co się gapisz?

Włożyłem ręce do kieszeni i zacząłem się kołysać na obcasach.

– A dzień dobry ci, panie Cross.

– Co, znowu zabrakło ci pieniędzy? Znowu mam cię zamknąć?

– Wcale nie. Słyszałem, że powstrzymałeś Actona od wysłania mnie na oddział dla pospólstwa, kiedy chorowałem na gorączkę.

Spojrzał przez korytarz na park. Acton stał u drzwi na dziedzińcu, czarna sylwetka oświetlona z tyłu przez słońce.

– Nie chciałem, żebyś zapaskudził więzienie – wybełkotał. – Gubernatorowi wyszło to tylko na dobre... nie musi się zajmować tymi wszystkimi śmierdzącymi trupami, prawda?

Uśmiechnąłem się. Cross raczej by umarł, niż przyznał, że chciał pomóc.

– Cóż, jestem ci wdzięczny, sir.

Wyglądał na pełnego niesmaku.

– Za wdzięczność nie kupię kolejki w pubie, prawda?

Słuszna uwaga. Wyjąłem gwineę i włożyłem mu do ręki.

– Za uratowanie mi życia.

Dłoń zamknęła się szybciej niż psia paszcza na szyi królika.

– Panie Hawkins, nie jestem pewien, czy pańskie życie jest tyle warte. – Ale uśmiechnął się i wskazał głową otwarte drzwi. – No, idź. Ruszaj stąd, zanim cię zamknę dla zabawy. Szczęśliwy skurczybyku.

Przeszedłem przez most, zadowolony, że wreszcie jestem w domu. Kitty żyła i czekała na mnie gdzieś w zgiełku i płataninie ulic. Charles chciał trzymać ją z dala ode mnie. Jestem pewien, że uważał to za przysługę – ratował mnie przed hańbiącym związkiem z pospolitą kuchcią. Dzięki Bogu, nie udało mu się. Znajdę ją i pohańbię się jak najszybciej. I tak często, jak mi na to pozwoli. Szedłem przez miasto; cieszyła mnie ciżba, stragany, przekupnie. Jak mogłem, choćby przez chwilę, myśleć o porzuceniu tego wszystkiego? I co z tego, że w cieniu czają się złoczyńcy; że z każdej tawerny wylewają się bijatyki; że wszy; że robactwo; że ospa; że śmierdzące powietrze i zatruta woda? Londyn przyspieszał rytm mojego serca, krew śpiewała mi w żyłach – i za to przebaczylibym mu wszystko.

Kupiłem nową laskę ze srebrną gałką, krzesiwko i łańcuszek do krzyżyka od matki. Zamówiłem parę nowych butów u partacza spoza Strandu. I kiedy słońce zachodziło, poszedłem z powrotem do Moll.

– Tom Hawkins! Nareszcie jesteś! – krzyknęła, idąc przez salę. Pocałowała mnie prosto w usta. – Mówi się, że zabiłeś człowieka.

Objąłem ją w pasie i przytknąłem usta do jej ucha.

– Nie zabiłem nikogo. Ale nie waż się o tym nikomu mówić.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Twoja reputacja jest bezpieczna w moich rękach, kochany.

Był to wieczór przed koronacją; nigdy nie widziałem kawiarni tak pełnej. Jakby pół Londynu stłoczyło się w środku, czekając, żeby następnego dnia zobaczyć króla.

Moll znalazła mi spokojny kącik i zniknęła w tłumie, obiecując, że wkrótce wróci.

– Jest ktoś, z kim powinieneś się spotkać. – Zamówiłem u Betty wazę ponczu, zapaliłem fajkę i napisałem krótki list do ojca, dziękując mu za łaskawość i przebaczenie. Myślałem, że trudno przyjdzie mi to napisać – ale słowa płynęły łatwo i poczułem się lżej, kiedy już skończyłem. Rozczaruje go moja decyzja, ale było jak było. Jego powołaniem był kościół, moim Londyn.

Ledwie skończyłem pisać, kiedy czyjś cień padł na stół. Podniosłem wzrok i oddech uwiązał mi w gardle.

Fleet.

Wystraszony zamrugałem i urok prysnął.

Nieznajomy przede mną nie był Fleetem. Poruszał się jak żołnierz, równo, poważnie, celowo, kiedy siadał naprzeciwko mnie. Ale te czarne oczy pod gęstymi brwiami, kształt szczęki... to wystarczyło, żeby na chwilę mnie zmylić.

Przypomniałem sobie, jak Fleet spotkał się z kimś w pubie na dzień przed śmiercią, i nieznajomego, który nie odwrócił się, żeby spojrzeć mi w twarz. „Sprawa rodzinna”, powiedział wtedy Fleet.

– Jesteś jego bratem?

– Przyrodnim.

Przyglądałem mu się w świetle świecy.

– Z czyjej strony, sir? Matki czy diabła?

Twarcz mu nie drgnęła, ale w oczach zalśniła wesołość.

– Nie poznajesz mnie. – Wyjął zza pasa sztylet i położył go na stole między nami, pieszcząc palcami rękojeść. – Pamiętasz? Trzymałem to przy twoim gardle.

Włosy stanęły mi dęba. To ten człowiek obrabował mnie w St Giles. Nalałem sobie szklaneczkę ponczu i wychyliłem ją jednym haustem.

– Chyba powinienem wyzwać cię na pojedynek.

– To byłoby nierozsądne. – Zabębnił lekko palcami po ostrzu sztyletu. Mojego sztyletu.

– Przez ciebie wsadzili mnie do więzienia.

– Nie należy spacerować podejrzanymi uliczkami z pełną kieszką. – Potarł się po policzku. Dokładnie ogolony, kolejna różnica.

– Ale prosiłeś brata, żeby miał na mnie oko – domyśliłem się. – Czułeś się winny.

– Nie – odparł stanowczo. – Zaciekawiony. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego człowiek nie chce oddać sakiewki, jeśli stawką jest jego życie. – Wygiął usta w lekkim uśmiechu. – W moim zawodzie to przydatna wiedza. – Wyjął z kieszeni kartkę i przesunął ją po stole.

Podniosłem ją do światła i mrużąc oczy, przeczytałem niewiarygodne bazgroły Fleeta. List datowany był na dzień przed jego śmiercią.

*Drogi Bracie*

*Dziękuję za Podarunek; ten człowiek Zabawia mnie w tej przeklętej Piekielnej*



*Dziurze. Jak udało mu się przeżyć bez mojej pomocy ostatnie dwadzieścia i pięć lat, pozostaje Tajemnicą. W ciągu Trzech Dni był Bity, Torturowany i Przykuty do Muru; zakochał się (dwa razy); brał udział w Buncie i zmagał się z Duchem. I chrapie jak sam Diabeł.*

*Pytałeś, czy mógłbym dowiedzieć się, dlaczego nie chciał ci oddać Kiesy, kiedy wzięłaś na siebie Kłopot z przyłożeniem Noża do jego Gardła. Zakładając, że nie jest Wariatem (o ile się orientuję), oto moje Wnioski, po Trzech Dniach Dokładnej Obserwacji:*

*i) Kieruje się bardziej Instynktem niż Rozumem.*

*ii) Przyciągają go Kłopoty – a może ucziwiej będzie powiedzieć, Kłopoty lgną do niego.*

*iii) Wierzy – skrycie – że Bóg go Ochroni.*

*Zgodzisz się, że to Żaloszny Przepis na katastrofę – ale najbardziej mnie przeraża ten ostatni punkt. Człowiek prawdziwej Wiary w tym Mieście jest jak nagi człowiek, który biegnąc do Bitwy, myśli, że jest w pełni Uzbrojony. W równej Mierze zabawne, co przerażające.*

*W innych Okolicznościach zaproponowałbym, żeby go wyrzucić na Odległej Wyspie, jak Robinsona Crusoe, zanim wyrządzi sobie Krzywdę. Ale oto Najdziwniejsza Prawda. Będę za nim tęsknił. Jamesie, on mnie obudził; obudził mnie z głębokiego snu. Nie jestem pewien Dlaczego ani Jak, ale tak już jest. Może to jego Młodość, jego Ciekawość. I Podejrzewam, że jego Nogi.*

*Jakakolwiek jest Prawda – Dziękuję ci, drogi Bracie z całego mego Czarnego Serca za Postawienie go na mojej Drodze. Jestem wielce Zobowiązany, Sir, twój Uniżony Sługa itd.*

*S.*

*Złożyłem kartkę, kręcąc głową. Niezgorzej mnie opisał.*

*Brat Fleeta pokazał gestem, żebym zatrzymał list.*

*– Jest coś, czego chciałbym się dowiedzieć. Znalazłeś go. Jego ciało... – Nachylił się. – Jak umarł?*

*Przypomniałem sobie krew na ścianach. Obrzydliwe, czerwone rozcięcie na gardle Fleeta.*

*– Z otwartymi oczami.*

*Gwałtownie zaczerpnął tchu i przygryzł brzeg wargi.*

*– Z otwartymi oczami – wyszeptał wreszcie. – To dobrze. – Pokiwał w skupieniu głową i przez dłuższy czas dokładnie mi się przyglądał. Jego czarne oczy były równie tajemnicze jak oczy jego brata. – Mówi się, że zabiłeś Jakesa. Ale nie widzę na tobie piętna śmierci.*

*– Nie – ściszyłem głos. – To była Kitty. Kitty Sparks.*

*Zamrugnął zdumiony.*

– Córka Nata?

– Strzeliła mu prosto między oczy. Z pistoletu Fleeta.

Rozparł się w krzesło, uśmiech zadowolenia powoli pojawił się na jego twarzy.

– Z pistoletu Sama? Spodobałoby mu się. Jestem twoim dłużnikiem, panie Hawkins, za tę informację. Może ja mógłbym zrewanżować się jakąś małą przysługą? – Podniósł mój sztylet i powoli przeciągnął jego czubkiem po stole. – Na przykład człowiek, który mi zapłacił, żebym cię obrabował?

– Nie ma potrzeby. Dziś po południu złamałem mu nos.

Zachichotał i przesunął sztylet w moją stronę.

– Proszę. Na wypadek, gdybyś znalazł się w jakiejś ciemnej uliczce.

Schowałem sztylet.

– Ale zastanawiam się, czy nie mógłbyś mi pomóc w innej sprawie, sir. Dziesięć dni temu Kitty zniknęła z Marshalsea. Nikt nie wie, gdzie ona jest. Może paru twoich przyjaciół mogłoby popytać po mieście. – I mówiąc to, przypomniałem sobie jego syna, chłopca na posyłki. Sama Fleeta. Imię dostał po wuju.

– Moi przyjaciele potrafią znaleźć wszystko i każdego, panie Hawkins. Ale w tym wypadku nie będzie to potrzebne. – Wstał i kiwnął na mnie ręką, żebym za nim poszedł. Samuel prześlizgnąłby się przez salę, szybki jak lis. James Fleet szedł prosto, twardo, ludzie odsuwali się, żeby go przepuścić.

Kiedy podeszliśmy bliżej pieca, klepnął mnie dłonią w ramię i pokazał niski, wysłużony skórzany fotel, ustawiony przy ogniu. Błada, szczupła dłoń spoczywała na oparciu, trzymając fajkę. Obok leżał dziennik Fleeta.

– Tutaj, sir. – James Fleet zniknął w tłumie.

– Kitty?

Odwróciła twarz od ognia i powoli wstała. Przez chwilę wydawało mi się, że James się omylił, tak się zmieniła. Nosiła czarny kapelusz, zsunięty zawadiacko na oko. Proste ubranie służącej zniknęło, zastąpiła je szmaragdowa jedwabna suknia, obrębiona koronką i związana czarnymi aksamitnymi wstążkami. Ale zmiana była głębsza niż tylko eleganckie ubranie; wyglądała na starszą i jakoś bardziej pewną siebie. Ale przecież zabiła człowieka.

– Cóż, panie Hawkins. – Patrzyła na mnie, nie spuszczać wzroku, zielone oczy nie zdradzały jej myśli.

Zawahałem się. Odkąd dowiedziałem się, że żyje, wyobrażałem sobie, co powiem i zrobię w takiej chwili. Pomyślałem, że może ją obejmę. Ale wtedy wyobrażałem sobie także, że będzie uradowana, gdy mnie zobaczy.

– Kitty...

Ściągnęła wargi.

– Panno Sparks. Cóż, chyba dowiedział się pan w końcu o zmianie mojego losu? Samuel w testamencie zostawił mi wszystko. I oto się zjawiłeś. Cóż za dziwny splot

okoliczności. Czy teraz jestem dobra jako twoja towarzyska, kiedy zostałam damą i nie jestem już pospolitą dziwką?

Gapiałem się na nią osłupiały.

– Nie miałem pojęcia, zapewniam cię.

Roześmiała się.

– Myślisz, że jestem głupia? Uratowałam ci życie. Opiekowałam się tobą, kiedy leżałeś i umierałeś. Ryzykowałam dla ciebie życie i duszę, Tomie Hawkins. I jak mi odpłaciłeś? W chwili, kiedy cię uwolniono, porzuciłeś mnie bez namysłu. – Zaciśnęła zęby, tłumiąc gniew. – Widziałam cię na jachcie sir Philipa, jak flirtowałeś z jego córkami. Przyglądałam ci się z brzegu rzeki, kiedy płynąłeś Tamizą. I przysięgłam, że już nigdy nie pozwolę, żeby mężczyzna mnie zdradził. Nigdy.

Westchnąłem, przypominając sobie ból, tępy ciężar straty, który przygniół mi wtedy duszę.

– Nie flirtowałem, Kitty – powiedziałem cicho.

– Hm, tak to wyglądało. Wszystkie te poduszki. – Zmarszczyła brwi, wbiła wzrok w podłogę, suknię ścisnęła mocno w dłoniach. Nawet ogarnięta wściekłością wiedziała, że to zabrzmiało śmiesznie. – Może i nie flirtowałeś – ustąpiła. – Ale nie zaprzeczysz, że mnie opuściłeś. Cóż, cieszę się z tego. Dałeś mi cenną naukę i teraz uwolniłam się od ciebie. – Zmrużyła oczy. – Nie dam się oszukać drugi raz, panie Hawkins.

– Charles powiedział mi, że umarłaś.

Zmartwiała, przycisnęła rękę do serca.

– Och – westchnęła, krew odpłynęła jej z twarzy. – Tom.

– Myślałem, że cię straciłem.

W jej oczach pojawiły się łzy. Powstrzymała je.

– Rozumiem. – Palcami gładziła miękkie jedwab sukni. – Więc nie wiedziałeś o testamencie?

– Nie.

– I mimo to nadal mnie szukałeś?

– Tak. Jak tylko się dowiedziałem, że żyjesz. Trim powiedział mi o tym dziś po południu.

– Hm, to jest... – Pokręciła głową. – Nie wiem...

To był jedyny raz, kiedy widziałem, jak Kitty Sparks prawie przyznaje się do błędu, w jakiegokolwiek sprawie.

Całowałem ją tyle razy, na ile mi pozwoliła. To było życie, które wydawało się utracone. Nie pozwolę, żeby znowu wymknęło się między palcami. I wtedy pojawiła się Moll i wdała się z Kitty w poważną, zawiłą dyskusję o interesach. Najbardziej osławiona kawiarnia w Covent Garden i najbardziej niecne wydawnictwo w Londynie – było o czym rozmawiać. Zamówiłem wazę ponczu i wyciągnąłem się na krześle przy

kominku. Zanim się zorientowałem, zapadłem w drzemkę.

Kitty obudziła mnie szturchańcem o północy.

– Chrapałeś – powiedziała. Podwinęła stopy i uśmiechnęła się do mnie.

– Niech żyje król! – ktoś krzyknął.

– Niech żyje królowa Moll! – odpowiedział ktoś inny i wszyscy się roześmieli.

Kitty z łagodnym wyrazem twarzy przyglądała się, jak Betty nalewa świeżą kawę do dzbanka.

– Nowy król – szepnęła i uśmiechnęła się do mnie wesoło. – Nowy dzień.

Przeciągnąłem się i ziewnąłem.

– Myślę, że powinienem znaleźć sobie zajęcie. Mieszkanie...

Kitty uśmiechnęła się i szturchnęła mnie stopą w udo.

– Może zamieszkałbyś ze mną?

Podparłem głowę dłonią, usiłując bezskutecznie przybrać nonszalancki wygląd.

– A co z twoją reputacją?

– Jestem bogata. Niepotrzebna mi reputacja.

Odchrząknąłem.

– A dokładniej, jak bogata...?

– Bardzo.

Pochyliłem się i wziąłem ją za rękę.

– Kitty Sparks, zrobię z ciebie uczciwą kobietę.

Uśmiechnęła się.

– Nawet się nie waz.

O świcie wyszliśmy od Moll, przeszliśmy przez plac do Russell Street. Kitty objęła mnie ramieniem w pasie, a ja przyciągnąłem ją blisko, dotykając ustami jej policzka. Im dalej szliśmy, tym bardziej budynki bardziej stawały się obskurne i podejrzone. Prywatne domy i eleganckie kawiarnie ustąpiły pola aptece, potem sklepowi z jedzeniem, zaniebanej tawernie, sklepowi z dżinem. Burdelowi. Smród uryny i gnijących odpadków dolatywał z rynsztoków. Kitty oswobodziła ramię i uniosła suknię, żeby jej nie zabrudzić.

– Dom – powiedziała.

I wtedy, kątem oka, zobaczyłem go: mały ciemny budynek, odsunięty od sąsiadów, jakby się dąsał. Okna na parterze zastawione stosami książek, przymieszanych z mapami i grawiurami, a wszystko rzucone razem, w nieprawdopodobnym chaosie. Szyld sklepu przedstawiał odbezpieczony pistolet ustawiony pod absurdalnym kątem.

Zwinąłem dłoń i zajrzałem przez wysmarowaną brudem szybę.

– To wymaga uporządkowania – powiedziała Kitty. – Przez ostatnich parę dni nie miałam do tego serca.

– Mogę pomóc.

Uniosła brwi.

- Doprawdy? Podwiniesz rękawy i umyjesz podłogę, co?
  - Myślałem o książkach i broszurach. O szkicach. Z radością je przeczytam...
- Roześmiała się.
- Na pewno. – Podeszła bliżej i pocałowała mnie.
  - Jutro?
  - Jutro – zgodziła się. A potem wzięła mnie za rękę i wciągnęła przez drzwi.

# Tło historyczne

*Ta powieść została po części zainspirowana faktami, a wiele postaci jest autentycznych lub opartych na postaciach rzeczywistych ludzi. Opisane warunki wzięte są z relacji z pierwszej ręki – w rzeczywistości mogło być jeszcze gorzej. Anonimowy dłużnik i autor poematu *The Marshalsea, or, Hell in Epitome* [Piekło uosobione] (1718) opisywał więźniów przywiązanych za karę do rozkładających się trupów.*

*Wiele z więziennych szczegółów pochodzi z współczesnego dziennika Johna Grano, opisującego jego życie w Marshalsea od 1728 do 1729 roku. (Więcej informacji na dalszych stronach w notce o prawdziwych postaciach). Korzystałam też szeroko z raportu Komitetu Więziennego z 1729 roku i z protokołów dotyczących procesu o morderstwo przeciwko Williamowi Actonowi z sierpnia 1729 roku.*

*Wiele w kazaniu pana Woodburna pochodzi z prawdziwego kazania wygłoszonego dla dłużników w więzieniu Ludgate w 1725 roku. Po upływie prawie trzystu lat nieomal słyszy się, jak się wiercą na ławkach i wzdychają. Opis strażników, którzy muszą wypić jednym haustem alkohol z kubka przed otwarciem oddziałów więziennych, oparty jest na opisach z *The State of the Goals in London* autorstwa doktora medycyny Williama Smitha (1776 rok – co pokazuje, jak niewiele poprawiły się warunki przez pięćdziesiąt lat). Rozkładające się trupy leżały, póki rodzina w żałobie nie zapłaciła za ich wydanie. Mary Acton uwielbiała tańczyć, zaś Acton tego nie znosił. I był pokój o nazwie Belle Isle po stronie dla dżentelmenów.*

## Prawdziwi ludzie w powieści

*Wiele z postaci występujących w powieści opartych jest (w większym lub mniejszym stopniu) na postaciach prawdziwych ludzi, mieszkających i pracujących w Marshalsea i w położonym wokół niego Borough w 1727 roku. Wiele informacji pochodzi z dzienników więziennych Johna Grano, przebywającego w Marshalsea między 1728 a 1729 rokiem.*

*Jestem dłużniczką Johna Gingera, który obok wydania dziennika Grano skompilował biograficzną listę więźniów, zaufanych więźniów i kluczowych postaci w Borough. Wiele szczegółów biograficznych spisanych poniżej pochodzi z tego*

źródła.

### **William Acton**

Były rzeźnik. Strażnik w Marshalsea od co najmniej początku lat dwudziestych XVIII wieku. Główny strażnik od 1726 roku i zastępca naczelnika od marca 1727 roku. Ożeniony z Marią Acton, której ojciec, James Wilson, był malarzem i wcześniej więźniem oddziału dla pospólstwa. William i Mary mieli jednego syna, Henry'ego, urodzonego w grudniu 1724 roku. W sierpniu 1729 roku Acton został postawiony przed sądem za zamordowanie czterech więźniów. (My nazwalibyśmy to nieumyślnym spowodowaniem śmierci – więźniowie byli albo bici, albo tak źle traktowani, że umarli z ran lub związanych z nimi chorób). Actona uznano za niewinnego, ale jego reputacja została poważnie nadwerężona, kiedy prawda o jego brutalnych rządach rozeszła się po Borough. Wkrótce po procesie opuścił więzienie i aż do śmierci w 1748 roku prowadził pub o nazwie Greyhound. Żonie i jedyne synowi zostawił okazałą fortunę.

### **Kapitan Ralph Anderson**

W więzieniu na oddziale dla pospólstwa. Pojawia się krótko w dzienniku Grano i znajdujemy tam odnośnik do buntu wszczętego przez Andersona w 1729 roku – według Grano zaatakował Actona nożem.

### **Betty**

Młoda Murzynka nazywana Betty pracowała u Moll i pojawia się na szkicach kawiarni. Betty było to często używane ogólne imię dla młodych służących, prawdopodobnie więc nie było to jej prawdziwe imię.

### **Sarah Bradshaw**

Właścicielka kawiarni w Marshalsea. Więźniarka od sierpnia 1721 roku z długiem w wysokości 50 funtów. Z własnej woli od 1729 roku.

### **Henry Chapman**

Barman albo „kurkowy” w Marshalsea od 1724 roku. Z własnej woli po 1729 roku. Był winien 110 funtów, co wydaje się dużą sumą jak na byłego „sprzedawcę chałatów z St Giles” (czyli sprzedawca ubrań roboczych, takich jak fartuchy rzeźnicze). Podczas procesu Actona był świadkiem obrony.

### **Joseph Cross**

Strażnik i były murarz z Wardour Street. Jeden z zaufanych więźniów Actona.

### **„Duch”**

Postać zainspirowana opowieścią w raporcie Komitetu Więziennego o duchu, który ukazywał się więźniowi trzymanemu w karczerze więzienia Fleet. W sprawozdaniu został nawet naszkicowany obok rysunków przedstawiających narzędzia tortur i głodujących więźniów w lazarecie.

### **Edward Gilbourne**

Gilbourne był zastępcą protonotariusza sądu Marshalsea. Napisał nakaz

odbierający Matthew Pughowi stanowisko rządcy (cytowany dosłownie w powieści). W raporcie Komitetu Więziennego (zawierającym nakaz Gilbourné'a jako aneks) Acton twierdził, że to Gilbourné kazał mu zabrać gablotkę na datki dobroczynne. Gilbourné temu przeczył. Pugh wspomina Gilbourné'a w ostrej krytyce z 1729 roku, jako skorumpowanego człowieka, który powinien stanąć przed sądem. Niejaki Edward Gilbourné kupił dom w Kensington w 1735 roku, a w Archiwach Państwowych jest testament Edwarda Gilbourné'a z Kensington, który zmarł w 1756 roku.

### **John Grace**

Przelotnie wspomniany przez Grano. Raport Komitetu potwierdza, że pomagał wyrwać gablotkę na datki dobroczynne i został mianowany rządcą do czasu, kiedy Acton zlikwidował ten urząd. Świadek obrony na procesie Actona.

### **Gilbert Hand**

Znany jako leśniczy parku Hand był zaufanym więźniem Actona, ale także chodził z posyłkami od więźniów. Wcześniej farmer.

### **Jenings**

Jenings, strażnik, był jedynym z zaufanych więźniów Actona, który wypowiedział się przeciwko niemu podczas rozprawy.

### **Moll King**

Moll była niecną postacią, której udawało się obchodzić prawo nieomal przez całe życie. Z mężem Tomem prowadziła najbardziej osławioną kawiarnię w Londynie (a było ich około sześciuset). Kawiarnia występowała na kilku satyrycznych drukach i obrazach placu Covent Garden, włączając Poranek Hogartha. Kiedy Tom King zmarł, kawiarnia zmieniła nazwę na Moll King's Było to prawdziwe gniazdo bezceństw, awanturnictwa, otwarte całą noc. Moll istotnie, w późnym wieku, skończyła w więzieniu z krótkim wyrokiem, ale umarła jako osoba bogata, posiadająca nieruchomość w Hampstead i przekazała kawiarnię synowi Williamowi.

### **Richard „Mack” McDonnell z żoną (imię nieznane)**

Prowadzili restaurację, o charakterystycznej nazwie Cycata Lala. Mack był irlandzkim malarzem, który mieszkał w St Giles, zanim skończył w więzieniu, w 1726 z długiem wynoszącym 46 funtów.

### **Sir Philip i lady Dorothy Meadows**

Sir Philip był rycerzem dworu, odpowiedzialnym za Marshalsea. Mówiono, że jedną z przyczyn, dla których Acton został uniewinniony podczas procesu o morderstwo, było to, że skazanie źle odbiłoby się na sir Philipie, a pośrednio na dworze i rządzie. (Sir Philip patrzył przez palce na niezgodne z prawem podjęcie stanowiska nadzorca przez Actona od Darby'ego, poprzedniego gubernatora). Jego córka Mary była damą dworu królowej Caroline, żony Jerzego II.

### **Madame Mary Migault**



*Mary Migault (z domu Palence) była wdową i siedziała w więzieniu od czerwca 1727 roku. Miała kilka spięć z Johnem Grano.*

**Matthew Pugh**

*Były rządcą oddziału dla pospólstwa nadal szukał sprawiedliwości dla więźniów po klęsce w procesie przeciwko Actonowi. W świecie, który wzruszał ramionami na korupcję i niesprawiedliwość, Pugh walczył dzielnie o sprawiedliwość – niestety bez rezultatu.*

**Trim**

*Niewiele wiadomo o Trimie ponad to, że był więźniem i pracował jako fryzjer po stronie dla dżentelmenów.*

**Nehemiah Whittaker**, piekarz, i **Stephen Siddall**, aptekarz, pracowali wtedy w Borough.

# Wybrana bibliografia

Oto mały wybór prac, które uznałam za szczególnie użyteczne – i fascynujące – podczas moich badań. Szkice Hogartha były również niepomniernie cennym źródłem, jeśli chodzi o ubrania, urządzenie domu, sceny uliczne i, cóż... wszystko.

Gdybym musiała polecić tylko jedną książkę z tej listy, zaproponowałabym pamiętniki lorda Herveya. Godziny złośliwej, skandalizującej rozrywki. Ale nie muszę, więc polecam je wszystkie.

## **Źródła współczesne**

*A Report from the Committee Appointed to Enquire into the State of the Gaols of this Kingdom. With the Resolutions and Orders of the House of Commons thereupon, 1729*

*The Tryal of William Acton, Friday 1 and Saturday 2 August 1729*

Defoe Daniel *A Tour through the Whole Island of Great Britain*

Ginger John (red). *Handel's Trumpeter – The Diary of John Grano, 1728–1729*

Mudge Bradford K. (red.) *When Flesh Becomes Word: An Anthology of Early Eighteenth-Century Libertine Literature*

de Saussure César *A Foreign View of England in the Reigns of George I & George II*

Sedgwick Romney (red.) *Lord Hervey's Memoirs*

## **Źródła drugorzędne**

Borman Tracy *Henrietta Howard*

Buck Anne *Dress in Eighteenth-Century England*

Cruikshank Dan *The Secret History of Georgian London*

George, M. Dorothy *London Life in the Eighteenth Century*

Moore Lucy *Amphibious Thing: The Life of a Georgian Rake*

Moore Lucy *Con Men and Cutpurses: Scenes from the Hogarthian Underworld*

Peakman Julie *Lascivious Bodies: a Sexual History of the Eighteenth Century*

Porter Roy *English Society in the Eighteenth Century*

Porter Roy *Enlightenment*

Stead Jennifer *Georgian Cookery* (seria *English Heritage*)

Styles John *The Dress of the People*

Vickery Amanda *Behind Closed Doors: At Home in Georgian England*

Worsley Lucy *Courtiers: The Secret History of Kensington Palace*

# Podziękowania

*W pierwszym rzędzie pragnęłabym podziękować zarówno Jo Unwin, jak i Clare Conville za ich genialną zachętę i pomoc. Wielkie dzięki dla Carrie Splitt i wszystkich w agencji literackiej Conville & Walsh – szczególnie Jake’owi Smith-Bosanquet, Hennie Silvennoinen i Alexandre McNicoll.*

*Również po pierwsze (uznałam, że to dopuszczalne) – podziękowania dla mojego wydawcy Nicka Sayersa za jego niezmożone wsparcie i genialne przewodnictwo wydawnicze. Także Laurze Macdougall, Alasdairowi Oliverowi, Kerriemu Hoodowi, Ellen Wood i całemu zespołowi w wydawnictwie Hodder – za wszystko.*

*Mój wydawca amerykański, Andrea Schulze, dostarczyła przemyślanych i wnikliwych uwag, które naprawdę miały znaczenie – jestem bardzo wdzięczna zarówno jej, jak i jej zespołowi w wydawnictwie Houghton Mifflin.*

*Dziękuję zespołowi British Library – szczególnie za to, że nie patrzyli na mnie z ironią, kiedy zamówiłam wielotomowy zbiór osiemnastowiecznej erotyki. To było w celach badawczych. To było w celach badawczych. To było w celach badawczych. (Powtórzyłam trzy razy, więc to musi być prawda).*

*Dziękuję Richardowi Beswickowi za to, że był naprawdę dobrym kumplem. Davidowi Shelleyowi za jego wsparcie i poczucie humoru. Luigiemu Bonomiemu za jego bardzo przydatne i przemyślane rady. Ant, Vic i Kristysowie byli dobranym i uprzejmym towarzystwem. Jo Dickinson, Harrie Evans, Lance Fitzgerald, John O’Connell i Andrew Wille okazali mi przyjaźń i służyli mądrą radą. Bardzo szczególne podziękowania dla Roweny i Iana za to wszystko i za gościnność. I głęboki ukłon z zawijaszem wobec moich rodziców i moich sióstr Kay, Michelle i Debbie.*

*Jestem wdzięczna wszystkim z wydawnictwa Little, Brown za ich zachętę – szczególnie Ursuli Mackenzie, Cath Burke, Hannah Bournsell, Seanowi Garrehy, Clare Smith i Adamowi Strange.*

*Na koniec podziękowania i wieczna wdzięczność dla mojej najdroższej przyjaciółki Ursuli Doyle za jej lojalność, wielkoduszność i regularne wyprawy do tawerny.*

# Przypisy

<sup>[1]</sup> Wszystkie cytaty z *Listów świętego Pawła* według Biblii Tysiąclecia.

<sup>[2]</sup> John Milton *Raj utracony*, Pieśń I, przeł. Antoni Lange.